

17 SZRAM

GRAHAM MASTERTON

JACEK M. ROSTOCKI

F. PAUL WILSON

DAWID KAIN

ROBERT CICHOWLAS

CARLTON MELLICK III

ŁUKASZ RADECKI

WASHINGTON IRVING

ROBERT ZIĘBIŃSKI

PAWEŁ WAŚKIEWICZ

JOSEPH NASSISE

KAZIMIERZ KYRCZ JR

MORT CASTLE

MICHAŁ GACEK

KRZYSZTOF MACIEJEWSKI

RAMSEY CAMPBELL

ALEKSANDRA ZIELIŃSKA



17 SZRAM

Opowiadania z języka angielskiego przełożyła
Kinga Kwaterska

GRAHAM MASTERTON
JACEK M. ROSTOCKI
F. PAUL WILSON
DAWID KAIN
ROBERT CICHOWLAS
CARLTON MELLICK III
ŁUKASZ RADECKI
WASHINGTON IRVING
ROBERT ZIĘBIŃSKI
PAWEŁ WAŚKIEWICZ
JOSEPH NASSISE
KAZIMIERZ KYRCZ JR
MORT CASTLE
MICHAŁ GACEK
KRZYSZTOF MACIEJEWSKI
RAMSEY CAMPBELL
ALEKSANDRA ZIELIŃSKA


Replika

Copyright © Wydawnictwo Replika, 2013
Copyright © Aleksandra Zielińska, Kompleks Kasandry, 2013
Copyright © F. Paul Wilson, Slasher, 1993. First published in Predators, edited by
Ed Gorman and Martin H. Greenberg (ROC, 1993)
Copyright © Łukasz Radecki, A czerwiec był piękny tego roku, 2013
Copyright © Ramsey Campbell, The Retrospective, 2002. From Dark Terrors 6,
edited by Stephen Jones and David Sutton
Copyright © Robert Ziębiński, Karolina, 2013
Copyright © Kazimierz Kyrz Jr, Skorodowany, 2013
Copyright © Carlton Mellick III, Red World, 2012
Copyright © Krzysztof Maciejewski, Biel łabędzia, biel łabędzia, 2013
Copyright © Graham Masterton, In Defence of Roger Herrings, 1960s/2012
Copyright © Jacek M. Rostocki, Empatron, 2013
Copyright © Dawid Kain, Ciało/Krew, 2013
Copyright © Paweł Waśkiewicz, 18+, 2013
Copyright © Mort Castle, Guidance, 2012. Originally published in The Burning
Maiden, edited by Greg Kishbaugh, published by EvilEye Books, 2012
Copyright © Michał Gacek, Przejścia, 2013
Copyright © Joseph Nassise, Siren Calls, 2005
Copyright © Robert Cichowlas, Ouija, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja

Agnieszka Zienkowicz

Skład i łamanie

Maciej Drozdowski

Projekt okładki

Mikołaj Piotrowicz

Zdjęcie na okładce

Copyright © depositphotos.com/ Ryan Jorgensen

Wydanie I

ISBN 978-83-7674-304-2

Wydawnictwo Replika
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 61 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

Aleksandra Zielińska (ur. 1989) – pisarka młodego pokolenia, swego czasu uczennica Szkoły Malarstwa i Rysunku w Krakowie, studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Publikowała między innymi w antologiach: *Nawiedziny*, *Trupojad*, *Pokój do wynajęcia*, *City 1*, *13 ran* i *15 blizn* oraz w pismach m. in. *Fahrenheit*, *Magazyn Fantastyczny*. Miłośniczka kotów, w wolnych chwilach rysuje i grywa na gitarze.

Aleksandra Zielińska

Kompleks Kassandra

W środku siedzi Kaśka.

Zsyp zbudowano w tym samym czasie, co osiedle, a sądząc po odrapanych blokach, było to dawno, w czasach, gdy architekci stawiali na funkcjonalność, w dupie mając estetykę. Szczególnie rzuca się to w oczy nocą. Szare, przykurczone na skraju ulicy bloki są jak bryły o ostrych kształtach; nic nie wnoszą do krajobrazu, a wręcz wynoszą: nie da się zobaczyć gwiazd. Zresztą w Krakowie od dawna już nie widać prawdziwego nieba.

Ściany zsypu jęczą, z każdym powiewem wiosennego wiatru blacha faluje i wygina z pierwotnego położenia. Jakim cudem to truchło trzyma się kupy, nie wiem.

– Jak pieprzone przemienienie w Kanie – mówię do siebie, szukając papierosów po kieszeniach kurtki. Oparty o murek, odpalam marlboro. Na szczęście dym maskuje fetor, jaki roztacza się ze zsypu, bo wywożenie śmieci raz w tygodniu jest może i tańsze, ale to stanowczo za rzadko. Wystarczy parę dni, by zepsute żarcie zaczęło żyć własnym życiem i ewoluować do bardziej skomplikowanych form.

Murek też śmierdzi, mój przewrażliwiony nabłonek węchowy reaguje na najmniejsze gołębie gówno. Otacza trawnik tuż przy wejściach do klatek, pod oknami parteru. Jeśli ktoś w tym bloku posiada psa, to wystarczy go wystawić na parapet i niech użyźnia ziemię bez wyprowadzania na spacer.

Gołębie i jamniki, wytłuc wszystkie w ramach akcji Czysty Kraków.

Ręce nawet już tak bardzo mi się nie trzęsą. Żar na końcu drugiego papierosa uspokaja, wbrew pozorom lubię ogień. Ogień oczyszcza, nie, Kaśka?

Siedzi w zsypie, za blaszanymi drzwiami, które zamyka tylko stara zasuwka. Marna to obrona przed innymi bezdomnymi. Jeśli zechcą – zgwałcą, nawet gdyby wrzeszczała, że ma AIDS, kiłę i każde zło tego świata. Ale przynajmniej na głowę nie pada, a noc z twarzą przytuloną do kontenera jest cieplejsza niż gdzieś pod mostem u brzegu Wisły.

– I na co ci to było, mała? – pytam w pustkę, papierosem celując w księżyc. Nikt nie odpowiada, osiedle śpi, tylko gdzieś blisko Mogilska daje się przelecieć kolejnym samochodom.

Coś szeleści, słyszę trzaski wyginanej blachy, tarcia ścianek butelek o siebie; niemal widzę, jak Kaśka mości sobie miejsce w tym chaosie.

– Szkoda cię, mała. – Butem rozdeptuję peta. Gdy przyjedzie policja i strażacy, tylko to tu znajdą. Popiół. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

Odwlekam tę chwilę, patrzę na swój dom po drugiej stronie ulicy. Osiedle Oficerskie to dzielnica willowa, każdy tak powie; wokół sami adwokaci, lekarze i reszta wątpliwej elity. Sam mieszkam w hacjendzie, o jakiej zwykły śmiertelnik mógłby pomarzyć. Tylko te bloczki obok psują efekt, jakby na siłę przyklejone do Oficerskiego. Takie nasze małe slumsy.

Ktoś nadchodzi ulicą. To Tomasz, zakonnik, przecina podwórko stanowczym krokiem. Jakby wiedział, co mam zamiar zrobić. Zatem jeszcze jedna rozmowa, zanim nie będzie odwrotu. Dla ciebie jeszcze kilka ostatnich oddechów, mała.

• • •

Zaczęło się wczesną wiosną, pierwszego dnia, gdy skalę termometrów wykręciło na przeciwną stronę zera. Tym razem to słońce obudziło ulicę, a nie szął Wigilijny na widok gołębia czy bezpańskiego kota.

Wyszedłem na ganek. Nie sposób było ogarnąć ogromu zmian. Tak jak w październiku śnieg zaskoczył wszystkich zmierzających rano do pracy, tak tego dnia zieleń biła po oczach. Jakby pąki wybuchły przez noc, czując rosnącą temperaturę.

Trzeba będzie zająć się ogrodem, pomyślałem, idąc niespiesznie do skrzynki na listy. Odślonić kwiaty, które zimowały w ziemi, posadzić nowe, z nożyczkami w dłoni skosić trawnik, by wszystkie źdźbła stały idealnie jak żołnierze w szeregu.

Na starość trzeba mi harmonii.

Cóż, Staremu widać brakowało chaosu, bo jego ogródwybują ponad miarę. W ryzach utrzymywało go chyba tylko ogrodzenie z wysokich prętów, kto wie, czy nie pod napięciem, gdyż sąsiad zazdrośnie strzegł swego terytorium. Murem żywcem wziętym z więzienia na Montelupich.

Trawniki wyglądały jak pobojuwisko, bo Wigilijny całe swoje życie spędzał na zakopywaniu wcześniej wydartych dziur. Szkielety róż oplatały żelazne pręty, jakby chciały się wydostać. Przykro mi, moje miłe, jeszcze trochę tego słońca, a znów z ziemi wybiją pokrzywy. Jak co roku.

Tylko jabłoń budziła zazdrość. Sam nigdy nie wyhodowałbym takiego drzewa. Trzeba lat, żeby uzyskać tak gruby, a jednocześnie delikatny pień. Czy też płataninę gałęzi, która lekko przginała się z każdym powiewem wiatru, sącząc cichą muzykę. Często siadywałem na ganku, by posłuchać, jak tkanka trze o tkanę, jak trzeszczy kora. I te jabłka. Wielkie jak moje zaciśnięte pięści, czerwone jak krew. I słodkie. Do dziś pamiętam ten smak, gdy udało mi się przechytryć psa i ukraść jedno.

Ludzie spacerujący ulicą nierzadko przystawali przy jabłoni Starego. Pewnie nawet nie zdawali sobie sprawy, co ich do tego

zmusza. Natomiast doskonale wiedzieli, że nawet najlepsze jabłko nie jest warte spotkania z kłami Wigilijnego.

– Trochę zaniedbany ten ogród, prawda?

Przy bramie Starego stał brat Tomasz. Jak zwykle trochę niepewnie uśmiechnięty, jakby wciąż nie mógł przyzwycząić się do mojego widoku. Na początku w ogóle omijał wzrokiem twarz, patrzył gdzieś ponad. Fakt, nie jestem piękny, ale idzie się przyzwycząić.

Słońce musiało dawać mu się we znaki, habit to zły pomysł niezależnie od pory roku; w zimie zamarzniesz, latem się usmażysz. Aż skóra na jego twarzy odcieniem zbliżyła się do rudych włosów. No, ale jak mus, to mus. Kapucyni objęli opieką najstarsze próchna w okolicy, codziennie wielu braci musiało zmieniać pampersy podopiecznym, miksować żarcie dla bezzębnych szczęk, a na koniec słuchać o dzieciach, które nigdy nie przyjdą w odwiedzinach.

– Może brat się skusi? Praca w ogrodzie odpręża. – Jak zwykle chciałem być miły, a jeśli chodzi o duchownych, to szczególnie. Pasterze? Dobrze sobie, prędzej owce, durnowate, choć sympatyczne. – Brat zaskoczony wiosną?

– Niemal tak, jak drogowcy zimą. – Tomasz ostrożnie wszedł do ogrodu, ale choćby stąpał na rżęsach, Wigilijny i tak by usłyszał. Pies przeszedł w tryb „kill” i obszczekiwał kapłana naokoło. Nic więcej, jakby zdawał sobie sprawę, że ten koleś w brązowej sukience ma pomóc jego panu. Cóż, Staremu to raczej nic nie pomoże.

Już przy drzwiach Tomasz tylko skinął ręką na pożegnanie, bo szczekanie i tak zagłuszyłyoby słowa. Mały, brzydki bokser z płaskim pyskiem, jakby nie wyhamował przed murem, do tego rząd zębów rekina. I szał w oczach. Kiedyś temu psu przewróci się w głowie, zagryzie Starego, a na koniec naszczy pod jabłoni.

Spojrzałem na dom sąsiada. Tomasz się postarał; naprawił okno, które kiedyś wybiły dzieciaki, resztę umył. Na obłazący tynk raczej

poradzić nie mógł. Szara rudera kiedyś musiała być pięknym dworem. Cóż, nigdy nie byłem w środku i to się raczej nie zmieni.

Choć czasem widziałem, jak nocą uchylają się zazdrostki w kuchni Starego.

W końcu udało się dotrzeć do skrzynki, a tam to, co zawsze. Rachunki, rachunki, reklamy, ulotki, rachunki. Dobrze, że kosz na śmieci jest blisko, nie trzeba znosić tej makulatury do domu.

A na jezdni stał Szymek. Osiedle Oficerskie wiekiem dorównuje górnej granicy podopiecznych w domu starców, nawet ja mogę się czuć tu nad wyraz młodo. Dzieci jest niewiele, a na ulicy widać je bardzo rzadko. Młodzi adwokaci i lekarze spędzają czas na nauce angielskiego i tenisie, zamiast bawić się wokół domu.

Szymek mieszkał parę willi stąd i był chyba jedynym dzieciakiem, jakiego widać w okolicy. Ulubieniec staruszek, bo witał się zawsze uprzejmym dzień dobry. No i nie uciekał na mój widok, nie rzucał kamieniami w Wigilijnego. Czasem myślę, że mógłbym mieć takiego syna.

- Cześć, Szymek.
- Dzień dobry, panie Szejtanowicz.
- Co słychać?
- Niech pan zobaczy.

Wywaliłem koperty do śmieci i ruszyłem na jezdnię. Mniej więcej w tym samym czasie, w slumsowych blokach obok Kaśka zakładała buty i płaszcz, śpiesząc się na uczelnię.

Szymek pochylił się nad czymś w nabożnym skupieniu właściwym dzieciom, które nagle doświadczają czegoś na granicy beztroski i dorosłego życia.

- Nie żyje.

Ano nie żyje. Gołąb był tak rozprasowany na asfalcie, że patrząc z boku, wydawałby się równy z nawierzchnią. Pewnie auta rozsmarowywały go tak od rana. Wokół walały się pióra. Gdy dostrzegłem jedno z nich wirujące wokół nosa, Kaśka zatrzaskiwała drzwi mieszkania i zbiegała po schodach. Dziób martwego ptaka

celował prosto w trampki dzieciaka, jakby z wyrzutem, że to jego wina.

Cóż, byłem zdania, że zabijanie gołębi, jamników i przedstawicieli Greenpeace tylko przysłuży się miastu, ale w takiej chwili lepiej ugryźć się w język.

– Szkoda go, proszę pana.

– Szkoda – przytaknąłem, mając w pamięci parapet w sypialni. I kilka wbitych tam rzędów gwoździ. – Ale tak bywa, Szymek. Wypadki się zdarzają. A jak rodzice? Rozmawiałeś z nimi?

– Znowu to samo.

Jakiś czas temu Szymek zwierzył mi się, że chciałby mieć kota, ale rodzicielskiego zakazu obejść się nie dało. Ojciec wciąż obstawał przy tym, że jakiś pierdolony wszarz nie będzie mu pazurzył mebli.

– Cóż, pamiętaj, kropla draży skałę, mały, więc próbuj. – Klepnąłem go po męsku w ramię akurat wtedy, gdy Kaśka opuszczała klatkę. Na dźwięk trzaskających drzwi tylko uniosłem twarz, by napotkać oddalające się plecy. Warkocz wirował w powietrzu z każdym krokiem. Szara, bezbarwna, na dodatek studentka, a one zmieniają się tak szybko, że nie warto rejestrować ich obecności.

– Dzięki, panie Szejtanowicz.

– Zostaw to, Szymek, idź wykorzystać to popołudnie, zwłoki nie uciekną.

Wypadki się zdarzają, dziecko, ludzie umierają, pomyślałem, wracając do siebie odprowadzany wzrokiem Wigilijnego.

Ludzie umierają. No właśnie, ludzie.

•••

Złowiłem go wzrokiem tuż po dwunastej. Najpierw przez okno w salonie usłyszałem ujadanie Wigilijnego. To brat Tomasz pracował w sąsiedzkim ogrodzie. Zakonnik w podkasanym habicie próbował skopać kawałek zachwaszczonej ziemi, a pies bronił chaosu kłami i pazurami. Po chwili na ganku została porzucona

łopata, a bestia zasypiała w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

To właśnie Szymek przykuł moją uwagę. Wciąż pochylał się nad ptasim truchłem, tym razem gmerając w nim patykiem. Wydawało się, że to tak mało ważna śmierć. No, ale każda ma znaczenie, jeśli tylko wywołuje poczucie straty. Nawet gdy chodzi o utopione kocięta.

I wtedy przylazł Krystian. Ilu ludzi na Oficerskim, tyle podejść do Krystiana. Sam zacząłem okazywać mu jedynie współczucie i to z daleka, Stary nie krył wrogości, okazywanej przez Wigilijnego, ale to raczej odnosiło się do każdej istoty żywej. Choć w tej sprawie dochodziła obojętność, bo Stary miał w dupie, co się Krystianowi stanie. Ot, taki los osiedlowego wariata, który zamieszkuje zsypy i jest raczej nieszkodliwy.

Tylko Szymek traktował go normalnie. Ba, pomagał nawet. Nieraz widziałem, jak przemycał z domu jedzenie i zostawiał wieczorem w zsypie. I ten dziurawy, niebieski ortalion na plecach obłąkanego to też zasługa Szymka. A raczej Szymkowego kieszonkowego.

Krystianowy uśmiech natychmiast zniknął z opuchniętego wodogłowieczerepu. Nastroje miał bardziej zmienne niż niejedna baba w ciąży. Pochylił się nad martwym gołębiem, aż łysina odbiła słońce prosto w moje okno. Uchyliłem się na moment, dopiero na dźwięk śmiechu wróciłem do szyby. Perlisty Szymka i niezidentyfikowane bulgotanie Krystiana, które równie dobrze mogłoby być odgłosem, jaki wydaje zapchana rura. I ptak kręcący ósemki nad chłopcem i kaleką. Żywy, prawdziwy gołąb.

O tak, Krystian, jeszcze przespaceruj się po Wiśle.

•••

Stężenie hałasu wokół można nazwać ciszą. Okna są ciemne, nawet Wigilijny śpi, czasem u Starego sączy się światło świecy, ale

ostatnio jedynie wtedy, gdy Tomasz zostaje na noc. Bo Stary mógłby nie dożyć ranka.

Tak było i tego wieczora. Ciepłe powietrze pozwoliło na spacer, zawsze lepiej przeżyć bezsenność aktywnie niż leżeć w łóżku, licząc plamy na suficie albo pierdnięcia Wigilijnego. Nie sypiam od lat, ale idzie się przyzwyczać, gdy masz przed sobą pustą ulicę, a w kieszeni paczkę davidoffów. Twoje kroki echem odbijają się od osiedla, światło latarni zagina na konturach, rysując na jezdni sylwetkę. Spokój.

Gdy na klatce jednego z bloków zapala się lampa, już wiem, że ten wieczór potoczy się trochę inaczej. Cieszę się, bo dość było monotonii w moim życiu. Emerytura na dłuższą metę nie służy.

To Kaśka. Opuszcza klatkę z worem śmieci w jednej ręce, z torebką w drugiej. Dziwne, pora późna jak na spacer, szczególnie dla dziewczyny o wyglądzie pensjonarki, której bliżej do bibliotekarskiej przyszłości niż nocnego clubbingu.

Nie zauważa mnie, teraz ulica rozbrzmiewa stukotem obcasów, gdy dziewczyna przecina podwórko. Po przekątnej, prosto w stronę zsypu. Zły pomysł o tej porze, myślę, odpalając drugiego już papierosa. Mój rak, gdzieś tam w płucach, chciwie wciągadym.

Kaśka uchyla drzwi zsypu, trzeszczy wyginana blacha. Wystarczy tylko wziąć lekki zamach, by trafić workiem do kontenera, a nawet i bez tego można się obejść, połowa starców z ulicy zostawia śmieci na ziemi. A nuż same trafią na wysypisko.

Ale Kaśka na chwilę zamiera, potem zagląda do środka, oczywiście w ciemności nic nie widać. Za to coś słychać. Coś, co próbuje dopasować śmieci do swojego kształtu. Znam ten dźwięk, więc podchodzę bliżej. Kaśka może słyszy go pierwszy raz w życiu, toteż nieświadoma zagląda coraz głębiej. Uważaj, mała, wiesz, że ciekawość to pierwszy stopień do jednego z fajniejszych miejsc? Czy to ważne, kto lub co czai się w mroku?

Docieram pod sam zsypanie, opieram się o murek naprzeciwko, strzepując popiół na trawnik. Wszystko potoczy się szybko, za

chwilę nawet te plecy z warkoczem znikną.

Istotnie. Nie umiem powiedzieć, co przyszło najpierw: pierwszy krzyk został zaraz zagłuszony przez drugi, ale to drzwi chyba trzasnęły na początku. Ciało lekko uderzyło w blachę, załopotwały przerzucane wory na śmieci. Cisza. Kaśka krzyknęła jeszcze raz, histerycznie, po babsku, tak, że pękłyby kieliszki. Gdy Krystian zaczął gulgotać po swojemu, postanowiłem wkroczyć do akcji. Nieśpiesznie zgasilem peta obcasem.

Wystarczyło uchylić drzwi zsypu, by Kaśce nagle włączył się instynkt samozachowawczy. Wypadła ze środka prosto na murek, mało brakowało, by stres kazał jej zarzygać trawnik.

– W porządku?

Niezidentyfikowane charknięcie. Zajrzałem do wnętrza. Krystian dygotał wciśnięty pomiędzy kontenery. Sądząc po wyglądzie, był nie mniej wystraszony od Kaśki. Światło latarni wyprowadziło z mroku wykrzywioną przerażeniem twarz, z tymi ustami wygiętymi w podkówkę przypominał teraz dziecko.

– Spokojnie, Krystian. – Wyciągnąłem rękę, by pomóc mu wstać, zrobić cokolwiek, byle przestał przypominać trzęsącą się galaretę. – Nikt nie robi ci krzywdy.

Zatrzepotały wszystkie kończyny, bez koordynacji uderzając o ściany kontenera. Oddech uspokajał się długo. Z Krystianem trzeba powoli, bo jeden fałszywy ruch i zamknie się w tej swojej wielkiej głowie na amen. A co mi tam, osiedlowy wariat nie stał w hierarchii wyżej niż gołąb czy jamnik. Ale na starość zrobiłem się miękki, pieprzone miłosierdzie, wszędzie się wciśnie. No i kobieta patrzyła.

– Nic panu nie jest? – Kaśka ostrożnie zajrzała do zsypu, pewnie teraz uzbrojona już w gaz pieprzowy na ulicznych zbrojeńców. Uciszyłem resztę słów niedbałym gestem.

– Będzie pan sam, panie Szejtanowicz. – Krystian zatrzepotał asynchronicznie powiekami, wydał usta, co w jego mniemaniu

uchodziło za uśmiech. Jeszcze przeleci przez te swoje wróżby i koniec. Zapomni, że ktokolwiek przeszkadzał mu w śnie.

– Wiem, Krystian.

– Zostanie pan sam jak palec.

– Wiem, Krystian, powtarzasz mi to od lat. A ja wciąż mam dziesięć palców.

– A pani wpadnie w obłąd, wie pani?

– Co on gada? – Kaśka zadrżała zaniepokojona, opierając się o drzwi, aż blacha od tego zafalowała. – Czego on ode mnie chce?

Nic dziwnego, niektórzy mają problem ze zrozumieniem tego, co Krystian wymłaska do nich zza nieposłusznych warg.

– Obłąd, psze pani, radzę już teraz oszczędzać zdrowy rozsądek...

– Nic to. – Wstałem, otrzepując spodnie. – Krystian lubi przepowiadać przyszłość, jak każdy z resztą. Zostawmy go samego.

Zamykane drzwi odcięły światło, niebieski ortalion zlał się z czernią kontenerów, a na wielką głowę spłynął błogi uśmiech niezrozumienia.

• • •

– Nic się pani nie stało?

– Trochę się przestraszyłam. – Wzruszyła ramionami z miną „przepraszam, że żyję”. Ile ja takich dziewcząt już widziałem? Młode i tą swoją młodością zawstydzone, co każe im uciekać wzrokiem i garbić się, żeby tylko zaprzeczyć kobiecości, która może sprowokować innych. Ile ty masz, dziecko, lat? Włosy zaplecione w warkocz, twarz bez makijażu, ubiór ascetyczny i może trochę męski. I nieśmiała. Jezu, czy w dzisiejszych czasach zachowały się jeszcze nieśmiałe kobiety? Obok mamutów chyba.

– Niepotrzebnie, Krystian jest całkowicie nieszkodliwy. – Uśmiechnąłem się tylko kącikami ust, ale i tak lewa część twarzy przykuła te krótkowzroczne oczy pomniejszone przez okulary. Mówiłem już, nie jestem piękny. Ale mężczyźnie, szczególnie na mojej pozycji, uroda wręcz nie przystoi. Zresztą, nie krzyczy, nie

spazmuje, nie ucieka, co trzeba liczyć na plus, skoro byle Krystian wywołał u niej atak paniki. Obciążona wodogłowieм gęba wynurzająca się z ciemności. Aż pogłębiłem uśmiech.

– Widywałam czasem tego... chłopaka na osiedlu, więc nie powinnam była tak reagować. Bardzo przepraszam, że się pan fatygował.

Jezu, czy dzisiejsze kobiety jeszcze potrafią się rumienić? Mógłbym mieć każdą, każdą z nogami od nieba do ziemi, z intelektem równym Einsteinowi. Mógłbym, ale mi się nie chce. Za stary na to jestem, za stary.

– Cała przyjemność po mojej stronie. I żaden pan, Benedykt Szejtanowicz, mieszkam pod trzydzieści dziewięć.

– Kaśka.

Uścisnąłem spoconą ze zdenerwowania dłoń. Kaśka. Imię równie pospolite, co jej uroda tudzież jej brak. Takich dziewcząt się nie zauważa – wzrok prześlizguje się po nijakich twarzach jak po ścianie. Nie brzydka, broń Boże, tylko nieładna. Nawet w najdroższych ciuchach wyglądałaby bezbarwnie, najlepszy fryzjer nie poradziłby nic na włosy, które są do przyjęcia tylko w formie ciasnego warkocza.

Nieładna. Ale to jej nie skreśla, nigdy, przenigdy. Wiem z doświadczenia.

– Zapalisz?

Chwilę wahała się nad wyciągniętą paczką davidoffów.

– Wie pan, tak. Muszę odreagować.

– Proszę mnie nie postarzać. – Zaśmiałem się, odpalając jej papierosa. – Benedykt, po prostu. Nie Benek, bo brzmi to jak imię dla psa.

Nie wiem, czy odpowiedziała śmiechem, czy tylko dym skurczył oskrzela po długiej tytoniowej abstynencji.

Nie wyglądałem na więcej niż czterdzieści, wyglądałem na najlepsze czterdzieści, jakie kobieta może sobie wymarzyć.

Oczywiście z prawego profilu. Codzienny jogging i setka na klatę robiły swoje.

– Chyba nici z dzisiejszego wyjścia?

– W sumie to żadne wyjście. – Oparła się o murek obok, żeby nie patrzeć mi w oczy. Albo w twarz. Rozżarzony koniec davidoffa celował w księżyc. – Ostatnio cierpię na bezsenność. Chciałam tylko pospacerować.

– A śmieci?

– Och, moja współlokatorka średnio dba o porządek. Do rana ten worek zaczęłyby żyć własnym życiem.

Paliała szybko, może żeby uciec. Albo jak najszybciej wyeliminować ryzyko raka.

– Też nie sypiam. – Patrzyłem na jej profil, na nos garbaty jak u Greczynki, na pyzate policzki. Dziecko, góra na trzecim, czwartym roku, dziecko nie studentka. – Najgorzej jest zimą, bo nie chce się ruszać z domu. Teraz będzie najlepszy czas, ciepłe noce i zapach kwitnących drzew. Wiosna idzie, koniec dyktatury mrozów.

– U sąsiada jabłoń owocuje niezależnie od pory roku.

Jesteś przenikliwa, kotku, przenikliwa jak promieniowanie.

– Nie radzę jeść tamtych jabłek.

– Ze względu na psa?

– Och, nie tylko. Krystian kradnie je regularnie i zobacz, jak wygląda. Szkoda urody, Kaśka.

Zaśmiała się z tego trupiego żartu, zakrywając usta dłonią. Pewnie pozostałość po kompleksie krzywych zębów. I odwróciła twarz w moją stronę; patrzyły na mnie śmiejące się oczy, w których nie było już śladu strachu. Do jutra na pewno wydam jej się snem albo majakiem nieprzespanej nocy. I cóż z tego?

– Dziękuję jeszcze raz za pomoc, ale powinnam już wracać. Może w końcu zasnę.

– Oby bez koszmarów.

– Dobranoc, Benedykcie.

– Dobranoc, Kaśka.

Obcasy oddalały się ze stukotem. Zapaliłem kolejnego papierosa. Na widok płomienia zapalniczki coś zabolalo w lewym policzku, potarłem zgrubiałą skórę.

Słyszałem, jak Kaśka po cichu wraca do mieszkania, zasuwa za sobą wszystkie zamki i nagle przystaje u kuchennych drzwi. Trzeszczy linoleum, trzeszczy parapet, gdy opiera na nim dłoń, a drugą rozsuwa zazdrostki.

Uśmiecham się do siebie, dopóki Kaśka nie pójdzie spać. Kątem oka łapię błysk. Po drugiej stronie ulicy w sypialni Starego pali się światło.

Benedictus. Duszę peta obcasem. Błogosławiony. Poproszę Oscara za to poczucie humoru.

• • •

– Panie Szejtanowicz.

– Witam, bracie.

Kolejne dni przynosiły coraz ładniejszą pogodę, w poranny jazgot Wigilijnego wmieszały się pierwsze nieśmiałe trele ptaków. I to innych niż gołębie, alleluja. Zakwitło to żółte coś, którego nazwy nie mogę nigdy zapamiętać, i drzewa posadzone wzdłuż ulicy od tej jej lepszej strony.

– Niezła burza przeszła nocą, prawda?

– Ale za to jakie teraz powietrze, bracie!

Rzeczywiście, parę godzin temu niebo pluło błyskawicami na lewo i prawo, aż padło mi kilka żarówek. Pierwszy prawdziwy deszcz w tym roku, bo na wpół roztopionego śniegu sikającego z nieba liczyć nie można.

Ulica była zroszona kałużami, ale to nic, nawet lepiej. Nic tak nie orzeźwia w biegu, jak woda rozchlapywana trampkami. I to powietrze, świeże jak na wsi, przesiąknięte ozonem.

– Nie ma to jak jogging w taką pogodę, ma pan rację.

– Powinien brat znowu spróbować.

Tylko machnął ręką. Zeszłej jesieni chciał parę razy przebiec ze mną osiedle. Skończyło się na ataku duszności i groźbie śmierci tuż przy końcu ulicy. A ponoć módl się i pracuj, dość hodowli pseudociaży pod habitem.

– Kiedyś na pewno. – Tomasz otworzył furtkę i tak oto rozpoczął się kolejny rytuał omijania Wigilijnego w drodze do drzwi.

Już miałem wkładać słuchawki do uszu, gdy coś kazało mi zawołać za zakonnikiem. Przyzwoitość czy zwykła ciekawość. No przecież nie miłosierdzie, miłosierdziem byłoby zatłuczenie tego żywego trupa choćby gołą pięścią.

– Bracie! Jak on... się czuje?

Wskazałem niedbale na brudny dom. Tomasz przystanął, ba, nawet zawrócił do furtki.

– Wie pan, panie Szejtanowicz, nie najlepiej. W sumie to źle, a nawet bardzo. Może by pan go kiedyś odwiedził? Obawiam się, że może już mieć dość duchownych.

Zmrużyłem oczy. Co ty wiesz, mały, głupi klecho. Czy ty wiesz, z kim masz do czynienia?

– Pomyślę o tym.

– On pyta o pana. Czasem, w gorączce.

Nie bardzo chciałem się uśmiechać, więc blizna na policzku zmieniła te próby w okrutny grymas. Cóż, brat pewnie i tak uznał to za normalkę. Krępującą ciszę przerwał jak zawsze taktowny Wigilijny.

– Jezu, co za bestia. Powinno się go uśpić.

– Och, bracie, ktoś musi pilnować jabłoni – zaśmiałem się cicho.

– O tak, jabłka są cenne.

– Brat chyba wie...

– Jasne, wiem doskonale. Nie wolno zrywać, a co dopiero jeść.

Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

– A wie pan, one nigdy nie spadają same. Jak to się dzieje?

– Są na ziemi rzeczy, o których nie śniło się kapucynom.

W słuchawkach zabrzmiało mi Joy Division, najlepsza muzyka do ćwiczeń obok Pink Floydów. I pobiegłem ulicą, nie chodnikiem, ruch jest tu taki jak na pustyni i to nie tylko rankiem. Nie licząc oczywiście pań w oknach, które przedkładały niemrawe życie osiedla nad telewizor. Na początku moje zwyczaje traktowały jako kryzys wieku średniego, stawiając mnie w hierarchii mieszkańców na poziomie Krystiana. Dopiero z czasem przyszło zrozumienie. Teraz staruszki mnie uwielbiały.

Zobaczyłem je przy refrenie *Candidate*. Kaśka zlewała się z ulicą tak, że trudno w ogóle było ją dostrzec. Za to współlokatorka od niewyrzucania śmieci przykuwała uwagę i to skutecznie. Chyba przez te nogi od ziemi niemal do gardła, opięte stanowczo zbyt obcisłymi spodniami. Blondyneczka, wysoka, z buźką jak z obrazka, ani jednego pryszcza, ani jednej brwi rosnącej tam, gdzie nie powinna. To takie dziewczyny mają przez oczami dzieciaki masturbujące się w liceum.

Za idealna, za nudna. W sam raz do zabawy.

Mijając je, pomachałem Kaśce. I tylko Kaśce. Mała, biedna czarna owca. Takie blondyneczki uwielbiają towarzystwo sierot, którym natura poskąpiła urody. Mniejsza konkurencja, a i dowartościować się można.

Zaskoczona Kaśka uniosła rękę na powitanie.

• • •

– Dalej nie sypiasz?

– Ja nigdy nie sypiam. Zapalisz?

– Ja nigdy nie palę – zaśmiała się, biorąc papierosa z oferowanej paczki. Musiało być w tym trochę prawdy, bo początkowo zaciągała się z trudem, a teraz kopciła jak parowiec. – No, ale...

– Grunt to bunt.

Siedziała na murku obok, trochę zawstydzona tymi swoimi spotkaniami ze starszym facetem. Widocznie choć w ten sposób mogła podnieść sobie samoocenę zaniżoną przy takiej

współlokatorce. Blondyneczka pewnie prowadziła się teraz z przystojnymi studentami, którzy chętnie zamienią kasę na przyjemność.

Jeżeli próbujesz wyglądać nieatrakcyjnie, mała, to wychodzi ci to świetnie, pomyślałem, patrząc na powyciągany dres i bezpłciowy T-shirt z jakimś metalowym zespołem. King Diamond jak na moje oko. Tak, ten, kto ci powiedział, że czarny wyszczupła, nie miał racji. Albo kłamał z premedytacją. W efekcie, Kaśka, wyglądasz, jak wzięta prosto z pogrzebu. Ewentualnie z trumny.

– Widziałam, że biegasz.

– Kryzys wieku średniego, dziecinko.

Księżyc wisiał na niebie w całej okazałości, bo oto dość chmur, moi państwo, nadchodzi wiosna, czas ludzi śmierdzących w autobusach.

– A gdzież tam! – Zarumieniła się jak piwonია, mając niezdarnie tymi pulchnymi łydkami. Oj, mała, powinnaś spróbować czasem ruszyć to ciało, bo nigdy nie przepoczwarzysz się w kobietę. A rozkosznie pulchnych podlotków mamy na pęczki.

– Zapraszam, co rano oblatuję osiedle wzdłuż i wszerz...

Nie dokończyłem gadki o bieganiu i podnoszeniu ciężarów, bo Krystian znów wkroczył na scenę. I to nawet spektakularnie. Odczepił się od ogrodzenia Starego, z hukiem spadł na chodnik. Ortalion zahaczył o ostry drut i z jękiem się rozdarł, odsłaniając brudne ciało. Wigilijny o mała nie odgryzł zaciśniętych na prętach paluchów.

Pies oszalał. Kicał na tych krótkich nóżkach tak wysoko, że o mała sam nie przeskoczył płotu. Krystian chyba uwierzył w możliwości Wigilijnego, bo pozbierał się w trymiga i równie szybko uciekł w głąb osiedla. Wielka głowa kolebała się na boki.

W oknie Starego zapaliło się światło, zatrzepotały franki, ale bez szaleństw. Jak zwykle nie pokazał twarzy. Bo po co? Wigilijny sam odstraszy złodzieja.

– Jezu.

- Dokładnie.
- Mówiłeś, że nie jest niebezpieczny.
- Cóż, dla siebie często robi wyjątki.

Uśmiechnęła się zachęcająco. No, niech pan opowiada, dalej, proszę zdradzić jakiś osiedlowy sekret.

- Och, Krystianem się nie przejmuj. Wszystko, na co go stać, to próba kradzieży jabłek i pomieszkiwanie w zsypie. Zresztą, przyzwyczaisz się, mała. Do wszystkiego idzie się przyzwyczaić.

Ładnie się uśmiechasz, słonko, ale przestań tak lustrować mnie wzrokiem, bo blizna zaczyna drapać i swędzieć.

- Do tego też? - Niedbały, ba, nieśmiały gest w stronę mojej twarzy.

I wtedy okno nad nami otwarło się z trzaskiem. W ten sposób Kasina współlokatorka wkroczyła do gry. Oklaski, proszę państwa, czas na gwóźdź programu, nasze centrum rozrywki. Wyglądając z tego parapetu, sama sobie wbijasz taki gwóźdź do trumny. I to niestety ostatni, dziecinko.

- Kaśka!

Wypalony w połowie papieros natychmiast spadł na chodnik, przydusił go obcas i ku niebu powędrowała wąska strużka dymu. Za mała, by wzbudzić podejrzenia trzy piętra wyżej. Och, ja nie paliłam, naprawdę, wydawało ci się.

- Emilka?

- Wracaj natychmiast do mieszkania - zapięła cienkim głosikiem blondyneczka, otulając się szlafrokiem po szyję. - Wiesz, która jest godzina?

Późna, bo późna, ale ważniejsze, z kim szlajasz się po nocach, Kaśka.

- Dobry wieczór pani. - Ukłoniłem się lekko, dobrze wiedząc, co szeroki uśmiech robi z lewą połową twarzy.

- Kaśka, wracaj. - Emilka niedbale skinęła głową i zatrzęsnęła okno. Światło zgasło, ale księżyc i tak rysował cień sylwetki na firance.

– Dziwne, dawno nikogo tak nie przestraszyłem.

– Przepraszam za Emilkę. – Kaśka bezradnie rozłożyła ramiona. –

Po prostu trochę się o mnie martwi.

Jasne, mała, tak inaczej nazywamy zazdrość.

– Chyba już pójdę.

– Możesz ją uspokoić, nie gryzę. Przynajmniej na razie.

Próbowała się zaśmiać, z wiadomym skutkiem, jakby coś leżało jej na sercu, a ludzie jakoś szczególnie lubili mi się zwierzać. No, dalej.

– Uważa nasze spotkania za niewłaściwe? Bo jestem starszy? Och, wybacz, zwykły ze mnie sąsiad, taki, co wymieni rurę albo przypilnuje kwiatków. Bez podtekstów.

– Wiem, wiem, przepraszam, że w ogóle zaczynałam.

Twoje zarumienione policzki przepraszają, że żyjesz. Ta Emilka to twoja matka?

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

– Skąd. Wszak to nie przystoi. W moim wieku?

Tylko nie bez.

– Kaśka, żartowałem.

– Pójdę, zanim znów coś palnę. – Potrząsnęła głową, włosy częściowo wyswobodziły się z ciasnego splotu i opadły na twarz. Pot zdenerwowania skleił je w strąki. Żałosna jesteś, kochanie, żałosna z tym swoim brakiem opanowania. – Dobranoc.

– Cześć, Kaśka.

Blizna zapiekła, trzeba będzie znów zrobić okład, bo zniszczone zakończenia nerwów nie dadzą mi żyć w najbliższym czasie. Będzie zmiana pogody, skoro tak dokuca. Duża zmiana.

Emilka wciąż warowała przy oknie, myśląc, że jeśli zgasi światło, to franka ją skryje. A gdzież tam, pomachałem jej na pożegnanie, by wyzbyła się wątpliwości.

Miłych snów, moja mała dewotko, miłych snów.

Koszmarnych.

• • •

Kaśka przestała się pojawiać nocą. Prawdę mówiąc, to prawie w ogóle nie widywałem jej na osiedlu. Już prędzej Emilka wpadała na mnie w drodze na uczelnię. Cóż, wpadała jak wpadała – po prostu zmieniała stronę ulicy czy nawet kierunek, gdy tylko pojawiałem się w polu widzenia. Źle sypiasz, blondyneczko? Co?

W międzyczasie minęły święta wielkanocne. Tomasz oczywiście nawiedził Starego ze święconką, płacąc Wigilijnemu haracz w postaci mięsa prosto z koszyczka. Ba, nawet proponował mi udział w niedzielnym śniadaniu, ale jak łatwo zgadnąć, taktownie odmówiłem.

Wiosna rozbuchała się w najlepsze, ogród zakwitł czym tylko się dało, ale każda, nawet najbardziej egzotyczna roślina bladła w porównaniu do Starczej jabłoni. Nieraz wieczorami patrzyłem, jak owoce czerwienieją w półmroku. Nic tylko zerwać, znów zatopić zęby w słodkim miąższu, aż sok pocieknie po brodzie, po palcach. Zawsze wtedy blizna piekła, jednocześnie mówiąc: nie.

Krystian wrócił na ulicę w załatowanym ortalionie. Przez plecy biegły szwy zakładane chyba ręką dziecka, bo materiał i tak odsłaniał nagie ciało. Nagie ciało całe w krostach, bo Krystian łapał infekcje zawsze i wszędzie, a kto wie, co leżało się w zsykach.

Szymek w dalszym ciągu własnego kota nie uświadczył, ale pojawiło się światółko w tunelu. Wraz z wiosną w tej gorszej części Oficerskiego zaczęto zauważać bezdomne koty. Nieraz sąsiadki narzekały na głośny zwierzęcy seks, jakby każdy miesiąc był dla tych futrzaków marcem. Szymek zanosił pod zsyk resztki domowych obiadów, czasem zostawiał drugie śniadanie.

Krystian miał doskonały kontakt ze zwierzętami, jakby to miało rekompensować mu nienawiść społeczeństwa. Ulubował sobie zabawy z gołębiami akurat naprzeciwko mojego domu, darł się razem z kotami do księżycy, spacerował wśród gromady wszelkiego

plugastwa, jakie mieszkało na osiedlu. Jak pieprzony święty Franciszek.

Ten urok nie działał tylko na Wigilijnego. Na Wigilijnego nic nie działało.

Przyglądałem się temu wszystkiemu ze spokojem. Kraków okazał się dla nas dobrym miejscem, prawda, Stary? Kraków wiosną. Nie mogłeś wymyślić nic piękniejszego niż Kraków wiosną.

• • •

Ta noc upływała przy butelce wina i dramatach O’Neilla w oryginale. Zapadając się w fotel, można dostrzec tarczę księżycą ponad dachami, jakby w tym cholernym mieście pełnia trwała bez przerwy. I blisko wzrokiem do Starego, gdyby nagle zachciało mu się umierać i potrzebował w tym pomocy.

Słyszałem je na długo przed tym, niż chciały być słyszane. Najpierw zatrzęszczała otwierana bramka, jakoś nigdy nie zamykałem jej na noc, wiedząc, że złodziej sam spieprzy w podskokach po paru chwilach w ogrodzie. Potem szurały kamienie w żwirowej alejce, ugniatane lekką stopą. Ale tak naprawdę zdradziły je szepty. Wystarczy wystawić dwie kobiety nocą na ulicę, to zagadają się na amen. Dwie przestraszone kobiety zagadają się na śmierć.

Niespiesznie włożyłem dresy i T-shirt z Pink Floyd. Mógłbym jeszcze skończyć czytać *The Iceman cometh*, zanim zdążyły zadzwonić.

Oczywiście otworzyłem niemal natychmiast, jakbym nocował za drzwiami i tylko czekał na gości.

Kaśka miała bluzę narzuconą na pidżamę i przerażony wyraz twarzy. Emilka otulała się swetrem, spod którego wystawała kusa koszulka nocna. Dwie pary diabelnie długich nóg obute w same kapcie trzęsły się na wycieracze ni to z zimna, ni to ze strachu.

– Dobry wieczór albo i dzień dobry. Co się stało?

– Bardzo cię przepraszam, że niepokoiimy tak późno... albo i tak wcześniej.

Emilka miała minę, jakby wcale nie chciała przeproszać, a co dopiero tu przychodzić.

– Spokojnie. Może lepiej wejdziecie, niby wiosna przyszła, ale i tak jest zimno.

– Nie mamy czasu, pomyślałyśmy... Potrzebujemy pomocy.

Blondyneczka przejęła pałeczkę.

– Coś zapchało zlew i właśnie zalewa nam kuchnię szambem.

Śmierdziało już na klatce. Prowadziły mnie po schodach ku wyższym piętróm, szurając kapciami. Obudziłyby umarłego, ale sąsiadów, którzy zdjęli aparaty słuchowe na noc, na pewno nie.

– To tutaj. – Kaśka nawet nie musiała mówić, na tym piętrze smród osiągnął apogeum, aż wykręcało nabłonek węchowy na lewą stronę.

Otworzyła drzwi, puściła mnie przodem, ostatnia weszła Emilka, zaciskając ręce w pięści na wypadek, gdyby trzeba było bronić cnoty siłą.

Kawalerka. Tylko studenci gnieździli się w takiej ciasnocie. Dwa łóżka, dwa biurka, jedno małe okno, ale i tak dały radę wyodrębnić własne terytoria. Linie podziału wyznaczały mało znaczące bibeloty: Kasine płyty i książki kontra przesłodka, suszone kwiatki, wielki plakat z Mad Sin przeciw świętym obrazkom.

Aż mnie wzdrygało z obrzydzenia.

Kuchnię prowizorycznie oddzielała zasłonka, zapewne czerwona, teraz przesiąknięta szambem w jednej trzeciej. Podobnie jak i dywan. Połowę pokoju zalały ścieki ze zlewu, wyglądały jak płynny brud doprawiony gdzieś resztkami jedzenia, które już zaczęło fermentować.

– Jednym słowem gówno, moje panie.

– Cholera, jak wychodziłyśmy, to sięgało z metr krócej. – Kaśka o mało nie chwyciła mnie za ramię.

– Ktoś z góry leje. – Mężnie wkroczyłem w kałużę, czując, że tenisówki zaraz zaczną przemakać. Cóż, nie takie rzeczy się już robiło, nic wielkiego przy potopach czy rozstępowaniu się Morza Czerwonego. – Oblećcie mieszkania z góry, powiedzcie, żeby przestali myć gary o północy, bo was zalewa. I to dosłownie. Ja przyjrę się bliżej rurom.

– Może któraś z nas powinna z panem zostać? – Emilka nie ruszyła się ani o krok. Patrzyła mi prosto w oczy, ale jeśli miało to być spojrzenie pod tytułem „och, wcale się ciebie nie boję”, to nie wyszło. Ręce trzęsące się na skraju szlafroka mówiły całkiem co innego.

Co ci się stało, maleńka? Coś straszego?

– Lepiej nie. – Uśmiechnąłem się ładnie, żeby wzbudzić zaufanie ofiary. – Te ścieki to wylęgarnia wszelkiego choróbska, jeszcze się przytrujecie.

– A ty? – Oboje spojrzeliśmy na Kaśkę, bo troska w jej głosie była aż za dużo słyszalna.

– Poradzę sobie. Idźcie, zanim zaleje wam nawet ten Ararat.

Och, rak w moich płucach połknie te wszystkie paciorkowce i gronkowce bez mrugnięcia okiem.

• • •

Ze zlewu dochodziło złowrogie bulgotanie. Gdzieś od dna odrywały się wielkie jak pięść bąble, by pęknąć na powierzchni; istne bagno prosto z horroru klasy B. Linia wody utrzymywała się na równi z krawędziami, jakby wcale nie groziła wylewem. Wystarczyło tylko zbliżyć się o krok, żeby ścieki zaczęły się wylewać. Smoliste strugi polały się po żeliwie prosto na podłogę.

Zlew pamiętał chyba jeszcze wczesne lata PRL-u. O ile dobrze pamiętam, taki model należał do pierwotnego wyposażenia kuchni, gdy Oficerskie oddawano mieszkańcom. Dwie głębokie kwaterki wsparte na starych, żeliwnych rurach biegnących prosto w ścianę.

Spod świeżej warstwy białej farby prześwitywały poprzednie kolory ścian.

Zlew burknął kolejną falą rzygowin.

Zatkana rura, a sądząc po stanie instalacji, trzeba będzie kuć ścianę i wymienić wszystko. Droga zabawa, moje panie, i mało przyjemny tydzień w towarzystwie hydraulików.

Zbliżyłem się do kolanka ostrożnie, aby jeszcze bardziej się nie pogрузić. Cóż, conversy szły na stracenie, dres i T-shirt chciałbym jeszcze zachować. Dotknąłem tynku palcami, dało się już wyczuć, co się święci. Gdzieś tam, wśród płataniny rur, wśród szlamu spływającego z górnych pięter było ciepło. Ucho do ściany, dłoń do żeliwa, wstrzymać oddech i słuchać. Wystarczy chwila.

Jesteś tam, mój mały, pomyślałem, wstając. Jesteś tam, moja mała kupo gówna. Brzydę się dotknąć twojej śmierdzącej powierzchni. Przykro mi, jestem ponad to.

Wyjrzałem przez otwarte okno, by oczyścić powietrze w nozdrzach i objąć wzrokiem osiedle. Jestem ponad to, mały, ale są inni, dla których mój rynsztok jest sufitem.

Nie musiałem krzyżeć. Mógłbym szeptać w myślach, a ta wielka głowa usłyszałaby bez problemu. I przybiegła z jęczorem na brodzie.

– Krystian – powiedziałem w noc. – Chodź do mnie, Krystian.

• • •

Nawet dym papierosowy nie mógł zabić smrodu, ale pomagał. Paliłem jednego davidoffa za drugim, licząc, że gnilne gazy nie wybuchną w kontakcie z ogniem. Oparty o lodówkę mogłem podziwiać Krystiana przy pracy.

Powoli przelewał szlam ze zlewu do podstawionego wiaderka, które sukcesywnie opróżniał w klozecie. Głowa zdawała się puchnąć od skupienia nad tak wymagającym zajęciem: przejechać kubkiem po dnie, żeby nabrać jak najwięcej, następnie przenieść zawartość do wiadra – nie wolno uronić ani kropli. Gdyby za każde

rozlanie wypalać Krystianowi jeden neuron, naprawdę stałby się bezmózgi.

– Będzie pan sam, panie Szejtanowicz.

– Wiem, brachu.

Nie trzeba twego daru/przekleństwa, by do tego dojść, pomyślałem, czując mrowienie w dłoniach. Moja skóra nie zniosłaby kontaktu z takim brudem.

– Sam jak palec.

Sam jak ząb w twojej szczerbatej szczęce, mały.

– Wiem. Jak robota? Sięgnąłeś już dna?

– Dawno temu, panie, gdy się urodziłem.

Wzniosłem oczy ku niebu, gdziekolwiek ono było. Jedno spojrzenie na zlew wystarczyło, by stwierdzić, że obie ekipy spisały się dobrze: dziewczęta przykręciły kurek w całym bloku, Krystian wybrał tyle ścieków, ile się dało.

Odpływ nie był przykryty żadną kratką. W czasach, gdy stawiali Oficerskie, nikt nie przejmował się, że możesz splukać połowę sztućców przy myciu. Cóż, w razie czego dziura była na tyle duża, że taka Emilka mogłaby włożyć tam rękę i wygrzebać z rury zaginione łyżki i widelce.

Nachyliłem się nad zlewem, podświadomie starając się nie oddychać.

– Jesteś tam jeszcze, mały?

Och, oczywiście, że jesteś i wciąż się mnie boisz. I słusznie.

Futro otarło się o rurę, pazury zatrzęszczały, orząc koryta w żeliwie, galop małego serduszka wprawiał całą instalację w wibrację. Niemal jak wiadomość alfabetem Morse'a: nie rób mi krzywdy, nie rób mi krzywdy...

Przykro mi, mały, to nic osobistego.

– Krystian!

– Tak, panie?

– Chodź bliżej. Słyszysz, tam w rurze? Słyszysz naszego małego, nieproszonego gościa?

Głośno przełknął ślinę, jakby spodziewając się mego rozkazu. Przy okazji dobrze wiedząc, że odmówić nie można. Zawsze składałam propozycje nie do odrzucenia.

– Każ mu wyjść.

– Panie?

– Każ mu wyjść. A właściwie to przyjsć. Chcę widzieć jego futrzaste ciało w zlewie. I bez uśmiechów, wiesz, co mam na myśli, kolego.

Mało nie wybuchnął płaczem, wokół oczu pojawiły się czerwone obwódki, z nosa zaczęła kapać wydzielina. Jesteś obrzydliwy, w takich chwilach naprawdę nie dziwię się Staremu.

– Co on tu robi?

Oto i powróciły z osiedlowej kruczaty. Emilka miała minę pod tytułem: a-nie-mówiłam-żeby-nie-zostawiać-go-tu-samego. Nienawiść zadarła jej nasek, wykrzywiła wargi, nareszcie trochę chaosu w tej idealnej buźce.

– Co tu robi ten włóczęga?

Dyskretnie wywaliłem peta do zlewu. No, ciekaw jestem, mała, czy wytrzymasz moje spojrzenie, ba – sam widok twarzy.

– Otóż trzeba przepchać rurę i to szybko. Chyba, że wolicie kucie ściany, co oznacza niemałe koszty remontu. No i smród. Jeśli tak, pozostaje mi życzyć udanego wietrzenia i wracać do domu. Do łóżka. Proszę wybaczyć tę uwagę, pani Emilko, ale nie warto oceniać ludzi po pozorach.

Nie wytrzymała, uciekła wzrokiem gdzieś pod nogi, gdzieś w kałużę, byle dalej. Na policzki wstąpił rumieniec wstydu. Alleluja, trochę pokory, młoda dewotko.

– Naprawdę doceniamy to, co robisz, Benedyckie. – Kaśka dyskretnie wypchnęła koleżankę na zewnątrz. Nie patrzyła na Krystiana, choć dłonie i tak zaciskały się w pięści. Albo na wyimaginowanym gazie pieprzowym. – Ufam ci, jesteś jedynym, który nam pomaga. Reszta wyklęła nas, że śmiemy łązić nocą po mieszkaniach. Cóż, potrzebujesz pomocy?

– Nie, Kaśka, poczekajcie na klatce, już kończymy. – Spojrzałem wymownie na Krystiana. – Już kończymy, prawda?

Wielka, smutna głowa kiwnęła potakująco.

• • •

Odpływ był na tyle szeroki, że Emilka mogłaby grzebać w środku dłonią do woli, ale zbyt wąski dla szczura. I to była zapewne przyczyna jego utknięcia w drodze ku górze. Trudno, będzie boleć. A nawet bardzo.

Opierałem się plecami o krawędź zlewu, tuż obok mając łeb Krystiana, który w tej pozycji służyłby za idealną popielniczkę. Nie wsłuchiwałem się w jego szepty łamiącym się głosem wysyłane w dół kanalizacji. Przecież jestem ponad to, prawda? Gdzieś tam w ścianie pazury zostawiły za sobą krwawe ślady, wyłamywały się, ciągnąc ciało w zbyt ciasny tunel. Najpierw żeliwo zetrze furo, oskubie chudy grzbiet do gołej skóry. Potem będzie gorzej, gdy zaczną trzeszczeć ściskane kości.

Dopiero w kolanku zaczął pisać i były to jęki bólu i strachu. I niezrozumienia. Mały szczurzy rozumek nie mógł ogarnąć, dlaczego ktoś wzywa go ku górze w takich boleściach. Dlaczego, dlaczego, dlaczego...

Łzy i smarki Krystiana mieszały się ze szlamem na dnie zlewu.

Niemal słyhać było westchnienia. Jakim cudem mógł jeszcze oddychać, gdzie znajdował miejsce na unoszącą się klatkę piersiową, nie wiem. Dopiero potem okazało się, że żebra nie wytrzymały naporu. Popękały jak zapałki.

– Panie...

Zajrzałem do zlewu. Opowiedziały mi przekrwione oczy, wybałuszone tak, że trzymały się chyba tylko na nerwie wzrokowym. Z nieprzyjemnym trzaskiem na powierzchnię wyjrzała głowa. Uszy musiały wytrzeć się po drodze, podobnie jak i futro, gdzieś z ran wyzierały mięśnie.

Szczur z trudem wydzwignął ciało z rury, ostatkiem sił kręcił się wkoło, zostawiając czerwone ślady na zaszlamionej emalii. Krystian wcisnął się pod zlew, byle dalej od tego widoku. Z kciukiem wciśniętym do ust wznowił urwane zawodzenie szczura.

Zwierzę jeszcze żyło. Dziwne, bo wyglądało jak kawałek mięsa naszpikowany wykałaczkami kości. Przerwałem te cierpienia jednym ruchem – kark pękł pod naporem palców.

– Krystian. – Spłukałem krew z dłoni. – Krystian!

Wielka głowa wyjrzała spod zlewu.

– Podaj mi, proszę, kosz na śmieci.

Truchło trafiło do resztek żarcia i plastikowych butelek; zawiązałem worek i wziąłem ze sobą. Koniec cudów na dziś, chłopcze.

– Dziękuję ci za pomoc, Krystian. Naprawdę doceniam twoje wysiłki.

– Ale i tak zostanie pan sam.

Nawet nie chciało mi się już wzdychać. Dziewczęta czekały na klatce, coraz bardziej zdenerwowane. Emilka wrzała w środku ze złości, małe piąstki zaciskały się i rozluźniały na połach szlafroka. Kaśka też przebierała palcami, którym do kompletu brakowało papierosa.

– To koniec. – Uniosłem nieznacznie torbę, modląc się, by nie przepuszczała krwi. – Rozwiązaliśmy z Krystianem problem.

– Pani zwariuje, pani oszaleje. – Krystian jak zawsze taktownie wyjechał ze swą gadką. – A pani – spojrzał na Emilkę, groteskowo ocierając z twarzy łzy i smarki – pani da się zwieść na pokuszenie.

Jej mina była bezcenna.

– Dostyc tego, wybaczenie, panie, ale Krystian lubi zachowywać się jak chińskie ciasteczko z wróżbą. Na nas już czas, dobranoc.

Wyciągnąłem dłoń ku Emilce, uścisnęła niechętnie, lekko, ale i tak dało się wyczuć pot zdenerwowania na skórze. Jeszcze sama do mnie przyjdiesz, mała.

– Dobranoc, pani Emilko. Do zobaczenia, Kaśka.

Za to ta dłoń była ciepła i ufna. Tak jak i uśmiech.

– Dzięki raz jeszcze.

Dopiero na dole przypomniałem sobie, że nie zmyłem dokładnie szurzej krwi ze zlewu. Cóż, trudno. Dzięki tej chwili zwłoki, echo przyniosło strzęp rozmowy przy zamykaniu drzwi.

– Widziałaś, Kaśka? Ten włóczęga był suchutki. Widziałaś jego buty? Jakby, cholera, chodził po wodzie!

Przecież mówiłem, Krystian. Bez cudów.

• • •

Bzy kwitły. Przyszedł maj, a z majem oficjalny koniec snu zimowego. Teraz nawet deszcz stawał się przyjemnością, a nie, jak kiedyś, zapowiedzią śniegu i minusowych temperatur. Na ulice wyszły dziewczęta w coraz krótszych spódnicach podwiewanych przez wiatr, który burzył też misternie układane fryzury, wirował warkoczami. Zacznie się okres godowy, nie tylko u kotów.

Ogród Starego rozbijał się na dobre i tylko wysokie ogrodzenie chroniło mnie przed najazdem bluszczy, pokrzyw i dzikich róż. Widywałem Tomasza tak jak zwykle, rankiem i po południu, śpieszącego się do klasztoru, gdy Stary symulował umieranie. Noce stały się szczególnie interesujące jeszcze z innego powodu.

Najpierw siadywała w oknie, łąziła po podwórku przed blokiem, niby bez celu, ot tak, spacer w bezsenną noc. Nieświadomie, bo choć oczy otwarte, to nic nie widziały. Jakże przerażona musiała budzić się rano! I trząść tą śliczną blond główką: Jezu, Jezu, skąd to igliwie w pościeli, dlaczego mam takie umorusane stopy, szaleję, szaleję, szaleję... Kaśce ani słowa, tylko uciekać w modlitwę, składać wypielęgnowane dłonie przed świętym obrazkiem i prosić: żadnego lunatykowania, żadnych snów, więcej zaufania, zaufania do samej siebie. No bo co zrobię, skoro nawet własnej głowie nie mogę wierzyć.

Modlitwy nie zostały wysłuchane. Emilka posuwała się w kuszeniu coraz dalej. Docierała do ulicy i przestępowała z nogi na

nogę, jakby gdzieś tam zachowały się resztki zdrowego rozsądku. No chodź, chodź do mnie, dziecińko, daj się zwieść na pokuszenie. Zachwyca cię zło, czyż nie?

W końcu podeszła do bramy.

• • •

Mniej więcej w tym samym czasie Kaśka weszła w kryzys wieku średniego.

Pamiętam pierwszy poranek, świeżo po deszczu, w kałużach wciąż zostały ślady Emilki – ćmy lecącej do ognia, a bez dusi! w powietrzu. Złapała mnie przy bramie, gdy szykowałem się do obiegnięcia osiedla.

– Cześć, Benedykcie. – Uśmiechnęła się z pewną dozą nieśmiałości, wciskając ręce w kieszenie krótkich szortów. Jakby się wstydziła tych swoich nóg, trochę zbyt nieforemnych, topornych, jakby ścięgnięta były zbyt sztywne na sprężysty ruch. I łydki, coś rozkosznego było w tych łydkach, ładnie wysklepione, ale cóż jak zbyt... pulchne.

– Cześć, Kaśka. – Zmierzyłem się wzrokiem ze złodziejem zapalniczek na jej T-shircie. – Czyżbyś chciała mi towarzyszyć?

– Chyba czas wziąć się za siebie. Mówiłeś kiedyś...

– Oczywiście. – Skłoniłem się dystyngowanie. – Zawsze jesteś mile widziana.

Straciła oddech przy zakładach farmaceutycznych, mniej więcej tam, gdzie Tomasz chciał wypluć płuca. Ale determinacja ludzka nie zna granic. Następnego dnia było lepiej. Z każdą kolejną trasą Kaśka nabierała kondycji i pewności siebie. Nawet polubiłem jej towarzystwo. Ja, ostatni samotnik tego padołu łez, cieszyłem się małymi sukcesami, gdy udało jej się przebiec całą trasę.

Rosła i ładniała przy mnie, mi!o było patrzeć, jak Kaśka przepoczwarzała się w Katarzynę.

Aż w końcu, któregoś dnia, powiedziałem, że jest piękna, przypieczętowując tym samym jej koniec.

• • •

– Spokojnie, zwolnij trochę.

– No wjeżdża mi pod same koła!

– Spokojnie, o tak, w porządku. Rowerzyści mają tę wkurzającą właściwość, że ciągnie ich na środek drogi. Kierunek, trójka, kierunek. I widzisz? Więcej wiary w siebie, Kaśka.

Zaciskała palce na kierownicy, aż pobiełały kłykcie. Wzrok uciekał jej do tylnego lusterka, w którym oddalał się wyminięty rowerzysta. Na szczęście jezdnia była praktycznie pusta, no bo i kto pchałby się nocą za miasto, na dodatek w deszczową pogodę. Poza samobójcami na rowerach, rzecz jasna.

Kaśka miała prawo jazdy, samochodu niestety nie, toteż zaoferowałem się ze swoim land roverem. Dość było narzekania co rano, że może, a nie jeździ, że niedługo zapomni. Więc posadziłem Kaśkę za kierownicą i wybraliśmy się na wycieczkę za Kraków. Tylko tam jeszcze widać gwiazdy.

Opanowałem chęć zaszczepienia w Kaśce tendencji do rozjeżdżania gołębi i jamników.

– Daleko jeszcze?

– Nie, ale idzie ci tak dobrze, że może pojedziemy do Zakopanego?

– Nie nabijaj się ze mnie – zachichotała, dając mi kuksańca, aż auto zgasło od tej beztroski. W sumie to zgasło jeszcze ze dwa razy, zanim dotarliśmy na miejsce, skąd widać było cały rozświetlony Kraków. A odwracając się plecami do neonów, miało się przed oczami gwiazdy.

– Pięknie tu.

– Pięknie, mała.

Siedzieliśmy na trawie, nie zważając na rosę. Ważne, że na chwilę niebo się rozchmurzyło, natomiast Kaśka wręcz przeciwnie. Zapaliłem papierosa, bo ostatnio głód nikotynowy dawał się we znaki. Za stary na to jestem, za stary.

Wyciągnęła rękę do paczki.

– Nie, moja panno. Skoro dbasz o kondycję, to i o zdrowie również. Koniec popalania, bo raka nie przekonasz swoją szczupłą sylwetką.

– I kto to mówi? – mruknęła, dalej walcząc o swoje, aż wylądowaliśmy na trawie. Na szczęście miałem o tyle długie ręce, że paczka i tak znalazła się poza jej zasięgiem.

Bezceremonialnie wyjęła mi papierosa z ust i zaciągnęła się pełną pierśią. Niemal widać było różnicę w spokojniejszych dłoniach, dość drżenia, dość przebierania palcami. Co ci się, mała, dzieje?

– Nie denerwuj się, Kaśka. – Usiadłem bliżej, czując subtelny zapach bzu, jaki osiadł na jej szyi. – Mam tak przeżarte płuca, że nawet pożar mi już nie zaszkodzi. A ty jesteś młoda. Szkoda by było... ale co się stało, mała? Tak naprawdę?

– Emilka.

– Co z nią?

– Dziwnie się ostatnio zachowuje.

Doskonale potrafię grać niewiniątko.

– Może to stres, w końcu idzie sesja.

– Wychodzi nocą. – Oczy Kaśki świeciły niezdrowym blaskiem, jakby paliła coś gorszego niż tytoń. – Słyszę, jak wychodzi z mieszkania.

Wytrzymałem to spojrzenie, powieka mi nie drgnęła, żaden mięsień mnie nie zdradził. Och, w ciągu lat wyćwiczyłem się w o wiele gorszych kłamstwach.

– Kaśka.

– Rano widuję, jak próbuje ukryć przede mną pościel. Brudną, całą w błocie i trawie.

– Lunatykuje?

Odwróciła twarz, gasząc peta w ziemi.

– Krzyczy w nocy. Albo... wzdycha. To jest okropne. Nie mogę znieść, jak ona...

Opanowałem uśmiech. To przyjemność, Kaśka, jęczy z przyjemności.

– Boję się o nią. Przecież to ja miałam oszaleć.

– Nie mów tak, mała. – Nie, nie będę cię obejmował ani ocierał załzawionych oczu, życie to życie, trzeba się przyzwyczaić do kopniaków w dupę. – Nie bierz sobie do serca tego, co pieprzy Krystian. Weź pod uwagę, że gołąb rozjechany na drodze przewyższa go inteligencją.

– Jak Kasandra.

– Co?

– Jest jak Kasandra. Nikt nie wierzy w to, co przepowiada.

Zapatrzyłem się w niebo. Na co komu wróżby? Mają przecież własne małe rozumki, a nadzwyczaj mały rozumek Krystiana zżarł o jedno jabłko za dużo.

– Więc sugerujesz, że zawsze będę sam?

To miał być żart, ale Kaśka nie była w nastroju. Uniosła rękę, opuściła ją przerażona własną śmiałością, aż się przemogła. Poczułem dotyk, palce prześlizgujące się przez zgrubienia blizn. Bez uderzył w nozdrza.

– Przez to? Daj spokój, jesteś za dobry, by być sam.

Aż mi się chciało śmiać. Dobry to ja mogę być w łóżku, skarbie, nic więcej.

– Jak to się stało?

Odwrociłem twarz, tak by światło księżyca wyprowadziło z cienia wszystkie niedoskonałości. Wiem, jak wygląda moja skóra, tak długo gapiłem się w lustro, aż w pamięć wryła się każda bruzda i przebarwienie. Jak labirynt bez wyjścia.

– Przede wszystkim boleśnie, moja droga. – Wzruszyłem ramionami. Tyle razy opowiadałem tę historię, że sam już nie wiem, co jest prawdą, a co zostało nadbudowane. – Kiedyś byłem piękny i młody, aż się trochę w tym narcyzmie zagubiłem. I ojciec pokazał, co o tym myśli.

Zamrugła z niezrozumieniem, chwilę zajęło jej przetrwanie tego zdania.

– Chcesz powiedzieć, że zrobił ci to własny ojciec?

– Bo byłem zbyt dumny. Zresztą, pycha to mój ulubiony grzech.

– Mam nadzieję, że smaży się za to w piekle.

Zaśmiałem się.

– O tak, mała. W piekle dużo gorszym niż ja. Ale nie winię go tak bardzo. Wiesz, ogień uszlachetnia.

– Jasne – mruknęła, otaczając ramionami kolana. – Wiesz, co mówią księża do bezdomnych? Że cierpienie uszlachetnia. Zabawne. Emilka raz mało mi głowy nie urwała za takie komentarze. Ale wiesz co?

– Co?

– Jeszcze jedno. – Kaśka oparła brodę o ramię, patrząc na neony Krakowa. – Emilka mówi przez sen. Wzywa kogoś. Ale nigdy nie używa imion.

Bo ja mam wiele imion, dziecinko. Legion wręcz.

– Mam wrażenie, że wzywa ciebie. – Spojrzała mi w oczy ze strachem, o Emilkę, o siebie, jakby gdzieś tam podejrzewała, że ten sen jest zbyt piękny, jak na rzeczywistość. Że może wcale nie jestem tym, za kogo mnie miała.

– Kaśka.

– Tak?

– Jesteś piękna.

• • •

Nic nie wskazywało, że ta noc będzie tak wyjątkowa. Zaczniemy od deszczu, który zaczął padać wieczorem, oczyszczając parne powietrze; nareszcie można było odetchnąć pełną piersią. Woda spłukała liście pokryte pyłem z drogi, rozpuściła pyłki w kwiatach, uwalniając odurzający zapach. Przez otwarte okno czułem bzy tak, jakbym miał je przed nosem.

Wigilijny był niespokojny. Szczekanie mieszało się z odgłosem łamanych gałęzi, urywanych liści i deptanych kwiatów, gdy przedzierał się w kółko przez ogród. Tomasz został na noc. W pokoju

obok sypialni Starego paliło się światło. Czuwajcie, bo nie znacie dnia ani godziny.

Do zwykłych odgłosów nocy dołączył nowy, który brzmiał gdzieś pomiędzy szumem liści i tarciem pędów pnących się po ogrodzeniu. Kroki na ulicy, nagie stopy burzące taflę kałuż, ścierające skórę o asfalt, a potem dłonie zaciskające się na prętach mojej furtki. Tak mocno, że aż trzeszcza kłykcie.

Powoli, bez pośpiechu odłożyłem O’Neilla i zszedłem na dół. Na dźwięk otwieranych drzwi frontowych Emilka zadrżała, zacisnęła nogi. Pod koszulkę nocną wciskał się wiatr. Nie jestem aż tak okrutny, by dać jej marznąć. Otworzyłem bramkę.

Ufnie zacisnęła pięść w mojej pięści i dała się poprowadzić do domu. W niebieskich oczach oprócz blasku księżycy odbijała się świadomość. Przyznaj, mała, zło jest o wiele bardziej zachwycające niż ci się wydawało.

W oknie sąsiada zafalowały zazdrostki. Nie patrz, Tomasz, nie patrz, bo potem nie poradzisz sobie z wyrzutami sumienia.

Emilka pachniała deszczem, pachniała jak kobieta, która wie, czego chce, wchodząc do mego domu.

Tak, mała, dałaś się zwieść. Zwieść na pokuszenie. Ostatni raz w twoim życiu.

• • •

Jestem stary. I kryzys wieku średniego to przy tym nic. Nie tak to sobie wyobrażałeś, prawda? Nie tak miało być. Nic już nie cieszy, nic nie rusza. Widziałem już wszystko, wszystko przeżyłem. Ze skrajności w skrajność, niemal zapomniałem, jak to się zaczęło, ile siły miałem na początku. A teraz? Teraz już mi nie zależy. Bo przecież nic się nie zmienia.

Czasem wolałbym nie wiedzieć tego, co wiem.

Fotel jest rozkosznie miękki, nic tylko dać się wciągnąć w sen, oprzeć głowę i nie otwierać więcej oczu, ale nie, tak dobrze to nie ma. Każdy, nawet najcichszy dźwięk wprawia w rezonans błonę

bębenkową. Nie zasnę, bo powietrze z trzaskiem trze o drogi oddechowe, bo nawet trawa za oknem rośnie za głośno. Co gorsza, to rozleniwienie po nocy z kobietą, które tak lubię, przegrywa z hałasem. Bo papieros żarzy się, dudniąc jak młot pneumatyczny.

A tam na parterze krew wypływa z otwartych żył jak strumień, skapuje na parkiet z siłą wodospadu. Każda kropla łupie w skroniach, znak, że idzie migrena. Że idzie Kaśka.

Och, jakie to romantyczne. Zbudziła się w nocy, kto wie, może przez Krystiana, który próbował znów sforsować ogrodzenie Starego, a może dlatego, że tym razem mu się udało. Otwiera oczy, a łóżko Emilki puste. Altruizm zaprowadzi gatunek ludzki do grobu. Zamiast zostać w bezpiecznej pościeli, Kaśka szybko się ubiera i wybiega z mieszkania. Podwórko jest puste, żadnych śladów poza tymi, jakie Emilka zostawiła na powierzchni kałuż.

Dlaczego przyszedł do mnie po pomoc?, myślę, wstając z fotela. Narzucam szlafrok na nagie ciało, na podłogę spada pusta paczka papierosów. Po pomoc? Intuicja jeszcze ci nie powiedziała, że mój dom to ostatnie miejsce, które można uznać za bezpieczne?

Gdzie masz instynkt samozachowawczy? Uchylona bramka powinna zbudzić twoje podejrzenia. I Wigilijny. Czy ktokolwiek widział tego psa w takim stanie? No? Czyż nie tak wygląda przerażenie? Mijasz kundla wciśniętego w drzwi wejściowe, który jest tylko o krok od wycia ze strachu. Ba, mijasz nawet Krystiana, który wpatruje się w jabłoń i nie wierzy we własne szczęście. Oto owoce są na wyciągnięcie ręki, skoro Wielki Wigilijny drży histerycznie na wycieracze, robiąc pod siebie.

O nie, Kaśka, ty włączysz do mojego ogrodu, a Emilka ciągnie nas oboje: z sypialni, ze schodów – ze ścieżki, przez drzwi. Spotykamy się w kuchni we trójkę. Mam tak wyczulone uszy, że od twojego wrzasku mało nie pękną mi bębenki. Emilki to nie rusza. Emilki to już nic nie ruszy poza robactwem.

Nie ma głowy. Albo nie, to nie to. Głowę po prostu skrywa cień kuchennego stołu, a krew nie pochodzi z rozprutego gardła. Któżby

pomyślał, że w żyłach może znajdować się jej tak dużo?

Emilka wita Kaśkę rozrzuconymi nogami ułożonymi pod dziwnym kątem. Normalnie pewnie pękłyby jej ścięgna, rozjechały się stawy, a zresztą może i tak jest. Za wcześnie, by coś zobaczyć; naga skóra wydaje się jeszcze ciepła, jakby Emilka wyskoczyła z czerwonej kąpieli i po prostu poślizgnęła się na kafelkach.

Emilka, mała lwica dziewica, a nawet szczególnie się nie broniła.

Kaśka ma problem ze zorientowaniem się w sytuacji, wodzi błędnym wzrokiem od nagiego ciała do mnie. Czyżby tak miała spełnić się przepowiednia Krystiana? Nie, za proste.

– Ty...

Kiwam głową.

– To ty...

– To zawsze ja. – Opieram się ramieniem o framugę, rak w płucach żąda papierosa.

– Ty jesteś...

– Jestem. Ba, jestem, który jestem. I to wystarczy.

Przepraszam, Kaśka, że ci spieprzyłem tę noc i wszystkie kolejne. Bywa. Nie dziwię się, że twarz wygina ci grymas ni to płaczu, ni krzyku, płuca nie bardzo wiedzą, jak sobie z tym poradzić. Tylko nie patrz z wyrzutem, nie tymi wielkimi, dziecinnymi oczami, bo skoro zaczyna mnie to ruszać, to jest źle. Gorzej niż starość.

Kaśka szuka oparcia w ścianie i wychodzi. W sumie to nawet wybiega, nogi plączą jej się w drodze na podwórko. Specjalnie nie zamykałem tego wieczoru auta, a kluczyki w stacyjce to też nie przypadek. Cóż, wyjdę na drogę, popatrzę. Wszyscy się tam spotkamy, nasza mała osiedlowa droga krzyżowa.

Kaśka od zawsze miała problem z cofaniem, wbity do oporu pedał gazu wyrzuca samochód na bramę. Stalowe ogrodzenie wytrzymało pierwszy atak, przy drugim zaczyna wyginać się zamek, potem metal pęka, odblokowując wyjazd. Mniej więcej w tym samym czasie Krystian zrywa owoc jabłoni. Bez gromów, huraganów i grzmotów. Nic, cisza, świat się nie skończył. Wielka

głowa wie, że nie ma co się podniecać zwycięstwem, tylko wiać, bo zawsze Wigilijnemu może wrócić rozum. Bo w domu Starego słyhać kroki, jakby Tomasz wyszedł sprawdzić, co też wyrabiam z bramą po nocach.

Adrenalina dodaje Krystianowi skrzydeł i pomaga sforsować ogrodzenie bez przeszkód. Te pojawiają się potem. A ściślej to jedna.

Cóż, powinno go chyba było podrzucić, ba, może nawet nadzieć na pręty w płocie. Jakimś cudem Krystiana przywaliło do drogi i zniknęło pod kołami. Dziwny towarzyszył temu dźwięk, skojarzył mi się z owocami rozgniatanymi blenderem. Ciekawe, z czym skojarzył się Kaśce, skoro natychmiast wcisnęła hamulec. Może myślała, że to Krystianowi pomoże. Nie wyszło. Zablokowane koła zabuksowały w rozdrobnionych tkankach.

Tak oto Krystian pożegnał się tej nocy ze światem. Z ukochanym jabłkiem w dłoni, które tak jak głowa rozprysło się na milion kawałków. Szkoda cię, dzieciaku. Was obojga.

Co się działo w głowie Kaśki, nie wiem. Może więcej szczęścia miał Tomasz, bo stojąc skamieniały przy bramce, musiał widzieć jej twarz.

I zastygliśmy tak: ja, Tomasz, Kaśka, Krystian, nawet Szymek wyglądający z okna swego pokoju. Wspaniała scenka rodzajowa.

Niemal czułem, jak trybiki w głowie Kaśki pracują, jak trą koła zębate, by ułożyć wszystkie elementy układanki w całość. Na pewno kierował nią szok, co jest raczej normalne w takiej sytuacji. Od czego się to wszystko zaczęło? Od zsypu. I Krystiana. No właśnie, wielka głowa straszyla w śmieciach przepowiedniami z chińskich ciasteczek. Tak, przepowiednie. Całe zło skryzalizowało się Kaśce wokół Krystiana, tego samego Krystiana, nad którym miała teraz władzę. I skorzystała.

Zaterkotał wbijany niewprawną ręką bieg, jak się później okazało był to wsteczny. Auto przejechało po Krystianie, z trudem cofając na wzniesieniu powstałym z ciała. I do przodu. I do tyłu. I do przodu. Kaśka chyba krzyczała albo i płakała, nie słuchołem,

opierałem się tylko ramieniem o ogrodzenie, patrząc na Tomasza. Ten chyba miał trudności z ogarnięciem całej sytuacji.

Przód, tył, z coraz cichszym mlaśnięciem, aż wzniesienie się wyrównało. Niemal jak z tym gołębiem rozjechanym na drodze. No mistrzu, wyratuj się z tego, jak wyratowywałeś innych. Ale nie. Cóż, nie wypada się śmiać.

Kaśka w końcu stanęła, głowa bezradnie opadła na kierownicę. I prawie był koniec. Prawie, bo czekaliśmy na jedno. Ba, najważniejsze.

Wigilijny kwiknął na schodach, po czym stoczył się bez kontroli na chodnik. Uzębiony pysk uniósł się do księżycy i uwolnił najsmutniejsze wycie, jakie kiedykolwiek słyszałem. Aż zawibrowały szyby.

Wszyscy zwróciliśmy głowy ku psu, miałem wrażenie, że zaraz zatrzęsie się ziemia. Ale nie. To tylko Wigilijny wył z całych płuc, bez oddechu, bez przerwy, jakby chciał się w tym swoim smutku wyrzucić na lewą stronę. Może powinienem zapłakać? Wszak zostałem osierocony do szczytu. Niestety, za późno. Gruczoły łzowe wyschły mi już wieki temu.

I wtedy coś pękło w jabłoni, owoce przygasty, liście opadły jak zwiędłe niemal w jednej sekundzie. Jakby ktoś podciął drzewu korzenie. Widziałem jabłko na najwyższej gałęzi, wiatr nim zakołysał, zachwiał. I zerwał.

Spadło w wysokie pokrzywy.

Dopiero teraz Tomasz zrozumiał, co się stało. Dopiero, gdy Wigilijny zamilkł, a cisza, jaka pozostała, wybrzmiała jeszcze głośniej niż wycie. Trzasnęła bramka, trzasnęły drzwi domu, gdy zakonnik biegł do swego podopiecznego. Za późno, mój drogi, za późno. Już wiem, co się stało.

Stary umarł.

•••

– Przyjedzie policja.

Kaśka ma głos bezbarwny, powieka ani drgnie przy jakimkolwiek słowie, podejrzewam, że tym samym tonem poinformowałaby o zamachu terrorystycznym czy wygranej w totka, żadnych emocji. Czyżby tak zaczynało się szaleństwo? Płaską linią na audiogramie?

Wstaje dzień, Oficerskie jeszcze pokrywa mgła, ale opada coraz niżej, teraz tylko płącze się pod nogami, zakrywając czerwoną plamę na drodze. Ale to interesuje nas już mniej. Stoimy przed bramą Starego. Wigilijny nie reaguje i tak mu już chyba zostanie. Leży z otwartymi oczami nieruchomo jak trup.

Zdechł pies, rozkazał Stary.

Ale to Starego już nie ma. Gdzieś tam, wśród korytarzy opuszczonego domu czuwa Tomasz. Aż się wzdrygnąłem. Pewnie z zimna, nie z tej całej samotności, o której trąbił Krystian. Niestrzeżona jabłoń kusi jak zawsze. Tyle że tym razem silna wola tej małej też ugięła się wraz z pierwszą rundką, która rozłupała wielką głowę.

Ciężko było to pozbierać, śladów krwi i tkanki nie spiorę z ubrań, podejrzewam, że jeszcze długo na ulicy będzie można rozpoznać czerwone kontury postaci. Auta też się pozbyłem, na wszelki wypadek. Bo policja przyjedzie. W sumie, to nie problem, niech przyjadą, wszak już obalało się cywilizacje i wywracało ekonomie. Co mi robi parka psów?

Tylko Kaśki szkoda, za młoda na męczennicę.

– To wszystko wina drzewa – mówi, przestępując z nogi na nogę. Wydoroślała przez te godziny szybciej niż przez połowę studiów. –

Mówiłeś wtedy prawdę? Że otworzą nam się oczy, że będziemy jak Stary, znający dobro i zło?

– Tak, mówiłem prawdę. Ale to było bardzo dawno temu. Tylko tyle zostało z rajy. – Wskazałem na jabłka, coraz mniej ich wisiało na gałęziach, reszty trzeba by szukać w wysokich pokrzywach.

– Krystianowi udało się je zerwać?

– Udało. I widzisz, do czego to prowadzi, do szaleństwa. Człowiek ma za mały rozumek, żeby ogarnąć te otwarte oczy i to całe

poznanie. Czasem lepiej nie wiedzieć.

– Och, starzejesz się, mój drogi, bo w tym kuszeniu jesteś coraz mniej przekonujący. – Zaśmiała się Kaśka jakoś tak inaczej niż zwykle, pewniej. Jak kobieta, jak Emilka kładąca się ufnie na łożku.

Dłoń Kaśki była zimna niczym lód, czułem ostro zakończone kości palców i śródreżca, jakby wcale nie było tam tkanki. Żywy trup, ta moja dziewczyna.

Uchyliłem bramkę prowadząca do ogrodu Starego. Wigilijny nawet nie ruszył ogonem, ba – nie mrugnął nawet; tak chyba wygląda katatonia. Kaśka dała się prowadzić do samego drzewa. Nagle całe Oficerskie stanęło w miejscu, tylko powietrze przesuwało się przez nas, kręciło zapachami. Taki spokój. A myślałem, że po śmierci Starego zatrząsie się ziemia, polecą błyskawice, wystrzelą wulkany. A tu tylko spokój, chyba tak wygląda ta straszna samotność. Tylko spokój.

Kaśka wyciąga rękę, kościste palce zaciskają się na czerwonym owocu, paznokcie przebijają skórę, aż cieknie sok. Gałąź ugina się pod naporem, trzeszczy, ale Kaśka jest silniejsza.

Podaje mi owoc. Śmieję się.

– Chcesz, bym sprawdził, czy aby nie zatrute?

Wzrusza ramionami, czuję, jak wzmacnia uścisk w mojej dłoni, teraz to już pięść w pięści.

– Tobie nie zaszkodzi, prawda? Wiesz już wszystko.

– Czasem wolałbym nie wiedzieć więcej od ciebie, mała. Ale tylko czasem. Bo jestem niewyobrażalnie egoistyczny. Pycha to mój ulubiony grzech.

– Dlatego cię strącił.

Drga mi lewy policzek, gdy gryzę jabłko, sok cieknie po bliźnie.

– Strącił mnie w ogień, ten niedobry tato, a przecież udałem mu się tak dobrze. Nie tak, jak Krystian.

Teraz to ja wyciągam w jej stronę owoc.

– Stanę się taka? Będę wariatką z wodogłowiec? – Waży jabłko w dłoni.

- Wariatką na pewno, mała.
- Nikt tu już nie jest normalny.

Wbija zęby w czerwoną skórę, rozpryskują się kropelki soku, gdy próbuje rozgryźć wielki kawałek. Jej dłoń wiotczeje, ogryzek upada w pokrzywy.

Patrzy na mnie. I otworzyły się jej oczy.
Żegnaj, mała.

Ten szalony wrzask rezonuje w bębenkach.

• • •

- Panie Szejtanowicz.
- Tomaszu Niewierny.

Zakonnik staje obok z rękami wbitymi w kieszenie. Jest w cywilu, jakby śmierć Starego zakończyła służbę na tym osiedlu.

- Kiedy pogrzeb?

Chichocze, nie odmawia, gdy częstuję papierosem.

- Psa czy Starego?
- I tak bym nie przyszedł.

Teraz śmiejemy się obaj, ale u mnie to tylko pusty dźwięk, bo nastrój mam raczej cmentarny. Zapalniczka w kieszeni aż parzy w palce przez to, czego musi dokonać. No, ale tak będzie lepiej dla wszystkich. Ogień oczyszcza, mówię to z własnego doświadczenia, Kaśka.

- Nietzsche byłby szczęśliwy, wiedząc, że miał rację.
- Nie ma już Nietzschego, panie Szejtanowicz. Trochę się pośpieszył z tą swoją wizją.

Stoimy tak, patrząc na zsymp, a Tomasz chyba domyśla się dalszego rozwoju wypadków.

- Czy ona jest jak Krystian? – pyta, niedbale wskazując na uśpione ciało Kaśki gdzieś tam w śmieciach.
- Czyżby sprzedała ci przepowiednię?
- Tak i nie wiem, czy wierzyć.
- Tomaszu Niewierny, sam sobie odpowiedz.

Znowu chichocze, co jest z tym facetem? Dlaczego nie spazmuje, nie płacze, nie rwie włosów z głowy, skoro wszystko, czemu poświęcił życie okazało się trupem Starca. Bez cudów. Bez fajerwerków.

– Myślałem już, że się starzejesz, ale cięty język wciąż ten sam. Jak przy kuszeniu na pustyni?

– Ja się starzeję? A po czym to wnioskujesz?

– Miłosierdzie, panie Szejtanowicz. – Zakonnik dusi peta obcasem, bez skrępowania wyciąga rękę po kolejnego papierosa, więc stres jeszcze w nim nie umarł. – Wszędzie się wciśnie, prawda? Wiem, co chcesz zrobić. Nie zadzwonię po straż pożarną, udam, że nie czuję dymu, nie widzę płonącego zsypu, ba – w ogóle mnie tu przecież nie ma. Chcesz jej oszczędzić losu Krystiana i to się chwali. Szkoda, żeby gwałcili ją bezdomni. Zresztą tam już nie ma tej studentki. Jest wariatka.

– Przejrzałeś mnie, chłopcze.

– Żebyś wiedział, jak przekonujący jestem w konfesjonale.

Obracam zapalniczkę w dłoniach.

– I co ty teraz zrobisz, Tomaszu, skoro twoja religia upadła? Twój bóg umarł, nie ma w kogo wierzyć, poza mną. Tylko ja się ostałem.

– I tu się różnimy. – Zakonnik wbija ręce w kieszenie, będzie odchodził, zostawi mnie samego z tym zadaniem. Na koszt mojego sumienia. – Właśnie teraz zacznie się prawdziwa wiara. Zresztą Krystian nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Dajmy mu trzy dni.

I zostaję sam. Zapalniczka daje przyjemny płomień, ociepla w tę chłodną noc.

Ogień oczyszcza. Żegnaj, mała.

F. Paul Wilson (ur. 1946) – amerykański pisarz horrorów, thrillerów i powieści science fiction. Jego książki: *Wheels within wheels* oraz *Sims* zdobyły Prometheus Award. Wilson jest również laureatem nagrody Brama Stokera za opowiadanie *Aftershock*. Bestsellerowa, również w Polsce, powieść *Twierdza* została zekranizowana przez Paramount Pictures. Reżyserem i scenarzystą filmu był Michael Mann. W chwili obecnej najbardziej rozpoznawalna w twórczości pisarza jest seria *Repairman Jack*, której do tej pory w USA ukazało się czternaście tomów, a jej fanami są między innymi: Stephen King i Dean R. Koontz.

F. Paul Wilson

Rozpruwacz

To opowiadanie jest dla Joe'a Landsdale'a.

Jego powieść *Lipcowy mróz* podobała mi się tak bardzo, że zacerpnałem z niej jeden element fabuły – pomysł trzymania mordercy w areszcie ochronnym z powodu tego, że jest świadkiem w ważnej sprawie – i oparłem na nim resztę historii. *Slasher* to pokręcone opowiadanko, w którym nie ma nawet śladu sił nadprzyrodzonych. Taka historia idealnie nadająca się, żeby zadedykować ją Joemu Landsdale'owi.

• • •

Zachowałem furię.

Rozpacz pozwoliłem im pochować z Jessicą. Otulała ją w trumnie, służyła za poślanie i poduszkę, na której Jessica oparła głowę. Zostanie tam, by chronić ją przed zimnem, wilgocią, robakiem zdobywcą.

Ale furię zachowałem. Karmiłem ją. Ostrzyłem, dopóki nie stała się czysta, twarda i ostra. Dostatecznie ostra, by pewnego dnia przeciąć mrok pokrywający moją duszę.

Martha stała po drugiej stronie grobu wspierana przez matkę, ojca i dwóch braci – dziadków i wujków Jessie. Ja stałem sam po swojej stronie. Przyszło kilku kolegów z pracy, stali z tyłu, ale tak naprawdę nie byli tam ze mną. Byłem sam w każdym możliwym znaczeniu tego słowa.

Wbijalem wzrok w maleńką trumnę, która pozostała zamknięta podczas czuwania i mszy z powodu okaleczeń ciała spoczywającego w niej. Patrzyłem, jak powoli znika pod powiększającą się mieszaniną kolorów, gdy szlochający żałobnicy po kolei rzucali na nią kwiaty. Jessica, moja Jessica. Miała dopiero pięć lat i wypruł jej flaki jakiś plugawy, parszywy, śmierdzący, zawszony...

– Drań!

Chrapliwy głos sprawił, że oderwałem spojrzenie od trumny. Znałem ten głos. Och, jak dobrze znałem ten głos. Podniosłem głowę i napotkałem przepętniony nienawiścią wzrok Marthy. Jej twarz była blada i ściągnięta, policzki czarne od eyelinera, który spłynął razem ze łzami. Blond włosy zasłaniał czarny kapelusz i woalka.

– To twoja wina! Nie żyje przez ciebie! Była u ciebie tylko co drugi weekend i mimo to nie mogłeś poświęcić jej dość uwagi! To ty powinieneś tam leżeć!

– Spokojnie, Martha – powiedział cicho jeden z jej braci. – Tylko jeszcze bardziej się zdenerwujesz.

Ale widziałem to też w jego oczach – w oczach wszystkich. Wszyscy się z nią zgadzali. Nawet ja się z nią zgadzałem.

– Nie! – krzyknęła, odtrącając dłoń brata i wskazując na mnie. – Byłeś beznadziejnym mężem i jeszcze gorszym ojcem. A teraz Jessie nie żyje przez ciebie! Przez ciebie!

Zniosła się niekontrolowanym szlochem i została odprowadzona przez rodziców i braci. W zażenowaniu reszta żałobników zaczęła się rozchodzić, zostawiając mnie samego z moją martwą Jessie. Samego z moją furją. Samego z moją winą.

Nie byłem najlepszym ojcem na świecie. Ale kto potrafi nim być? Albo nie dajesz im dość miłości, albo przesadnie je rozpieszczasz. Nie możesz wygrać. Przyznaję jednak, że zbyt wiele razy coś wydawało mi się ważniejsze, niż bycie z Jessie, jakaś umowa, jakiś rachunek, który wymagał natychmiastowej uwagi, więc Jessie mogła poczekać. Później jej to wynagrodzę – tak brzmiała obietnica.

Nadrobię to za tydzień. Ale nie będzie żadnego później. Żadnych kolejnych tygodni dla Jessiki Santos. Nie będzie żadnego nadrabiania uścisków, zabaw i zapewnień o miłości.

Gdyby tylko...

Gdybym tylko nie zostawił jej samej przy krawężniku, żeby kupić te przeklęte lody.

Oglądaliśmy fajerwerki z okazji Czwartego Lipca na nadbrzeżnej promenadzie. Jessie była podekscytowana i zafascynowana jasnymi światłami rozbłyskującymi i wybuchającymi na niebie. Chciała lody, a ja – rozwiedziony tata, który niezbyt często widuje swoje dziecko – nie potrafiłem odmówić. Zaprowadziłem ją więc do wózka z lodami niedaleko wejścia do Crosby's Marina. Z końca kolejki nie widziała fajerwerków, więc pozwoliłem jej stanąć przy krawężniku, gdy ja czekałem na lody. Patrzyła w niebo, a ja patrzyłem na nią przez cały czas, gdy stałem w kolejce. Nie martwiłem się, że ktoś ją porwie – taka myśl nigdy nie zaświtała mi w głowie. Nie chciałem tylko, żeby weszła na ulicę, chcąc mieć lepszy widok. Spuściłem ją z oka jedynie, gdy składałem zamówienie i płaciłem sprzedawcy.

Kiedy się odwróciłem z lodami w obu dłoniach, Jessie zniknęła.

Nikt nic nie widział. Przez dwa dni policja i horda ochotników przeczesała całe Monroe i większość północnej części hrabstwa Nassau. Znaleźli ją – to co z niej zostało – na skraju bagna starego Haskinsa.

Cały czas trwa obława na mordercę, ale z każdym mijającym dniem trop staje się coraz zimniejszy.

I teraz stałem przy grobie mojej Jessiki w nieprzyzwoicie jasnym słońcu, pocąc się w czarnym garniturze, rozpamiętywałem swoją winę i pielęgnowałem nienawiść, modląc się o dzień, w którym złapią to ścierwo, które wypruło flaki mojej Jessice. Powtórzyłem złożoną już wcześniej przysięgę – typ nie doczeka procesu. Znajdę sposób, żeby się do niego dostać, kiedy wyjdzie za kaucją albo nawet gdy będzie siedział w więzieniu, jeśli będzie taka potrzeba,

i zrobię mu to samo, co on zrobił mojej Jessice. A potem niech spróbują znaleźć sędziego, który mnie skaże.

Po tym, jak wszyscy inni już sobie poszli, po raz ostatni pożegnałem się z Jessie. Chciałem jej postawić ogromny posąg anioła, ale Wysokie Dęby nie zezwalały na tego typu rzeczy. Musi jej wystarczyć mała płyta. To nie w porządku.

Gdy odwróciłem się, by odejść, zauważyłem mężczyznę opierającego się o drzewo jakieś trzydzieści metrów dalej. Obserwował mnie. Zacząłem schodzić po trawiastym zboczu, a on poszedł za mną. Nasze drogi spotkały się przy moim samochodzie.

– Pan Santos? – zapytał.

Spojrzałem na niego. Był sporym mężczyzną, co najmniej sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, czterdzieści kilka lat, ze sto dziesięć kilogramów, większość wokół talii. Miał na sobie białą koszulę i wymiętoszony, szary garnitur. Przerzedzone, brązowe włosy były wilgotne od potu. Patrzyłem na niego, ale się nie odezwałem. Jeśli to kolejny reporter...

– Gerald Caskie, FBI. Możemy chwilę porozmawiać?

– Znaleźliście go? – powiedziałem, zamierając w oczekiwaniu. Podszedłem bliżej i złapałem go za marynarkę. – Macie go?

Wyszarpnął marynarkę z moich zaciśniętych pięści.

– Możemy porozmawiać w moim samochodzie. Tam jest chłodniej.

Poszedłem za nim jakieś czterdzieści pięć metrów krętą asfaltową ścieżką do miejsca, gdzie w cieniu jednego z gigantycznych cmentarnych drzew stał nierzucający się w oczy dwudrzwiowy ford sedan. Silnik był włączony. Caskie wskazał siedzenie pasażera. Usiadłem. Klimatyzacja była rozkręcona na maksa. Można było zamarznąć.

– Tak lepiej – stwierdził, przestawiając jeden z wywietrzników, żeby dmuchał mu prosto w twarz.

– W porządku – powiedziałem, nie mogąc dłużej powstrzymać zniecierpliwienia. – Jesteśmy w samochodzie. Niech pan mówi:

macie go?

Popatrzył na mnie brązowymi oczami basseta.

– To, co panu powiem, jest do pana prywatnej wiadomości, rozumiemy się?

– Co pan...?

– Rozumiemy się? Nie wolno panu nigdy ujawnić tego, co teraz powiem. Obieca mi pan, że ta informacja nigdy nie opuści tego samochodu?

– Nie. Najpierw muszę wiedzieć, o co chodzi.

Poprawił się na fotelu i wrzucił bieg.

– Nie ma mowy. Odwiozę pana do samochodu.

– Nie, proszę poczekać. W porządku. Obiecuję. Ale dość już tych gier.

Z powrotem wrzucił luz.

– To nie gra, panie Santos. Mogę stracić pracę, mogą nawet wnieść przeciwko mnie zarzuty karne za to, co panu powiem. A jeśli puści pan farbę, zaprzeczę, że kiedykolwiek się spotkaliśmy.

– O co chodzi, do diabła?

– Wiemy, kto zabił pańską córkę.

Te słowa były jak cios w brzuch. Zrobiło mi się aż niedobrze z ulgi.

– Macie go? Aresztowaliście go?

– Nie. I nie zrobimy tego. Nie przez jakiś czas.

Chwilę zajęło, zanim ta informacja do mnie dotarła, prawdopodobnie dlatego, że mój umysł nie chciał jej zaakceptować. Ale kiedy to nastąpiło, byłem gotowy rzucić się facetowi do gardła. Jednak powstrzymałem wściekłość. Nie chciałem odpowiadać za pobicie agenta federalnego. Przynajmniej jeszcze nie.

– Lepiej niech pan to wytłumaczy – powiedziałem głosem odrobinę głośniejszym niż szept.

– Morderca jest obecnie chronionym świadkiem w niezmiernie ważnym procesie federalnym. Nie można go tknąć, dopóki nie zostaną złożone wszystkie zeznania i nie zapadnie wyrok skazujący.

– Dlaczego nie, do cholery? Śmierć mojej córki nie ma nic wspólnego z waszym procesem!

– Morderca to psychol, to oczywiste. Proszę pomyśleć, jak oskarżenie o zabicie dziecka wpłynie na zeznania. Przysięgli je odrzucają. Musimy poczekać.

– Jak długo?

– Mniej niż rok, jeśli przegramy sprawę. Jeśli uzyskamy wyrok skazujący, będziemy musieli przeczekać apelacje. To potrwa z pięć lat, może dłużej.

W samochodzie było zimno, ale poczułem, jak przejmuję mnie inny rodzaj chłodu.

– Kto to jest?

– Nie ma mowy. Nie mogę panu powiedzieć.

Nie mogłem się powstrzymać, rzuciłem mu się do gardła.

– Mów, do cholery!

Odepchnął mnie. Był ode mnie sporo potężniejszy – jestem tylko księgowym wagi koguciej, niecałe pięćdziesiąt pięć kilogramów.

– Łapy precz, Santos! Nie ma mowy, żebym podał ci nazwisko. Za kilka godzin będzie we wszystkich gazetach.

Zgarbiłem się. Zapadłem w sobie. Odwróciłem się i przycisnąłem czoło do zimnej szyby. Myślałem, że zacznę płakać, ale nie. Wszystkie moje łzy wylałem nad Jessie.

– Dlaczego pan mi to wszystko mówi, skoro nie poda mi pan nazwiska?

– Ponieważ wiem, że pan cierpi – powiedział łagodnym głosem. – Widziałem w telewizji, co pan zrobił temu reporterowi.

Jasne. Ten reporter. Mel Padner. Mój powód do chwały. Kiedy wyszedłem z kostnicy po zidentyfikowaniu pokiereszowanego ciała Jessiki, zostałem powitany przez tłum kamer i reporterów. Większość zachowywała przyzwoity dystans, ale nie Padner. Podsunął mi pod nos mikrofon i zapytał, co czuję w związku ze śmiercią córki. Zanim mnie od niego odciągnęli, wepchnąłem mu ten mikrofon prawie do gardła. Jego stacja nie puściła tego

nagrania, ale wszystkie pozostałe tak, w tym CNN. Wciąż dostawałem listy i telegramy, w których ludzie pisali, że powinienem był wsadzić mu ten mikrofon w tyłek.

– I to ma mi poprawić nastrój? – zapytałem Caskiego.

– Wydawało mi się, że tak. Ponieważ w innym wypadku mijałyby tygodnie, a potem miesiące bez odnalezienia mordercy, a pan pogrążałby się w coraz głębszej depresji. Wiem, że ze mną by tak było. Sam mam córkę i gdyby spotkało ją coś podobnego do... no, gdyby spotkało ją coś złego, tak właśnie bym się czuł. Pomyślałem, że to zapewni panu trochę spokoju ducha. Że będzie pan w stanie jakoś lepiej to znieść, wiedząc, że w pewnym sensie mamy już mordercę pod kluczem i że, mówię to jak jeden ojciec drugiemu, sprawiedliwości stanie się zadość.

Popatrzyłem na niego. To chyba wiele mówi o naszych czasach, że przyzwoitość kogoś obcego tak nas szokuje.

– Dzięki – powiedziałem. – Może to faktycznie pomoże, później, kiedy już będę miał szansę to przemyśleć. Teraz myślę tylko o tym, że chciałbym wziąć największy, najostrzejszy nóż do mięsa, jaki uda mi się znaleźć, i pokroić tego typu jak hamburgera.

Podniósł prawą rękę zaciśniętą w pięść i kciukiem wyciągniętym w górę.

– Doskonale to rozumiem, panie Santos.

– Proszę mi mówić Pete.

– Gerry. I gdyby rząd tak ogromnie nie potrzebował tych zeznań, może kusiłoby mnie, żeby samemu się tym zająć.

Podaliśmy sobie ręce, a potem wysiadłem z samochodu i obszedłem go, podchodząc od strony kierowcy. Caskie opuścił szybę.

– Jeszcze raz dziękuję – rzuciłem. – Nie musiałeś tego robić.

– Musiałem.

– Na pewno nie podasz mi jego nazwiska?

Uśmiechnął się.

– Chcemy wsadzić za kratki prawdziwych drani. Ale nie martw się. Kiedy tylko zakończymy postępowanie sądowe, sprawiedliwości stanie się zadość. – Znowu uniósł do góry kciuk. – Dopilnujemy, żeby dostała to, na co zasłużyła.

I odjechał, pozostawiając mnie samego na ścieżce z otwartymi ze zdumienia ustami.

Dostała?

Nie działało.

Dzień po tym, jak znaleziono ciało Jessiki, wróciłem do siebie – Martha dostała dom, więc mieszkałem w dwupokojowym mieszkaniu w Soundview – i wszystko zdemolowałem. Całe mieszkanie, poza pokojem Jessiki. Druga sypialnia była zarezerwowana wyłącznie dla Jessie. Wszedłem tam i na jednej ze ścian czarnym flamastrem narysowałem kontur męskiej postaci. Potem wziąłem największy nóż do mięsa, jaki udało mi się znaleźć, i zaatakowałem tę sylwetkę. Dźgałem, rozpruwając gipsową ścianę, dopóki nie poczułem się wyczerpany. Dopiero wtedy byłem w stanie zasnąć.

Robiłem tak każdego dnia od śmierci Jessiki, ale dzisiaj to nie działało.

Ostatnie słowa Caskiego doprowadzały mnie do szału.

Mojej malutkiej Jessice flaki wypruła kobieta? Kobieta?! Nie mogłem w to uwierzyć. Zżerało mnie to od środka jak jakiś gigantyczny pasożyt. Nie mogłem pracować, jeść, spać. Goście z FBI wiedzieli, kto zabił moją córkę i nie zamierzali mi powiedzieć. Musiałem się tego dowiedzieć. Potrzebowałem nazwiska. Twarzy. Czegoś, na czym mógłbym skupić wściekłość, która płynęła mi w żyłach i zatruwała każdą komórkę ciała.

Kobieta! Caskie musiał się pomylić. Jessica została – zbierało mi się na wymioty za każdym razem, kiedy o tym myślałem – zgwałcona. Kobieta nie mogła tego zrobić.

Wytrzymałem dwa dni i dwie noce atakowania bez entuzjazmu męskiej sylwetki narysowanej na ścianie. Potem zacząłem działać.

Z samego rana wybrałem się do najbliższego biura FBI. Mieściło się na Queens Boulevard w Rego Park. Wiem, że dałem agentowi Caskiemu słowo, ale... moja córka... jej morderca... nikt nie może oczekiwać, że dotrzymam tej obietnicy. Nikt!

Stałem w holu, szukając tablicy informacyjnej, kiedy usłyszałem głos dobiegający z lewej strony.

– Co, do diabła, tutaj robisz?

Odwróciłem się. To był Caskie. Podeszedłem do niego, wyciągając dłoń.

– Oto człowiek, którego szu...

– Nie odzywaj się do mnie! – syknął, rozglądając się po holu. – Wyjdź stąd!

– Nie ma mowy, Caskie. Wasi ludzie wiedzą, kto zabił moją córkę, i powiedzą mi to albo pójdę z tym do gazet.

– Chcesz mnie zniszczyć?

– Nie. Tego nie chcę. Ale zrobię to, jeśli będę musiał.

Przez moment milczał, a potem wydał z siebie coś pomiędzy westchnieniem a warknięciem.

– Cholera! Spotkajmy się na zewnątrz. W zaułku za rogiem. Za dziesięć minut.

Odszedł, nie czekając na moją odpowiedź.

Zaułek był długi i wąski, kończył się płotem z metalowej siatki. Czekałem u wylotu uliczki, trzymając się w cieniu. Było jeszcze rano, a już robiło się gorąco. Caskie pojawił się kilka minut później. Przeszedł obok, jakby mnie nie zauważył, ale odezwał się półgębkiem.

– Idź za mną. Nie chcę być widziany w twoim towarzystwie.

Poszedłem za nim. Zaprowadził mnie na tyły budynku. Gdy obeszlśmy śmierdzący kontener na śmieci, odwrócił się, złapał mnie za koszulę i przycisnął do ściany. Zaskoczył mnie. Siła uderzenia pozbawiła mnie tchu.

– Co tu do cholery robisz? – zapytał przez mocno zaciśnięte zęby.

Zamierzałem walnąć go w szczękę, ale wściekłość w jego oczach sprawiła, że się zawahałem. Wyglądał, jakby był gotowy mnie zabić.

– Powiedziałem ci – stwierdziłem. – Chcę wiedzieć, kto zabił moją córkę. I dowiem się tego.

– Nie ma mowy, Santos.

Popatrzyłem mu w oczy.

– Bo co zrobisz? Zabijesz mnie?

Wydawało się, że to rozważa, i poczułem się lekko zdenerwowany. Jednak wtedy rozluźnił ramiona.

– Jestem tak cholernie głupi! – powiedział. – Powinienem być pilnować własnego nosa i pozwolić ci gryźć się tym rok albo dwa. Ale nie, usiłowałem być tym miłym.

Współczułem mu. Właściwie to czułem się jak świnia, ale nie zamierzałem pozwolić, żeby to mnie powstrzymało. Nie mogłem pozwolić, żeby mniej ważne emocje stanęły mi na drodze.

– Posłuchaj – odezwałem się. – Doceniam to, co próbowałeś zrobić, ale to nie zadziałało tak, jak myślałeś. Zamiast mnie uspokoić, zrobiłeś coś zupełnie odwrotnego. To doprowadza mnie do szaleństwa.

Wyraz twarzy Caskiego był równie ponury jak ton jego głosu.

– Czego chcesz, Santos?

– Po pierwsze chcę wiedzieć, dlaczego powiedziałeś mi wtedy, że morderca jest kobietą?

– Niby kiedy? Nic takiego nie mówiłem.

– Ależ mówiłeś. Kiedy odjeżdżałeś. I nie wmawiaj mi, że źle cię zrozumiałem, bo tak nie jest. Powiedziałeś: „Dopilnujemy, żeby dostała to, na co zasłużyła”. No więc jakim cudem Jessie mogła zamordować kobieta, skoro zabójcy szukają na podstawie DNA z nasienia znalezione w... – ścisnęło mnie w żołądku.

Uśmiech agenta był ponury i kwaśny.

– Myślisz, że Biuro nie jest w stanie nakłonić lokalnego koronera do zmiany raportu ze względów bezpieczeństwa? Obudź się, Santos.

Tę informację umieszczono, by nikt nigdy nie miał najmniejszych wątpliwości, że szukamy mężczyzny.

Chciałem go zabić. Niemal tydzień wierzyłem, że Jessica została zgwałcona, zanim ją zadźgano. A to się nigdy nie stało. Jednak zachowałem spokój.

– Chcę dostać nazwisko.

– Nie ma mowy.

– W takim razie idę do „Timesa”, „Posta”, „News”! W tej chwili!

Odwrociłem się i zacząłem iść. Przeszedłem jakieś trzy metry, kiedy się odezwał.

– Ciullo. Regina Ciullo.

Obejrzałem się.

– Kim ona jest?

– Byłą dziewczyną Bruna Papillardiego.

To mną wstrząsnęło. Bruno Papillardi był numerem jeden przestępczego światka Nowego Jorku. O procesie, w którym został oskarżony o wymuszanie haraczy, od miesiący rozpisywały się gazety.

– Jest aż tak istotna dla sprawy?

– Widząc, jak sędzia odrzuca kolejne dowody, zapowiada się, że cała sprawa oprze się wyłącznie na jej zeznaniach. Może i jest psychopatką, ale nie jest głupia. Nagrywała wszystko, gdy była z Brunem w łóżku. Wygląda na to, że kiedy kończy się stękanie i jęczenie, Bruno lubi się poprzehwalać. Jest jedno szczególnie pikantne nagranie, gdy opowiada, jak osobiście załatwił lokalnego szefa związku zawodowego kierowców, który nie chciał tańczyć jak mu zagrają. Dzięki zeznaniom Reginy Ciullo być może będziemy w stanie go wsadzić za coś więcej niż wymuszanie haraczy. Może dorwiemy go za morderstwo pierwszego stopnia.

Papillardi mnie nie obchodził. Obchodziła mnie tylko jedna osoba.

– Ale Jessica... dlaczego?

Caskie pokręcił głową.

– Nie wiem. Nie jestem psychiatrą. Ale wiem, że twoja córka nie była pierwsza. Regina Ciullo zabiła przynajmniej dwie inne ofiary w ciągu ostatnich dwóch lat. Tyle, że tamtych nigdy nie odnaleziono.

– To skąd wy...?

– Powiedziała nam. Zwiąła nam czwartego. Wróciła następnego ranka około trzeciej nad ranem. Znaleźliśmy nóż na tylnym siedzeniu jej samochodu. Połączyliśmy fakty, przycisnęliśmy ją i się przyznała. Zawsze wiedzieliśmy, że jest dziwna, ale... – Wzdrygnął się. – Nie zdawaliśmy sobie sprawy...

Chciałem uciec, ale musiałem to dokończyć.

– Rozumiesz więc nasz dylemat – ciągnął agent. – Nie możemy oddać jej w ręce sprawiedliwości. Przynajmniej jeszcze nie. Ludzie Papillardiego przeczesują całe północno-wschodnie wybrzeże, szukając jej. Jeśli zostanie aresztowana, nie przeżyje pierwszej nocy w więzieniu. A jeśli jakimś cudem jej się to uda, jej prawnik natychmiast przedstawi wniosek o uznanie za niepoczytalną, co podważy wagę zeznań w procesie przeciwko Papillardiemu.

Przełknąłem. Drapało mnie w gardle.

– Gdzie ją trzymacie?

– Żartujesz? Powiem ci, a ty polecisz spróbować odwalić akcję w stylu Rambo? Nie ma mowy.

– Nie chcę jej zabić.

– Co innego mówiłeś wczoraj na cmentarzu!

Uśmiechnąłem się. To musiał być odrażający grymas, ponieważ Caskie się skrzywił.

– Byłem zdenerwowany. Trochę mi odbiło. Nie mógłbym dźgnąć kogoś nożem. Poza tym już teraz mam dość informacji, żeby ją zabić. Gdybym chciał jej śmierci, mógłbym zadzwonić do Papillardiego i powiedzieć mu, że jest w Monroe. On załatwiłby resztę. Ale nie chcę tego. Chcę tylko wiedzieć, jak wygląda. Chcę zobaczyć jej zdjęcie. I chcę wiedzieć, gdzie mieszka, żeby od czasu do czasu

mógł tamtędy przejechać i upewnić się, że wciąż tam jest. Jeśli będę mógł to zrobić, przetrwam to czekanie.

Przyglądał mi się. Miałem nadzieję, że byłem przekonujący. Modliłem się, żeby to kupić. Ale tak naprawdę nie zostawiłem mu wielkiego wyboru.

– Przebywa na Shore Drive w Monroe.

Nie mogłem się powstrzymać.

– W moim rodzinnym mieście? Sprowadziliście mordercę dzieci do mojego rodzinnego miasteczka?

– Wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy. Jednak uwierz mi, drugi raz nie stracimy jej z oczu. To ostatnie dziecko, które skrzywdziła.

Święta prawda!, pomyślałem.

– Chcę zobaczyć jej akta.

– Nie zdobędę ich...

– Zdobędziesz – powiedziałem, odwracając się. – I to do dzisiejszego wieczoru. Albo zacznę dzwonić. Przynies mi je do domu.

Nie podałem mu swojego adresu. Byłem pewien, że już go ma.

Z powrotem w mieszkaniu wzięłem flamaster i poprawiłem rysunek na ścianie pokoju Jessiki, dodając kilka szczegółów. Dorysowałem spódnicę. I włosy do ramion podkreślone na końcach. A potem wzięłem nóż i zabrałem się do pracy z nowym entuzjazmem.

Caskie pojawił się około dwudziestej drugiej, cuchnął jak ciekąca beczka piwa, a pod pachą trzymał jasnobrązowy folder. Przepisnął się obok mnie i rzucił dokument na stół w salonie.

– Jestem załatwiony! – powiedział, ściągając pomietą marynarkę i rzucił ją na drugą stronę pokoju. – Dwa lata do emerytury i równie dobrze mogę ją pocałować na do widzenia!

– Co się stało?

– To się stało! – stwierdził Caskie, pokazując folder. – Kiedy okaże się, że zniknął, Biuro odkryje, kto za tym stoi, i oberwę po dupie! Mili goście naprawdę zawsze mają przechlapane!

– Chwileczkę – rzuciłem, pochodząc bliżej, ale trzymając się poza jego zasięgiem. Wyglądał na bardzo złego. – Poczekaj. Jeśli zwrócisz to jutro rano, kto się dowie, że kiedykolwiek nie było ich na swoim miejscu?

Patrzył na mnie z pustym wyrazem twarzy.

– Myślałem, że chcesz jej akta.

– Chciałem tylko na nie popatrzeć. To wszystko. Tak, jak ci powiedziałem: po to żeby wiedzieć, gdzie mieszka i jak wygląda. Jeśli morderca mojej córki będzie miał nazwisko, dom i twarz, zdołam pozostać przy zdrowych zmysłach, dopóki nie skończy się proces Papillardiego.

Gdy mówiłem, czułem, jak przyciąga mnie ten folder. Nie byłem świadomy, że moje nogi się poruszają, ale kiedy skończyłem mówić, stałem nad nim. Otworzyłem go. Czarno-białe zdjęcie osiem na dziesięć, zbliżenie kobiecej twarzy.

– To... to ona?

– Tak. To Regina Ciullo.

– Wygląda tak zwyczajnie.

Caskie parsknął śmiechem.

– Myślisz, że ktoś z bogactwem i władzą Papillardiego będzie marnował czas na kogoś „zwyczajnego”? Zapomnij. Atrakcyjne babki cały czas lepią się do tego gościa. Jednak Ciullo jest jedyna w swoim rodzaju. Jest przeciwieństwem zwyczajności. Spodobało mu się właśnie to, że jest taka pokręcona. – Jego głos stał się poważny. – Naprawdę nie chcesz jej zabić?

– Oczywiście.

Podniosłem zdjęcie i wpatrywałem się w nie. Miała brązowe oczy, długie rzęsy. Długie, kruczoczarne, pofalowane włosy. Mimo korzystnego ujęcia, jej nos wydawał się spory. Jej usta były pełne i wydęte. Wyglądała na trzydzieści pięć lat lub coś koło tego.

Caskie zajrzał mi przez ramię.

– To fotka sprzed kilku lat, kiedy występowała pod pseudonimem scenicznym Krwawa Mary. Na zdjęciu nie widać jej ciała, które jest

niesamowite.

– Pseudonimem scenicznym?

– Tak. Kiedyś była tancerką w klubie w SoHo o nazwie Kajdany. Robiła striptiz, a po jej ciele chodził biały sznur. Kiedy była już naga, podcinała mu gardło i wyciskała sobie krew na piersi, kończąc taniec. – Caskie miał ponury wyraz twarzy. – Jest zdrowo walnięta, ale zdecydowanie przypadła do gustu Papillardiemu. Jeden pokaz i napalił się na jej tyłeczek. Słuchaj, masz może piwo?

Wskazałem kuchnię i dalej gapiłem się na zdjęcie.

– W lodówce.

Oto morderca kochanej Jessiki. Regina Ciullo. Kiedy znudziło się jej zabijanie sznurów, znalazła sobie dziecko. Mój puls przyśpieszył, ręce się spociły. Zdjęcie drżało w mojej dłoni, jakby morderczyni wiedziała, że po nią przyjdę.

– Gdzie dokładnie na Shore Drive mieszka?

Agent otworzył puszkę buda, wracając do salonu.

– U Jensenów.

– U Jensenów! Jak wam się udało ją tam umieścić?

Puszka zatrzymała się kilka centymetrów od jego ust.

– Znasz ich?

– Wiem tylko, że to bogacze.

Pociągnął spory łyk piwa.

– Zgadza się. I poza wiosną rzadko kiedy są w domu, przynajmniej w tym domu. Teraz odbywają rejs dookoła świata. A ponieważ pan Jensen jest przyjacielem obecnego rządu i przyjaźni się z dyrektorem Biura, pozwolił nam na umieszczenie Ciullo w swojej posiadłości. To idealna przykrywka. Udaje siostrzenicę Jensena. – Pokręcił wolno głową. – Ale chata. Tak to można żyć, mówię ci.

Kobieta, która zamordowała moje dziecko, pławi się w luksusie na Shore Drive chroniona przez FBI. Chciałem krzyknąć. Jednak tego nie zrobiłem. Zamknąłem folder i oddałem go Caskiemu.

– Zatrzymam zdjęcie – powiedziałem. – Reszta jest twoja.

Szybko zabrał akta.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście. Już nigdy o mnie nie usłyszysz... chyba, że Papillardiego zostanie skazany, a ona nie zostanie postawiona w stan oskarżenia. Wtedy ci się przypomnę. Wierz mi, dobrze się przypomnę!

Musiałem odwalić niezłe przedstawienie. A Caskie to kupił. Uśmiechnął się jak skazaniec, którego w ostatniej chwili ułaskawili.

– Nie martw się o to, Santos. Jak tylko skończy się sprawa Papillardiego, zajmiemy się nią. Nie martw się! – Odwrócił się w stronę drzwi i po raz kolejny podniósł kciuk. – Możesz być tego pewien!

I poszedł sobie.

Przez chwilę stałem w salonie i wpatrywałem się w zdjęcie Reginy Ciullo. Chwilę później zabrałem je do pokoju Jessiki i przypiąłem nad głową ostatnio narysowanej postaci. A potem zacząłem dźgać tę postać tak mocno, tak szybko i tak wiele razy, że w mniej niż minutę w ścianie powstała dziura wielkości piłki futbolowej.

Tydzień później ściany pokoju Jessiki były tak podziurawione, że nie było już miejsca na kolejne sylwetki.

Czas przejść do czynów.

Regularnie przejeżdżałem obok rezydencji Jensenów, czasami trzy razy dziennie. Zdjęcie zawsze leżało obok mnie na siedzeniu pasażera, żebym mógł szybko dokonać porównania, gdybym zobaczył kogoś przypominającego Reginę Ciullo. Byłem pewien, że poznałbym ją wszędzie, ale dobrze być przygotowanym.

Wszystkie domy na Shore Drive to rezydencje – wielkie, położone wzdłuż nadbrzeża Long Island Drive, z widokiem na Connecticut. Chociaż na podjeździe za automatyczną, stalową bramą zawsze stał jakiś samochód – Bentley, Jaguar albo Porsche Carrera – nigdy nikogo nie widziałem.

Aż do czwartku. Właśnie przejeżdżałem obok, kiedy zobaczyłem, jak brama się otwiera. Prawie wcisnąłem hamulec, ale udało mi się zachować przytomność umysłu i jechać dalej. Powoli.

No i kto, jak nie ta suka we własnej osobie, morderczynie mojej córki, zabójczynie ostatniej rzeczy w moim życiu, która miała jakiegokolwiek prawdziwe znaczenie. Jechała mercedesem. Jechała szybko. Minęła mnie, pędząc co najmniej osiemdziesiąt na godzinę i wciąż przyśpieszała. W dzielnicy willowej. Suka miała to gdzieś. Dach był opuszczony. Nie miałem żadnych wątpliwości. To była ona. I była sama.

Czyżby znowu związała swoim ochroniarzom z FBI? Zamierzała znaleźć kolejne niewinne, bezbronne, ufne dziecko, któremu wypruje flaki?

Nie, jeśli mogę coś z tym zrobić.

Pojechałem za nią do pobliskiego supermarketu, szedłem za nią, gdy mitrężyła czas w alejce z kosmetykami, dotykając i wachając. Pewnie szukała czegoś, czym mogła się wypacykować. Na zdjęciu wyglądała zwyczajnie, ale i tak lepiej niż w rzeczywistości. W bladym świetle dnia robiła wyjątkowo bezbarwne wrażenie. Potrzebowała wszystkiego, co mogło jej pomóc. No i jej ciało. Caskie opisał je jako niesamowite. Z tego, co widziałem, zupełnie na takie nie wyglądało. No cóż, o gustach się nie dyskutuje.

Podszedłem do niej w dziale gospodarstwa domowego. To tu sprzedawali noże. Kiedy zobaczyłem komplet noży z nierdzewnej stali wystawiony na jednej z półek, zakręciło mi się w głowie. Przed oczami mignęły mi zmasakrowane zwłoki Jessiki leżące na zimnym, metalowym łóżku w kostnicy. Rozpruto ją podobnym nożem. Zobaczyłem twarz Marthy, wyraz, który malował się na twarzach jej braci... „Twoja wina! Twoja wina!”

To przechyliło szalę.

Chwyciłem największy nóż z kompletu i skoczyłem, zastępując Reginie Ciullo drogę.

– Pamiętasz Jessikę Santos? – wrzasnąłem.

Szok na jej twarzy. Pewnie! Nikt nie miał się dowiedzieć.

Udałem, że jest jedną z sylwetek namalowanych na ścianie Jessiki. Głębokie pchnięcie w brzuch, czubek noża na chwilę zatrzymujący się na materiale sukienki, a potem przecinający tkaninę i skórę, przebijający się do delikatnych wnętrzności. Krzyknęła, ale nie pozwoliłem, by mnie to zatrzymało. Wyszarpnąłem ostrze i wbiłem je jeszcze raz i jeszcze raz, za każdym razem wołając:

– To za Jessikę! To za Jessikę!

Ktoś mnie od niej odciągnął i się nie opierałem. Wyprułem jej flaki, jak ona Jessice. Nie uda się jej uratować. Wiedziałem, że wykonałem swoje zadanie, wiedziałem, że pomściłem córkę.

Jednak patrząc w oczy, z których uciekało życie, tak pełne cierpienia, szoku, zdezorientowania, po raz pierwszy zacząłem podejrzewać, że popełniłem monstrualny błąd.

Walnąłem pięścią w stół.

– Zadzwońcie do FBI! Sprawdźcie to!

Od kilku godzin trzymali mnie w pokoju przesłuchań. Wbrew radom mojego adwokata – który chciał, żebym powołał się na niepoczytalność – złożyłem wyczerpujące zeznania. Nie zamierzałem niczego ukrywać. To była sprawa prosta jak konstrukcja cepa: uzasadniona zemsta wymierzona przez ojca na mordercy córki. Nie zamierzałem się tego wstydzić. Zrobiłem to i już. Teraz mogli stawać na głowie, żeby mnie skazać. Potrzebowałem tylko akt FBI, by udowodnić, że była morderczynią.

– Dzwoniliśmy do FBI – powiedział kapitan Hall, szef wydziału policji Monroe. Poprawił pas opinający obfity brzuch po raz setny, od kiedy mnie tu zamknęli. – I w Nowym Jorku nigdy nie pracował agent o nazwisku Caskie.

– To supertajna sprawa! Ta kobieta udająca siostrzenicę Jensenów to Regina Ciullo, świadek w procesie federalnym przeciwko Brunowi Papillard!i!

– Kto panu to powiedział? – zapytał kapitan Hall.

– Agent Caskie.

– Agent, który nie istnieje. Bardzo wygodne. Kiedy go pan poznał?

Opisałem nasze spotkania, od tego na cmentarzu do tego w moim mieszkaniu.

– A więc nigdy nie był pan w jego biurze, jeśli w ogóle jakieś ma. Czy ktoś widział was razem?

Zastanowiłem się nad tym. Pogrzeb już się skończył i wszyscy poszli, kiedy spotkałem go na cmentarzu. W holu siedziby FBI staliśmy obok siebie przez mniej niż minutę, a potem rozmawialiśmy w zaułku i w moim mieszkaniu. Poczułem chłód zalewający moje wnętrze.

– Nie. Nikogo takiego nie pamiętam. A co za zdjęciem? Muszą na nim być odciski palców Caskiego!

– Już trzy razy przeszukiwaliśmy pański samochód, panie Santos. Nie było w nim żadnego zdjęcia. Może powinien pan powołać się na niepoczytalność. Może ten agent FBI istnieje tylko w pańskiej głowie.

– Nie jestem wariatem!

Twarz kapitana Halla stała się kamienna, gdy się do mnie pochylił.

– W takim razie może powinieneś być. Wiem, że pańskiej rodzinie przydarzyło się coś potwornego, ale znałem Marłę Jensen, od kiedy była dzieckiem, kiedy jeszcze nazywała się Marla Wainwright. I to biedną Marłę pan zadźgał.

On musiał się mylić! Proszę Boże, musiał! Jeśli zrobiłem to nieodpowiedniej osobie...

– Nie! Musicie mnie wysłuchać!

Kapitan wydał z niebie pomruk pełen niesmaku.

– Dość tych bzdur. Zabierzcie go stąd.

– Nie, czekajcie! Proszę!

– Wynocha!

Dwóch umundurowanych policjantów podniosło mnie z krzesła i zaciągnęło na korytarz. Gdy prowadzili mnie na górę do aresztu, zauważyłem, jak do budynku wchodzi Caskie w towarzystwie dwóch gliniarzy.

– Dzięki Bogu! – zawołałem. – Gdzie się podziewałeś?

Jego twarz był ściągnięta i wynędzniała. Wyglądał, jakby wcześniej płakał. I wyglądał inaczej. Porządniej i trzymał się bardziej prosto. Pognieciony garnitur zniknął, zastąpiły go białe bawełniane spodnie, biała lniana koszula rozpięta pod szyją i niebieska marynarka z jakimś godłem wyszytym na kieszonce. Wyglądał jak bogaty właściciel jachtu. Gapił się na mnie bez najmniejszej oznaki, że mnie poznaje.

Jeden z policjantów wyszeptał mi coś do ucha i nagle Caskie rzucił się w moją stronę z twarzą pobladłą z wściekłości, wyciągniętymi rękami i palcami zakrzywionymi jak szpony, gotowy rozerwać mnie na kawałki. Gliniarze zdołali go odciągnąć, zanim mnie dorwał.

– Co z nim? – powiedziałem do kogokolwiek, kto mnie słuchał, gdy policjanci prowadzili mnie po schodach.

Zza moich pleców odpowiedział mi mój adwokat.

– To Harold Jensen, mąż kobiety, którą pociąłeś.

Poczułem, jak kolana się pode mną uginają.

– Jej mąż?

– Tak. Obiło mi się o uszy, że chciała wystąpić o rozwód, ale to teraz nieważne. Jej śmierć czyni go jedynym dziedzicem fortuny Wainwrightów.

Czując, jak wnętrzności zaciskają mi się w tysiące maleńkich supełków, obejrzałem się na człowieka, którego znałem jako Caskiego. Wyprowadzano go przez drzwi prowadzące do kostnicy. Jednak na progu obejrzał się i zerknął na mnie. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, mrugnął do mnie i ukradkiem pokazał mi podniesiony do góry kciuk.

Łukasz Radecki (ur.1979) - pisarz, muzyk, redaktor. Autor zbioru opowiadań *Kraina bez powrotu: Opowieści Niesamowite*, cyklu *Bóg Horror Ojczyzna* i współautor zbioru opowiadań *Lek na lęk* (z Kazimierzem Kyrzem). Na podstawie jego opowiadań powstał film *Rigor Mortis* w reżyserii Patryka Jurka. Zrealizował także muzykę do kilku horrorów, gier i serialu *Oblicza Mroku*. Tworzy w zespołach metalowych Acrybia i Damage Case. Wraz z żoną i dziećmi mieszka w Malborku. Niebawem nakładem Wydawnictwa Replika ukaze się *Pradawne zło*, zbiór trzech nowel, napisanych z Robertem Cichowlasem.

Lukasz Kadecki

A czerwiec był pięknym tego roku

Likantropia jest całkowicie realną i niebezpieczną chorobą psychiczną. Owo zaburzenie objawia się głębokim przekonaniem pacjenta, że jest lub potrafi zamienić się w dzikie zwierzę, najczęściej wilka. Oczywiście nie ma mowy o prawdziwej przemianie fizycznej, niemniej zaburzenia chorego są na tyle silne, że wierzy on, iż takowa transformacja miała miejsce. Może stać się wówczas groźny dla otoczenia i osób postronnych.

Edward Nippelton, Wewnętrzny wróg (s. 19) ⁽¹⁾

Nie było ciemnego lasu ani kojącego światła księżyca. Krótkimi, płytkimi haustami próbował złapać choć odrobinę powietrza. Skulił się na podłodze, dłonie przycisnął mocno do klatki piersiowej, która paliła wściekłym bólem. Mocarne kleszcze zaciskały się na żebrach, wpijając w mostek. Kolejny skurcz targnął ciałem. Czuł, jak żołądek zaciska się niczym żywe stworzenie, pasożyt wijący się wokół kręgosłupa. Każdy nerw ciała drżał, gdy mężczyzna próbował przeczołgać się po podłodze z dywanu do rąbka prześcieradła, które zwisało z łóżka. Mięśnie napinały się nerwowo, niezależnie od jego woli. W gardle czuł suchość, na czoło wystąpił pot. Próbował opanować drzenie warg. Bezskutecznie. Ból stawał się coraz trudniejszy do zniesienia. Im bardziej próbował się uspokoić, tym

silniejsze były ataki. Spiał się w sobie i z największym wysiłkiem podniósł się na kolanach i łokciach. Spojrzał na elektroniczny budzik stojący na wiklinowym koszu, który wskazywał trzecią dwadzieścia cztery. Jeszcze jakieś dwie, może trzy godziny do świtu. Powinien wytrzymać. Jeśli zaraz nie zwariuje i nie wybiegnie stąd, wszystko będzie dobrze. Dysząc, podniósł z wysiłkiem głowę i spojrzął na łóżko. Spod warstw pierzyn i koców wystawała kępka jasnoblond włosów. Ich zapach drażnił i podniecał nozdrza nawet z tej odległości. Westchnął ciężko. Powolnym oddychaniem próbował uspokoić kipiące nerwy. Po dłuższej chwili oddech uspokoił się. Ustało drzenie ciała. Mężczyzna poderwał rozgrzane czoło z zimnej podłogi, podniósł się i ruszył w stronę łóżka. Na chwilę zatrzymał się. Światło księżycy oświetliło odcisk ręki, jaki zostawił na panelach. Przesunął stopą dywan, zakrywając ślad.

Pierwsze wzmianki o wilkołakach pochodzą z mitologii greckiej, ale już tutaj pojawiają się nieścisłości. Według legendy spisanej przez Owidiusza ogniskiem zapalnym jest postać króla Likaona, który postanawia sprawdzić boską nieomyślność. Zaprasza on bogów na ucztę. Przebiegły król przy pomocy synów zabija swego najmłodszego potomka, odziera go ze skóry, rozczłonkowuje i gotuje w kotle, następnie przyrządza z niego danie, które ma usświetnić wspomnianą ucztę. Bogowie odkrywają jednak podstęp, a jedynie zrozpaczona i rozkojarzona utratą córki Demeter nieopatrznie kosztuje specjału. Rozwścieczony Zeus zamienia Likaona i jego synów w wilki, zaś zamordowanego nieszczęśnika wskrzesza. Według mitu on i jego potomkowie noszą na łopatkach znamię po ugryzieniu Demeter. Inna wersja tego mitu mówi o tym, że Likaon i jego synowie zostali zamienieni w wilki przez Dionizosa, który w ten sposób chciał ocalić okrutnego króla przed gniewem bogów. Pobudek

należy doszukiwać się w dzieciństwie boga wina, który niegdyś został zamordowany, oskórowany i zjedzony przez Tytanów na polecenie zazdrosnej Hery. Jedyne interwencja Zeusa pozwoliła wskrzesić Dionizosa.

Niezależnie od wersji mitu utrzymuje się legenda, według której pasterze z Arkadii w trakcie dzikich orgii dionizyjskich odtwarzali mit, mordując dziecko i przyrządzając z niego potrawę. Jeden z pasterzy musiał zjeść ową zupę i po przemianie w wilka przejść przez rzekę, gdzie na dziesięć lat stawał się częścią stada. Jeśli przez ten czas nie skosztował ludzkiego mięsa, wolno mu było odzyskać dawną postać i powrócić do swoich. Wierzono, że rytuał ten zapewni bezpieczeństwo od wilczych ataków, bowiem pasterz w wilczej skórze odciągnie stada od pastwisk. Wierzono także, że magiczną moc do zamiany w wilka zapewniał sam Dionizos. Legenda wyraźnie mówi, że każde dziecko obdarte żywcem ze skóry, zamordowane, rozczłonkowane i zjedzone staje się samym Winnym Bogiem. (...)

Edward Nippelton, Wewnętrzny wróg (s. 25)

Dorota siedziała w kuchni, paląc papierosa i tępo wpatrując się w przeciwległą ścianę. Po policzkach spływały łzy. Patryk stał w progu, opierając się o framugę, milcząc i patrząc ze smutkiem w podłogę niczym skarcony psiak. „Spojrzenie spaniela”, jak nazywała je kobieta, już na nią nie działało. Za każdym razem, kiedy zaczynała mu wierzyć i ufać w jego uczucie, zawsze robił coś, co znów chwiało fundamentami jej świata. Był najcudowniejszym mężczyzną w jej życiu, ale wyrządził jej tyle krzywd, że nie potrafiła przejść do porządku dziennego i zaakceptować go takim, jakim się stał. Bardzo chciała mu wierzyć i równie mocno nie potrafiła. Wystarczała najmniejsza drobnostka, by przypomnieć jej, jakim draniem był wcześniej i jak bardzo się na nim zawiodła. Znali się od

szczenięcych lat, ale nigdy nie myślała o nim jak o potencjalnym partnerze. On podobno w niej również widział tylko przyjaciółkę. Dlatego zawsze chętnie wypłakiwała mu się w ramię, a on koił cierpienie, jakiego przysparzali jej kolejni partnerzy. Trzeba przyznać, że nie miała szczęścia do mężczyzn. Każdy prędzej czy później prezentował pełen wachlarz samczych zachowań, sprowadzając ją do roli kury domowej, której jedynym zadaniem jest siedzieć cicho, gdy Pan i Władca jest w domu. W pewnym momencie już sama zwątpiła, czy z nią samą nie jest coś nie tak, skoro za każdym razem przyciągała do siebie ukrytych katów, megalomanów i egocentryków. Bo że każdy mężczyzna był kłamcą i pijakiem, to wiedziała od zawsze. Patryk też taki był.

A jednak pocieszał ją po każdym rozstaniu, wspierał, gdy traciła wiarę w siebie. Był, gdy jej pierwszy partner odszedł, zabierając ze sobą wieżę i większość jej płyt, dzwonił, gdy drugi zostawił same długi i kredyty, wreszcie pomógł posprzątać mieszkanie po awanturze z trzecim. Wtedy właśnie zaproponowała mu, żeby zamieszkali razem. Nie jako para, ale jako dwoje ludzi skrzywdzonych życiem, którzy potrzebują czasu, by wylizać rany. Poza tym we dwójkę zawsze łatwiej płacić rachunki. Strach pomyśleć, do czego może doprowadzić człowieka lęk przed samotnością. Dorota wiedziała o tym nazbyt dobrze. Sama nie wie, kiedy przyjaźń przerodziła się w uczucie. Niczym w banalnej, tandetnej historii romantycznej nagle między nimi zaiskrzyło. Poczwała do niego miłość, jakiej nie doświadczyła nigdy w życiu. Okazał się mężczyzną, który potrafił rozpalić ją zwykłym szeptem, a jeśli w tym czasie musnął ją choćby delikatnie, była gotowa oddać mu się natychmiast. I często tak bywało. Zatracili się we wspólnym szczęściu, miłości, której obojgu brakowało, której tak bardzo byli głodni. Później jednak nadeszła proza życia, a wraz z nią pełen pakiet szowinistycznych zachowań. Z tą różnicą, że Patryk z niczym się nie kamuflował. Żłopał piwo, zaczytywał się Playboymem i przesiadywał w pubie z kumplami, a gdy wracał nocą

do domu, siedział przed komputerem lub telewizorem i nierzadko zasypiał w fotelu. Jak każda kobieta, wiedziała, że taki jest. I jak każda, wierzyła, że gdy zaczną być razem, natychmiast się zmieni. Zaskakujące jest to, że naprawdę próbował. Wyrzucił świerszczyki, piwa żłopał mniej, a z pubu wracał wcześniej i starał się zasypiać przy niej, a nie w fotelu. Bała się jednak, że nie wypływa to z niego samego i że wkrótce wyjdzie z niego taki sam brutal, jaki wychodził z poprzednich partnerów. On z kolei bał się zniewolenia, czasem niczym wilk uwięziony w potrzasku wolał odgryźć sobie łapę, niż zgodzić się na coś wbrew swoim nawykom i przyzwyczajeniom. Nie przebierał wówczas w słowach, a gniew gasił kolejnymi butelkami piwa. Bardzo szybko znaleźli się w punkcie wyjścia, problem w tym, że teraz nie miała się komu wypłakać, a on zaczął dostawać ataków nerwowych, w które nie była w stanie uwierzyć – znała bowiem jego umiejętności aktorskie, które szlifował w czasie studiów. Co gorsza, pamiętała wszystkie rozmowy, jakie prowadził z nią przez lata, i to, co było akceptowalne u ekscentrycznego i nieco dzikiego przyjaciela, u partnera, z którym zamierzała zbudować rodzinę, stanowiło przeszkodę nie do przejścia. Wściekała się sama na siebie, gdy na każdym kroku podejrzewała go o różne zagrania, których dopuściliby się jej byli lub takie, które on sam wyczyniał w młodości. Wiedziała, jakim był draniem dla byłych dziewczyn, nie mogła uwierzyć, że ją będzie traktował inaczej. Tym bardziej, że wciąż pił i, co odkryła niedawno, znów grał na maszynach. Nie wiedziała, którego nałogu bardziej nienawidzi. Dlatego czasami czuła, że nienawidzi po prostu jego samego. Za to, że jest mężczyzną. Że jej nie rozumie, że nie potrafi się nią zaopiekować tak, jak ona tego potrzebuje.

Kątem oka widziała, jak osunął się ze zboląłą miną przy ścianie i usiadł na podłodze, trzymając się za klatkę piersiową. Działo się z nim coś złego, ale bała się uwierzyć, że naprawdę mu coś dolega. Przeświadczenie, że znów ją oszukuje, że udaje chorego, by wzbudzić litość i zwrócić na siebie uwagę, było silniejsze niż

potrzeba przytulenia się do niego i powiedzenia mu, jak bardzo go kocha. Czowała jednak, że długo nie wytrzyma, rzuci się zaraz na niego i pogodzą się jak zwykle czule i namiętnie. Nie mogła na to pozwolić. Gwałtownym gestem zgasiła papierosa i wyszła z kuchni, wymijając Patryka, choć jej ciało pragnęło rozpaczliwie choć otrzeć się o niego. Podniósł wzrok. Mimowolnie zachwycił się po raz kolejny jej urodą, puklami złotych włosów, które zafalowały niczym lwia grzywa. Westchnął ciężko, czując nadchodzące drżenie mięśni.

Za pierwszą historycznie potwierdzoną rozprawę dotyczącą wilkołaka można uznać przypadek Gilles'a Garnier'a, który został oskarżony o zamordowanie kilkorga dzieci w okolicach burgundzkiego miasta Dole w 1573 roku. Złapany na gorącym uczynku podczas odzierania ze skóry małej dziewczynki zbrodniarz przyznał, że mordował, ponieważ zawarł pakt z diabłem, który miał rzekomo pokazać mu, jak przemieniać się w wilka za pomocą pasa z ludzkiej skóry. Garnier został spalony 18 stycznia 1574 roku po długich torturach. Według relacji świadków, gdy umierał, wył do księżycy jak wilk, a z jego rąk i stóp wyrosły zwierzęce pazury...(...)

Edward Nippelton, Wewnętrzny wróg (s. 45)

Dorota leżała w łóżku, otulona kołdrą, z poduszką między nogami. Nie wierzyła do końca w nerwobóle, na jakie skarżył się Patryk, z całą mocą odczuwała jednak swoje. Dziś przeszedł samego siebie w kolejnej kłótni z cyklu „walka o pierdołę”, jak sam to określił. Tylko dla niej nie były to pierdoły, a jej uczucia, z którymi wyraźnie się nie liczył. Fakt, że nie chce przy niej odbierać telefonów, bardzo ją zaniepokoił. Patryk tłumaczył, że potrzebuje trochę swobody, gdy rozmawia z kolegami i nie lubi, gdy ktoś

przysłuchuje się jego prywatnym, bądź co bądź, rozmowom. Może rzeczywiście była przewrażliwiona na punkcie niektórych spraw, może za bardzo żyć, a zwłaszcza poprzedni partnerzy ją skrzywdzili, ale on jako facet, który podobno kochał ją nad życie, powinien to uszanować albo chociaż spróbować zrozumieć jej lęki i obawy. Patryk zaś uniósł się honorem, trzasnął drzwiami i w środku nocy wyszedł z mieszkania. Powiedział, że po papierosy, ale fakt pozostawał faktem. Zostawił ją samą i to w stanie, kiedy najbardziej go potrzebowała. Najgorsze zaś było to jego spojrzenie, jakie rzucił jej, wychodząc. To nie był już wzrok spaniela. Za jego oczami kryła się dzikość i wściekłość, jakiej nigdy dotąd u niego nie widziała. Dziś zobaczyła, że jest zdolny do rzeczy strasznych.

I pierwszy raz w życiu się go bała.

Istnieje wiele teorii dotyczących zarówno wyglądu, zachowania i umiejętności wilkołaka, jak i sposobu jego przemiany.

W wielu kulturach likantropia nie jest w ogóle łączona z wilkiem, na co mogłaby wskazywać nazwa. W północnej Europie jest to niedźwiedź, w Grecji równie często jest to pies. W Afryce przemiana dotyczy lwa, kojota, w Azji tygrysa, a nawet delfina. (...) Różne są również postacie, jakie ów potwór przyjmuje. Według niektórych człowiek przyjmuje postać dużego wilka, innym razem jest to forma pośrednia ogromnego pół człowieka, pół wilka (tzw. forma crinos) przypominająca indiańskie legendy o Wendigo. (...) Zdarza się, że wilkołak nigdy nie dokonuje przemiany, jedynie w trakcie snu uwalnia swego ducha, który wstępuje w chowańca (...)

Edward Nippelton, Wewnętrzny wróg (s. 50)

Wieczór rozkwitał zapachem bzu. Robert podszedł na palcach do parapetu i cicho zamknął okno. Poprawił zasłony i spojrzał

z czułością na śpiące w łóżeczku dziecko. Westchnął mimowolnie, oczarowany niewinnością i urodą niemowlaka. Kasia przytrafiła im się niejako przypadkiem. Wraz z Basią próbowali od lat, niemniej nigdy nie przynosiło to pożądaných efektów. Oboje udali się na badania, w trakcie których wyszło na jaw, że kobieta ma bardzo nikłe szanse na zajście w ciążę. Robert doznał ulgi, jego męskie ego nie zniosłoby świadomości, że strzela ślepakami. Wprawdzie przed laty, przed Basią, był z dziewczyną, która oczekiwała dziecka, ba, mówiła, że to nawet jego potomek, ale on już wtedy wolał spędzać czas w łóżku Basi i kiedyś po prostu nie wrócił do tamtej. Nie interesowało go, co dalej z tego wynikło, jednak gdy zaczęły się problemy z ciążą żony, przez głowę przeszła mu irracjonalna myśl, że być może to klątwa za porzucenie kobiety z nienarodzonym dzieckiem. Informacja, że przyczyna leży jednak po stronie Basi, poprawiła mu humor, lecz z czasem stała się powodem małżeńskich niesnasek, problemów i kłótni, które omal nie doprowadziły do rozwodu. Niezwykłym trafem w jednym z najbardziej dramatycznych miesięcy okazało się, że zdarzył się cud, a w ciele Basi zagnieździła się maleńka fasolka, z której z czasem wykuła się Kasia.

Robert stał i patrzył na maleńką twarzączkę, unoszoną spokojnym, choć krótkim oddechem klatkę piersiową odzianą w różowe śpioszki z żółtym misiem. W tej chwili czuł się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Pogłaskał delikatnie opuszkami palców czółko niemowlęcia i wyszedł z dziecięcego pokoju, ostrożnie przymykając drzwi.

– Jak tam nasz misiaczek? – spytała szeptem Basia. Siedziała w fotelu, malując paznokcie u nóg. Robert z uśmiechem powiódł wzrokiem po łydkach wystających spod szlafroka. Poczuł w wieczornym powietrzu czerwcową miłość, jak wtedy, gdy dowiedzieli się, że wreszcie zostaną rodzicami.

– Śpi jak aniołek – odparł. – Mundur wyprasowany? – spytał mniej łagodnie, sięgając po wojskowe trepy i pastę do butów. Nie

był gruboskórny, przynajmniej nie we własnym mniemaniu, jednak gdy tylko coś dotyczyło jego pracy zawodowej, zaczynał warczeć, jak określała to jego żona.

– Oczywiście. – Basia przewróciła oczami. – Jutro narada, przecież pamiętam.

Robert ociężale opadł na fotel. Nie chciało mu się w tej chwili glancować butów. Czuł się cudownie błogo. Spojrzał z miłością na żonę, wciągnął głęboko wieczorne powietrze i zachwyił się zapachem. Przymknął zmęczone powieki. I to była ostatnia normalna czynność w jego życiu.

Następną był skok na równe nogi w chwilę po tym, jak wieczorną ciszę rozdarły dwa dźwięki. Huk tłuczonej szyby i następujący w ułamku sekundy po nim płacz Kasi. Barbara rzuciła się do pokoju dziecka, Robert doskoczył do szuflady, gdzie trzymał służbowego P-64. Jednak zamarł zdjęty niewyobrażalnym przerażeniem. Tuż przed drzwiami zatrzymała się też Basia. Powodem była złowróźbna cisza, jaka gwałtownie objęła w posiadanie mieszkanie. Płacz dziecka urwał się parę sekund po tym, jak się rozpoczął.

– Nie – jęknął Robert i ruszył do drzwi, których złęczona Basia nie była w stanie otworzyć. Oboje wiedzieli, czuli, że wydarzyło się coś bardzo, ale to bardzo złego. Coś, co zmieni ich życie w niepojęty koszmar. Nie zdawali sobie tylko sprawy, jak blisko, a jednocześnie, jak daleko są od prawdy.

Drzwi do pokoiku dziecięcego uchyliły się straszliwie wolno, zdradzając tragedię tego wieczoru. Pierwsze, co poczuli, to ciepłe czerwcowe powietrze, wdzierające się do domu i zapach, który zmroził im krew w żyłach. Woń zwierzęcia mieszała się z zapachem, jaki wydzielala ciec spływająca po ścianach, suficie, wyciekająca z połamanego łóżeczka i poszarpanych śpioszków z misiem. Robert zatoczył się, oparł o framugę, Basia zaczęła histerycznie wrzeszczeć. Potężna bestia o żółtych ślepiach kuląca się na środku pokoju skoczyła do przodu.

Mężczyzna odruchowo przesunął się w bok, a stojąca w środku drzwi kobieta nie miała żadnych szans. Potwór poderwał ją z ziemi i wraz z nią runął do salonu, tratując skórzane fotele, łamiąc stolik i zrzucając z komody plazmowy telewizor. Choć Basia zginęła, nim jeszcze jej głowa uderzyła o stolik na gazety, bestia nie zwolniła uścisku szczęk, które zacisnęła na twarzy kobiety. Uzbrojonymi w potężne pazury łapami szarpała i rozrywała ciało, drąc przy tym skórzane obicia foteli i szwedzką podłogę. Robert osunął się po ścianie. Nie myślał już racjonalnie. W ciągu zaledwie kilkunastu sekund cały jego świat runął. Patrzył tępo na bestię, która właśnie pożerała jego żonę na środku salonu, i nie potrafił nawet krzyżeć.

Niemal bezgłośnie zachowywał się także stwór. Gdy opanował się nad resztkami Basi, zwrócił się w stronę Roberta. W pierwszej chwili, gdy bestia zaatakowała, mężczyzna pomyślał, że ma do czynienia z naprawdę dużym wilkiem, ale teraz, gdy stwór odwrócił się ku niemu, stracił tę pewność.

Potwór miał ogromny wilczy łeb. Wściekle żółte oczy żarzyły się w gęstwinie przetykanej srebrnymi nićmi czarnej sierści. Pysk unurzany był we krwi, jednak dało się dostrzec także biel długich jak palce kłów, gdy bestia bez żadnego warknięcia obnażyła zęby.

Łeb osadzony był na potężnych, porośniętych gęstym futrem muskularnych ramionach, które przechodziły w ogromne, ludzkie dłonie zakończone wielkimi pazurami. Stwór podniósł się z klęcek i stanął na tylnych łapach. Musiał pochylić łeb, by zmieścić się w pokoju. Powoli podszedł do Roberta i spojrzął mu w twarz. Mężczyzna nie zareagował. Jego psychika nie zniosła obciążenia i wyłączyła wszystkie możliwe bezpieczniki. Zdolność pojmowania znikła zgaszona niewysłowioną tragedią. Robert patrzył na bestię, ale już jej nie widział. Jego wzrok był pusty i matowy. Strużka śliny ściekała z drżących, rozchylonych ust. Wilkołak odsunął się z niesmakiem, odruchowo pociągnął nosem, chłonąc mimowolnie obrzydliwą woń fekaliiów. Coś na kształt rozczarowania mignęło w jego żółtych ślepiach. Opadł na cztery łapy, wzniósł łeb ku górze

i zawył przejmująco. Potem kucnął i chlasnął na odlew siedzącego przed nim mężczyznę. Cios rozerwał twarz, która pękła niczym stare prześcieradło, i rzucił całym ciałem niczym szmacianą lalką. Robert uderzył w ścianę z siłą, która zabiła go niemal natychmiast, wbijając go częściowo w cegły. Opadł bezwładnie na ziemię. Ciałem wstrząsnęły konwulsyjne drgawki. Bestia przekrzywiając łeb na różne strony, przez chwilę przyglądała się konającemu mężczyźnie, jakby licząc, że jeszcze się podniesie. Nagle przekonawszy się, że nic takiego nie nastąpi, wilkołak ze wściekłym rykiem rzucił się na Roberta i zaczął gryźć, szarpać, rwać i rozrzucać strzępy ciała i kawałki kości. Przestał, dopiero gdy z mężczyzny pozostała już tylko zbryzgana posoką papka mięsa i zmiażdżonych gnatów. Stwór ryknął tryumfalnie. Padł na cztery łapy, otrząsnął się z krwi i jednym susem wyskoczył przez okno. Zawadził szerokimi ramionami o futrynę, wyrrywając ramy z zawiasów. Wypadł na trawnik zroszony odłamkami szkła i kroplami krwi. Rozejrzał się wokół, wciągając nosem rozkoszne nocne powietrze i dziesiątki innych woni, które wpłynęły na niego uspokajająco. Nie czuł żadnego niebezpieczeństwa. Podniecony i rozradowany popędził w noc, zostawiając na asfalcie krwawe ślady.

A czerwiec był piękny tego roku.

W godzinach wieczornych doszło do makabrycznego wypadku przy ulicy Słupeckiej. Śmierć poniósł Robert K. (30 l.) i Barbara K. (29 l.). Ich kilkumiesięczna córka została uznana za zaginioną. Policja twierdzi, że ma powody, by przypuszczać, że niemowlę również nie żyje. Przyczyną tragedii był prawdopodobnie atak dzikich zwierząt...

„Nowiny Codzienne”, 3 czerwca

Istnieje wiele mitów o wilkołakach, które informują nas o ich trybie życia. Najpopularniejszy dotyczy pełni księżyca,

w trakcie której każdy likantrop mimowolnie zmienia się w bestię. Większość podań mówi o tym, że wilkołaki są wrażliwe na srebro – w niektórych przypadkach jest ono dla nich zabójcze, innym razem jedynie demaskuje bestie, przywracając im ludzką postać. Zazwyczaj wilkołaki są nieśmiertelne, podobnie jak wampiry, ich najwięksi antagoniści (co ciekawe, dawniej słów wilkołak i wampir używano zamiennie), inne legendy mówią jedynie o długowieczności sięgającej setek lat. Według nich wilkołak może czy wręcz powinien posiadać znaki szczególne – nadmierne owłosienie, zrosnięte brwi, znamię w kształcie księżyca, w skrajnych przypadkach pentagram na dłoni lub punkty, których połączenie pozwoli ów pentagram uzyskać.

Edward Nippelton, Wewnętrzny wróg (s. 68)

Patryk rozstawił talerze na stole i pieczołowicie pucował sztucce. Dorota odstawiła parujący garnek na deskę i sięgnęła po chochlę. Nagarnęła ziemniaków i nałożyła porcję dla siebie i mężczyzny.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? – spytała, nie podnosząc wzroku. W tym samym momencie, gdy zadała pytanie, natychmiast tego pożałowała. Kochała go, ale nie mogła go stale prowadzić za rączkę. Wielokrotnie zranił ją, czasem nawet głębiej i mocniej niż poprzedni partnerzy, ale mimo to chciała mu ufać, chciała móc mu kiedyś wybaczyć. Choć widziała, jak Patryk się ostatnio stara, nie potrafiła uwierzyć w jego cudowną przemianę, nawet jeśli bardzo tego pragnęła.

– Wiesz, że mi przykro – odparł, próbując spojrzeć jej prosto w oczy, jednak kobieta wciąż unikała jego wzroku. – Ale nie możesz cały czas mi wypominać tego, co było kiedyś. Jeśli mamy być razem, a o niczym innym nie marzę, musimy zacząć budować coś nowego, a nie stale podmywać fundamenty, które z takim trudem wznieśliśmy.

– Oczywiście, teraz wyrzyci mi, jak to się dla mnie poświęcasz – odparła, nieznacznie podnosząc głos. Wiedział, że oto zaraz rozpocznie się standardowa lawina przewinień i litanii prośb o wybaczenie.

– Nie zamierzam. Ale zrozum, że mi też jest ciężko... – westchnął, próbując dotknąć jej dłoni, gdy polewała ziemniaki sosem. Zdecydowanym, lecz delikatnym ruchem cofnęła rękę, udaremniając zamiar.

– Ty i zawsze ty. Nic się nie zmieniasz. Stale pozostajesz cholernym egocentrykiem.

Patryk ostentacyjnie odsunął talerz, nie spróbował nawet kęsa obiadu.

– Odechciało mi się jeść – powiedział zmęczonym głosem.

– Oczywiście. Rób z siebie znowu ofiarę – rzuciła Dorota, mierząc go wzrokiem zarezerwowanym dla tłustych plam na koszuli. –

Pokaż mi, jak źle cię traktuję. A nie pomyślisz nawet, jak ja się czuję, gdy wychodzisz z domu i zostawiasz mnie samą. – Zrobiła pauzę, ale nie dla efektu, jedynie by zaczerpnąć powietrza. – Kim dla ciebie jestem?! Jakimś pogotowiem seksualnym, które tylko czeka na skinienie, by móc zaspokoić twoje pragnienia, jeśli aktualnie raczysz być w domu? Mam tu na ciebie czekać, bo musisz się wyszaleć?

– Nigdy nic takiego nie powiedziałem...

– Ale pokazywałaś! Wielokrotnie mi to okazywałaś!

– Przepraszam... – odparł zrezygnowany – ...ale w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Znowu wiesz wszystko najlepiej. I znowu przekręcasz fakty.

– Oczywiście... Spróbuj jeszcze wywołać we mnie poczucie winy. Potrafisz tak pięknie odwrócić kota ogonem. Naprawdę myślisz, że wystarczy kupić kwiatki i jakieś prezenciki, a ja już uwierzę we wszystko i ze łzami w oczach padnę w twoje ramiona? Już dosyć się przez ciebie napłakałam.

– Dorciu...

– Tak. I wiesz co? Nie jestem już tą głupią, naiwną Dorotką, którą owijałeś sobie wokół palca, która biegła na każde twoje skinienie. O tak, wiem, że chciałbyś, żebym taką była. Musisz się zdecydować, czego ty właściwie chcesz od życia i ode mnie. Mam dosyć rozchwianych emocjonalnie facetów, którzy próbowali leczyć swoje kompleksy, wywołując moje. Nie przerywaj mi! – krzyknęła, podnosząc dłoń, gdy zobaczyła, że Patryk próbuje się odezwać. – Ja wiem, że nie jesteś taki jak oni. Ale musisz pamiętać, że wiem, jaki byłeś. Byłeś hedonistą, który szalał jak James Bond za najlepszych czasów, od pijatyki do bijatyki, jeśli w międzyczasie nawinęła ci się dziewczyna, to chętnie korzystałeś. I jeszcze ten hazard... Patryk, to się wszystko musi skończyć...

– Skończyło się, mówiłem ci już przecież...

– Nie wiem tego! Skąd mam wiedzieć? Mówisz, że nie pijesz, nie spotykasz się z dziewczynami, nie grasz już na maszynach, więc gdzie wychodzisz? Po co?

– Mówiłem ci wielokrotnie. Spotkać się z kumplami. Przy kawie, względnie coli.

– Jak mam w to uwierzyć?

– Sprawdź mój telefon. – Mężczyzna wyciągnął z kieszeni aparat.

– Tam mam wszystkie rozmowy i SMS-y.

– Nie będę ci grzebać w telefonie. – Dorota obruszyła się, wydymając wargi. – Nie jestem taka.

– No pięknie! – Patryk wypluł te słowa niczym jad wyspany z rany. – W każdym sądzie jeśli się kogoś o coś oskarża, daje się mu szansę do obrony. Jeśli nie dowierzasz, że byłem z kumplami, to daj mi to udowodnić!

– Nie podnoś na mnie głosu.

– To przestań mnie oskarżać albo pozwól udowodnić, że nie masz powodów do obaw.

– Chciałabym w to wierzyć.

– Czy my jesteśmy u Dicka lub Kafki? To paranoja jakaś...

Dorota zmierzyła go wściekłym wzrokiem, zaciskając wargi. On również zamilkł, bo wiedział, że się zagalopował.

– Nigdy nie sugeruj, że jest ze mną coś nie tak – wycedziła przez zęby. – Zwłaszcza, że to ty zawsze wpadasz w paranoję z powodu zazdrości. Tak wielką, że jesteś zazdrosny o moich byłych, choć sam w tamtych czasach nie kiwnąłeś palcem, by mnie zdobyć. By chociaż okazać mi odrobinę zainteresowania. Toczysz ciemny jad niczym w wierszach Micińskiego, pielęgnujesz w sobie wściekłość do tych drani, zamiast skupić się na naszej miłości. Co ci przyjdzie z tego, że ich nienawidzisz?

– Chciałbym, żeby umarli za to, jak cię skrzywdzili... – odparł cicho.

– I to jest właśnie paranoja – ucięła Dorota. – To przeszłość, która nie ma już żadnego znaczenia. Pozwól jej odejść. Zamiast sączyć jad z kumplami, bądź przy mnie. I nie życz śmierci nikomu. Nawet im. Bo każde zło wraca do człowieka.

Patryk zacisnął szczęki. Większość zmian, jakie zaszły w nim w ostatnich czasach, była całkowicie naturalna i nie musiał robić nic, by nie wrócić do dawnych nawyków. W pewnym sensie cieszył się z tego, jak potoczyło się życie, bo choć boleśnie i brutalnie go potraktowało, to w zasadzie większa część nieszczęść, jakie spotkały go w ostatnich czasach, była jego zasługą, konsekwencją popełnionych błędów i dokonanych wyborów. Ocknął się w ostatniej chwili, nim niemal wszystko stracił. Odstawił alkohol. Nie propagował zdrowego trybu życia, nie chciał stać się neofitą. Skupił się jedynie na niewyrządzeniu innym krzywdy, tak jak to robił, w większości nieświadomie, przez ostatnie kilkanaście lat swego życia. Uspokoił się, wyciszył, odnajdując spokój w sobie, bez uciekania do filozofii i religii. Bywały jednak chwile, takie jak teraz, że bał się, iż nie wytrzyma. Nie bał się tego, że może coś zrobić Dorocie. Nie potrafił nawet dopuścić do siebie myśli, że mógłby skrzywdzić kobietę, którą pokochał prawdziwą miłością w momencie, gdy już zwątpił w istnienie takiego uczucia,

a serce zalał goryczą, cynizmem i egoizmem. Brzydził się tego i bał przeraźliwie, że nie wytrzyma, że w którymś momencie załamie się choćby na moment. A jeśli teraz zwątpiłby choć przez chwilę, jeśli choć na kilka minut dopuściłby do siebie myśl, że istotnie jest człowiekiem złym, niezdolnym do zmian i pozytywnych uczuć, mógłby już nie wrócić. Czuł się na tyle osłabiony psychiczną walką, jaką stoczył w ostatnich latach, że był pewien, iż na tym etapie zwątpienie czy brak wiary w sukces pogrążyłyby go całkowicie. Czuł, że bez Doroty posypie się całkiem, przestanie kontrolować, zatraci w szaleństwie.

Podszedł do niej na drżących nogach. Stała bokiem do niego, niewidzącym wzrokiem patrząc przez okno. Po policzkach spływały łzy. Ziemniaki parowały na stole, gulasz stygł. Patryk przytulił się do kobiety, zachodząc ją od tyłu. Bał się, że go odepchnie, że zaraz nastąpi ten moment, w którym on się rozsypie, oszaleje. Nie zrobiła tego jednak. Nie odwzajemniła uścisku, ale też nie uciekła. Nieznacznie musnęła jego dłoń. Mimowolnie westchnął, czując ustępujący nerwoból i schodzące napięcie. Opadły zjeżone na przedramionach włoski. Kolejny raz udało mu się zachować spokój.

– Bardzo cię potrzebuję – wyszeptał w jej włosy. I była to prawda.

Istnieją różne teorie mówiące o sposobie stania się wilkołakiem. Według najdawniejszych wierzeń odpowiedzialna jest za to czarna magia. W wilka mógł się zmienić człowiek, na którego został rzucony zły urok. W bestię potrafili zmieniać się czarownicy. Do tego celu używali pasów z ludzkiej skóry, względnie wilczego futra, które na czas przemiany zrastało się z nosicielem. Istotne jest to, że raniąc samą skórę, można było zranić, a nawet zabić czarnoksiężnika. Innym sposobem zamiany w wilkołaka było rozszczepienie skóry na wbitych w ziemię kołkach

(rozmieszczonych na kształt pentagramu), przez którą należało przeskoczyć, aby zmienić postać.

W różnych kulturach utrwalił się jednak wizerunek klątwy wilkołaka, objawiającej się niemal jak zaraźliwa choroba. Tej „infekcji” można było nabawić się przez ugryzienie wilkołaka, jedzenie wilczego ziela, sypianie na poduszce innego likantropa, kontakt z jego krwią czy nawet spanie w blasku pełni księżyca... (...)

Edward Nippelton, Wewnętrzny wróg (s. 75)

Zenon krążył po parkingu, szukając wolnego miejsca. Koncentrował się przy tym bardziej niż zwykle, w jego krwi krążyły środki uspokajające i wypity alkohol. Wracał z nocnego – musiał uzupełnić zapasy zużyte po powrocie z drugiej zmiany. Zenon jak co wieczór rozpaczliwie próbował zwrócić na siebie uwagę któregośkolwiek ze znajomych, niby od niechcienia zagadując na GG, fejsie i gmailowym czacie. Jak co wieczór próby te okazały się bezcelowe. Nie potrafił ostatnio poradzić sobie z życiem. Wszystko zdecydowanie go przerastało. Codziennie przeklinał swój los, nie potrafiąc pojąć, jak to się stało, że w ciągu zaledwie kilku miesięcy jego życie rozsypało się w pył. Czegokolwiek się nie dotknął, obracało się przeciwko niemu. Odwrócili się od niego przyjaciele, dziewczyna (a nawet trzy, bo jeszcze całkiem niedawno szczycił się dużym powodzeniem i czerpał z życia pełnymi garściami), zaczęły się poważne problemy w pracy. Jediną odskocznią od ponurej i wrogiej rzeczywistości były próby i koncerty zespołu. Niestety, kiedy czasem myślał o tym na spokojnie, uświadamiał sobie, że i to tak naprawdę go nie kręci, że męczy się, grając od lat muzykę, która go nie fascynuje, z ludźmi, z którymi nie potrafi się porozumieć, w zespole, który tak naprawdę niewiele przez wszystkie lata działalności osiągnął. Zenon był po trzydziestce, a tkwił w garażu z takimi samymi przegrańcami jak on. Problem w tym, że oni mieli

pasję, tworzyli i rozwijali się, a on miał tylko permanentnego doła i ogromny żal do świata, który go nie rozumiał. Wiedział, choć tak naprawdę nie przyznawał się do tego przed sobą, że jest niepotrzebny, że tak naprawdę blokuje kapelę, a nie wyleciał tylko dlatego, że jak zawsze był całkowicie uległy wobec chłopaków, którym potrzebne było takie popychadło. Wmawiał sobie jednak, że jest im niezbędny. Jeśli nie im, myślał, to komu? Jeśli nie ma w życiu nic do zrobienia, to po co to wszystko? Pogubił się w relacjach z bliskimi, którzy odsunęli się od niego lub, co gorsza, skreślili z listy znajomych. Coraz częściej czuł dojmującą samotność i nie potrafił znaleźć w sobie siły, by wstać z łóżka, coraz częściej wątpił w cel dalszej egzystencji. Nie potrafił już zasnąć, jeśli wcześniej nie zalał się w trupa. Jeśli zostawała mu choć odrobina świadomości, dzięki której mógł myśleć i analizować, noc zmieniała się w bezsenny koszmar. Wciąż nie potrafił odnaleźć w tym wszystkim swojej winy, nie rozumiał, jak to się mogło stać, że nagle wszyscy zmówili się przeciwko niemu i stwierdzili, że już nie chcą go znać. Przecież próbował wszystko wyjaśnić, odkręcić, naprawić, tylko niestety jeszcze bardziej się pograżał. Jakaś niewidzialna siła sprawiała, że nie potrafił zmienić życia na lepsze, konsekwentnie zaś wszystko pogarszał. Próbował przestać pić, licząc, że może dzięki temu inni uwierzą w jego zmianę. Wytrzymał dwa dni, w trakcie których nie zmieniło się nic, a lęki, depresja i kac stały się jeszcze bardziej dotkliwe. Stwierdził, że nie jest to warte poświęcenia i zaczął pić jeszcze więcej.

Dziś po powrocie z pracy wysączył trzy dębowe mocne i stwierdził, że potrzebuje więcej. Łyknął kilka tabletek pramolanu przepisanej przez psychiatrę i pojechał po zaopatrzenie. Teraz czuł, że tabletki zaczynają działać i że zaczyna czuć się coraz gorzej.

Zaparkował na obrzeżach osiedla. Nowe budynki wzniesiono na peryferiach miasta, dzięki czemu tuż za krańcem parkingu rozciągały się pola. Fenomen – osiedle z widokiem na kraniec świata. Pewnie w ciągu najbliższych lat pola przerodzą się w grunty oddane pod

kolejne bloki, markety i stacje benzynowe, teraz jednak Zenek cieszył się widokiem zieleni i krzewów. Wprawdzie nieco się w tej chwili rozmywały, falowały i zastanawiał się, czy będzie w stanie wysiąść samodzielnie z pojazdu. Zgasił silnik i zwiesił głowę, wsłuchując się w łoskot dobiegający z głośników. Cold obsession in my eyes, dał się wokalista.

– Się, kurwa, wszystko trochę zjechało – mruknął Zenek, sięgając do wyłącznika. Nagle dostrzegł, że krzaki przed nim zafalowały. To pewnie wiatr albo coś w mojej głowie, pomyślał. W tej sekundzie z krzaków naprzeciw niemu wyskoczył wielki, ciemny kształt, który przez moment przesłonił rozgwieżdżone niebo. Zenon poderwał się przerażony, serce skoczyło mu do gardła, zimne kleszcze zacisnęły się w piersi. Mężczyzna nie miał chwili, by odetchnąć czy chociaż zmusić ociężały umysł do częściowego przynajmniej ogarnięcia sytuacji. Potwór opadł na maskę hondy. Jego ciężar zgniótł blachę i niczym na huśtawce poderwał do góry tył pojazdu. Zgrzytnął metal, trzasnęły szyby, zawył autoalarm. Tylne koła opadły z hukiem, a bestia schwyciła jedną łapą swoją ofiarę i szarpnęła, przyciągając do siebie. Zenon wprawdzie rzadko zapinał pasy, nie robił tego nigdy po pijaku, teraz jednak zablokował się o kierownicę. Potwór nie zwolnił uchwytu i szarpnął jeszcze mocniej. Miednica i nogi zapiekły straszliwym bólem, jęknęło naciskane przez ciało koło sterowe. To jednak ramię nie wytrzymało pierwsze. Pazury wbiły się w nie, miażdżąc obojczyk, a chwilę potem i łopatki mężczyzny. Gwałtowne szarpnięcia bestii skruszyły kości niczym figurkę z cukru, rozrywając przy tym mięśnie i ścięgna. Zenon zawył z niewyobrażalnego bólu. Gdy za kolejnym szarpnięciem wilkołak oderwał mu ramię, mężczyzna zemdlał. Los wreszcie okazał się litościwy. Zenon umarł chwilę później, nie odzyskawszy przytomności i nie czując już więcej bólu. Rozsierzona bestia nie zwróciła na to uwagi. Nieprzytomnego mężczyznę zaczęła okładać oderwaną przed chwilą ręką niczym maczugą. Nie zawsze trafiała idealnie, nie potrafiła dosięgnąć ofiary

ukrytej wewnątrz pojazdu. Oberwane ramię uderzało więc o dach z siłą, która łamała kości i sprawiała, że strzępy mięsa odrywały się z głośnym młaśnięciem, oblepiając karoserię. Wilkołak odrzucił w pewnym momencie strzęp ciała i schwycił martwego Zenona dwiema łapami. Zaparł się i szarpnął tak mocno, że trzasnęła kierownica, pękły kości nóg, a strzaskana miednica rozdarła ciało. Chlusnęła krew, wstęgi jelit i wnętrzności rozwlekły się z miejsca kierowcy przez maskę, zaplątały się w kierownicę i powgniataną blachę pojazdu. Potwór wyszarpał ofiarę ze środka, wzniosł nad głowę i cisnął przez całą długość parkingu. Zwłoki odbiły się od dachów dwóch samochodów i uderzyły z hukiem o asfalt. Gruchnęły łamane żebra, ciało potoczyło się jeszcze kilka metrów, znacząc drogę krwawymi bryzgami. Bestia wyprostowała się na pełną wysokość i ryknęła tryumfalnie, odstraszać ludzi obserwujących zajście przez szpary zasłon i żaluzji. Wilkołak pociągnął nosem, rozkoszując się wonią krwi, skrzywił się jednak, czując alkohol. Warknął i skoczył w ciemność nocy.

A czerwiec był piękny tego roku.

Kolejny atak dzikich zwierząt. Na osiedlu Tęczowym, na parkingu, około drugiej w nocy został zagryziony Zenon T. (31 l.). Atak przypomina ten z poprzedniego dnia, policja podjęła stosowne kroki w celu przeszukania peryferii miasta, jednocześnie uspokaja, że nie ma powodów do paniki. Wciąż nie wiemy, jakie stworzenia są odpowiedzialne za ataki, choć specjaliści sugerują lwa. Jak dotąd żaden ogród zoologiczny nie zgłosił zaginięcia zwierzęcia, rodzi się więc hipoteza o uciekinierze z prywatnej hodowli.(...)

„Nowiny Codzienne”, 4 czerwca

Wilkołak w Malborku?

W ostatnich dniach w Malborku doszło do bestialskich mordów na przypadkowych mieszkańcach miasta. Nieliczni świadkowie wspominają o wielkiej bestii o ludzkich kształtach. Nasi informatorzy donoszą, że na miejscu wypadków znaleziono ogromne ślady oraz kępki wilczej sierści. Ofiary zostały rozszarpane i częściowo pożarte przez zwierzę nieznane dotąd naturze.

„Niesamowitości”, nr 6/12

(...) można rozróżnić kilka typów wilkołaków, w zależności od ich umiejętności, zdolności i stopnia natężenia przemian.

Przytoczę tu jedynie typy podlegające transformacji, temat chowańców, przemian astralnych i wędrówek sennych omówię w kolejnym rozdziale. Podobnie nie zamierzam tu wspominać o przemianach w inne zwierzęta niż wilk.

Najczęściej występujący typ wilkołaka to człowiek zmieniający się podczas pełni księżyca w wilka, rzadziej w formę crinos. Zawsze jest to bestia krwiożercza i groźna dla otoczenia. Człowiek dotknięty ową przypadłością nie jest świadom zachodzących przemian, nie jest w stanie ich kontrolować. W postaci wilka nie ma ludzkiej inteligencji, nie pamięta żadnych zachowań i zdarzeń, podlega jedynie zwierzęcym instynktom, skupiając się na polowaniu i jedzeniu. Teoretycznie jest łatwy do wykrycia, bowiem likantrop budzi się rano nagi, nie pamiętając wydarzeń z poprzedniej nocy, na jego stopach i dłoniach można odnaleźć błoto i liczne zadrapania powstałe na skutek nocnych eskapad.

*Bardziej niebezpiecznym typem wilkołaka jest likantrop świadomy (*Lycos sapiens*), potrafiący przemieniać się niezależnie od fazy księżyca, najchętniej przyjmując formę crinos, w której jest najgroźniejszy i najtrudniejszy do*

powstrzymania. Bestia zachowuje inteligencję i pełnię ludzkich wspomnień, co w połączeniu ze zwierzęcym instynktem i nadludzką siłą czyni z niej niezwykle niebezpiecznego przeciwnika. Przemiana tego typu wilkołaka następuje w dowolnej chwili w zależności od woli likantropa, co więcej, nawet w ludzkiej postaci potwór zachowuje niezwykłą siłę i wyostrome zmysły.

Edward Nippelton, Wewnętrzny wróg (s. 91)

Patryk szedł szybkim krokiem pomiędzy blokami. Niemal bez przerwy przykładał do ust niedopałek papierosa i zaciągał się nerwowo. Wydmuchiwał dym nosem, praktycznie nie odrywając ustnika od warg. Dym drażnił oczy, ale mężczyzna nie zwracał na to uwagi. Palił już szóstego szluga w przeciągu kilku minut, lecz nadal nie potrafił zapanować nad emocjami. Czuł narastający gniew i wściekłość, które musiały znaleźć jakieś ujście. Przed laty, jeszcze w czasie studiów, wychodził do miasta i szwendał się po barach. Nietrudno było znaleźć ofiarę. Prędzej czy później wracał do domu z pokrwawionymi kłykciami, nierzadko obitą twarzą, ale spokojniejszy i wyciszony. Tak było zawsze, kiedy musiał długo tłumić w sobie emocje. Ostatnio było zaś coraz trudniej. Częstsze stawały się także ataki, w trakcie których nie mógł zapanować nad swoim ciałem i nerwami. Przed czterdziestoma minutami Dorota zrobiła mu awanturę o telefon od kumpli, który odebrał, wychodząc z pokoju. Najpierw milczała ostentacyjnie, a on udawał, że nie wie, o co chodzi, w końcu jednak nie wytrzymał i zaczął naciskać, by powiedziała to, czego się spodziewał. Że znów go podejrzewa, że znów mu nie ufa. Nie wytrzymał i najzwyczajniej w świecie puścił z nerwów pawia, po czym wybiegł z domu, nie patrząc dokąd go nogi poniosą. Szedł przez osiedle, klucząc pomiędzy blokami i odpalając kolejne papierosy. Nie potrafił się uspokoić, ręce drżały mu niczym w delirium, ucisk w klatce piersiowej niemal odbierał

resztki oddechu, którego nie zdusił dymem. Tiki i skurcze sprawiały, że głowa odskakiwała mu co chwilę nerwowo, a on sam co jakiś czas zginał się, ale nie zatrzymywał kroku. Wiedział, że jeśli straci kontrolę nad ciałem, nic go już nie ocali.

• • •

Nieco mniej groźnym typem są tak zwani „Pasterze wilków”. Stają się nimi ludzie, u których dominuje głębokie pragnienie dokonania jakiejś straszliwej zemsty. Ludzie ci dobrowolnie przyjmują na siebie klątwę za pomocą magicznych ziół, mrocznych inkantacji i wilczej skóry. Potrafią wówczas w dowolnej chwili przybrać postać wilka, zyskując tym samym władzę nad zwierzętami tego gatunku. Zdobywają zdolność ludzkiej mowy i potrafią kierować atakami wilczych stad.

Jedną z rzadszych form jest przemiana zachodząca na skutek opętania przez duchy zwierząt. W tej sytuacji człowiek przemienia się w wilka na skutek ugryzienia przez innego likantropa. Przemiana jednak dokonuje się stopniowo, trwa zazwyczaj od kilku dni do tygodnia. Człowiek zyskuje zwierzęce instynkty i umiejętności, by wraz z najbliższą pełnią księżyca stać się już na zawsze wilkiem.

Edward Nippelton, Wewnętrzny wróg (s. 91)

Światła latarni migotały niemrawo, gdy czerwcowy wieczór brał w swe władanie kolejne ulice. Powietrze pachniało przyjemnie orzeźwiająco, delikatny wiatr rozwiewał włosy spóźnionych przechodniów. Sebastian krzywo zaparkował taksówkę nieopodal bramy bazy. Z trudem sięgnął do szaszetki. Cholerny mercedes robił się dla niego coraz ciasniejszy. Nie przeszło mu nawet przez myśl, że winą ograniczonej przestrzeni może być ponad

pięćdziesięciokilogramowa nadwaga, która stanowiła prawdziwą wizytówkę Sebastiana. Zawsze wyznawał zasadę, że nic tak chłopa nie upiększa, jak samara coraz większa. Zresztą prawdę powiedziawszy, miał niegdyś chwilę zwątpienia, gdy jego była dyskretnie i delikatnie, niemniej nad wyraz uporczywie wypominała mu tuszę. Przez moment nawet rozważał zrzucenie zbędnych kilogramów, ale po pierwsze wiązałoby to się z koniecznością ćwiczeń fizycznych, a tych Sebastian nie znosił, po drugie zaś wychodził z założenia, że przecież widziały gały, co brały. Jak jej nie pasuje, niech spada na drzewo. Skąd mógł wiedzieć, że tak rzeczywiście zrobi? Był tak pewien jej obecności w swoim życiu, był tak głęboko skupiony na sobie, że nie dopuszczał nawet myśli, że partnerka będzie w stanie go porzucić. Jego? Ucieleśnienie męskości i wspaniałości! Co z tego, że tak obfite? Przecież tym lepiej! Co z tego, że czasem wpadał w furję? No, może częściej niż czasem. Przecież wiadomo, że baby trzeba trzymać krótko. Może nie wyznawał zasady, że jest z nimi jak z drzwiami, czyli jak się nie trzaśnie, to się nie zamkną, ale terror i zastraszenie zawsze działały. No i poniżanie. Uwielbiał poniżać. Dzięki temu znikwały wszystkie kompleksy, czuł się niemal doskonały, ba, czuł się jak superbohater, litościwie otaczający opieką i poświęcający uwagę szarej myszce, która bez niego przepadłaby na tym świecie. A ta szara myszka ośmieliła się mu przeciwstawić, uwierzyła w siebie (wyłącznie dzięki niemu!) i porzuciła go. Porzuciła i zostawiła samotnego z długami. Co z tego, że to były jego długi? Miał wydatki, więc powinna była to uszanować. A ona jeszcze miała pretensje, że raz czy dwa (no, może trochę więcej) przepuścił pieniądze z kursów i potem miał problem, żeby się z tego rozliczyć, jak przychodziło co do czego. Też mi problem. Mogła przecież brać kredyty, miała stałą pracę. Jego zatrudniano na umowę zlecenie, więc o jakichkolwiek ratach czy pożyczce mógł tylko pomarzyć. Powinna się z tego cieszyć, że może go wesprzeć, że ma taki skarb (przynajmniej lubił to sobie wyobrazić). Mama zawsze mówiła, że jest wyjątkowy.

Dlatego też wolał mieszkać z nią, w końcu włoski model nie może być zły, skoro od tylu lat się sprawdza. A ta ciągle jęczyła o małżeństwie, dziecku... A kiedy on się wyszaleje?

W chwili, gdy jego egocentryzm osiągnął już szczyt, dotarło do niego bardzo jasno. Teraz. Teraz, kiedy jest samotnym, uzależnionym od matki i narkotyków obleśnym grubasem, na którego wszyscy patrzą z politowaniem, a gdy nie widzi, wytykają palcami. Teraz może żyć jak chce, kiedy przegrał całe dotychczasowe życie na własne życzenie. Nikt mu nie pomagał. Co jak co, ale na to zapracował sam. Bez niczyjej pomocy.

Westchnął ciężko. Nie ma co się załamywać. Życie toczy się dalej, a on przecież jest wyjątkowy i należy mu się wszystko co najlepsze (mama zawsze tak mówi). I prędzej czy później to wszystko dostanie. Za darmo i bez wysiłku. Ot co. Tak jak teraz kasę. Wyciągnął z saszetki plik banknotów i bez liczenia schował do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyciągnął torebkę z amfetaminą. Nabrał odrobinę na palec i wtarł w dziąsła. Niemal natychmiast poczuł rozchodzące się po ciele znajome, przyjemne ciepło. Świat nabierał przyjaznych barw, a on odnajdywał w sobie nowe siły, niezmierzone pokłady sił, które pozwolą mu przetrwać wieczór i zabawić się w nocy przed monitorem na farmie na Facebooku. Stwierdził, że nie będzie się dziś z nikim rozliczał. Auto zda jutro, teraz złapie nocny do domu (choć w zasadzie czuł, że może tam po prostu pobiec) i zagłębi się w jakiś dobry film porno. No, nie oszukujmy się. Jakikolwiek film porno.

Westchnął raz jeszcze, tym razem zmuszając swoje ciało do wysiłku i wydźwignięcia go z pojazdu. Otworzył drzwi i sapiąc, wytoczył się na zewnątrz. Czerwcowe powietrze owiało jego ogoloną na zapałkę głowę. Wciągnął powietrze, żałując, że towar wtarł w dziąsła, zamiast wciągnąć nosem. Zabrakło mu tego pięknego uczucia podrażnienia śluzówki. Zamknął drzwi i przeciągnął zmęczone cielsko. Tusza tuszą, ale dalej był dumny ze

swego imponującego wzrostu, który pozwalał mu nawet uchodzącym powszechnie za wysokich pluć na głowę.

Właśnie wtedy bestia zaatakowała. Przyczajona w krzakach nieopodal bramy wjazdowej tkwiła tu od paru godzin, skoncentrowana tylko na oczekiwaniu. Kilka razy bliska dekonspiracji, gdy zabłąkały się tu pańce z jakimiś zapchlonymi pieseczkami, które w panice oddalały się od kryjówki. Czekwała na ten moment. Nie chciała powtórzyć sytuacji sprzed kilku dni, gdy musiała wydrzeć ofiarę z tej metalowej puszki. Cierpliwie patrzyła, jak gramoli się z pojazdu, dała jej chwilę, by się całkowicie odłoniła, po czym rzuciła się do ataku.

Sebastian był już dość silnie pobudzony przez narkotyk, nim więc dotarło do niego, co właściwie widzi, ciało zareagowało instynktownie. Rzucił się w bok, próbując uniknąć ataku. Operacja ta pewnie by się udała, gdyby mężczyzna był jakieś czterdzieści parę kilo lżejszy. Tak jedynie zdołał przesunąć się nieco z toru ataku. Wilkołak zarył w taksówkę, wgniatając drzwi od strony kierowcy. Brzęk tłuczonej szyby złał się z krzykiem Sebastiana, gdy potwór zahaczył go jedną z łap, rozdzierając mu ramię. Mężczyzna rzucił się do tyłu w stronę płotu, bardziej zdziwiony niż faktycznie przerażony. Bólu nie odczuwał wcale. Nawet gdy ciężar jego ciała dał znać o sobie i pociągnął go na płot i chodnik. Sebastian huknął dupskiem o betonowe płyty, lecz nawet wówczas nie był świadom nadchodzącego końca. Wciąż dziwił się, jak coś równie nieprawdopodobnego może się przytrafić właśnie jemu.

Bestia tymczasem potrzęsnęła łbem, oszołomiona nieco po zderzeniu z mercedesem. Nie chciała się tym razem bawić w teatralne budowanie napięcia. Natychmiast doskoczyła do podnoszącego się Sebastiana. Ten, naładowany amfetaminą, poderwał się już niemal na nogi, ale potwór przygwoździł go na powrót do stalowego płotu, wgniatając między pręty. Łapami schwycił ofiarę za ramiona i niczym w parodii intymnego zbliżenia zniżył łeb w stronę brzucha. Ryknął wściekle, wgryzając się

w kałdun taksówkarza. Teraz ból dotarł do otumanionego umysłu mężczyzny. Na moment wszystko stało się dla niego jasne, w jednej chwili pojął, że umiera. Ujrzał, jak bestia cofa łeb, ciągnąc w pysku jego jelita. Opuścił głowę, spoglądając na ziejącą w miejscu brzucha krwawą dziurę, z której wystawały połamane żebra i wylewały się jego trzewia, wnętrzności i fekalia. W tym właśnie momencie przestał walczyć. Całkowicie opadł z sił, nie będąc już w stanie podnieść głowy, zrozumiał, że nie zdoła już nigdy naprawić swoich błędów. Zrozumiał, że już nie spotka się z mamą, że już nie doczeka się powrotu byłej dziewczyny. Zostanie tu tym, czym jest – górą bezużytecznego mięcha wypełnionego gównem. Blokady umysłu runęły. Poddał się i czekał na zbawienną śmierć.

Ta jednak nie nadeszła szybko. Wilkołak jeszcze blisko kwadrans pastwił się nad ofiarą, wyszarpując fragmenty ciała, łamiąc kości i rozrywając mięśnie, nim przepłoszyły go syreny nadjeżdżających radiowozów. Na ironię losu zakrawa fakt, że amfetamina, która miała zapewnić Sebastianowi tej nocy niezapomniane doznania, sprawiła, że do końca był świadom wszystkiego, co się z nim działo, do samego końca czuł spotęgowany środkami ból. Zmarł dopiero, gdy przyjechała karetka, a sanitariusze zastanawiali się dobre parę minut, czy próbować go reanimować, czy po prostu posegregować szczątki...

A czerwiec był piękny tego roku.

Tajemnicza bestia atakuje ponownie. Tym razem ofiarą padł wracający do domu taksówkarz, Sebastian Ch. (32 l.). Policja nie potwierdza plotek o grasującym potworze, nie ma jednak wątpliwości, że sprawcą bestialskich mordów jest dzikie, wyjątkowo agresywne zwierzę...

„Nowiny codzienne”, 9 czerwca

Istnieje jeszcze jedna teoria dotycząca likantropii, niepotwierdzona jednak w żaden sposób przez badaczy tematu. Teoria ta mówi o tzw. „wilkołactwie uśpionym”. Według niej człowiek zakażony takową chorobą, podobnie jak w przypadku klasycznej odmiany nie jest świadomy zachodzących przemian. Te jednak dokonują się niezależnie od cyklu księżyca, nie ma też na nie wpływu sam nosiciel genu likana. Przemiana zachodzi w momencie zagrożenia lub silnego stresu, może to być głęboko skrywana uraza, względnie pierwotny atawizm. Tego typu likantrop nie poluje z głodu czy też z rzeczywistej potrzeby, jego ofiarą stają się konkretne osoby, wobec których człowiek podświadomie żywi urazę bądź żal. Jednocześnie nie jest on w ogóle świadom ani swojej wewnętrznej agresji, ani też czynów, jakie na skutek niej popełnia. Jak już wspomniałem, brakuje konkretnych dowodów na potwierdzenie tej teorii, niemniej odnotowano kilkanaście przypadków ataków wilkołaków, które rozpoczynały się bez konkretnych powodów i równie gwałtownie się urywały. Pozwala to wysnuć tezę, że jest to rodzaj wilkołactwa najbardziej niebezpieczny, bowiem najgłębiej zakamuflowany i wtopiony w społeczeństwo. Nie wyklucza się również, że jest to typ likantropii najbardziej powszechny, który w większości przypadków po prostu nie ujawnia się przez całe życie osobnika nim dotkniętego.

Edward Nippelton, Wewnętrzny wróg (s. 135)

W okolicach ulicy Rolniczej patrol Straży Miejskiej znalazł nieprzytomnego mężczyznę. Patryk S. (33 l.) doznał zawału mięśnia sercowego podczas wieczornego spaceru. Szybka interwencja stróżów prawa ocaliła niewątpliwie życie pechowego przechodnia. Obecnie mężczyzna znajduje się w szpitalu, a lekarze określają jego stan jako stabilny.

„Nowiny codzienne”, 9 czerwca

Osiem lat później

– ... w szkole zaś uważaj na niespodziewane kartkówki. – Patryk skończył, odłożył kolorową gazetę z roześmianymi księżniczkami na okładce i przytulił córkę. Dziewczynka odwzajemniła uścisk. Mężczyzna uśmiechnął się do żony, która siedziała naprzeciw, karmiąc siedzące w wózekku bliźnięta. Uśmiechnęła się czule do męża.

– Po co czytasz jej horoskopy? Nie sądzisz, że to za wcześnie?

– Kochanie, przecież to tylko zabawa. Nie mówię jej, że ma w to wierzyć, prawda, Julciu? – zwrócił się do dziewczynki.

– Yhmm – odparła rezolutnie mała. – A ty, mamusiu, jaki masz znak zodiaku?

– Lew – Dorota warknęła, robiąc groźną minę i rozczapierając palce. Efekt był oczywiście odmienny od zamierzonego. Julka roześmiała się, a chichot podchwyciły bliźniaki.

– Oj, chyba mamusia nie potrafi nikogo nastraszyć – skomentował z uśmiechem Patryk. – Śmiejemy się z groźnego lwa – zakomenderował, wywołując kolejną salwę śmiechu u dzieci.

– Nie drażnij lwa – odparła Dorota z uśmiechem – bo lew to ja – dodała cicho, a Patryk gotów był przysiąc, że jej błękitne oczy przez chwilę zaśniły złotym, zwierzęcym blaskiem.

(1) Książka i autor nie istnieją, jednak zawarte tutaj pseudocytaty nawiązują do rozmaitych faktów i mitów dotyczących likantropii. (przyp. autora)

Ramsey Campbell (ur. 1946) - najbardziej ceniony spośród żyjących brytyjskich twórców horrorów. Jest laureatem nagrody Brama Stokera, przyznawanej przez Horror Writer's Association, trzykrotnie otrzymał World Fantasy Award i aż siedmiokrotnie British Fantasy Award – żaden inny pisarz grozy nie odebrał aż tylu nagród. W 1994 roku przyznano mu także Liverpool Daily Post & Echo Award w kategorii Literatura. Zanim w 1973 roku postanowił żyć z pisania, był pracownikiem Służby Cywilnej i bibliotek publicznych. Recenzuje filmy dla BBC Radio Merseyside, jest też prezesem British Fantasy Society. Jego książki przełożono m.in. na francuski, niemiecki, włoski, hiszpański, fiński, japoński, szwedzki, grecki i duński. Wydawnictwo Replika opublikowało powieść Zły wpływ, uznawaną za jedną z ważniejszych w dorobku Campbella.

Ramsey Campbell

Z perspektywy czasu

Trent nie miał pojęcia, jak długo wściekłość nie pozwalająca mu się skupić. Konduktorka nie pokazała się, gdy ogłaszała nieplanowany postój. Nie pojawiła się, dopóki pasażerowie nie wysiedli, tłocząc się na wąskim peronie. Dopiero gdy pociąg powlókł się w stronę tunelu, jaki tworzyły stare drzewa i marcowe popołudniowe niebo pokryte kolejnymi warstwami ciemności, wystawiła głowę przez tylne okienko ostatniego wagonu, by ogłosić, że kolejny pociąg przyjedzie za godzinę. Oburzone pomruki tłumu tylko pogłębiły frustrację Trenta. Potrzebował spokojnego wieczoru i, jeśli dla odmiany uda mu się zasnąć, przespanej nocy przed biznesowym spotkaniem przy śniadaniu. Gdyby wiedział o przerwie w podróży, przejrzałby jeszcze raz dokumenty, zamiast przyglądać się krajobrazom, których już nawet nie pamiętał. Następny pociąg z pewnością będzie zapchany – Trent wątpił, czy da radę pracować. Zaczynał odczuwać głuchy ból w skroniach i ucisk, jakby jego czaszka zaczęła się nagle kurczyć, kiedy przyszło mu na myśl, że gdyby poczekał na późniejszy pociąg, to nie tylko zagwarantowałby sobie miejsce, ale też miałby czas odwiedzić rodziców. Kiedy ostatni raz był w rodzinnym domu? Nagle zalało go tak ogromne poczucie winy, że wolał nie patrzeć w twarze mijanych ludzi, gdy ich przepraszał, powoli przesuając się w stronę kasy biletowej.

Była zamknięta – karton nadawał jej wygląd ramki pozbawionej fotografii – ale z boku wisiał rozkład jazdy. Ze Stoneby do Londynu,

ze Stoneby do Londynu... Pociągi odjeżdżały o każdej pełnej godzinie, jakby z uderzeniem wskazówki zegara. Trent wyszedł z krótkiego drewnianego korytarza na nieco mniej ponurą ulicę i zawahał się. Gdzie jest sklep ze słodyczami, na którego wystawie stały zawsze dziesiątki słoików ze szklanymi korkami pełne kolorowych łakoci, których można było próbować? Co się stało ze sklepem z zabawkami, gdzie za szybą na łeb, na szyję pędził pociąg, który nigdy nie zatrzymywał się, żeby zabrać z peronu zastygłych w bezruchu pasażerów? Gdzie się podziała piekarnia ze stosami białych ciastek strzelających w niebo jak gotyckie wieże i sklep ślubny obok, w którym bezgłowe manekiny w bladych sukniach przywodziły mu na myśl Annę Boleyn? Teraz ulicę zalały te same fast foody i sklepy z młodzieżowymi ubraniami, które widział wszędzie, gdy tylko opuszczał swoje obecne mieszkanie. Nie mógł sobie przypomnieć, jak wiele się zmieniło, gdy był tu ostatnio, kiedykolwiek to było. Nagle poczuł tak desperacką potrzebę znalezienia się w jakimś miejscu bardziej przypominającym dom, że niemal nie zaczął na zielone światło.

Droga na skróty jeszcze istniała, w pewnym sensie. Teraz nie biegła już między sklepem z zabawkami i sklepem ślubnym, tylko oddzielała wystawę sklepową, na której stał rząd butów, i bar szybkiej obsługi usiany plastikowymi opakowaniami. Kiedy Trent wszedł w alejkę, hałas uliczny zmniejszył się, ale wąskie przejście między nijakimi i bezbarwnymi betonowymi budynkami wywołało wrażenie, że znalazł się w obcym miejscu. Potem beton ustąpił miejsca rdzawym cegłom, a Trent wyszedł na ulicę, którą znał.

To miejsce wyglądało jak w jego wspomnieniach, przynajmniej dopóki lepiej się nie przyjrzał. Budynek naprzeciwko, który pierwotnie był teatrem wodewilowym, stał się kinem. Kilka liter trzymało się kurczowo białawego brzegu zardzewiałego, żelaznego afisza, dwa „N” tak niepewnie, że powoli stawały się dwoma „Z”. Usiłował przypomnieć sobie, czy kino było zamknięte, kiedy je

ostatnio widział, gdy zauważył, że na tablicach po dwóch stronach wejścia powieszono plakaty zbyt małe w stosunku do ramek. Sąsiednie budynki były zabite deskami. Gdy przeszedł przez opuszczoną ulicę, był w stanie przeczytać, co napisano na plakatach – „Wspomnienia o Stoneby” brzmiał amatorski napis.

Dwa szerokie stopnie pod afiszem były popękane, poobłupywane i pokryte plamami. Szyba w budce kasjera znajdująca się na środku marmurowej podłogi była zbyt poczerniała, by można było coś przez nią zobaczyć. Za budką drzwi prowadzące na widownię były uchylone. Niepewny, co może zobaczyć przez tę dziurę, zajrzał do środka.

W pierwszej chwili półmrok pozwolił dojrzeć jedynie brudny dywan leżący na równie zapaskudzonej podłodze z desek, ale potem miał wrażenie, że ktoś stojący w całkowitym bezruchu przygląda mu się z ciemności. Obserwator był od niego oddzielony liną – podobnie jak i kilka innych mgliście rysujących się postaci. Podejrzewał, że reprezentują osoby związane z historią miasta: zdecydowanie było w nich coś znajomego. To wrażenie i niewyraźne twarze z pustymi, błyszczącymi oczami, mogłyby go zahipnotyzować, gdyby nie pamiętał, że miał odwiedzić rodziców. Pośpiesznie opuścił muzeum odprowadzany przez słabnące echo własnych kroków i skręcił za róg.

Kiedy alejka przecięła kolejną uliczkę, skręcił w lewo i poszedł wzdłuż tyłu budynku. Po prawej mijał szereg solidnych, drewnianych furtek prowadzących do ogródków na tyłach domostw; trzeci z nich prowadził do jego rodzinnego domu. Jako dziecko używał tej furtki, idąc na skróty do kina. Ścisnął wtedy w ręce monetę, która pachniała metalem, gdy zbliżał ją do twarzy w tłumnej, niespokojnej ciemności. Jego rodzice nigdy nie zamykali furtki, dopóki nie wrócił do domu, jednak teraz, kiedy próbował przesunąć zasuwę, jedynym skutkiem były stukot pazurów i stłumione warczenie psa sąsiadów, które brzmiało jakby zwierzę

miało kaganiec albo pysk pełen jedzenia, więc Trent okrążył dom i podszedł od frontu.

Na pozbawionym słońca niebie zapadał zmrok tak samo ponury jak ciemności panujące w nieoświetlonym pokoju. Równie dobrze Trent mógłby iść między dwoma blokami tak pozbawionymi wyrazistości, że mogłyby być identyczne. Prawdopodobnie dzieci, które mieszkały w którymś z tych szeregowych domów, wróciły już ze szkoły, ale Trent nie widział migania nawet jednego telewizora w pogrążonych w półmroku oknach, podczas gdy żywiciela rodzin jeszcze pewnie nie wrócili z pracy. Mężczyzna przeszedł po nierównych płytach chodnikowych – podpierając się o dach zaparkowanego samochodu, który okazał się zardzewiały i zapadł się pod jego ręką – do furtki przed domem rodziców.

Niewielki ogródek był zarośnięty chwastami, które porastały też krótką ścieżkę. Nie wyczuwał jej pod nogami, gdy stanął przed drzwiami zlewającymi się z zapadającą ciemnością. Pogrzebał w kieszeni i chwilę gmerał przy zamkach teczki, kiedy zdał sobie sprawę, że niemal na pewno nie wziął ze sobą kluczy do starego domu. Zadzwoił do drzwi, a przynajmniej nacisnął przekrzywiony wyblakły guzik, który uruchomił stłumione terkotanie gdzieś we wnętrzu domu.

Trent czekał nie wiadomo jak długo, ale nie było odpowiedzi. Zamierzał jeszcze raz ożywić ten dziwny dźwięk, mimo że z jakiego powodu go denerwował, kiedy usłyszał szuranie nogami w korytarzu. Ich powolność przypomniała mu dzieciństwo, kiedy to zawsze zdawało mu się, że podchodzenie do drzwi trwa strasznie długo, przez co miał dziwne wrażenie, że ten, kto otworzy drzwi, będzie nad nim górował.

Otworzyła jego matka i była jeszcze mniejsza niż wcześniej – pomarszczona i blada jak figurka ulepiona z ciasta, którą pokrył kurz, tworząc kupki na czubku i z tyłu głowy. Miała na sobie tweedowy płaszcz założony na ubranie, które, jak sądził, było koszulą nocną odsłaniającą jedynie jej kostki i dwa różne kapcie. Drżącym ruchem

podniosła do góry głowę i kąciki ust. Kiedy już wszystkie trzy zamarły w bezruchu, matka wymruczała:

– Czy to ty, Nigel? Znowu przyjechałeś?

– Pomyślałem, że już dawno powinienem was odwiedzić.

– To zawsze trwa za długo. – Podreptała w miejscu, obracając się wokół własnej osi i stając do niego wygiętymi w łuk plecami, zawołała:

– Zgadnij, kto przyszedł, Walter.

– Hess szuka u nas kryjówki – odpowiedział ojciec Trenta gdzieś z wnętrza domu.

– Nie, to nie czerwono nosy Rudolf. To ktoś trochę młodszy i trochę bardziej angielski.

– Królowa wstąpiła na herbatkę.

– On nigdy się nie zmieni, prawda? – zamruczała matka i podniosła głos na tyle, na ile jeszcze była w stanie. – To nasz chłopak. To Nigel.

– Najwyższy czas. Zobaczmy, czy zdołał wyjść na ludzi.

Zrobiła chaotyczny gest, zupełnie jakby próbowała złapać coś wiszącego w powietrzu nad jej lewym ramieniem, najwyraźniej po to, by zachęcić Trenta do wejścia do holu.

– Bądź dobrym chłopcem i nie ociągaj się z drzwiami. Nie chcemy, żeby chłód przeniknął nasze stare kości.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, nie widział, czy schody, które zajmowały połowę holu, były przykryte czymś więcej niż tylko półmrokiem. Powlókł się za matką, przechodząc przez drzwi ledwo widoczne w mroku i – szybciej niż się spodziewał – przez kolejne. Matka otworzyła trzecie, za którymi była kuchnia; raczej to sobie przypominał, niż zobaczył. Pachniała wilgocią, miał nadzieję, że głównie z powodu herbaty. Wyteżając zmysły, zdołał dostrzec ojca siedzącego w ciemnościach.

– Może zapalimy światło? – zasugerował Trent.

– Źle widzisz? Myślałem, że to ty tu jesteś młody. – Po chwili milczenia, ojciec dodał: – Wróciłeś po króliczka?

Tren nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek miał królika, zabawkę albo w ogóle cokolwiek, a jednak pytanie przywołało myśl o dzieciństwie. Zaczynał czuć się przytłoczony przez zbyt dużo ciemności, kiedy matka powiedziała:

– Oj, Walter, nie drocz się. – I kliknęła włącznik.

Światło gołej, zakurzonej żarówki zdawało się ściągać wewnątrz pokoju do środka – poczerniały piecyk i pokryty plamami zlew, sędziwe półki i szafki kuchenne, które zrobił ojciec, gładkie, wyblakłe ściany. Staruszek siedział w fotelu, najmniej odpowiednim siedzisku z dostępnych stojących wokół stołu ozdobionego okruszkami i brudnymi talerzami. Jego twarz o kształcie gruszki w różnych odcieniach czerwieni zaczynała gromadzić tłuszcz, jakby chciała w ten sposób połączyć się z resztą jego osoby. Trzęsącymi się, spuchniętymi dłońmi ojciec ściągnął kłapy szlafroka i zasłonił zapadniętą klatkę pokrytą pajęczyną siwych włosów.

– Masz swoje światło – stwierdził – więc usiądź na swoim miejscu.

Siadając na krześle, które kiedyś był proste, Trent stracił z oczu alejkę prowadzącą na ulicę i wrażenie, że to jedyna część podwórka, jaką daje radę oświetlić światło padające z okna.

– Zrobię herbatę? – powiedziała matka.

Nie prosi o przewidywanie przyszłości, upewnił sam siebie w myślach Trent.

– Jeśli wy też się napijecie.

– Nie mamy teraz zbyt wielu innych zajęć.

– Nie może być aż tak źle, prawda? – zapytał z poczuciem winy Trent, zmuszając się do śmiechu. – Nie widujecie...

– Co widujemy? – zachęcił ojciec trochę mocniejszym głosem.

– Swoich przyjaciół – dokończył Trent, odkrywając, że nie może przywołać z pamięci ani jednego imienia. – Nie mogli wszyscy się wyprowadzić.

– Nikt się już nie przeprowadza.

Trent nie wiedział, czy traktować to jako zawołowaną przyganę.

– No to co ostatnio porabiacie?

– Starzejemy się.

– Nigel tu jest – zauważyła matka znad coraz cichszego głośnego dudnienia wody w czajniku, który napełniała pod kranem, być może nawiązując do toczącej się rozmowy.

Wydawało mu się, że od kiedy wszedł do domu, minęło więcej czasu, niż podpowiadał rozsądek. Powstrzymywał się od zerkania, nawet ukradkiem, na zegarek, kiedy ojciec machnął niecierpliwie ręką.

– To co teraz robisz?

– Ma na myśli twoją pracę.

– To samo, co zawsze.

Trent miał nadzieję, że to wystarczy, dopóki nie wydobędzie wspomnień z mroków, które zgromadziły się wewnątrz jego głowy, ale spojrzenia rodziców były równie puste co jego umysł.

– To znaczy co? – zapytała matka.

Miał wrażenie, że udziela mu się jej kiepska pamięć. Desperacko chciał sobie przypomnieć, co zawiera jego teczka, jednak wykorzystał sięgnięcie po nią jako okazję do spojrzenia na zegarek. Następny pociąg odjeżdżał za mniej niż pół godziny. Gdy Trent walczył z zamkami teczki, odezwał się ojciec:

– Nowe budynki, zgadza się? Budujesz je.

– Projektuję – odpowiedział Trent, ściskając leżącą na kolanach teczkę. – Rysuję je.

– Oczywiście – potwierdziła matka. – Zawsze tego chciałeś.

Częściowo po to, by nie czuć się lekceważonym, Trent zadeklarował:

– Nie chciałbym być odpowiedzialny za niektóre zmiany w mieście.

– To nie bądź.

– Nie zobaczysz tu zbyt wielu innych zmian – powiedziała matka.

– I nikt się nie sprzeciwia?

– Trzeba pozwolić, by świat szedł do przodu – stwierdziła. – Zostawić to młodym.

Trent nie był pewien, czy zalicza się do tej grupy, czy jedynie chciałby się zaliczać.

– Od kiedy mamy muzeum?

Oczy ojca stały się tak puste, że Trentowi zdawało się, że ich nie używa.

– Od kiedy pamiętam.

– Nie, to się nie zgadza – zaprotestował syn tak łagodnie, jak tylko pozwalały mu nerwy. – To było kino, a jeszcze wcześniej teatr. Zabraliście mnie tam kiedyś na przedstawienie.

– Naprawdę? – W oczach matki pojawił się jakiś przebłysk. –

Kiedyś lubiliśmy przedstawienia, prawda, Walter? Przedstawienia i tańce. Czy kiedyś nie wychodziliśmy na całe noce, a ludzie zastanawiali się, gdzie się podziliśmy?

Jej mąż potrząsnął powoli głową, ale czy po to, by ożywić wspomnienia, czy też zaprzeczyć, Trent nie wiedział.

– Przedstawienie, na które mnie zabraliście – obstawał przy swoim. – Pamiętam, że ktoś tańczył z laską. I była jakaś komediantka albo może facet przebrany za kobietę.

Być może wysiłek związany z odgrzebaniem tego wspomnienia sprawił, że wydało mu się równocześnie upiorne i spowite przez ciemność. Ogromna postać podskakująca niemrawo na scenie i odwracająca się ku niemu z cwany, fałszywym uśmiechem czerwonym jak otwarta rana, ciężkie uderzenia stóp o deski, sądząc po dźwięku, bosych, nawałnica śmiechu, jaka nastąpiła po uwagach, których Trent tak dalece nie pojmował, że obawiał się, że były o nim, cień, który powiększał się bez względu na to, jakie dekoracje znajdowały się za artystą, co sprawiało, że postać rosła do jeszcze bardziej gigantycznych rozmiarów. Z pewnością część tego, a najlepiej większość, była raczej dziecięcym koszmarem niż wspomnieniem.

– Nie miało być herbaty? – wypalił Trent.

W pierwszej chwili miał wrażenie, że oczy matki nie widzą już niczego, nawet wspomnień.

– W tym przedstawieniu?

– Tutaj. – Kiedy nie zrozumiała, powiedział z większym naciskiem:
– Teraz.

– No to trzeba mi było przypomnieć – oświadczyła i wstała. Jak długo siedziała naprzeciwko? Był tak skupiony na przypominaniu sobie, że nie od razu pojął, co robi matka.

– Mamo, nie! – prawie krzyknął, zrywając się z krzesła.

– Nie ma pośpiechu. Nie jest jeszcze gotowa. – Wyjęła rękę z czajnika stojącego na kuchence. Nie był pewien, ale chyba zobaczył parę unoszącą się pomiędzy jej palcami, gdy z powrotem zakładała pokrywkę. – Nie zostało nam dużo czasu, prawda? – zapytała. – Nie możemy odciągać cię od obowiązków.

– Nie zrobisz już tego, dobrze?

– Czego, synu?

Z przerażeniem pomyślał, że być może już zapomniała.

– Nie będziesz robiła nic niebezpiecznego.

– Nie ma tu nic, co można nazwać niebezpiecznym – odezwał się ojciec.

– Będziecie troszczyć się o siebie nawzajem? Naprawdę powinienem wsiąść do następnego pociągu. Niedługo znowu was odwiedzę, obiecuję i następnym razem wpadnę na dłużej.

– Na pewno.

Jego rodzice powiedzieli to niezupełnie równocześnie i najwyraźniej współzawodnicząc w powolności.

– To do następnego razu – rzucił i uścisnął ojcu dłoń, po czym objął matkę. Oboje byli niepokojąco zimni i twardzi, jakby pokrywała ich skorupa. Zaciskał dłoń na rączce teczki, usiłując przekręcić zardzewiały klucz w drzwiach kuchennych. – Pójdę tą drogą, co kiedyś. Tak jest szybciej.

Kiedy nikt mu nie odpowiedział, pchnął drzwi, które chodziły tak ciężko, jakby były wyjęte z zawiasów. Pokryte pajęczyną zielsko

natychmiast wdarło się do kuchni. Zarośnięte chwastami kopce ziemi czy też stosy kamieni opanowały podwórko i ścieżkę. Omijając je, podszedł do furtki i z wysiłkiem obejrzał się za siebie, ale nikt nie poszedł za nim, by zamknąć furtkę: matka wciąż stała na swoim miejscu przy kuchence, ojciec siedział w fotelu. By otworzyć furtkę, Trent musiał szarpnąć zasuwę obiema rękami i niemal zapomniawszy podnieść z ziemi teczkę, gdy potykając się, ruszył ścieżką. Była pogrążona w nieprzyjaznym mroku nie dlatego, że nie dosięgało jej światło z domu – nie, dlatego, że kuchnia była nieoświetlona. Z wysiłkiem zamknął furtkę i dopiero po tym, jak z powrotem zasunął zasuwę, ruszył na tyły muzeum.

Wilgoć sprawiła, że cały zeszywniał. Miał nadzieję, że to kwestia powietrza, a nie wnętrza domu rodziców. Czy wilgoć wpływa też na jego wzrok? Kiedy dotarł do końca ścieżki, wydało mu się, że na ulicy jest ciemność i niewiele poza tym, z wyjątkiem muzeum. Drzwi prowadzące na dawną widownię były mocniej uchylone i przechodząc na drugą stronę ulicy, Trent zobaczył jakieś sylwetki poruszające się bezgłośnie w półmroku. Nie miał czasu na przyglądanie się twarzom, zanim bez tchu ruszył alejką, gdzie kostka ustępowała betonowi.

Ludzie siedzieli w restauracjach i oglądali ubrania w sklepach. Poza tym ulica była wyludniona, z wyjątkiem mężczyzny, który wbiegł na stację zbyt szybko, by Trent zobaczył jego twarz. Mężczyzna prosił bezgłośnie i machał teczką, pędząc przez halę biletową. Trent sam przyśpieszył i w tej samej chwili usłyszał zamykanie drzwi wagonu. Wbiegł na peron bez tchu, akurat żeby zobaczyć, jak ostatnie światło pociągu znika wśród drzew, które bardziej niż kiedykolwiek wyglądały jak tunel.

Znowu miał wrażenie, że czaszkę rozsadzi mu furia. Gdy odzyskał zdolność poruszania się, ciężkim krokiem zbliżył się do tablicy z rozkładem obok zabitego deskami biura. Najbardziej wściekłe spojrzenie nie było w stanie zmienić tego, że musiał czekać kolejną godzinę. Kilka razy przemaszerował w tę i z powrotem, ale na obu

końcach peronu witał go tylko zwiększający się mrok. Musiał się ruszać, by odpędzić odrętwienie. Powlókł się na ulicę i marszcząc brwi, rozejrzał dookoła.

Bary szybkiej obsługi nie pociągały go: ani ich bezosobowe posiłki, ani to, że wszystkie stały przodem do ulicy, jakby patrzyły na niego, chociaż to w żaden sposób nie sprawiało, że wydawały się bardziej ożywione. Nawet nie widział, żeby ktoś tam jadł. Ignorując czerwonego, naszkicowanego dziecinną kreską człowieka, chwiejnym krokiem przeszedł przez ulicę do alejki.

Nie powinien tego robić rodzicom. Taki natychmiastowy powrót może ich zdezorientować, a w tej chwili sam czuł się wystarczająco rozkojarzony. Jedyne światło na następnej ulicy, choć blade, dobiegało z muzeum. Trent przeszedł przez jezdnię, która była tak samo granitowo czarna jak niebo i wszedł po rozpadających się schodach.

Czy w budce kasjera paliło się światło? Kawałek pocerniałej szyby został wytarty od środka i był relatywnie czysty. Trent szukał pieniędzy, by położyć je na tacce pod oknem, ale zobaczył, że postać siedząca w środku jest zrobiona z wosku. Chociaż przypominała kobietę w średnim wieku, która pracowała tu, kiedy w budynku jeszcze mieściło się kino, powinna wyglądać na lata, nie, dekady starszą. Jej ręka w szarym swetrze była uniesiona, jakby kobieta wskazywała widownię. Nie był w stanie dostrzec wyrazu twarzy wewnątrz ciemnej budki. Podreptał do drzwi i otworzył je szeroko.

To sprawiło tylko, że audytorium pogrążyło się w większych ciemnościach, ale czuł potrzebę, żeby iść dalej, zanim jego oczy do końca przyzwyczają się do mroku. Ten półmrok niewiadomego pochodzenia przywołał obraz blasku świecy, która stała na ozdobnym spodku na stoliku obok jego dziecięcego łóżeczka. Gdy znalazł się pod ogromnym, niewidocznym w ciemności dachem, pomyślał, że idzie po tym samym dywanie, który prowadził do kina i do teatru. Stanął obok pierwszej z postaci stojących po obu stronach przejścia, zanim je poznał.

Zapomniał, że były siostrami, te dwie kobiety, które prowadziły piekarnię i sąsiadujący z nią sklep z sukniami ślubnymi. Naprawdę były bliźniaczkami? Grały druhny w identycznych sięgających kostek białych sukienkach – a raczej białawych i przystrojonych kurzem. Ich ręce na równi z rękawiczkami z muślinu przyoblekał chyba kurz – kobiety wskazywały otwartymi dłońmi przejście. Ich przybrudzone, przygaszone oczy zdawały się go śledzić, gdy zatrzymał się i rozejrzał dookoła.

Kolejne okazy były dość niepokojące. Bez wątpienia właściciel sklepu z zabawkami miał demonstrować model pociągu, ale wyglądał, jakby przykucnął z boku, by złapać każdego uciekiniera, jaki pojawi się w miniaturowym tunelu. Obok niego facet ze sklepu ze słodyczami zachęcał dzieci do podejsia do lady, gdzie stały stosy pokrytych kurzem słodyczy, gwizdząc w gwizdek z cukru, który nie do końca dało się odróżnić od jego błyszczących zębów. Trent nie miał czasu ustalić, co dziwnego było w szeroko otwartych oczach dzieci, ponieważ właśnie zaczynał zdawać sobie sprawę z rozmiarów muzeum.

Z pewnością musiała to być sztuczka słabego oświetlenia, ale im bardziej rozglądał się dookoła, tym dalej rozciągała się ciemność zaludniona nieruchomymi figurami. Gdyby naprawdę sięgała tak daleko w przód i na boki, obejmowałaby całą ulicę, przy której mieszkali jego rodzice. Zrobił kilka chwiejnych kroków w przód, co sprawiło tylko, że kolejne postaci wyłoniły się z mroku. Odwrócił się tak szybko, jak zdołał, i opuścił budynek.

Echo własnych kroków ścigało go w holu jak drwiące oklaski. Nie słyszał żadnego innego dźwięku i nie był w stanie stwierdzić, czy jest obserwowany z budki kasjera. Zszedł po marmurowych schodach i znalazł się przed muzeum. Przez kilka sekund przesuwiał się rakiem pod ścianą budynku, by rozpoznać, gdzie kończy się nieoświetlona fasada a zaczyna alejka. Doszedł dalej niż powinien i powoli wrócił tą samą drogą. Macał wolną ręką ścianę, chodząc

w tę i z powrotem, ale bez skutku. Nie było żadnej alejki, tylko nieprzerwany, ceglany mur.

Miotał się w poszukiwaniu skrzyżowania, z którego na pewno dałoby się dojść do jego starego domu, kiedy zdał sobie sprawę, że równie dobrze mógłby być ślepy. Obejrzał się, bezgłośnie modląc o jakiś promyk światła w ciemności. Była tylko poświata z holu muzeum. Wydawała się równie słaba co płomień świecy na moment przed wypaleniem i tak odległa, że pomyślał, że zeszywniałe nogi nie dadzą rady go tam zanieść. Kiedy ruszył w tamtą stronę, w pierwszym momencie miał wrażenie, że w ogóle się nie rusza.

Minęło więcej czasu, niż był w stanie stwierdzić, zanim nabrał pewności, że światło się przybliżyło. Jeszcze później mógł już zobaczyć palce swojej wyciągniętej do przodu dłoni. W drugiej kurczowo ścisnął teczkę, jakby bał się, że ktoś mu ją wyrwie. Znalazł się już na wysokości holu i był gotów oddalić się od jego blasku na uliczkę, która prowadziła na stację, kiedy wydało mu się, że usłyszał szept dobiegający z muzeum.

– Szukasz nas?

To mógł by równie dobrze szept albo głos dochodzący z bardzo daleka.

– Jesteśmy tutaj, synu – powiedział ten ktoś, a jego towarzysz dodał:

– Będziesz musiał do nas przyjść.

– Mamo? – To bez wątpienia był jej głos, chociaż słaby. Trent niemal przewrócił się na schodach, gdy wchodził do holu. Przez chwilę miał wrażenie, że z odgłosem jego kroków na marmurze miesza się dochodzący z dużej przestrzeni, ale cichy dźwięk, jakby ukradkowe przesuwanie się tłumu. Po omacku dotarł do drzwi i zajrzał na widownię.

Pod dachem, który równie dobrze mógłby być przedłużeniem ciężkiego, czarnego nieba, przejście i jego strażniczki były pogrążone w takim samym mroku co poprzednio. Czy coś się zmieniło, czy też

nie zauważył tego wcześniej? Siostry bliźniaczki oblizywały usta i nie potrafił stwierdzić, czy były ubrane jak druhny, czy też siedziały w wielkich, kilkuwarstwowych tortach, z których usiłowały się uwolnić. Sprzedawca zabawek wyciągał ręce, jakby chciał zatrzymać pociąg, zanim dotrze do tunelu, a wybałuszone oczy dzieci zebranych wokół człowieka z cukrowym gwizdkiem – czy to były słodycze? Trent być może uciekłby, gdyby nie usłyszał głosu matki.

– Tak jest, synu. Tym razem nas nie opuszczaj.

– Pomyśl o nas. Nie każ nam znowu zastanawiać się, gdzie jesteś. Nie możemy iść cię szukać.

– Gdzie jesteście? Nic nie widzę.

– Idź prosto. – Rodzice szeptali do niego na zmianę.

Zawahał się, zanim wszedł między eksponaty. Nie można było powiedzieć, żeby dalej było lepiej. Robił, co mógł, żeby nie skupiać uwagi na mleczarzu trzymającym lejce i krowie idącej za wozem, ale lewe oko tego mężczyzny wydawało się dość duże, żeby pomieścić konia, a prawe krowę. Naprzeciwko niego stał handlarz starzyzną, którego zawodu można się było domyślić po uwieszanej na jego ramieniu towarzysze, i Trent niemal cieszył się z migotliwej ciemności.

– Daleko jeszcze? – zawołał głosem, który w tym miejscu ledwo było słycać.

– Nie dalej, niż jesteś w stanie przejść w twoim wieku.

Trent uczepił się wrażenia, że głos ojca dobiega z mniejszej odległości niż wcześniej, przytulił teczkę do piersi i zmusił się do przejścia obok policjanta, który zdjął czapkę odsłaniając łysy czubek głowy szpiczasty jak u poczwarki, księdza, którego gładka twarz kołysała się na koloratce bladej jak jego oblicze i nie grubszej niż nadgarstek dziecka, czyściciela okien z chudymi nogami złożonymi jak u pasikonika, kontrolera biletów, który dusił się swoim krawatem wciągniętym przez maszynę do kasowania biletów, podczas gdy z przodu opuszczonego autobusu kierowca ukazywał

tak samo rzekomo komiczną minę duszącego się i wywalał spuchnięty język... To były koszmary, powiedział sobie Trent – takie same jak te, na jakie cierpiał jako dziecko i jakich resztę bał się sobie przypomnieć na wypadek, gdyby stały się wyraźniejsze.

– Wciąż was nie widzę – zajęczał płacząco.

– Tu na dole, synu.

Mieli na myśli przód? Miał nadzieję, że nie kazali mu iść którymś z bocznych przejść, nie tylko dlatego, że pokazałyby, że to miejsce ciągnie się jeszcze dalej, niż się obawiał. Sceny, które przedstawiały, były też bardziej rozbudowane. Po prawej stronie była orkiestra dęta, nie maszerowała, ale zamarła w trakcie skradania się do niego na paluszkach i choć wszyscy gracze opuścili swoje instrumenty, ich usta były idealnie okrągłe. W półmroku po lewej paliło się czerwone ognisko otoczone postaciami w nadpalonych maskach, chyba że to były ich twarze, a za ogniskiem odbywało się uliczne przyjęcie, gdzie przy stołach zastawionych jedzeniem siedziały dzieci z twarzami wykrzywionymi na wzór odbić w balonach, które trzymały na sznurkach, a z których uchodziło powietrze. Trent zmusił swoje sztywniejące ciało do odwrócenia się na wypadek, gdyby za plecami mógł zobaczyć coś przynoszącego otuchę, ale wyjście z holu było tak odległe, że równie dobrze mógł je pomylić z przygasającym płomykiem. Przymknął oczy, by odciąć się od mijanych widoków, ale to sprawiło tylko, że cienie okazów i ciemność, w jaką odpływały, zbliżyły się, jakby półmrok miał ostatecznie zniknąć. Nagle uświadomił sobie, że gdyby budynek wciąż był teatrem, to przejście musiałyby zaprowadzić go już na scenę.

– Gdzie jesteście? – zawołał, ale bał się podnieść głos. – Możecie mówić?

– Tutaj.

Wytrzeszczył oczy tak bardzo, że mogłyby wypaść z orbit. Rodzice nie tylko byli blisko – stali za nim. Odwrócił się z trudem i zobaczył, dlaczego ich minął. Matka miała na sobie cylinder i frak i skończyła

właśnie obracać łaskę, która przypominała przedłużenie jednego z powykręcanych palców, ojciec wylewał się ze starej kwiecistej sukienki, która nie zakrywała w całości jego różowawego stanika. Przebrali się, żeby wyleczyć Trenta z koszmarów z powodu przedstawienia teatralnego, które sobie przypomniał, ale sprawili tylko, że koszmary ożyły. Cofnął się przed nimi – przed ich woskowymi, przykrytymi warstwą szarego puchu twarzami i uśmiechami tak samo nieruchomymi jak oczy. Wpadł na coś nogami, ugięły się pod nim i chwiejąc się, usiadł na to.

– To twoje miejsce – powiedział ojciec ostatnim ruchem ust.

Trent spojrział w dół i zobaczył, że jest uwięziony w szkolnej ławce, w której ledwo się mieści. Po obu stronach od niego siedziały nieruchome dzieci, pokryte szarością jak ich biurko, łącznie z oczami. Między nim i jego rodzinami stał nauczyciel w todze i birecie. Niezupełnie nieruchomy prychnął na niego.

– Pan Bunnie. (2)

Trent sapnął zaskoczony, przypominając sobie, jak zawsze reagował nauczyciel, gdy zwracano się do niego po nazwisku, jakby to była obelga. Potem, w momencie olśnienia, które było jak latarnia w ciemności, zdał sobie sprawę, że może się bronić.

– To nie jestem ja – próbował powiedzieć spokojnie, ale stanowczo. – To jestem ja.

Ledwo mógł zmusić palce do manipulowania zamkami teczki. Przytrzymał zardzewiałe, metalowe guziki, dopóki zatrzaski nie ustąpiły, a zawartość torby nie wypadła na biurko. Przez sekundę wstrzymując oddech – jeśli jeszcze jakiś miał – Trent nic nie widział w półmroku, a potem zobaczył pół tuzina infantylnych, namalowanych kredkami rysunków domów.

– Zrobiłem więcej niż to – zaczął protestować. – Jestem kimś więcej. – Ale jego usta przestały się otwierać. Zdołał tylko podnieść głowę i nie wiedział, co jest gorsze: jego paraliż, troskliwe uśmiechy rodziców, czy uśmieszek nauczyciela, który zdawał się rozciągać tak,

że zajął całą twarz – uśmiezek, który zawsze oznaczał, że kiedy dziecko znajdzie się za szkolną bramą, rodzice już go nie ochronią. Mogła minąć wieczność, zanim światła – albo oczy Trenta – zgasły ostatecznie i nastąpiła ciemność.

(2) Bunnie – (ang.) Króliczek.

Robert Ziębiński (ur. 1978) – założyciel i pomysłodawca portalu Dzikabanda.pl, który jest jego oczkiem w głowie i małą życiową obsesją. Kiedy nie zajmuje się krzyżowaniem na pracowników i kłóceniem się ze współpracownikami, pisze (*Dżentelmen, 13 po 13*, opowiadania drukowane m.in. w „Nowej Fantastyce” i antologiach książkowych). Tę ostatnią czynność najczęściej przerywa mu dwuletnia córka, porywając laptopa. W poprzednim życiu pracował w różnych czasopismach i tygodnikach. Lubi o tym pamiętać i stara się robić wszystko, aby nigdy się to nie powtórzyło. Nakładem Wydawnictwa Replika ukaże się niebawem książka o Stephenie Kingu autorstwa Roberta Ziębińskiego.

Robert Ziemiński

KAROLINA

*Zostaw mnie w tym miejscu,
gdzie jestem nie na miejscu.*

„Indziej” Pablopavo

TU (I)

Obudził ją płacz dziecka. Znów zasnęła przed telewizorem w salonie. Siedziała w fotelu, owinięta szczelnie kocem. Między palcami prawej dłoni zwisał martwy papieros. Na podłodze uskładała się niezwykle symetryczna kupka popiołu. Mogłam umrzeć, pomyślała. Nie pierwszy raz, dodała od razu w myślach.

Płacz dochodził z sypialni na piętrze. Po głosie poznała, że to Marek, jej średni syn. Ostatnio dość często budził się w nocy z płaczem. Miał siedem lat, a Karolina przypuszczała, że potajemnie zaczął oglądać horrory i stąd biorą się jego nagłe przebudzenia. Potrafiła rozpoznać, kiedy dziecko coś przed nią ukrywa. Nauczyła się tego dzięki Maćkowi, jej najstarszemu synowi, który skończył właśnie czternaście lat. On co prawda zamiast horrorami wykazywał dość chorobliwe zainteresowanie pornografią, ale symptomy zawsze były takie same – nagłe wyłączenie monitora, gdy wchodziła do pokoju, lub szybkie uruchamianie programów tekstowych, które zasłaniały cały ekran. Marek robił to samo, ale

był za mały na filmy porno. Musiały więc to być albo horrory, albo jakieś okrutne kreskówki, którymi straszą się dzieciaki.

Przez jakiś czas myślała o tym, żeby założyć filtr rodzicielski na komputery chłopców, ale potem uznała, że nie miałyby to większego sensu. Maciek pewnie doskonale wiedziałby, jak to obejść, a w dodatku u kolegów i tak oglądaliby to wszystko, czego ona im zakazała.

Wchodząc po schodach, przyspieszyła kroku, mimo ogarniającej senny, bowiem płacz syna stawał się coraz bardziej natarczywy i donośny. Złapała się na tym, że wcale nie martwiła się, co mu się śniło, a bardziej obawiała się, że tak głośny płacz może zbudzić jej najmłodsze dziecko – niespełna dwuletnią Natalkę. Gdyby jeszcze miała zaczęła płakać, Karolina mogłaby zapomnieć o tym, że tej nocy uda jej się zasnąć.

Marek siedział na łóżku w ciemnym pokoju i zanosił się histerycznym szlochem, jego małe ciało drżało niczym rażone prądem. W takich chwilach żałowała, że jest tak płodna. Oczywiście od razu miała sobie za złe takie myśli, co jednak nie zmieniało faktu, iż często wydawało jej się, że bez dzieci jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Jak? Nie miała pojęcia. Ale inaczej. A może gdyby jej mąż nie odszedł, byłoby prościej i lżej? Może. Ale odszedł i to też się już nie zmieni.

Przytuliła synka i czule pocałowała w czoło. Małymi rączkami objął jej szyję i zaczął moczyć łzami włosy matki. Przyciskała go coraz mocniej do ciała, a on coraz bardziej do niej przylegał. Jej małe piersi zostały przez niego dosłownie rozgniecione. Chłopiec przestał krzyżeć. Teraz tylko łkał i zanosił się szlochem. Minął chyba kwadrans, zanim uspokoił się na tyle, żeby móc cokolwiek powiedzieć.

– Co się stało, kochanie? Coś ci się śniło?

Pokiwał potakująco głową.

– Coś strasznego?

Znów kiwnięcie.

Nie musiała o to pytać. Wystarczyło, że spojrzała w jego niebieskie oczy. Były przepełnione strachem.

– Nie bój się, nie bój. Mamusia już jest obok.

Chłopiec po raz kolejny kiwnął głową.

– Powiesz mamie, co ci się śniło?

Tym razem nie zrobił żadnego gestu. Powoli i bardzo delikatnie odsunął się od niej, po czym spojrzał w jej oczy. Wpatrywał się chwilę, by wreszcie wydusić z siebie jedno słowo:

– Twarz.

– Jaka twarz synku? Brzydka? Straszna?

– Nie.

Cisza.

Karolina także milczała. W takich chwilach lepiej milczeć. Syn w końcu zacznie mówić. A nawet jeśli nie, wyciągnięcie z niego na siłę informacji może spowodować, że znów wpadnie w histerię. Pod tym względem jej dzieci były do niej niezwykle podobne. Ona także na każdą próbę zmuszania jej do mówienia reagowała paniką. Czasami na złość innym jeszcze zamykała się w sobie. Ale częściej płakała i krzyczała.

Zamiast odzywać się do Marka, czule gładziła jego rączki. W końcu chłopiec przemówił.

– Pani mi się śniła, mamusiu. Pani bez buzi.

Pieprzone horrory, pomyślała.

– Nie bój się jej. To tylko sen, kotku. Przecież wiesz, że wszyscy mamy buzie. Nie ma ludzi bez buzi.

Marek obrzucił ją poważnym, dziecięcym spojrzeniem.

– Ale ona nie miała.

– Bo pewnie założyła maskę, wiesz. Pamiętasz maski, jakie z bratem czasem nosisz?

Pokiwał głową.

– No to ta pani też taką miała. Nie masz się czego bać, kochanie.

Karolina jeszcze raz mocno przytuliła synka.

– Nie bój się i spróbuj zasnąć.

Pokiwał głową.

– Ale ona nie przyjdzie po mnie?

– Nie. Nie przyjdzie, nie masz się czego bać. Spróbuj zasnąć, a mama będzie w pokoju obok. Jeśli znów coś straszego ci się przyśni, przyjdź do mnie do łóżka. Dobrze?

– Dobrze – odparł chłopiec. – Ale nie gaś światła.

– Nie zgaszę.

Marek położył główkę na poduszce. Karolina nakryła go kołdrą z Zygakiem McQueenem i wyszła z pokoju.

W salonie na parterze wciąż paliło się światło. Zanim się położy, będzie musiała jeszcze zejść i je zgasić. Najciszej jak tylko potrafiła zeszła po schodach i ruszyła w stronę kuchni. Tuż obok zlewozmywaka leżała paczka papierosów. Wyjęła jednego i zapaliła. Dochodziła pierwsza w nocy. Kobieta była zmęczona i otępiąta. Stojąc w miejscu, bezmyślnie zaciągała się papierosem. To była jej chwila wytchnienia i odpoczynku. Odkąd na świat przyszła Natalia, a Norbert odszedł do innej, tak najczęściej wyglądał jej relaks. Oczywiście kochała swoje dzieci. Tylko czasami wydawało jej się, że mogłyby być mniej absorbujące. Gdyby lepiej się zorganizowały i zajmowały sobą na zmianę, ona miałaby więcej czasu. Ale wiedziała, że to mrzonka i marzenie nie do spełnienia. No bo jak niemal nastolatek ma dogadać się z dzieciakiem, a siedmiolatek, który jest zapatrzony w starszego brata, ma normalnie traktować malutką siostrę. Mrzonka.

Z Maćkiem wpadła, gdy miała siedemnaście lat. Kończyli z Norbertem liceum. Sami byli dzieciakami. Ale mimo to jakoś dali sobie radę. Ślub wzięli, gdy młody miał już dwa latka, a rodzice, zamiast wyrzucić ich z domów i wykląć, pomagali, jak tylko mogli. Pięć lat później już w bardziej świadomych okolicznościach na świat przyszedł Marek.

Nawet nie zauważyła, kiedy otworzyła lodówkę. Na dolnej półce stała napoczęta już butelka białego wina. Karolina pocierała delikatnie palcem wystający z szyjki korek i wydawało jej się, że

butelka odpowiada jej cichym i niezwykle zmysłowym mruzeniem. Odłożyła palącego się papierosa do popielniczki i sięgnęła po kieliszek. Jeden przed snem. Żeby się odprężyć.

Natalia pojawiła się w ich życiu nagle. Przynajmniej w to zawsze będzie wierzyć jej były mąż. Prawda była jednak odrobinę inna. To Karolina zaplanowała Natkę. To ona przestała brać tabletki, nic nie mówiąc Norbertowi, i to ona chciała z całych sił tego dziecka. Natka miała uratować to, o czym Karolina wiedziała – lub bardziej czuła – że się kończy.

Norbert kogoś miał i wcale jej to nie dziwiło. Niby nic między nimi się nie zmieniło, ale ona to czuła. Dlaczego jej to nie dziwiło? Z prostego powodu. Wiedziała, że ten moment kiedyś nastąpi. W końcu pierwsze dziecko odebrało im tak naprawdę młodość i możliwość wyszalenia się. Zamiast chodzić na imprezy, pić do upadłego i bawić się w modnych knajpach, oni prali, prasowali tetrowe pieluchy i zajmowali się małym pulpetem, który boleśnie ząbkował i mocno dawał się we znaki.

Przez lata była pewna, że to raczej jej odbije. Że to ona będzie tą pierwszą, która zdradzi. Myliła się. I tak zaczęła zapominać o tabletkach.

Drugi kieliszek nalała sobie z rozpędu, bo nie schowała butelki do lodówki. Zapaliła kolejnego papierosa, oparła się o kuchenny blat i paliła w ciszy. Postanowiła, że wypije jeszcze jeden, zanim się położy.

Pół godziny później w sypialni na piętrze nawet nie zauważyła, kiedy zasnęła. Przed snem nie zajrzała nawet do stojącego obok łóżeczka Natalii.

TU (II)

Obudził ją krzyk Maćka, który miał pretensje do brata o to, że ten bez pozwolenia bawił się jego konsolą.

Przeciągnęła się w pustym łóżku i mając świadomość, że bracia nie zamilkną, póki ona nie zainterweniuje, szybko wstała.

Nowy dzień.

Dochodziła siódma rano. Jakimś cudem Natka jeszcze nie domagała się jedzenia. Karolina cieszyła się, że nie wypła więcej poza tymi trzema lampkami. Dzięki wieczornej wstrzeźliwości nie kręciło jej się teraz w głowie i nie miała kaca. Energicznie otworzyła drzwi do sypialni Maćka i kończąc awanturę, zabrała z niej pada do playstation.

– Albo będziecie cicho, albo żaden z was nie będzie grał! – powiedziała podniesionym, stanowczym głosem.

– Ale mammo... – zaczął Maciek.

– Żadne „mamo”. Umyć się, ubrać i zejść na dół na śniadanie. Dobrze, że nie obudziliście siostry.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, jak na zawołanie córka zaczęła krzyczeć: mama, mama.

– Szlag – syknęła pod nosem Karolina, po czym ciepło odpowiedziała: – Już idę, kochanie.

Natalia była idealnym dzieckiem. Przesypiała całe noce, nie płakała zbyt często i była bardzo pogodna. No chyba, że ktoś w nocy ją budził. Wtedy zaczynało się prawdziwe piekło.

Prawie dwuletnia dziewczynka uśmiechała się, stojąc oparta o szczebelki łóżeczka. Karolina nie pozwalała jej wychodzić samej, bo bała się, że kiedyś wybiegnie z pokoju i spadnie ze schodów. Podniosła ją, sprawdziła pieluchę – na szczęście sucho – po czym zapytała małą, czy ma ochotę na śniadanie.

– Tak – odpowiedziała poważnie.

Obie zeszły powoli po schodach, wcześniej przypominając chłopakom o szkole.

Mleko dla Natki, kanapki dla chłopców. Natalia piła z butelki, wychylając się ze swojego fotelika. Karolina spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma czterdzieści. Za pół godziny przyjedzie do niej siostra, która jak co dzień zaopiekuje się córką, podczas kiedy ona

odwiezie chłopaków do szkoły. Większość matek powtarzało jej, że Maciek mógłby spokojnie odprowadzać Marka, bo w końcu podstawówka i gimnazjum mieściły się w tym samym budynku, ale ona wolała nie ryzykować. W zamkniętym pomieszczeniu chłopcy potrafili się tak pobić, że kończyło się na wielkich siniakach i łzach jak grochy. Do czego zatem mogło dojść na środku ulicy?

Pięć dni w tygodniu jej poranki zawsze wyglądały tak samo. Z wyjątkiem ferii zimowych i wakacji. Pięć takich samych poranków poświęconych na użeranie się z trzema bestiami, których nie da się ujarzmić.

Kiedy w końcu przyjechała Renia, kuchnia jak zwykle wyglądała jak pobojuwisko. Natalia rozrzucała jedzenie, chłopcy wysmarowali stół masłem, a rozlane mleko przypominało jakiś abstrakcyjny obraz.

– Daj mi kwadrans – powiedziała Karolina.

– Masz dwa. Spokojnie.

– Przypilnuj, żeby Maciek i Marek spakowali drugie śniadanie, i zobacz, czy wzięli zeszyty.

– Idź się myć. Dam sobie radę.

W łazience Karolina oparła głowę o lustro. Potrzebowała minuty na to, aby zebrać siły i wejść pod prysznic. Kwadrans później, z niechlujnie zrobionym makijażem – przecież i tak nikt mnie nie zobaczy – i w ciuchach, które miała na sobie wczoraj, wróciła do kuchni.

– Gotowi?

Bracia równocześnie krzyknęli:

– Tak!

– To do samochodu. Wrócę za czterdzieści minut, zrobię jeszcze po drodze zakupy. Chyba że ci się spieszy?

– Spokojnie. Muszę być w pracy najpóźniej o dziesiątej.

Maciek, któremu nie podobało się to, że do szkoły zawozi go matka, zażądał, aby wysadziła go przecnicę przed budynkiem. Nie oponowała, bo doskonale go rozumiała. W sumie to cud, że

w swoim wieku zgodził się na poranne podwożenie, rezygnując z podróży autobusem z kumplami, którzy plotkowali głównie o pojawiających się w hurtowych ilościach stanikach koleżanek.

Zaprowadziła Marka do klasy i ruszyła na zakupy. Przez kolejkę przy kasie i głupią babę, która nie potrafiła zważyć owoców, wróciła do domu później, niż planowała. W progu Renia tylko machnęła jej ręką, powiedziała, że mała była grzeczna i pobiegła do pracy.

Gdy Karolina wkładała zakupy do lodówki, musnęła dłonią korek wystający z butelki wina. Na dnie została może jedna lampka. Wydawało jej się, że znów słyszy ten kojący, zmysłowy szept alkoholu.

To nieprawda, że jej każdy dzień wyglądał tak samo. Owszem, zajmowała się dziećmi, gotowała i sprzątała. Ale czasami, gdy Renia miała wolne popołudnia, udawało jej się wyskoczyć na wino z resztką koleżanek, z którymi jeszcze utrzymywała kontakt. Czasami chodziła do kina. No i wreszcie czasami uprawiała seks. Nigdy u siebie w domu. Zawsze u niego, kimkolwiek był. Spotykała ich w barze, w którym umawiała się z kumpelami. Zazwyczaj każdego z nich znała na tyle, że nie bała się pójść z nim do łóżka. Ale nie na tyle, żeby planować przyszłość. Po prostu zaspokajała potrzeby swojego ciała.

Norbert nie był jej pierwszym facetem, ale na pewno był facetem, z którym kochała się najczęściej. W końcu byli razem czternaście lat. Kiedy Natalia miała roczek, odszedł. Karolina wiedziała, że to nastąpi, i nie miała mu tego za złe. Inaczej wyobrażała sobie ich rozstanie. Miało być dramatyczne, pełne łez i gniewnych okrzyków. Tymczasem wszystko odbyło się w ciszy. I nikt nie płakał. Jej plan cudownego poczęcia spalił na panewce i została z trójką dzieci, wysokimi alimentami i domem, który utrzymywał były mąż. Dzięki temu była w tej komfortowej sytuacji, że nie musiała pracować, nie musiała zarabiać. Wystarczyło dać się zapłodnić trzy razy.

Natalia biegła po salonie, udając albo samolot, albo samochód ze skrzydłami, a Karolina dopiła resztkę wina z butelki. Zrobiła to tak, żeby córka niczego nie zauważyła. Udało jej się.

Kilka godzin później trójka jej pociech zasypiała, a ona paliła papierosa w salonie. Od urodzin Natalii nie oglądała telewizji. Wpatrywała się w wiszący na ścianie czarny ekran.

TU (III)

Obudziła ją cisza. A przynajmniej przez moment tak jej się wydawało. Trwała kilka sekund, zanim na korytarzu nie eksplodował hałas. Natalia tej nocy spała niespokojnie. Wierciła się w łóżeczku, mówiła przez sen, przebudzała się. W końcu Karolina położyła ją obok siebie i zasnęły wtulone. Karolina także źle spała. Męczyły ją koszmary. W dodatku długo nie mogła zasnąć, bo miała wyrzuty sumienia o to, że przespała się z żonatym facetem. Okłamał ją, fakt. Ale mogła się tego domyślić. W końcu jak facet bierze cię do hotelu, zamiast do domu, mimo że mieszka w tym samym mieście, to oznacza, że ma coś do ukrycia. O tym, że jest żonaty, dowiedziała się od koleżanki. Przestała odbierać, gdy dzwonił. Wiedziała, co czuje zdradzana kobieta, i nie miała ochoty nikomu tego fundować. Nie mogła się pochwalić jakąś niebywale długą listą podbojów, ale nie sądziła, że czwarty facet, z którym się prześpi od czasu rozvodu, będzie akurat żonaty.

Zapewne przez to była tak rozdrażniona od rana. Zauważyła to Renata, zauważył i Maciek, który przytomnie kazał jej zwolnić przed skrzyżowaniem.

Gdy wróciła do domu, była tak bardzo na siebie zła, że postanowiła zrobić coś, czego nie robiła od lat. Ostatnio całe napięcie, jakie kumulowało się w niej, rozładowywała piciem wina. Nie piła dużo, ale piła. Kiedy zorientowała się, że już rano zdarza jej się słyszeć zmysłowy szept butelki, postanowiła to ograniczyć. I choć miała ogromną ochotę sięgnąć po sprawdzony środek,

zamiast tego usadziła Natalię przed telewizorem, a sama przymknęła drzwi do kuchni, zamknęła oczy i zniknęła. Nie dosłownie. Ale w głowie. Kiedy kłóciła się z Norbertem, a robiła to, bo byli normalnym małżeństwem, i zaczynało jej brakować argumentów, zamiast kontynuować awanturę, zamykała się w pokoju i starała się nie myśleć o niczym. Zniknąć. Trochę czasu zajęło nauczenie się absolutnego wyłączenia się, ale w końcu odniosła sukces. Wtedy dla kompletnego wyciszenia potrzebowała kwadransa, czasami pół godziny. Gdy wracała z „pustego pokoju”, jak zwykła nazywać miejsce, do którego wówczas wędrowała, była przepełniona spokojem i ciszą.

Teraz w kuchni postanowiła wrócić do „pustego pokoju”. Z salonu dobiegał ją dźwięk programu dla dzieci, ale skutecznie go zignorowała.

TAM (I)

Nie ma niczego. Dopiero po długiej chwili z pustki wyłaniają się białe ściany. Nawet nie białe. Są sine. Ma otwarte oczy i ta sina biel boli. Musi minąć sporo czasu, zanim jej wzrok przyzwyczai się do bólu. Poza ścianami nie ma niczego. Nie jest pewna nawet, czy ściany, które widzi, istnieją. Mogą być wytworem jej wyobraźni, która próbuje nadać kształt nicości. Bo tak wygląda nicość. Kompletna pustka. Przed długi czas wydawało jej się, że po „pustym pokoju” nie można się poruszać. Że można w nim tylko trwać. Jakby był czymś na kształt jeszcze gęstszego Morza Martwego. Tak gęstego, że po wejściu do niego jedyne, co możesz zrobić, to stać w miejscu. Trwać. I trwała tak bez ruchu przez długi czas. Nawet nie pamiętała, kiedy zorientowała się, że po „pokoju” można się poruszać. Że z każdym jej krokiem jego objętość się powiększa. Idealna pustka rozszerzała swoje granice w nieskończoność, a ona mogła w nieskończoność po niej podróżować. Cisza, spokój i błogość. Łapała się na myśleniu, że

gdyby było to możliwe, zostałaby tu na zawsze. Ale nie mogła. Kiedy to sobie uświadamiała, powoli do jej uszu zaczynały dobiegać odgłosy rzeczywistości. Samochody przejeżdżające za oknem. Słowa, które ktoś wypowiadał w domu. Czasami odgłos dzwoniącego telefonu. Albo, tak jak teraz, płacz dziecka.

TU (IV)

Minęło pół godziny, odkąd trafiła do „pustego pokoju”. W rzeczywistym świecie bajka, którą oglądała Natalia, zdążyła się skończyć i dziewczynka próbując puścić sobie inną, potknęła się o szafkę i wywróciła. Leżała rozplaszczona na podłodze, kiedy Karolina weszła do pokoju. W dłoni miała ścisnęła płytę DVD.

– No co się stało, kochanie? – zapytała córkę, podnosząc ją z podłogi. – Złapałaś zająca? Nie martw się, mamusia ucałuje.

Dziewczynka przestała płakać. Mama wyjęła z jej rączki płytę i włożyła do odtwarzacza. Pokój wypełniła melodyjka zwiastująca początek disnejowskiego „Kubusia Puchatka”.

– Buś, Buś! – krzyczała ucieszona Natka.

Karolina wróciła do kuchni. Nie czuła potrzeby powrotu do „pustego pokoju”. Dał jej wszystko, czego potrzebowała. Wyciszona i spokojna zajęła się przygotowywaniem obiadu dla dzieci. Zadzwoniła do koleżanki, z którą chwilę poplotkowała o niczym. Wieczorem wypija kilka lampek wina i zasnęła. Tym razem dzieci były spokojne i dały jej się wyspać. Zanim zasnęła, pomyślała o tym, że musi częściej się wyłączać. Że wizyta w „pustym pokoju” robiła jej dobrze. Bo zawsze, gdy było źle, robiła jej dobrze. Tylko na jakiś czas Karolina o tym zapomniała.

TAM (II)

Jej pierwszy raz? Ryczała. Nie pamiętała, o co się pokłócili, zapewne o coś błahego, ale emocje wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem. Trzasnęła drzwiami od sypialni, położyła się na łóżku i zaczęła płakać. Łzy wylewały się z jej oczu gorącym strumieniem, którego nie potrafiła zatrzymać. Nie chciała się kłócić. To było jednak silniejsze od niej. Zapragnęła zniknąć. Na chwilę, nie na zawsze. Trafić do takiego miejsca, w którym nie będzie niczego i niczego nie będzie czuła. Gdzie znikną złe myśli i nie pojawią się dobre. I wtedy to się stało. W jej głowie pojawił się „pusty pokój”. Wtedy jeszcze go tak nie nazywała. Wtedy była przerażona bielą i pustką. Pomyślała, że gdyby była wierząca, tak zapewne mogłaby wyglądać otchłań świętego Tomasza z Akwinu. Idealnie puste miejsce pozbawione Boga. Miejsce, do którego trafiają dusze nieochrzczonych dzieci. Ale ona nie wierzyła w Boga. A pustka, mimo że zdawała się przerażać, ukoiła ją i sprawiła, że w rzeczywistym świecie łzy przestały żłobić kanaliki w jej policzkach. Została w „pustym pokoju” blisko kwadrans. Gdy go opuściła, wyszła z sypialni i przeprosiła Norberta.

TU (V)

Obudził ją deszcz uderzający o parapet. Była sobota. Na zewnątrz lało jak z cebra. Natka kwiliła w łóżeczku, bawiąc się pluszowymi zabawkami, które układała tak, jakby miały zaraz usiąść do stołu i zjeść śniadanie. Karolina zwlekła się z łóżka, ale zanim zeszła na dół, poprosiła chłopców, żeby przypilnowali siostry.

Czuła ogromną potrzebę zapalenia papierosa. Nie paliła w sypialni. A przynajmniej nie wtedy, kiedy była w niej Natalia. Dlatego kobieta szybko zbiegła po schodach, otworzyła okna w kuchni i sięgnęła po paczkę fajek. Czuła, że coś ją męczy od środka, że wypełnia ją jakiś niepokój. Znała te symptomy. Niebawem stanie się nieznośna dla otoczenia. Będzie kłótniwa, opryskliwa i złośliwa. Zacznie mówić rzeczy, których nie myśli i nie

czuje, tylko po to, by dopiec tym, którzy znajdują się w jej pobliżu. Najczęściej w takich sytuacjach obrywają dzieci, ale siostra, koleżanki i reszta rodziny także nie powinni czuć się bezpiecznie.

Te napady złości pojawiły się po rozwodzie. Miewała je wcześniej, ale w jakiś sposób potrafiła nad nimi panować. Zdusić w sobie, pozbyć się ich w „pustym pokoju”. Jednak od czasu odejścia Norberta przestało jej zależeć na wyciszaniu się. W końcu w dniu, kiedy sąd orzekł, że nie są już mężem i żoną, postanowiła, że nigdy, ale to nigdy nie robi czegoś tylko po to, by kogoś zadowolić. Że teraz stawia tylko na siebie.

Ale z trójką dzieci na karku to akurat było trudne do wykonania. Nie miała dla siebie tyle czasu, ile chciała mieć. Nie poznała nikogo, kto by ją zainteresował na tyle, żeby przedstawić go swoim dzieciom. Czasami odnosiła wrażenie, że niewiele w życiu potrafi. Że całkiem nieźle wychodzi jej opiekowanie się dziećmi, ale poza tym nie ma specjalnych talentów. Gdyby Norbert nie płacił alimentów, musiałaby pójść do pracy, ale jakiej – nie miała pojęcia. Bo przecież nigdy tak naprawdę nie pracowała. Cudem udało jej się skończyć liceum. Na studia już nie poszła, bo Maciek trochę chorował. Zresztą i tak nie miała pojęcia, jaki kierunek wybrać. Tkwiała więc w domu, który przez lata zmieniał się z pokoju u teściów w małe dwupokojowe mieszkanie w bloku, by w końcu stać się wielką willą, której utrzymanie kosztuje majątek. Całe szczęście Norbert go posiadał.

Mniej więcej w momencie, gdy przeprowadzali się do domu, w którym teraz mieszkała, przestała marzyć. Planować, owszem, planowała. Wymyślała rodzinne wakacje, wycieczki, wybierała szkoły dla dzieciaków, wynajdywała im zajęcia pozalekcyjne. Ale nie miało to nic wspólnego z marzeniem. Tym stanem, w którym człowiek pozwala ulecieć swoim myślom tak daleko, jak to tylko możliwe. A one, uwolnione, tworzą własną wersję rzeczywistości. Przestała marzyć, bo jej myśli zaczęły pokazywać obrazy, które wcale nie były przyjemne i miłe. Prezentowały dom bez dzieci,

życie bez męża. Inny świat, w którym była przebojową i uśmiechniętą kobietą z małym tatuażem na plecach i pełną pewności siebie. Nie podobała się jej ta osoba, więc postanowiła o niej zapomnieć. Wybrała „pusty pokój” i przestrzeń wypełnioną niczym.

TAM (III)

Chodzi o to, żeby nie być. Tak brzmi jedyna zasada, jaką rządzi się „pusty pokój”. Podobała się jej. Bardzo. Kiedy nauczyła się chodzić po „pokoju”, jej wizyty w nim zaczęły się wydłużać. Szła przed siebie, skręcała w prawo, w lewo, a pustka dookoła wciąż się powiększała. Była nieskończona, a ona uwielbiała się w niej zatracać. Czasami wydawało jej się, że mogłaby zostać tu na zawsze. Ale poza „pokojem” było życie, pieluchy, podręczniki, mąż. Więc wracała. Niechętnie, bo pobyt w rzeczywistości szybko niszczył błogość, jaką osiągała w „pokoju”. Tu nikogo nie musiała spotykać. Tu nikt nic do niej nie mówił i nikt niczego od niej nie chciał. Nie musiała martwić się tym, czy kogoś krzywdzi, ani tym, że ktoś ją skrzywdzi. Idealny stan ducha.

TU (VI)

Obudził ją SMS od żonatego faceta. Najwidoczniej gość nie miał zamiaru odpuścić. Po raz kolejny obiecywał jej, że odejdzie od żony, wynajmie mieszkanie i będzie chciał „nauczyć się jej na pamięć”. Niedoczekanie twoje, powtarzała w myślach. Od dłuższego czasu przestała mu odpowiadać. Napisała kilka razy, że związek z nim jej nie interesuje, że nie potrafiłaby być z kimś, kto ją oszukał i tyle. Od tamtej pory kasowała przychodzące od niego SMS-y. Ale on pisał. Mijały kolejne dni, a on stawał się coraz bardziej natarczywy. Zdarzało się, że wieczorami wypisywał do niej obelgi, wyzywając

od kłamliwych kurw, które dają dupy każdemu napotkanemu facetowi na ulicy.

Rozważała nawet zgłoszenie tego na policję, ale wybiła sobie to z głowy. Bo co by to dało? Nie miała siły z nim walczyć. Po prostu nauczyła się go ignorować. Ale w chwilach takich, jak te, gdy nad ranem pisał do niej, że odszedł od żony i chce być tylko z nią, nie potrafiła go zignorować. Czuła się zaszczuta i samotna. Nie rozumiała, co ten człowiek w niej widział i czego od niej chciał. Spali ze sobą tylko raz (no dwa, ale jednej nocy), spędzili miły wieczór, nad ranem uciekła do domu i tyle. Owszem, to był dobry seks, bardzo dobry, ale nie miała zamiaru dla seksu zmieniać swojego życia.

Dzieci jeszcze spały. Znów zeszła do kuchni i zapaliła papierosa. Przy zlewie stał kieliszek białego wina, którego nie dopiła w nocy. Wychyliła resztkę jednym łykiem.

Dlaczego takie rzeczy muszą spotykać zawsze mnie, zastanawiała się. Dym rozgościł się w jej płucach, dając chwilowe wytchnienie. Dolała sobie do kieliszka resztę wina, jaka została w butelce, i usiadła przy stole. Dochodziła piąta rano. Dzieciaki obudzą się za jakieś półtorej godziny. Cisza i spokój zostaną zamordowane przez wrzask, odgłosy gier wideo i dialogi płynące z telewizora. Karolina zakręciła kieliszkiem, patrząc, jak wino osiada na ściankach. Zgasiła papierosa i sięgnęła po następnego. Zaciągnęła się mocno, po czym zamknęła oczy. Oddychała powoli i nie myślała o niczym. Na wszelki wypadek, gdyby jej nachalny adorator postanowił napisać coś jeszcze, wyciszyła telefon.

TAM (IV)

Sina biel dała jej tak potrzebne wytchnienie. Karolina wyciągnęła przed siebie ręce, chcąc dotknąć otaczających ją ścian, ale te odsunęły się. Uśmiechnęła się i pobiegła przed siebie. Pustka otaczała ją niczym ciepła puchowa kołdra. Była bezpieczna. Nie

miała pojęcia, jak długo biegła. Kwadrans, może dłużej. Tutaj nigdy nie odczuwała zmęczenia. Po prostu pędziła tam, gdzie tylko niosły ją nogi. I nie przeszkadzało jej, że nie mija żadnych krajobrazów i nie spotyka ludzi. Kiedy podróżowali na wakacje całą rodziną, uwielbiała przyglądać się innym. Uwielbiała zmieniające się za oknem widoki. Odkrywanie innych światów. Ale tutaj nie czuła takiej potrzeby. Wystarczył jej sam bieg przez siną biel oraz świadomość, że nic jej nie ogranicza. Rozpływała się w tym stanie. Kiedy znudziło się jej bieganie zatrzymała się, usiadła na podłodze, o ile można było nazwać to coś podłogą, i zaczęła dotykać swoje ciało. Nie było w tym nic erotycznego i seksualnego. Głaskała swoje ramiona, twarz, szyję i malutkie piersi, nie po to, aby sprawić sobie przyjemność, ale po to, by nic nie czuć. Dotykać się dla samego dotyku, a nie jego konsekwencji. Trwać w błogości, jaką daje absolutna pustka. Jej dłonie przesuwają się po ciele, gubiąc się w krągłościach i krzywiznach. Chciała, aby ta chwila trwała wiecznie. Aby nigdy się nie skończyła...

HUK

... ale pokój nagle zniknął.

TU (VII)

Natalia płakała głośno, jak nigdy dotąd, a Karolina doskonale wiedziała, co się stało. Chłopcy musieli wyjąć ją z łóżeczka, a ona zamiast się z nimi bawić, postanowiła zejść do mamy do kuchni. Karolina wpadła w panikę. Wypalony papieros tkwił w jej dłoni. Wrzuciła go do popielniczki. Spojrzała na zegarek. Dochodziło wpół do ósmej. Odjechała na prawie trzy godziny. Wepchnęła telefon komórkowy do kieszeni piżamy i pobiegła w stronę schodów.

Natka leżała przewrócona na plecy na półpiętrze. Nad nią pochylali się bracia. Dziewczynka zawodziła z bólu. Kobieta pokonała kilka schodów dwoma susami i stanęła obok córki.

Wydawało jej się, że coś widzi. Kątem oka, na ścianie nad głowami chłopców. Spojrzała w ich stronę jeszcze raz. Niczego tam nie było. Za to Maciek i Marek krzyknęli i uciekli do swoich pokojów.

To pewnie ich wina. Musieli ją popchnąć, pomyślała. Ale nie miała czasu na zastanawianie się. Natalia próbowała się podnieść, ale jej ciało wciąż opadało na podłogę.

– Spokojnie, córciu – powiedziała, próbując nadać swojemu głosowi najcieplejszy ton, na jaki było ją stać. – Nie podnoś się. Mamusia cię podniesie. Ciii...

Wyciągnęła rękę w stronę małej i wtedy znów jej się coś przewidziało.

Karolina miała wrażenie, że na schodach widziała srebrzystą, szeroką nitkę. Nawet nie nitkę, a coś na kształt maleńkiego, górskiego potoku, który spływa w dół, a w jego nurcie odbijają się srebrne refleksy.

Zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, strumień zniknął.

Usłyszała kolejny huk. Tym razem dobiegał z pokoju chłopców. Trzaskali czymś ciężkim, krzyżąc przy tym histerycznie.

Pochyliła się nad Natalią. Córka przestała płakać. Teraz przyglądała się jej matowym wzrokiem. Karolina znów zamknęła i otworzyła oczy. Wydawało się jej, że przez twarz Natalii przepływa srebrzysty strumień.

Gdy uniosła dziewczynkę, potok zniknął.

Zrobiła pierwszy krok w górę schodów...

TU I TAM (I)

I wtedy nagle to zobaczyła.

Siną biel.

Powoli wypływała spod szpar między drzwiami a progiem. Zaczynała pokrywać ściany. Gdy Karolina wspinała się po schodach, sina biel ocierała się o jej stopy. Czuła, jak łaskocze.

TU (VIII)

Chłopcy barykadowali drzwi do pokoju Maćka. Nie mogli pozwolić, aby matka do nich weszła. Zarzucali drzwi najcięższymi przedmiotami, jakie tylko mieli pod ręką.

Wkładali w swoją pracę całą energię, jaka drzemała w ich ciałach, ale czuli, że to i tak nic nie da. Matka i tak tu wejdzie.

TAM (V)

Nie było nic.

TU I TAM (II)

Hałas dochodzący z pokoju Maćka nie cichł. Pewnie teraz się biją i kłócą o to, kto jest winny, pomyślała. Ale to już jej nie obchodziło. Niosła na rękach swoją małą dziewczynkę, która wciąż patrzyła na nią tępym wzrokiem. Sina biel wypełniała dom. Teraz Karolina wiedziała, że to nie złudzenie. Że ona tu jest. Że wyszła razem z nią z „pustego pokoju”

U szczytu schodów obejrzała się przez ramię. Parter został już w całości pochłonięty przez siną biel.

Drzwi do jej sypialni także w niej tonęły.

Małe nitki sinej bieli powoli oplatały się dookoła kostek Natalii.

Chłopcy wciąż hałasowali. Ale to już niedługo potrwa.

Idąc w stronę pokoju, spojrzała w wiszące na ścianie lustro.

Krzyknęła.

A potem poczuła, że po policzkach spływają łzy.

Poczuła, bo w lustrzanym odbiciu nie widziała swojej twarzy i ciała.

Z lustra wyzierała pustka.

Kazimierz Kyrz Jr (ur. 1970) – pisarz, poeta, recenzent. Publikował na łamach wielu pism oraz w antologiach zbiorczych. W 2009 roku na podstawie opowiadania, które napisał z Łukaszem Śmigłem, powstał anglojęzyczny film *Head to Love* wyreżyserowany przez Amerykanina Vana Kassabiana. Współautor (razem z Robertem Cichowlasem) zbioru opowiadań *Twarze Szatana*, jak również powieści *Siedlisko*, *Koszmar na miarę* i *Efemeryda*. Wspólnie z Dawidem Kainem opublikował zbiory opowiadań *Piknik w piekle*, *Horrorarium* i *Chory, chorszy, trup*. Najnowszy zbiór *Lęk na lęk* powstał we współpracy z Łukaszem Radeckim. Niedawno ukazał się powieściowy debiut Kyrza, zatytułowany *Podwójna pętla*.

Kazimierz Kujcz Jr
Skorodowany

Jeśli podczas spaceru w Człopie nadepniesz na coś brązowego, zazwyczaj nie jest to psia kupa, lecz kawałek kory. To jeden z powodów, dla których co roku spędzam tu wakacje. Drugi jest taki, że urodziłem się właśnie w tym miasteczku. Nostalgia? Czemu nie?

Możliwe, że mieliście szczęście omijać podobne miejsca szerokim łukiem. Albo pecha. Bo wbrew pierwszemu wrażeniu, jakie wywiera na przyjezdnych, czy raczej jego braku, Człopa ma do zaoferowania całkiem sporo. Zarówno dobrego, jak i złego.

Wygląd większości domów zdaje się sugerować, że ich właścicielom nie wiedzie się szczególnie. Popękane, wyblakłe od słońca dachówki, szare zacieki przy oknach, wydane na pastwę wiatru zamknięte drzwi... Mimo wszystko tutejsi na ogół nie stronią od uśmiechów. Zupełnie jakby posiadli tajemną wiedzę, która wzmacnia optymizm.

Niestety ze mną nikt się nią nie podzielił.

• • •

Zbliżała się pora obiadowa, lecz nie czułem głodu. Miałem na głowie coś znacznie ważniejszego – martwienie się o swoje życie. Jechałem właśnie ze szpitala powiatowego w ponurym, by nie powiedzieć, że grobowym, nastroju. Całkiem niedawno zaczęło łamać mnie w kościach, a przecież lato to nie pora na gripę. Poza

tym ni z tego, ni z owego zemdlałem. Objawy były na tyle niepokojące, że postanowiłem wybrać się do lekarki.

– Fatalnie – zawyrokowała, przeglądając wydruki z wynikami morfologii i OB. – Zdaje się, że ma pan raka.

– Raka? – Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. – Jakiego raka?
– Dotąd stykałem się jedynie z rakami, które jako dziecko łapałem w jeziorze.

– Żeby to stwierdzić, potrzeba dodatkowych badań.

Ustaliłem w rejestracji termin kolejnej wizyty, wsiadłem do octavii i obrałem kurs powrotny na Człopę. Znajome widoki prześlizgiwały mi się przed oczyma niczym blaknąca kalkomania, coś ledwie realnego...

Ze stuporu wyrwał mnie jakiś ruch przed maską. Zwolniłem gwałtownie i zatrzymałem się z piskiem opon. Dopiero wtedy zorientowałem się, na co patrzę. Na chłopaka kiwającego się na pasach. Zamrugałem kilka razy, przygotowując się do dalszej jazdy, ale dzieciak zamiast skończyć przemarsz przez ulicę, dał krok do tyłu. Potem dwa do przodu i znów jeden do tyłu. Zatrąbiłem, co nie skłoniło gnojka do przerwania błazenady. Niewiele się namyślając, wyskoczyłem z auta. Widząc, na co się zanosi, dowcipniś odwrócił się, kangurzym susem przesadził rów i pognął na łąkę. Pewnie odpuściłbym, gdyby nie napędzana strachem wściekłość, która buzowała we mnie od rozmowy z lekarką. Pobiegłem więc za małolatem. Sto, może dwieście metrów dalej chłopak potknął się i wyłożył jak długi. Już miałem potraktować go słusznym kopem, kiedy przyszło opamiętanie. Gnój to gnój; nie jego wina, że jest debilem.

– Coś nie tak z twoim instynktem samozachowawczym? – spytałem więc tylko.

– A co z twoim? – odburknął, wstając.

– Nie pogrywaj w chuja z losem, tłuiku! – wrzasnąłem, dla podkreślenia swoich słów spluwając na jego pryszczatą gębę.

Tym razem chłopak nie odpowiedział. Starł plwocinę z policzka i czerwony jak burak pomaszerował przed siebie.

Patrząc na jego malejącą sylwetkę, wyjąłem z kieszeni paczkę, po czym zapaliłem. Zaciągnąłem się mocno, łapczywie, jednak dym, który zazwyczaj przyjemnie drażnił gardło, dziś nie smakował. Jeśli rzeczywiście mam raka, mogłem sobie pogratulować głupoty, bo sam go na siebie sprowadziłem. Oto ja. Magister idiota.

Nie zastanawiając się nad tym, co robię, upuściłem i rozdeptałem ledwie zaczętego papierosa. Na dziś wystarczy. Może i na zawsze.

•••

Bar okupowała stała ekipa z uporem dążąca do zniszczenia wszystkich zapasów alkoholu na planecie Ziemia. Trochę im kibicowałem, trochę pomagałem, ale oglądając te przepite mordy, najczęściej zastanawiałem się, jak to możliwe, że dorastając wśród nich zdołałem dostać się na studia i skończyć je z wyróżnieniem. Zapewne pomogła odziedziczona po matce inteligencja, choć nie bez znaczenia była też odrobina szczęścia i spryt, który kazał mi trzymać się z dala od różnego rodzaju Kasiek, Tomków i innych pozbawionych ambicji rówieśników.

Co nie zmienia faktu, że lubię posiedzieć wśród tej zgrai, szczególnie że sjesta trwa tu cały dzień niezależnie od pory roku i tego, kto aktualnie ma większość parlamentarną.

Wsparłem się łokciami o niezbyt czysty kontuar i zamówiłem duże jasne.

Nie minął nawet kwadrans, a siedzący opodal Klaus grzmotnął pustym kuflem o blat stołu, co było tutejszą wersją prośby o ciszę. Po sławnym imienniku Kinskim Klaus odziedziczył nie tylko przekonanie o swej wyjątkowości czy skłonność do nadużywania napojów wyskokowych, ale i zamiłowanie do wszczynania pijackich burd, tak więc obecni w barze natychmiast umilkli.

– Rano przyuważyłem Szkopa – obwieścił Klaus, złowieszczym spojrzeniem szachując jednego tubylca za drugim. – Popierdalał na

ten ichniejszy cmentarz, ten za lasem...

– Może chciał położyć kwiaty na grobie swojej starej? – zgadywał Felek, ścierając dłonią pot z łysiny.

– Gówno, nie kwiaty! – warknął Klaus. – Nie miał przy sobie żadnych kwiatów!

– Albo się pomodlić... – Nie ustępował łysy.

– Zamknij mordę, cwelu! – Zdenerwował się imiennik Kinskiego.

– Poszedłem za nim, żeby sprawdzić, co knuje. I wiecie co?

Tym razem nikt się nie odezwał.

– Ten drań wyciągnął z reklamówki saperkę! – wykrzyknął z triumfem detektyw-amator. – Rozejrzał się, czy nikt go nie obserwuje, i jak nie zacznie kopać!

Po knajpie poniósł się szmer słusznego gniewu. Kopać w ziemi ojców?!

Co prawda wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że po wojnie wspomniani ojcowie sami traktowali okoliczne groby jak skarbonki, wyciągając z nich złote zęby, obrączki czy eleganckie zegarki. Jednak co innego, jak my im, a co innego, jak oni nam. Nie godzi się i tyle!

Klaus długo milczał, upajając się wrażeniem, jakie wywarł na słuchaczach. Wreszcie, uznawszy, że pora na puentę, znów stuknął kuflem o stolik. Tym razem znacznie słabiej. Mimo to osiągnął zamierzony efekt. Żulerka gapiała się na niego, gotowa spijać mu słowa z ust. Każde, nawet najgłupsze.

– Kiedy wykopał dziurę na jakieś pół metra, wyciągnął z niej garnek, a w nim...

W pomieszczeniu dałoby się w tym momencie usłyszeć brzęczenie muchy, gdyby któraś nieopatrznie zdecydowała się na lot.

– A w nim... były trzy czy cztery kamienie i jakieś szmaty! – dokończył Klaus. – Jak Szwab to zobaczył, złapał się za serducho i pierdut na glebę!

– No i co? Co dalej? – Nie wytrzymał Felek.

– Ano nic. – Klaus wzruszył ramionami, momentalnie tracąc zainteresowanie swą opowieścią. – Naprzód chciałem spuścić

gościowi łomot, ale pomyślałem, że jak leży, to nie będę sobie rąk brudził!

Trzeba wam wiedzieć, że urodziłem się na terenie tak zwanych Ziemi Odzyskanych lub – jak kto woli – poniemieckich. Przez pięćdziesiąt lat po porażce Hitlera nikt nie stawiał tu nowych budynków. Raz, że te, które już były, nadal nadawały się do użytku, a dwa, że panowało powszechne przekonanie, że Niemcy wrócą i upomną się o swoje. W pewnym sensie te obawy spełniły się, bowiem z chwilą, kiedy znów trafiliśmy do Europy, Niemcy rzeczywiście odzyskali część majątków. Na szczęście dla nas ten proces obył się bez rozlewu krwi czy rażących naruszeń protokołu dyplomatycznego. Wystarczyły pieniądze.

Jakie czasy, taka wojna.

• • •

Historyjka Klausa najpewniej nie była niczym innym, jak majakami zrujnowanego przez alkohol umysłu. Skoro jednak wkrótce miałem przeprowadzić się na cmentarz, postanowiłem wcześniej wybrać się tam na mały rekonesans.

Zapłaciłem, zostawiając pięćdziesiąt groszy napiwku, i skierowałem się do auta.

Moja octavia zadziwiająco dobrze znosi dziury i wykroty, lecz co za dużo, to niezdrowo. Zostawiłem ją więc przy rozwidleniu dróg i na piechotę ruszyłem do skupiska niezbyt wysokich, za to blisko ze sobą sąsiadujących drzew. Kilka minut później, gdy wszedłem między ukryte wśród nich groby, przystanąłem, przyzwyczajając oczy do panującego wokół półmroku.

Ciemnozłociste smugi przebijały się przez listowie, tworząc na ziemi tajemnicze wzory. Odczytanie tych cmentarnych hieroglifów postanowiłem zostawić zawodowcom, sam zaś skupiłem się na otulającym kwatery grzebalne bluszczu, który – jak podejrzewałem – czyhał jedynie na dogodny moment, by opleść moje nogi i uniemożliwić ucieczkę.

Ucieczkę przed kim, przed czym?

Przed samym sobą? Przed przeznaczeniem?

Wbrew pozornemu spokojowi tego ustronia, czułem nieokreślone napięcie, jakby coś baczenie przypatrywało się moim poczynaniom. Choć wyszczerbione murki i korony starych drzew stanowiły doskonały parawan, daleki byłem od dziecięcej wiary, że jeśli ja kogoś nie widzę, ten ktoś nie widzi też mnie. Efekt był taki, że pomimo panującego wokół dusznego upału, macki chłodu wędrowały mi po plecach. Można by pomyśleć, że pokruszone nagrobki zamiast z piaskowca czy granitu, zostały wykonane z jakiejś wchłaniającej ciepło substancji.

Przezwyłączając narastający niepokój, podszedłem do metalowego krzyża, który kiedyś się ułamał i teraz spoczywał u mych stóp. W krzyż wrosła figurka anioła pokryta grubą warstwą rdzy. Schyliłem się i podniosłem ją. Niepotrzebnie, bo zanim zdążyłem przyjrzeć się znalezisku, anioł stał się tak ciężki, że wysliznął mi się z ręki. Zagłębił się w dywan mchu, pozostawiając na mej dłoni brązowy ślad. Wytarłem ją o dzinsy, niestety, jedyne co osiągnąłem, to to, że rdzawa smuga stała się szersza.

Powinienem wtedy zawrócić, oczywiście, że tak. Zamiast tego poszedłem dalej, w głąb nekropolii, skanując wzrokiem otoczenie w poszukiwaniu mężczyzny, o którym opowiadał Klaus. Nic z tego. Widziałem wyłącznie zdewastowany cmentarz, zarośnięty i opuszczony.

Nagle spałem się w sobie, słysząc suchy trzask nadepniętej gałązki. Spojrzałem w stronę, z której – jak mi się wydawało – dobiegł dźwięk.

Czy przypadkiem ktoś się tam nie czai, ukryty wśród krzaków? Czy to gra wyobraźni, czy rzeczywiście wśród zieleni dostrzegłem zarys ludzkiej sylwetki?

Sztywnym, niemal mechanicznym krokiem postać zbliżyła się do mnie. Wtedy przekonałem się, że nie była człowiekiem. A przynajmniej nie tylko nim.

Z jej ramion wyrastały skrzydła.

Mimowolnie wyobraziłem sobie, że oto do mojego umysłu przeniknął rakowy koń trojański. O ile oczywiście nie było go tam już wcześniej, czego przecież nie mogłem wykluczyć.

Posąg, łudząco podobny do figurki anioła, którą przed chwilą upuściłem, postąpił parę kroków, błogosławiąc wszystkiemu, co umarło, wysoko uniesionymi do góry rękoma. Rdza w różnym stopniu skorodowała jego powierzchnię; były miejsca niemal nią nietknięte i takie, w których wyżarła dziury wielkości jabłka. Nie zważając na toczący je rozkład, dziwadło wpatrywało się we mnie z intensywnością celownika laserowego.

Nic przyjemnego, zaręczam. Kto lubi być wystawionym na strzał?

Nie należę do tchórzy, jednak na widok tego stwora zapragnąłem dać nogi za pas.

Marzenia. Zanim zdążyłem choćby drgnąć, jakaś niepojęta siła sprawiła, że moje mięśnie zeszywniały na kamień. Mogłem jedynie stać i czekać, aż stwór... przemówi do mnie.

– Urodziłeś się po to, by umrzeć. Umrzesz, by śnić. – Choć nie otwierał ust, jego głos brzmiał potężnie niby pracujący na pełnych obrotach kombajn górniczy.

– Ja... – wykrztusiłem z trudem. – Ja nie chcę!

– Twoja wola nie ma tu znaczenia. I nigdy nie miała.

– Nie zdążyłem jeszcze... – Sam nie wiem, co właściwie chciałem powiedzieć, zresztą posąg i tak nie pozwolił mi rozwinąć myśli.

– Jeżeli wyrządziłeś więcej zła niż dobra, nie łudź się, że otchłań będzie dla ciebie schronieniem! – grzmiał w szale samozadowolenia.

– Kim jesteś? Aniołem Śmierci?

Oblicze figury o niepasujących do siebie, zdeformowanych płaszczyznach i mimice równie wyrazistej, co napompowane botoksem facjaty hollywoodzkich gwiazd, pozostało nieruchome, lecz w jej oczach na ułamek sekundy pojawił się blask furii.

Jakbym zderzył się z TIRem; momentalnie straciłem świadomość, a kiedy ją odzyskałem, po skorodowanym straszidło nie został

nawet płatek rdzy. Odrętwienie z wolna mijało, objawiając się mrowieniem w palcach. Wstałem z wilgotnej ziemi i przeciągnąłem się ostrożnie w irracjonalnej obawie, że pod wpływem zbyt gwałtownych ruchów moje żebra zwiną się w fantazyjne spirale i wyrwą na wolność przez miękką bibułę skóry.

Co powinienem uczynić? Nawrócić się, przywdziać strój pokutny i udać się na pielgrzymkę do Częstochowy? Czy może wypłacić z konta wszystkie oszczędności i przepuścić na dziwki, dragi i markowy alkohol?

Co lepsze? Co ma więcej sensu?

Nie znałem odpowiedzi na żadne z tych pytań, więc na razie zdecydowałem się na powrót do baru. Jadąc tam, miałem wrażenie, że auto samo się prowadzi. Gdyby nie to, że rankiem zatankowałem do pełna, mógłbym przysiąc, że octavia jest wielbłądem, który zna najkrótszą drogę do oazy.

Minąłem pustą skorupę stacji benzynowej, a zaraz potem sunącą z naprzeciwka ciężarówkę z naczepą załadowaną wrakami aut.

Czy to dobry, czy zły znak?

Skąd mam wiedzieć?

Zaparkowałem na zwirowanym podjeździe przed knajpą, po czym nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, wszedłem do środka. Usiadłem na barowym stołku i wsparłem się o kontuar. Na wypolerowanej tysiącami łokci desce zmieściła się niezliczona ilość rys i drobnych zadrapań. Te zarodki chaosu przecinały słoje drewna, w ostrym świetle zachodzącego słońca wydając się raczej żłobieniami, rytami pozostawionymi przez szalonego rzeźbiarza próbującego za ich pomocą oddać panoramę rozpadającego się świata niż sieć przypadkowych uszkodzeń.

Westchnąłem cicho. Ledwie sam usłyszałem to westchnienie, choć wcale go nie poczułem. Wtedy wreszcie pojąłem, że z każdym oddechem oddalam się od samego siebie, a zbliżam do swej śmierci.

Carlton Mellick III (ur. 1977) – prekursor gatunku *bizarro*, powstałego w USA i cieszącego się coraz większą popularnością również w Polsce, między innymi za sprawą takich antologii jak *13 ran*, *Bizarro Bazar* czy *Zombiefilia*. Zasłynął książką *Satan Burger*, którą wywołał swoistą modę na *bizarro*. Napisał łącznie kilka powieści i kilkadziesiąt nowel oraz opowiadań.

Carlton Mellick III

Czerwony świat

Świat przechodzi zmiany. Ma to coś wspólnego z gęstym, czerwonym glutem sączącym się ze słońca, który wpływa na naszą atmosferę. Jedną z największych zmian, jakie dotknęły Ziemię, polega na tym, że planeta nie jest już tak kolorowa, jak kiedyś. Widziana z kosmosu nie jest już niebiesko-zielona. Jest czerwona. Głęboki karmazyn, który nadaje jej krwawy i obrzydliwy wygląd. Jak ludzkie serce wolno pulsujące w kosmicznej przestrzeni.

Kolory, które widzimy, także się zmieniły. Idę ulicą z moim młodszym bratem i nie dostrzegamy żadnych niebieskości, zieleni, czy żółci. Drzewa, samochody, ubrania mijających nas ludzi, wszystko jest w odcieniach czerwieni. Jest trochę fioletów i pomarańczowego, ale niewiele. Gdy zerkamy na swoje odbicia w szybie mijanej przez nas pizzerii, nasza skóra jest ciemnoczerwona, ubrania różowe, kasztanowe i jasnobrązowe, a włosy burgundowe.

Nikt inny nie zdaje sobie sprawy, że jesteśmy pokryci krwią.

– Możemy kupić lody cytrynowe? – pyta Scooty, bawiąc się wrzutnią na listy.

Przechodzę wzrokiem ulicę, upewniając się, że nikt za nami nie idzie.

– Nie mamy pieniędzy na lody – mówię.

Scooty wydyma wargi i całuje koniuszki swoich palców. Robi tak zawsze, gdy jest zdenerwowany. Zapalam dwa papierosy i podaję mu jednego. Zaciąga się mocno i podnosi głowę do góry, zanim

wypuszcza dym, żeby nie osiadł na jego sukience. Był bity, jeśli klienci wyczuli dym.

– Chodź – mówię, prowadząc go za róg. – Znam miejsce, w którym możemy się ukryć.

• • •

Scooty zawsze był dziwnym dzieciakiem. Tak naprawdę nigdy nie byliśmy specjalnie blisko. Mieszkałem z nim tylko przez pierwsze pięć lat jego życia, potem nie mogłem już znieść mamy i odszedłem z domu, żeby mieszkać na ulicy razem z moją dziewczyną. Minęły cztery lata, kiedy ostatnio go widziałem. Pamiętam tylko kościstego chłopca, który zawsze miał w kieszeniach gumki recepturki, a buzię umazaną sosem serowym.

Do jego hobby należało: maczanie palców w gorącym wosku, wążanie odkurzacza i robienie malutkich ludzików z niedopałków.

Właśnie to pamiętam najlepiej: jego ludziki z niedopałków papierosów. Wykładał pety z popielniczki mamy i wykałaczką robił oczy i uśmiechniętą buźkę w brązowym papierze. Potem ściągał papier w dół, odsłaniając kapkę bawełnianego filtra przesączonego smołą, który stroszył, dopóki filtr nie zaczął przypominać włosów. Żeby zrobić ręce i nogi, Scooty łamał wykałaczkę na cztery części i wbijał je po bokach niedopałka.

Mój brat nie miał żadnych zabawek ani przyjaciół jak ja, musiało mu więc wystarczyć to, co dostarczy jego wyobraźnia. A ona dostarczała dziesiątki pokrytych popiołem papierosowych ludków mieszkających w zamkach zbudowanych z puszek po piwie.

• • •

Zamiast go sobie zostawić, Scooty wyrzuca niedopałek ze śladem wiśniowej szminki do rynny, więc podejrzewam, że nie przerabia ich już na małych ludzi.

– Chcesz gumę? – pyta.

Patrzy na mnie, ale ja unikam kontaktu wzrokowego, przyśpieszając kroku, by przejść przez skrzyżowanie.

Wkłada zakrwawione palce głęboko w dekolt i wyciąga wkładkę ze stanika. Tył silikonowej piersi został wydrążony, żeby chować w niej różne rzeczy. Scooty upchnął tam paczkę gum, kilka naklejek, recepturki, gumową piłkę i martwego świerszcza. Rozpakowuje gumę i wkłada do ust, a potem całuje świerszcza i umieszcza wszystko z powrotem w staniku.

Zatrzymuję go, łapię za ramiona. Wyjmuję silikonowe wkładki i wyrzucam je na ulicę.

– Już ich nie potrzebujesz – mówię mu. – To już przeszłość.

– Ale moje rzeczy...

– Nie potrzebujesz ich – stwierdzam i rozmazuję make-up na jego twarzy, próbując go zetrzeć.

– Zawsze byłeś taki podły? – pyta, szturchając mnie.

Chwytam go za nadgarstek i idę dalej.

• • •

Kiedyś byłem podły. Byłem bardzo podły jako dziecko. Ale tego po tobie oczekują, jeśli jesteś tak wielki, jak ja. Kiedy dorastałem, byłem trochę dziwolągiem. Niemal dwa razy cięższy i wyższy od wszystkich rówieśników. Inne dzieciaki raczej się mnie bały albo chciał się ze mną kumplować tylko po to, żebym wyświadczał im różne przysługi. Mówiąc „przysługi” mam na myśli to, że chciały, bym zrobił komuś krzywdę z zemsty albo dla rozrywki. Widzieli we mnie zbira do wynajęcia. W ramach zapłaty chciałem tylko przyjaźni, ale zawsze byłem wystawiany, gdy już wywiązałem się z zadania.

Bicie innych dzieciaków nie było czymś, co robiłem z pasją. Przyznaję, że było przyjemne, ale najbardziej podobało mi się, jak bardzo cieszyli się ci, którzy oglądali, jak tłukę ofiarę na miazgę. Byłem w stanie wywołać ich uśmiech. To mi poprawiało samopoczucie. Szkoda, że ludzie zawsze chcieli ode mnie tylko tego, żebym krzywdził innych.

Dlatego tyranizowanie rówieśników nie było moim prawdziwym hobby. Do moich prawdziwych hobby należało: granie zydeco na akordeonie, oglądanie japońskich kreskówek bez napisów i chodzenie na mecze starych przyków.

Mecze odbywały się w każdy wtorek w West Park. Grupa starszawych gości zbierała się na boisku, by rozegrać najbardziej zaciekle mecze koszykówki, jakie kiedykolwiek widziałem. Braki talentu i fizyczne niedostatki nadrabiali nieprzejeđnaną pasją do gry. Grali z absolutnym zaangażowaniem, każdym gramem siły, każdą cząsteczką energii. Grali, jakby zostało im to jedno ostatnie popołudnie i każdy koszt mógł im wynagrodzić wszystko, czego nie osiągnęli w życiu; każdą niewykorzystaną okazję, każdą utraconą miłość, każde porzucone marzenie.

Po szkole zbieraliśmy się w parku, by się powłóczyć i pooglądać grających starców. Pozostałe dzieciaki uwielbiały się z nich nabijać. Śmiali się i rzucali kulkami z papieru albo puszkami, kiedy podstarzały gracz nie trafiał do kosza. Mieli nadzieję, że zobaczą, jak któryś z nich dostanie udaru albo umrze w środku gry. Ja chodziłem tam, bo po prostu lubiłem patrzeć, jak ci faceci grają. Nic z tego, czego doświadczyłem w życiu, nie jest tak mocne, jak mecz starych przyków.

• • •

– Moje stopy są winogronowate – mówi Scooty, ale nie wiem, o co mu chodzi.

Zdejmuje szpilki i pociera pokryte pęcherzami pięty.

– Jeszcze tylko jedna przecznica – odpowiadam mu, wyrzucając jego buty. – Potem możesz iść po trawie.

Ostrożnie stawia kroki na chodniku, dopóki nie dochodzimy do parku. Przekradamy się, upewniając się, że nikt nas nie obserwuje, gdy przechodzimy na drugą stronę wzgórza. Skrzeczące zawrodenie roju sprawia, że Scooty pociera uszy. Marszczy brwi, widząc falujący czerwono-czarny kleks rozciągający się w oddali.

– Nie podoba mi się – mówi.

Poza tym, że świat stał się czerwony, to przeszedł jeszcze wiele innych zmian. Jedną z nich jest zmiana zachowania robali. Przez ostatnie kilka lat wszelkie rodzaje robactwa zaczęły zbierać się w roje. Ważki, karaluchy, dżdżownice, pasikoniki, stonogi, trzmiele, komary, tarantule; wszystkie zaczęły tworzyć gigantyczne roje. Kolektyw, który wspólnie się żywi, rozmnaża, myśli i działa jak pojedyncza istota. Roje mogą być małe jak kałuża albo wielkie jak ocean. Ten tutaj jest największy w mieście. Zajmuje przynajmniej pięć kilometrów. Budynki po tej stronie miasta zostały opuszczone i zalane bilionami wijących się czarnych stworzeń.

– To ślepy zaułek – mówi Scooty.

– Nie – odpowiadam. – Przejdziemy przez niego.

Przeszukuję pobliskie krzaki i odkrywam jakiś tuzin par szczudeł, większość zrobionych ze starych drabin i pasków. Wybieram jasnopomarańczowe i wspinam się na pobliskie drzewo.

– Chodź – wołam brata.

Scooty czyści jakieś źdźbło trawy z błota.

Wyciągam dłoń i wciągam go na górę. Oplata się wokół mojego tułowia jak plecak. Potem przywiązuję buty do szczudeł i ostrożnie wstaję. Powoli idę przez park w stronę morza owadów.

– Skrzypi – mówi Scooty o dźwięku wydawanym przez rój, żując moje włosy.

I wchodzimy.

• • •

Opuściłem dom w wieku piętnastu lat, ponieważ moja mama nazwała moją dziewczynę dziwką i rozwaliła jej wargę butelką rumu. Nie jestem pewien, jak zaczęła się ta kłótnia. Zdaje się, że mama oskarżyła Crissy o kradzież kokainy z jej odtwarzacza DVD albo może zaproponowała jej działkę i była urażona brakiem wdzięczności. Nie jestem pewien. Pamiętam tylko, że Crissy jej oddała młotkiem do krykieta i po tym, jak moja mama upadła,

kopaliśmy ją w brzuch, dopóki nie zaczęła krzyczeć, żebyśmy przestali.

Scooty przyglądał się temu zza zamku z puszek po piwie. Chciałem się z nim pożegnać, powiedzieć, żeby o siebie dbał, ale straciłem okazję po tym, gdy Crissy rozwaliała jego zamek glanem. Zawsze rozwaliała zrobione przez mojego brata zabawki swoimi glanami. Ostatni obraz małego Scooty'ego, jaki widziałem, to dzieciak zakrywający oczy, żeby nie widzieć zniszczonej budowli z puszek po piwie.

Potem Crissy i ja mieszkaliśmy na ulicy. Przez większość czasu pomieszkiwaliśmy w opuszczonych budynkach, ale trochę mieszkaliśmy też w mieszkaniu jej starszego brata – laboratorium amfetaminy. Po tym nastąpiły cztery lata ćpania, kradzieży, bójek, aborcji, narkotykowego głodu, punkowych koncertów, chodzenia na szczudłach, zagranicznych filmów, turniejów żyłtkowego pokera i ulicznych przedstawień. Z tego trzy spędziłem już w czerwieni, ale miałem wtedy tak napieprzone we łbie, że nie miałem pojęcia, czy ta czerwień jest prawdziwa, czy tylko z moim mózgiem jest coś nie tak.

Crissy i ja byliśmy dość osobliwą parą. Ona była niska i chuda, mądra, biała i słuchała punka. Do jej hobby należały: jazda na deskorolce po pijaku, balet i żyłtkowy poker – który jest jak Texas Hold'em dla sadomasochistów. Zamiast stawiać pieniądze, stawia się świeżo upuszczoną krew.

Wiedzieliśmy, że nasz związek nie przetrwa. Mówiła, że pewnego dnia zrobi coś, co wkurzy mnie tak bardzo, że ją uderzę. Mówiła, że nigdy mi nie wybaczy, jeśli ją uderzę. Jeden cios i nasz związek będzie przeszłością. Kilka razy byłem bliski przywalenia jej, ale nigdy nie podniosłem na nią ręki. Problem stanowił ten skorupiasty duporyj, jej brat Jack.

Pewnego ranka przyłapałem go, jak gwałcił Crissy pod prysznicem. Ten żyłasty skurwiel z loczkami i rzadką, kozią bródką przyspilił ją do krawędzi wanny i trzymając jej głowę pod wodą,

rypał od tyłu. W pokoju rozkręcony na cały regulator walił rap metal. Jack tak bardzo odjechał, że prawdopodobnie nawet nie wiedział, co robi ani komu.

Ten obraz wrył mi się w pamięć: Crissy waląca maleńkimi piąstkami starszego brata, jej pomarszczone powieki zaciśnięte tak mocno, że zrobiły się fioletowe, jego białe jak kreda ręce przytrzymujące jej ciało. Coś we mnie pękło. Do tamtego dnia nie znałem własnej siły. Wcześniej nic nie wkurzyło mnie tak bardzo, żebym w ogóle się nie hamował. Złapałem Jacka za parchate gardło i wyrzuciłem z łazienki, jakby był stosem brudnych ubrań. Wybił dziurę w ścianie w następnym pokoju. Podniosłem go wysoko do góry. Wiatrak podwieszony na suficie rozerwał mu krtań. Potem waliłem go w twarz, dopóki gały mu nie zapuchły, a zęby nie wykrzywiły się.

Na początku Crissy była zadowolona, że ją uratowałem. Zadowolona, że sukinsyn dostał to, na co zasłużył. Ale po kilku dniach przestała postrzegać Jacka jako gwałciciela i przypomniała sobie, że jest jej bratem. Zobaczyła ból, jaki przeżywał, to, jak okropnie go pobiłem, i to, ile szwów trzeba było mu założyć na twarz. Współczuła mu. I nie chciała już mieć ze mną nic wspólnego.

Odszedłem bez słowa. Wróciłem do mieszkania mamy, ale jej blok został przeznaczony do rozbiórki. Nikt już tam nie mieszkał. Nie wiedziałem, gdzie się podziać, więc zgłosiłem się na odwyk.

• • •

Idę na szrudłach przez ocean insektów, tylko centymetry dzielą podeszwy moich stóp od jego powierzchni. Crissy i ja ciągle przemierzaliśmy się na szrudłach przez rój. W ciągu kilku ostatnich lat było to dość popularne zajęcie. Wielu ćpunów i bezdomnych gości mieszkało tutaj w opuszczonych budynkach. Ludzie, którzy tu wcześniej mieszkali, musieli podczas ewakuacji zostawić większość swoich rzeczy, więc jest sporo dobrego towaru, który można ukraść, jeśli tylko jesteś w stanie wynieść go na

szczudłach. Jest też sporo mebli, więc to naprawdę dobra meta, jeśli jesteś przyzwyczajony do spania na ulicach. To też idealne miejsce, żeby się ukryć, jeśli uciekasz przed glinami. Oni nigdy nie zapuszczają się w rój.

Niestety przechodzenie na szczudłach przez rój wymaga praktyki. Niebezpiecznie jest się w niego zapuszczać bez opanowania tej sztuki do perfekcji. Sporo ludzi spada w ocean robali i jeśli nie są blisko brzegu, to rzadko przeżywają. Owady nie zaczepią cię, gdy przechodzisz ponad nimi, ale jeśli twoje ciało wejdzie w kontakt z rojem, zaatakują. Wedrą się przez twoje usta, wypełnią płuca i utopia cię, a potem pożrą.

Nigdy nie próbowałem przejść przez rój z tak dużym obciążeniem. Scooty jest taki leciutki, że uznałem, że to nie problem, ale zaburza moją równowagę. Robię niewielkie, ostrożne kroki. Ziemia pod mną pulsuje, wije się i syczy.

– Pachnie jak fioletowy majonez – mówi Scooty.

Daleko przed nami widać innych idących na szczudłach. Poruszają się swobodnie, jakby chodzenie przez morze insektów było równie normalne co spacerowanie po chodniku. Rozmawiają ze sobą, przechadzając się i machając do siebie. Najbliższe budynki wydają się nieco zatłoczone. Dalej powinniśmy znaleźć jakieś bardziej odludne miejsce.

Wolałbym, żeby nikt nie wiedział, że tu jesteśmy. Wolałbym trzymać się z dala zwłaszcza od ćpunów. Od jakiegoś czasu jestem czysty i chcę, żeby tak zostało. Szczególnie, że teraz muszę się opiekować Scootym.

•••

Na odwyku moim współlokatorem był zwariowany, gruby czarny facet o imieniu Ed. Do jego hobby należało: czytanie gejowskich, erotycznych powieści o wampirach, gotowanie dań kuchni cajun i niszczenie wszystkiego, co znalazło się na jego drodze.

Jego pasją było też wążchanie farby w spreju. Lubił chodzić uliczkami na tyłach budynków i wciągać nosem opary farby, dopóki przed oczami nie pojawiały mu się mroczki, a w żyłach zaczynała buzować adrenalina. Potem wyładowywał agresję, zabijając bezpańskie koty. Stawał na nich, łamał im karki, łapał za ogon i walił o ścianę, dopóki ich wnętrzności nie rozprysnęły się na śmietniki. Ed po prostu był takim typem człowieka. Lubił robić krzywdę. Gdyby nie maltretował kotów, pewnie zabrałby się za ludzi.

Niespecjalnie lubiłem Eda, ale z jakiego powodu zostaliśmy przyjaciółmi. Był albo gejem, albo biseksualistą, nie jestem pewien, ale zawsze próbował mnie namówić, żebym pomógł mu zgwałcić kogoś z mniejszych facetów. Mówił mi: „ Jesteśmy na odwyku, a nie w więzieniu. Co z tobą?”. Na to udzielał swojej standardowej odpowiedzi: „ Ej, tylko się z tobą droczę”. Zawsze kiedy to mówił, jego głos był niski i pełen złości, jakby tak naprawdę wcale się nie droczył.

Ed i ja razem opuściliśmy odwyk. Miałem nadzieję, że już go nie zobaczę, ale on mnie polubił – pewnie dlatego, że byłem pierwszą osobą większą od niego, jaką spotkał. Dostaliśmy pracę przy przenoszeniu paczek w UPS i wprowadziliśmy się do mieszkania komunalnego, które był tak małe, że żałowałem, iż nie mieszkam już w klinice odwykowej. Ed był nieznośnym współlokatorem, który lubił rozwalać nasze meble z sieci Goodwill i robił dziury w ścianie nożem do cytryn. Jednak gdyby nie on, prawdopodobnie nigdy nie zobaczyłbym już Scooty’ego.

•••

Chodząc na szczudłach przez morze owadów, znaleźliśmy mniej popularny blok. Podchodzę do otwartego okna i nachylam się, żeby Scooty mógł tam wejść, wdrapując się po moich plecach. Potem sam dostaję się do środka, zamykam okno i zdejmuję szczudła. Jesteśmy w dusznym korytarzu, z sufitu dużymi płatami odchodzi

farba, dywan jest zabłocony. W rogu stoi stos szczudeł. To musi być powszechnie używane wejście. Przez większość czasu robale sięgają zbyt wysoko, by można było wchodzić przez okna na pierwszym piętrze. Zazwyczaj trzeba się wspinać na drugie, co jest dość trudne, gdy masz długie drewniane nogi.

Zdejmuję szczudła i prowadzę brata korytarzem.

– Tędy – mówię mu.

Wszystkie drzwi zostały wyważone. Niektóre poszły w drzazgi, inne mają tylko wyłamane zamki. Wchodzimy przez najbliższe. Stawiam szczudła za lepką, skózaną kanapą. Mieszkanie jest w niezłym stanie. Wpada tu dość różowego światła, by rozjaśnić wnętrze. Meble nie są zniszczone. Nikt nie zrobił kupy pod ścianą. To zawsze dobry znak. Wiele mieszkań, które nie są zajmowane przez włóczęgów, często stają się wielkimi łazienkami. Niektórzy mają dość przyzwoitości, by sprzątać swoje gówna i wyrzucać je przez okna, ale inni po prostu srają na dywan i idą dalej.

W kuchni leży martwy ćpun. Jeszcze nie zasmradza pomieszczenia, więc musiał umrzeć niedawno. Łysy gość z postrzępioną rudą brodą, ubrany w puszysty, różowy, damski szlafrok. W jego ramieniu wciąż tkwi igła.

Wstrzykiwał sobie slice, który jest bardzo popularny tutaj w roju. Jest równie mocny i uzależniający co heroina, tyle że jest halucynogennym narkotykiem, który powoduje bardzo realistyczne świadome sny.

To kolejna zmiana, która dotknęła świat: sny zniknęły. Coś w atmosferze wpłynęło na naszą zdolność śnienia. Może jakaś substancja chemiczna unosząca się w powietrzu zakłóca nasz cykl snu. Może nie jesteśmy już w stanie wejść w fazę REM. Crissy zawsze powtarzała, że to niemożliwe, że bez fazy REM wszyscy byśmy powariowali, że nie bylibyśmy w stanie funkcjonować psychicznie i fizycznie. Może dlatego slice jest tak uzależniający. Ludzie nie mogą bez niego funkcjonować. Osobiście nie tęsknię za snami. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek były dobre.

– Wyjdźmy stąd – mówię.

Odwracam się. Scooty zniknął.

Znajduję go w jednej z sypialni. W pokoju dziecięcym. Jest tu pełno porzucanych na podłodze zabawek. Scooty ma szeroko otwartą buzię, jakby był poranek Bożego Narodzenia. Zawsze był podekscytowany w bożonarodzeniowy poranek, mimo że nigdy nie dostał nic więcej – jeśli w ogóle dostał cokolwiek – niż trochę gumy do żucia i czasami kilka czekoladowych samochodów, którymi wolno mu było pobawić się przez parę godzin, zanim mama chciała je zjeść.

Jestem zaskoczony, że ekscytuje się zabawkami. Ma dziewięć lat. Dzieci powinny przestać bawić się zabawkami, kiedy skończą sześć lat.

– Nie możesz wziąć żadnego z nich – oświadczam mu, gdy grzebie wśród żołnierzyków i plastikowych robotów.

Uśmiech na jego twarz zastępuje marsowa mina. Nie sprzeciwia się.

– Chodź – mówię, wyprowadzając go z mieszkania.

• • •

To Ed odnalazł dla mnie Scooty'ego. Wczoraj wieczorem był na mieście i pieprzył się z jakimiś transseksualnymi dziewczynkami, kiedy zobaczył, jak mój młodszy brat jest zaciągany do sypialni przez azjatyckiego gliniarza w średnim wieku. Nie wiem, skąd Ed wiedział, że to mój brat. Wszystko, co o nim wiedział, to że ma na imię Scooter i wygląda jak niska, koścista wersja mnie. Nie jestem pewien, jak to wykombinował inaczej niż z rozmowy z nim. I nie jestem pewien, jak mógł z nim porozmawiać inaczej, niż będąc z nim w sypialni. Próbowałem o tym nie myśleć. Obchodziło mnie tylko to, że wiedziałem, gdzie jest Scooty i że potrzebuje mojej pomocy.

Poszliśmy go stamtąd zabrać dziś rano. Scooty mieszkał w budynku, który Ed nazywał Fabryką Ciasteczek. To w północno-

wschodniej, przemysłowej części miasta i wydaje mi się, że po drugiej stronie ulicy naprawdę była kiedyś wytwórnia słodczy. Miejsce, gdzie był mój brat, to stary hotel zamieniony w noclegownię dla ćpunów i dziwek. Kiedy się tam zjawiliśmy, drzwi pilnował spory, brodaty facet z poczerniałymi zębami. Przywitał Eda jak stałego klienta. Ed wytarł cukier puder z dużego, okrągłego brzucha, udając, że nie zna gościa.

– Chcemy pogadać ze Scooterem – powiedział. – To jego młodszy brat.

Brodacz polizał swoje wąsy.

– Nie ma tu żadnego Scootera. – Przerwał, żeby splunąć na swoje palce i to powąchać. Potem zaczął zachwalać Edowi towar. – Mamy wyśmienity wybór dam. Powiedz, czego pragnie twoje serce. Jeśli twoje serce pragnie dużych, mamy duże. Jeśli twoje serce pragnie świeżych, mamy świeże.

– Słuchaj. – Ed przybliżył twarz do jego twarzy. – Wiem, że jego brat tutaj jest. Widziałem go wczoraj. Po prostu pozwól nam się z nim zobaczyć i nie pogrywaj sobie ze mną, do cholery.

– Spieprzajcie stąd. – Czarnobrody wyciągnął spluwę i przycisnął ją do gąbczastego brzucha Eda.

Ten spojrział w dół z irytacją.

– No i co z tym zrobisz? – Ed napał na broń. – Myślisz, że kula mnie powstrzyma, suko?

Spluwa wystrzeliła. Twarz Czarnobrodego wyrażała zdziwienie, jakby wypalił przez przypadek. Otworzył szeroko usta, odsłaniając dziąsła równie czarne co zęby.

Ed się wkurzył. Złapał przeciwnika wpół i ścisnął, pozbawiając tchu. Potem uderzył nim o ścianę. Rozległ się kolejny strzał.

Nie widziałem żadnej krwi. Zlewała się z czerwienią naszego wzroku. Nic z tego wszystkiego nie wydawało mi się prawdziwe.

Ed zdołał tylko wykrztusić:

– Sukinsyn... – Złapał Czarnobrodego za gardło i zaczął go dusić.

W mniej niż minutę Ed zabił tego biednego drania, miażdżąc mu gardło gołymi rękami. Ale Czarnobrody zdołał opróżnić magazynek w pierś Eda, gdy ten go dusił. Upadli razem. Obaj byli martwi, zanim dotknęli ziemi. Usłyszałem tylko cichy jęk mojego współlokatora, gdy upadł.

Stałem tam sam przez kilka minut. Niepewny, czy kontynuować poszukiwania, czy uciekać.

– Co to, kurde, było? – powiedziałem do trupa Eda.

Pewne jak cholera, że mógł to lepiej załatwić.

Łysy facet bez koszuli wypadł przez drzwi z bronią w ręku. Strzelił do mnie, ale spluwa tylko kliknęła. Skoczyłem na niego i walnąłem pięścią w szczękę. Walczył z pistoletem, próbując go odbezpieczyć. Złapałem faceta za rękę, w której trzymał broń, i rzuciłem go na ziemię. Potem stanąłem mu na głowie. Zwiotczał. Prawdopodobnie tylko go ogłuszyłem, ale nie wyglądał, jakby jeszcze oddychał.

Jego spluwa była pusta. Kretyn zapomniał ją naładować. Uzbrojony czy nie musiałem tam wejść i zabrać mojego brata. Jeszcze zanim przeszedłem przez próg, słyszałem chaos, jaki rozgrywał się w środku.

• • •

Gdy opuszczamy mieszkanie martwego ćpuna, skrzekliwy odgłos wydawany przez owady wypełnia korytarz. Okno jest otwarte i ktoś przez nie wchodzi. Jest łysy i ubrany w trencz i duże czarne gogle.

– Cześć – rzuca do nas, wchodząc.

Nie zdejmuje szczudeł, podchodząc.

– Nie mieszkanie tutaj – mówi, patrząc na nas. – Co tutaj robicie?

– Wprowadzamy się na kilka dni – odpowiadam.

– Zobaczymy – stwierdza.

Jestem gotowy wyrzucić go w rój bez szczudeł, jeśli odmówi.

– Będziecie musieli zdobyć zgodę reszty mieszkańców – mówi. – Nie pozwalamy, żeby każdy, kto chce, wchodził tutaj i przejmował

kontrolę nad miejscem. Dbamy o swoich.

Mija nas i wchodzi na klatkę, wciąż na szczudłach.

– Chodźcie za mną – nakazuje.

Idziemy, ale musimy szybko się ruszać, by dotrzymać mu kroku. Wbiega po schodach, przeskakując po sześć stopni naraz. Nigdy nie widziałem, by ktoś tak zręcznie przemieszczał się na szczudłach. Wygląda, jakby skakał o tyczce.

– Więc jak mam was nazywać? – pyta.

– Jake – odpowiadam. – A to jest Curtis.

Nie chcę, żeby znał nasze prawdziwie imiona.

– Charlie – przedstawia się.

Zdejmuje gogle, odsłaniając duże, bulwiaste, rybie oczy, które zajmują sporą część jego twarzy. Scooty cofa się o krok, gdy je widzi. Zgrzytam zębami.

Mutacje to kolejna wielka zmiana, jaką przeszedł świat w ostatnich latach. Substancje chemiczne w atmosferze, które sprawiły, że planeta stała się czerwona, wywołały także transformację kodu DNA u niektórych ludzi, przystosowując ich do życia w wodzie i tworząc nową rasę zmutowanych rybich ludzi. Dotyczy to niewielkiego odsetka populacji. Crissy mówiła, że to pewnie jakiś rodzaj alergicznej reakcji na czerwień. Nikt nie lubi o tym rozmawiać, ale ostatnio jest wśród nas sporo ryboludzi.

•••

W Fabryce Ciasteczek było mnóstwo ryboludzi, gdy wszedłem tam odnaleźć brata. Wiele dziwek miało homarze ogony albo płetwy zamiast rąk. Wielu klientów było pokrytych łuskami i miało zamiast włosów płetwę rekina. Nie chcę myśleć, co przeszedł mój brat, obsługując te wyłupiastookie dziwolągi.

Sprawdzałem kolejne pokoje w poszukiwaniu Scooty'ego. Większość klientów i dziwek biegała jak szalona po korytarzach, niepewna, skąd padły strzały, zakładając, że to porachunki gangów

albo policyjny nalot. Niektórzy zgadywali, że miałem z tym coś wspólnego i schodzili mi z drogi.

W jednym z pokoi stało ogromne akwarium. W środku pływały dwie rybie dziwki. Ich DNA zostało tak wypaczone, że podejrzewam, że nie mogły oddychać normalnym powietrzem. Na podłodze leżał pojemnik z tlenem, pewnie używali go klienci, by móc się kochać z rybodziejczynami pod wodą.

Transseksualna dziwka skoczyła na mnie od tyłu, owijając macki kałamarnicy wokół mojej szyi i talii. Walnąłem nią o ścianę i uderzyłem łokciem w wielkie, czarne jak atrament oko, które wyskoczyło z oczodołu jak żółtko jajka.

Zaatakowały mnie dwie kolejne rybie transseksualistki. Jedna, zwalisty wybryk natury z głową żabnicy, a druga z krabimi odnóżami i szczypcami zamiast ramion, większymi niż mój tułów. Żabnicogębna pchnęła mnie w kąt, a Krabionoga kłapnęła na mnie skrzypcami. Suka z mackami i wypływającym okiem wstała i krzyknęła, atakując mnie mackami.

Złapałem Krabionogą za ramię i rozłupałem je na kolanie. Wzrasnęła, kiedy ściągnąłem z jej ręki skorupę, pozostawiając w miejscu szczypiec długi kawał białego mięsa. Zakręciłem kolczastym, czerwonym ramieniem nad głową i walnąłem Żabnicogębną w żebra. Następnie przebiłem gipsową ścianę twarzą Krabionogiej. Ściana musiała być stara i słaba. Posypała się wokół ciała skorupiaka, wypełniając powietrze białym pyłem.

Coś twardego i solidnego walnęło mnie od tyłu. Prosto w nerkę. Zwaliło mnie z nóg. Podniosłem wzrok i zobaczyłem Macki z aluminiowym kijem bejsbolowym. Żabnicogębna otworzyła swoje gigantyczne rybie usta. Jej głowa napęczniała jak balon, powiększając się sześciokrotnie i zanim się zorientowałem, połowa mojego ciała tkwiła w jej rozdętym gardle. Macki walnęła mnie kilka razy kijem w tyłek. Niespecjalnie bolało. Nie byłem pewien, czy Żabnicogębna chce mnie połknąć, czy tylko przytrzymać, ale zaczynałem się dusić. Jej mały język ocierał się o moje ramię.

Walczyłem, żeby się uwolnić, ale jej skóra była jak guma. Biłem pięściami, ale nic to nie dało. Złapałem jej mały rybi język i go wyrwałem.

Wrzasnęła i wypluła mnie. Zanim zdołała uciec, przebiłem jej brzuch ułamanymi skrzypcami. Potem uchyliłem się przed ciosem kija, którym Macki zamachnęła się z całej siły. Trafił w głowę Żabnicogębnej i dało się słyszeć głośne pęknięcie. Wsadziłem sobie kij pod ramię i zacisnąłem szczypce na szyi Macek. Drapała szczypce, gdy miażdżyły jej gardło. Sięgnąłem do środka krabiego odnóża i złapałem cienkie, białe ścięgno. Pociągnąłem je z całej siły, jakbym odpalał piłę łańcuchową, sprawiając, że szczypce zatrasnęły się i odcięły łeb kałamarnicowatej kobiety.

Głowa odpadła z zaskakującą łatwością, uwalniając fontannę połyskującej czerwieni.

• • •

Charlie prowadzi nas na najwyższe piętro.

– Wolimy mieszkać tak wysoko nad rojem, jak to tylko możliwe – mówi.

Na najwyższym piętrze panuje zgiełk. Rybie dzieci ścigają się po pokojach. Stara kobieta gra na gitarze akustycznej, a jej mąż akompaniuje na harmonijce. Wszystkie drzwi są szeroko otwarte. Jedno z mieszkań pełne jest owłosionych mężczyzn grillujących gigantyczne stonogi. Inne jest pełne ćpunów wstrzykujących sobie slice. Kolejne mieszkanie to żłobek pełen małżowatych dzieci. Wiele osób chodzi na szudłach. Albo ćwiczą, by ułatwić sobie przepawy przez rój, albo tak do nich przywykli, że czują się dziwnie, używając własnych nóg.

– Poczekaj tutaj – nakazuje Charlie Scooty’emu.

Potem patrzy na mnie.

– Chodź ze mną.

Idę z nim korytarzem do jednego z mieszkań na końcu.

– Co robimy? – zapytałem.

– Przeprowadzimy z tobą rozmowę – mówi. – Chcemy dowiedzieć się o was czegoś więcej. Chcemy wiedzieć, dlaczego tu przyszliście i dlaczego powinniśmy pozwolić wam zostać.

Dzieciak z zębami rekina wyskakuje przede mną i strzela mi w twarz z pistoletu zabawki. Podnoszę rękę, by go uderzyć, ale się powstrzymuję.

– Co to było? – pyta Charlie, gdy rozluźniam pięść.

– Przepraszam – odpowiadam. – To odruch. Cały dzień jestem podenerwowany.

• • •

Widok tych wszystkich martwych rybich transseksualistek w Fabryce Ciasteczek wywrócił mi żołądek do góry nogami. Rozważyłem schowanie się w którymś z pokoi i wymiotowanie, ale nie miałem na to czasu. Słyszałem poruszenie na górze i musiałem przygotować się na dalszą walkę.

Dwóch mężczyzn w czerwono-brązowych garniturach szarżowało na mnie, zbiegając po schodach. Ich rybnie oczy zakrywały okulary przeciwsłoneczne, na głowach zamiast włosów mieli pletwy.

Gdy przywódca dotarł do końca schodów, rozwalilem mu rzepki kolanowe kijem bejsbolowym. Odebrałem broń i strzeliłem w twarz, potem dwa razy strzeliłem w pierś jego towarzysza.

– Scooty! – zawołałem, przechodząc nad ich ciałami, by wejść po schodach.

Fabryka niemal całkowicie opustoszała. Znalazłem Scooty'ego u szczytu schodów, przebranego za kobietę i zastanawiającego się, co się dzieje.

– Pamiętasz mnie? – zapytałem.

– Mój brat – odpowiedział.

Przytuliłem go.

– Cały się lepisz – stwierdził.

– Zabiorę cię stąd, dobrze?

Kiwnął głową i wziął mnie za rękę.

• • •

Rozmowa odbywa się w salonie Charliego. Pięciu starych mężczyzn na szczudłach patrzy na mnie, marszcząc swoje rybie twarze. Mówię im całą prawdę na temat wydarzeń, które poprzedziły nasze przybycie tutaj. Mówię im nawet, że Jake i Curtis to nie są nasze prawdziwe imiona. Porusza ich moja opowieść i pozwalają nam zostać. Myślę, że podoba im się pomysł, że ktoś o moich rozmiarach będzie po ich stronie.

Dają mi jedno z mieszkań na końcu korytarza. Zostało pozbawione większości mebli i jedzenia, ale na środku salonu stoi ładna kanapa. Kładę się na niej i rozluźniam poobijane mięśnie. Scooty zaprzyjaźnia się na korytarzu z rybimi dziećmi. Jest od nich o kilka lat starszy, ale wydaje się, że nikomu to nie przeszkadza. Nikt nie pyta, dlaczego ma na sobie sukienkę.

To nie jest takie złe miejsce. Jest zimne, brudne i pełne ryboludzi, nie wspominając już o oceanie mięsożernych owadów za oknem, ale mimo wszystko to niezłe miejsce. Wystarczy, dopóki wszystko nie przycichnie. Scooty jest tutaj bezpieczny. Może będzie to dla niego dobra odskocznia. Może zapomni o wydarzeniach dzisiejszego dnia. Może zapomni o mamie.

• • •

Na ulicy przed Fabryką Ciasteczek zebrała się grupa dziwek; paliły papierosy i obserwowały nas. Poprowadziłem Scooty'ego w drugą stronę i skręciłem z nim za róg.

– Powiedz mi, jak do tego doszło? – zapytałem go.

Uśmiechnął się do mnie.

– Gdzie jest mama? Dlaczego nie jesteś z nią w domu?

Wskazał na Fabrykę.

– Teraz mieszkamy tam – powiedział. – Mama pracuje na górze. Zrozumienie sprawiło, że zaszumiło mi w uszach.

– Mówisz, że o tym wiedziała? Że to ona cię tutaj przyprowadziła?
Kiwnął głową.

Zacisnąłem pięści.

– Jest teraz na górze? – zapytałem.

Kiwnął głową.

– Poczekaj tutaj – powiedziałem tak spokojnie, jak tylko zdołałem.

– Zaraz wrócę.

Schowałem go za śmietnikiem i wyjąłem broń z kieszeni kurtki. A potem wróciłem do Fabryki Ciasteczek.

• • •

Budzi mnie krzyk Scooty’ego. Zeskakuję z kanapy i wybiegam na korytarz. Jeden z ćpunów na szczudłach trzyma go i ciągnie za sukienkę.

– Oddaj mi to! – krzyczy ćpun zza długiej, różowej grzywki.

Dlaczego, do cholery, nie pilnowałem brata?

– Zostaw go! – wołam, biegnąc korytarzem.

Przytrzymuję szczudła ćpuna, przewracam go na ziemię. Potem przesuwam się w górę drewnianych nóg i trzy razy walę go w brzuch.

Więcej włóczęgów na szczudłach przyciągniętych przez hałas pojawia się na korytarzu.

– Dzieciak ma slice! – krzyczy Różowa Grzywka, gdy jeszcze raz biję go w brzuch.

Ćpuny otaczają Scooty’ego jak długonogie pająki. Szarpią go, próbują zabrać coś, co ukrył pod sukienką. Jeden z nich podnosi mojego braciszka i potrząsa nim jak skarbonką.

– Sukinsyny! – Szarżuję na nich, próbując przewrócić lub połamać im szczudła.

Uderzam jednego z nich w twarz, gdy leci w dół, tak mocno, że szczęka przebija policzek po drugiej stronie. Kolejnego przygniatam nogą do podłogi, gdy próbuje wstać. Inny kopie mnie w twarz drewnianą nogą i przewraca do tyłu. Wtedy wszyscy zamierzają się na mnie nogami, chcąc trzymać mnie na dystans, gdy ja próbuję rozwalić im gęby.

Potworne zimno przeszywa mój brzuch i uderzam ciężko o podłogę. Dotykam swoich pleców i wyciągam zatłuszczony nóż do steków. Ktoś pchnął mnie nim od tyłu. Odwracam się i widzę Charliego. Nie ma już swoich drewnianych nóg i zżera go głód narkotykowy. Przepycha się przez las szcudeł i dopada Scooty'ego. Mój młodszy brat krzyczy, gdy mężczyzna rozchyła mu palce i zabiera jego skarb.

Twarz Charliego staje się pusta, gdy widzi malutkiego robota.

– Nie ma slice'u – mówi. – To tylko zabawka.

Scooty łapie Charliego, próbując odzyskać zabawkę, ale pozostałe ćpuny rozwalają ją na kawałki, żeby się upewnić, że gdzieś w środku nie kryje się jednak narkotyk. Oddają Scooty'emu kawałki robota. Dzieciak ma taki wyraz twarzy, jakby ktoś właśnie rozjechał mu psa.

Gdy ćpuny się rozchodzą, Charlie podchodzi do mnie chwiejnie. Drżą mu usta. Zachowuje się, jakby właśnie stracił milion dolarów.

– Przepraszam – mówi, klepiąc mnie w ramię, gdy ja zwijam się z bólu.

Próbuję zatrzymać krew w środku.

– Nie martw się – odpowiadam. – Zasłużyłem sobie.

• • •

Na górze Fabryk Ciasteczek w jednej z sypialni znalazłem mamę w towarzystwie meduzowatej dziewczyny. Obie były we własnym świecie, miały szeroko otwarte usta i białe, spuchnięte języki. Chciałem stawić jej czoła. Chciałem powiedzieć jej, jaką jest bezwartościową suką. Chciałem zagrozić, że ją zabiję, ale potem powiedzieć, że lepszą karą będzie pozwolić jej żyć, ponieważ jej życie to piekło gorsze od śmierci. Jednak stało się inaczej. Nie musiałem mówić, że jest bezwartościową cipą, bo już to wiedziała. Leżała tam, pokazując, jak bardzo potrafi być bezwartościowa.

Dlatego zastrzeliłem ją. Ją i meduzowatą dziewczynę. Zastrzeliłem je, rzuciłem broń na łóżko i wyszedłem. Kiedy opuszczałem

budynek, w mojej głowie nie pojawiły się strach ani złość. Nie czułem nic. Apatia. Pustka.

Moja mama zawsze była jedną z najbardziej bezwartościowych osób na tej planecie. Była uzależniona od każdej dostępnej substancji, od kiedy była nastolatką. Poza spaniem, pieprzeniem się, nawalaniem się, do jej hobby należało: oglądanie boksu w telewizji (bokserzy zawsze ją kręcili), granie w krykieta w domu i robienie domowych petard.

Nie była kochającą matką. Nie pozwalała nam nawet się przytulać. Mówiła, że ma na nas alergię i że jeśli dotknie naszej skóry, zachoruje i będzie musiała pójść do szpitala. Pamiętam, że kiedy byłem bardzo mały, zawsze się bałem, że mogę przypadkiem się o nią otrzeć i że przeze mnie trafi do szpitala. Bardzo uważałem, by się do niej nie zbliżać. Był taki okres szesnastu miesięcy, kiedy nawet nie stałem w tym samym pokoju co matka, nawet przez sekundę, i komunikowałem się z nią tylko przez ścianę.

Jedno z głównych wspomnień z dzieciństwa o mojej mamie to jej fioletowe odchody. Ciągle jadła buraki. Wydaje mi się, że to było jej ulubione danie. Codziennie jadła buraki na śniadanie i lunch, a czasami jako dodatek do kolacji. Jadła ich tak wiele, że wnętrza wszystkich sedesów, których używała, były fioletowe. Woda w toalecie często była fioletowa. I jeśli kiedyś zostawiła gówno w misce klozetowej, to też było ciemnofioletowe.

Dziwne, ale te purpurowe gówna pamiętam lepiej niż mamę. Skoro nie mogłem się do niej zbliżyć, jedyna bliskość, jakiej kiedykolwiek doświadczyłem, to dzielenie z nią toalety i oglądanie jej fioletowego gówna pływającego obok mojego.

Pomimo wszystkiego, co mi zrobiła i czego nie zrobiła, wciąż z jakiegoś powodu ją kochałem. Nie umiem powiedzieć, dlaczego, ale kochałem ją.

•••

Myślę o mamie, wykrwawiając się w korytarzu. Bolał mnie oczy, bo są zbyt suche, żebym mógł płakać. Charlie zostawił mnie tutaj, wrócił do swojego mieszkania, by wypchać lalkę córki. Powiedział, że zabierze mnie do szpitala, jednak jestem zbyt duży, by przenieść mnie przez rój.

Scooty siedzi naprzeciwko, bawiąc się kawałkami swojego robota. Teraz jest już bezpieczny. To miejsce może nie jest idealne, ale lepsze niż to, co robił do tej pory. To dla niego początek czegoś nowego.

– Dobrze się bawisz? – pytam.

– Tak – odpowiada, ale nie patrzy na mnie.

– To dobrze – mówię. – Baw się dalej.

Patrzyłem, jak się bawi. Nie mam pojęcia, co się dzieje w jego głowie. Zawsze miał swój świat. Zazdroszczę mu tego. Zawsze beztrosko się bawił. Nie przyjmuje do wiadomości wszystkich okropnych rzeczy, które nieustannie dzieją się na tym świecie.

Nie zdaje sobie nawet sprawy, że czerwona podłoga, na której się bawi, jest przesiąknięta moją krwią.

Krzysztof Maciejewski (ur. 1971) – dziennikarz, recenzent, pisarz, redaktor naczelny portalu Papierowe Myśli. Wyróżniony w konkursie Gildii Horroru za krótkie opowiadanie grozy. Autor dwóch zbiorów opowiadań: *Osiem* oraz *Album* (Wydawnictwo Forma). Jego opowiadania znalazły się również w takich antologiach jak: *City 1. Antologia polskich opowiadań grozy*, *City 2. Antologia polskich opowiadań grozy*, *Bizarro dla początkujących*, *Halloween* czy *Dziedzictwo Manitou*.

Krzysztof Maciejewski

Biel Labędzia, biel Labędzia

Uciekają mi ostatnio latawce słów, tracę nad nimi władzę, co w moim zawodzie jest katastrofą. Dziennikarz musi panować nad językiem, obracać w dłoniach błyskotliwe frazy i porównania. Nie, wcale nie chodzi o abnegację, ibidem czy indyferentyzm. Znikają wyrazy bardziej pospolite, takie, których używa się w mowie potocznej, jak czcionka czy żywopłot. Mam je zawsze na końcu języka, lecz nie mogę sobie ich przypomnieć. Ta lista wciąż się wydłuża, trwonię słowa par excellence. Te chwile, gdy milknę w trakcie rozmowy, gdy poszukuję wymykającego się określenia... I te, gdy przypominam je sobie po fakcie, a przecież spóźnione słowo jest czymś gorszym niż niewłaściwie dobrane. Powiedzieć, że dopada mnie ustawicznie duch schodów, to tyle, co nic nie powiedzieć.

• • •

Spotykam się dziś na mieście z Alfredem. To mój stary znajomy, którego wiedza i erudycja już od lat mnie zawstydzają. Gość jest bibliotekarzem, co według dzisiejszych kryteriów stanowi pracę niezbyt atrakcyjną finansowo, ale jemu to zupełnie nie przeszkadza. Zawsze mówi, że pieniądze, za którymi się uganiamy, są narzędziem niewoli. Zwykle w takich przypadkach odpowiadam mu cytatem z Cortazara, że jak się nie ma forsy, wszystko idzie jak kurwie w deszcz. Pozostajemy przy swoich zdaniach.

- Brakuje ci zatem słów, nie umiesz się wyśłowić, tak? – pyta.
- To nieco bardziej skomplikowane. Mam wrażenie, że mój zasób słów w dziwny sposób topnieje z każdym dniem... Byłem na konsultacji neurologicznej i od strony medycznej wszystko wydaje się w porządku.
- To chyba pocieszające – zauważa Alfred.
- Teoretycznie tak, ale wciąż nie znam przyczyny mojego stanu. Alfred wzrusza ramionami.
- Powinieneś pójść do dobrego terapeuty.
- A znasz takiego?
- Powiem więcej, wydaje mi się, że znam rozwiązanie twojego problemu.

I wtedy po raz pierwszy słyszę o Logofagach.

• • •

Czasami dostrzegamy je na zdjęciach. Wtedy kręcimy głową i z dezaprobatą klniemy pod nosem – oto kolejne świetne ujęcie zepsute przez skazy i refleksy na błonie lub matrycy. Na kliszy przybierają wrzecionowaty kształt jak pochwycony przez siatkówkę oka powidok, który za chwilę zblednie i przestanie istnieć. Tylko że one nie blakną.

Można je nazwać istotami amorficznymi, bo nie posiadają w zasadzie wewnętrznej struktury. Niektórzy utrzymują, że są wyłącznie płodami imitatywnej tendencji materii. Inni traktują je jako podrzędne, niewarte uwagi stworzenia, żarty Boga. W końcu pozory nie świadczą na ich korzyść. Ale jednak posiadają one coś w rodzaju umysłu, a w każdym razie swoistą pamięć, która z przyzwyczajenia powtarza raz przyjęte stany.

Zdaniem Alfreda, Logofagi to rodzaj conceptualnych bytów, cokolwiek to oznacza. Żywią się, jak sama nazwa wskazuje, słowami, a lekarstwem na nie jest psychoterapia. Kumpel ma nawet adres odpowiedniego specjalisty.

• • •

– Czy wie pan, jak to leczyć?

Leżę na kozetce, niezbyt wygodnej, lecz wyglądającej na wygodną, a patrzy na mnie sobowtór prezydenta. Czysty przypadek, że szef poradni psychiatrycznej wygląda jak znany polityk. Doktor Winicjusz Winnicki obdarza mnie spojrzeniem znanym z wyborczych plakatów rządzącej partii.

– Rzeczywiście, mam pomysł, jak panu pomóc. Musi pan jednak podpisać ten dokument.

Podsuwa mi plik kartek ozdobionych logotypem kliniki.

– Ale na czym ma polegać to leczenie? – waham się.

Winnicki wygląda teraz zupełnie jak ojciec narodu.

– To eksperymentalna terapia. Chciałbym, aby poznał pan pewną młodą kobietę...

• • •

Myślę, że stręczycielstwo to dość dziwna metoda leczenia. Myślę jednak: co mi tam. A za chwilę muszę uspokoić taniec roztrzepotanych powiek, jakże nieskończenie odległy od trzeźwych analiz. Widzę twarz kobiety, której nawet nie próbuję opisać. W takich momentach ta, jak to się mówi... logika zawodzi, umysł wypełniają bulgoczące emocje – światło przestaje być uporządkowanym zbiorem cząsteczek, a staje się falą. Nie chodzi wcale o to, że kobieta jest nieskończenie piękna; jej nos nie wysłałby w morze tysiąca okrętów, a samym rysom brakuje tej, no... klasycznej symetrii. Lecz nawet analityczny mózg mężczyzny w sile wieku wzdraga się przed stwierdzeniem, że piękno jest tylko rodzajem geometrii. Chodzi w nim raczej o coś przemilczanego, niedookreślonego – miraż rozpływający się we mgle poranka, taniec zmiennych promieni słońca na liściach (a może tylko na siatkówce oka?), uczucie dopełnienia kontradykcji, znaczy chciałem powiedzieć, przeciwieństw, które w tajemniczy sposób chroni ogrodową furtkę przed wtargnięciem chaotycznego świata. Moje neurony zabijają się masowo na wirażach.

• • •

Dopiero jednak, gdy odzywa się do mnie, pojmuję z całą stanowczością, z jakąś pornograficzną dosłownością, że to jej głosu wyczekiwałem przez całe życie. Głosu, którego nie opiszą żadne słowa, chociaż słowa, które słyszę, nie są wcale popisem oratorskiego geniuszu. Dziewczyna mówi bowiem:

– Siema, to nie ściema!

A ja słyszę w tym zdaniu potencjał przyszłych rozmów nad ranem w pustej tawernie na morskich rubieżach w nieświadomym towarzystwie śpiących pijackim snem piratów, a może to nieodbyte spotkanie będzie mieć miejsce w średniowiecznych bibliotekach albo na statku kosmicznym mknącym z nadświatlną prędkością w przestworza?

Dziewczyna nazywa się Berenika, lecz nie nosi warkocza, co w dzisiejszych czasach łatwo wytłumaczyć, chociaż rodzice niewątpliwie są niezadowoleni... Ważne jest jednak wręcz nadnaturalne zrozumienie, jakie znajduję w jej oczach, z pewnością zasilane magicznym strumieniem neuronów. Cóż mogę powiedzieć? Pewien pisarz kiedyś zauważył, jak trudno jest odróżnić tancerza od tańca. Od pierwszego spojrzenia czuję, że nie umiem już odróżnić nawet liści od muzyki ani wschodu słońca od zapachu trawy o poranku. Dlatego też odpowiadam:

– Siemka, to nie ściemka!

• • •

No dobrze.... Przyznam, że ten dialog nie wygląda wcale tak, jak to się mówi... groteskowo. Zupełnie nie umiem wytłumaczyć tego popadania w... autoironię, w jakieś dziwaczne umysłowe hołubce i tromtadracje. Jakbym nie umiał nagle oddzielić tych żalonych wykwitów wyobraźni od realnego świata, jakbym starał się rozmyć rzeczywistość w niestosowności, zamiast opisać ją odpowiednimi słowami. W każdym razie rozmawiamy długo, a mi jakby rzadziej brakuje słów, z łatwością znajduję je ukryte w meandrach

rozmowy. Winicjusz Winnicki też jest zadowolony z początku terapii. Miłe złego początki.

Następnego dnia rano budzę się, a w mojej głowie dźwięczy pustka. Wspominam sen, w którym wiatr potrząsa koronami drzew. Niczym wielkie ptaki usiłują wydostać się na wolność. Jednak ta walka jest daremna, a klatki ich korzeni głęboko tkwią w gruncie rzeczywistości. Mam na głowie kapelusz i patrzę na las, który tak bardzo przypomina mi dni wypełnione szczęściem. I wiem, że gdzieś nieopodal kryją się malownicze zatoki, pnie masztów i żagle wyrrywające się ku dalekim lądom... Wszystkie te miejsca, których nazwy dawno rozmyły się w przepływającym potoku zdarzeń. Tylko kryształowe kule wspomnień rozbijają się u moich stóp, z hukiem użyźniając ziemię. Biel łąbędzia, biel łąbędzia.

Te dwa słowa pojawiają się znikąd natrętne jak owady. Myślę o Berenice, a widzę w myślach biel łąbędzia. Biel łąbędzia to mój jedyny komentarz, gdy myślę o tym, no wiecie... Jakbym, ech... Nagle pojawia się ta, no... Kuźwa, jest gorzej niż poprzednio.

• • •

Kolejny seans ma miejsce trzy dni później. Rozmowa jakoś się nie klei, zupełnie nie wiem, skąd wziął się u mnie ten euforyczny stan podczas pierwszego spotkania. Berenika uśmiecha się do mnie zachęcająco, ale nic z tego, biel łąbędzia. Nie czuję już tej ekscytacji, jaka wcześniej była moim udziałem. Za to Winnicki wydaje się być w szampańskim nastroju, poklepuje mnie po plecach, że aż czuję biel łąbędzia. Póki jeszcze pamiętam to wyrażenie, muszę je sprawdzić w słowniku.

• • •

Śni mi się płynący po stawie łąbędź; jest w nim jakaś niewypowiedziana groza. Ptak spogląda w moim kierunku, podpływa, już widzę jego oślepiającą biel, zdaje mi się, że dobiega mnie jakiś dziwny dźwięk. Tiriri, tiriri, tiriri... Jakby kołyszająca się na wietrze huśtawka. Tiriri, tiriri, biel łąbędzia.

• • •

To nie ma sensu, najmniejszego. Słowa mi uciekają. Nie pomaga nic. Masakra. A może to ta... Zapomniałem. Coraz częściej myślę o... Jaka piękna jest... Ale to wszystko na nic. Paralaksa. Biel łabędzia. Jutro mam spotkanie z Bereniką. Może jednak warto. Może jednak. Biel łabędzia.

• • •

Rozmawiamy. Ona patrzy tak jakoś. Jej oczy tchną tajemnicą. Nie umiem. Na nic to. Mój krzyk jest wołaniem o pomoc. A może tylko krzykiem? Ona już się nie uśmiecha. Jakby spiskowali razem przeciwko mnie. Biel łabędzia. Jak się nazywały te stwory? Jak ja się nazywam?

• • •

biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia
biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia
biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia
biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia
biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia
biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia
biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia
biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia
biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia
biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia
biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia biel łabędzia

• • •

*wchodzę na stołek
wysoko wisi pętla
sięgam jej głowę*

*biel łabędzia
teraz tylko
kopnąć nogami
powietrze*

• • •

Winnicki spojrział na dziewczynę. Wyglądała jak zwykle olśniewająco, ale on dawno temu uodpornił się na kobiece wdzięki. I dobrze, bo Berenika była tylko i wyłącznie asystentką.

– Nasz pacjent popełnił samobójstwo. – W jego głosie zabrzmiała dziwna nuta.

Kobieta wzdrygnęła się.

– Tak, słyszałam o tym. To straszne.

I wtedy psychiatra zaczął się śmiać. Zdezorientowana wlepiała w niego wzrok.

– To twoja zasługa, moje dziecko...

A potem wyjaśnił, że są zbitki słów, które powtórzone określona liczbę razy powodują neodpartą myśl samobójczą. Jak lekarstwo, które w odpowiednim stężeniu staje się nagle zabójczą trucizną.

– To ty wdrukowałaś w niego słowa, które popchnęły go do odebrania sobie życia. – Lekarz uśmiechnął się.

Berenika pokręciła głową.

– Nie... to niemożliwe... Pan mówił, że ta terapia go wyleczy...

– I wyleczyła. Był śmiertelnie chory. Nie można było pozwolić na rozprzestrzenienie się Logofagów.

– Ale doktorze... – Berenika była wstrząśnięta.

– Życie bez słów byłoby koszmarem, uwierz mi, moja droga. Logofagi są jak dżuma i cholera. Epidemia bytów conceptualnych zniszczyłaby naszą kulturę i cywilizację. A my po prostu wprowadziliśmy do umysłu pacjenta serum, które za jednym razem unieszkodliwiło wszystkie Logofagi.

– Pan tak łatwo tłumaczy morderstwo... Ten człowiek przyszedł do pana po pomoc, a pan go zamordował, razem to zrobiliśmy...

– I będziemy musieli oboje z tym żyć. Uwierz mi, że alternatywa była znacznie bardziej przerażająca.

• • •

Można je nazwać istotami amorficznymi, bo nie posiadają w zasadzie wewnętrznej struktury. Niektórzy utrzymują, że są wyłącznie płodami imitatywnej tendencji materii. Logofagi wędrują po zielonych ogrodach, których nigdy nie ujrzemy, tańczą pod gwiazdami, które już dawno zgasły. A czasami przybywają do naszej rzeczywistości. Wystarczy tylko słowo.

Graham Masterton (ur. 1946) – popularny pisarz brytyjski, autor ponad stu książek: horrorów, thrillerów, powieści historyczno-obyczajowych, poradników seksuologicznych oraz zbiorów opowiadań. Swój pierwszy horror *Manitou* wydał na początku lat siedemdziesiątych. Książka już kilka dni po premierze stała się bestsellerem. Na jej podstawie powstał film w reżyserii Williama Girdlera z Tonym Curtisem i Susan Strasberg w rolach głównych. Nakładem Wydawnictwa Replika ukazały się do tej pory między innymi powieści: *Kandydat z piekła*, *Krzywa Sweetmana*, *Trauma*, *Niewinna krew*, *Geniusz*, *Niemy strach*, *Trans śmierci* czy *Dziecko ciemności*. Opowiadanie *W obronie Rogera Herringsa* to prawdziwy kątek dla fanów Grahama Mastertona, który napisał je w wieku 17 lat, kiedy dopiero zaczynał karierę jako dziennikarz.

Graham Masterton

W obronie Rogera Herringsa

Roger Herrings twierdził, że oddaje się seksualnej rozpuście wyłącznie odpowiedniej jakości. Ale ja, ja właśnie jechałem na moim rowerze Maltby Speedwind z górki tak szybko, jak tylko się dało, a pod górę wchodziłem na piechotę.

Lato było tak upalne, że ulice zmieniały się w lukrecję, dęby falowały przed oczami w oparach gorąca, a znad żywopłotów unosił się zapach wysychającej trawy, gdy ja pedałowałem. Jadę! Na spotkanie! Z panną Jessiką! Roland!

Której nigdy nie wydymałem. Przykro to mówić, pomruk-pomruk.

Ale którą z radością bym wydymał.

Miałem dziewiętnaście lat i niedawno straciłem ojca. Wpadł do ładowni statku płynącego z Argentyny i roztrzaskał czaszkę na czerwono-biało-niebieskim kawale mrożonego mięsa.

Całkiem go kochałem, ale ta sytuacja była dla mnie krępująca. Dlatego opowiadałem, że wziął go na rogi byk, co sprawiało, że moi znajomi krzywili się z przerażenia, a nie wybuchali śmiechem, a potem musieli udawać, że to z powodu szoku.

Sami widzicie.

Dlatego trudno mi było oddzielić prawdę od fikcji. Oczami wyobraźni widziałem nawet stępiony róg okrutnie wbijający się we wnętrze ojca i jego krwawą drogę na oślep przez delikatne narządy. Narządy, które cieszyły się tak wieloma guinnessami

pitymi w Owłosionej Bestii w ciepłe wiejskie popołudnia, gdy przez rżnięte szkło kufli przebijały zakurzone promienie słońca, liczne pobrudzone słomą buty trzeszczały, a głosy nuciły elegię. Dla mojego kochanego taty.

Roger Herrings, który miał dwadzieścia pięć lat, ale wykręcił się od wojska, dostając kategorię 4F i teraz latem tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego leniuchował w upale, obnażając bladą, kurzą klatkę piersiową, powiedział do mnie:

– Potem była Judy. Brzoskwinka. Brzoskwineczka. Szkoda, że jej nie widziałeś. Cała gorąca i lepka jak marmolada. Wszedłem w nią jak widły w kupę gnoju. Grrrrryyyy.

Brylantyna na jego krótkich, czarnych włosach błyszczała. Chociaż zawsze jest czająca się gdzieś zazdrość, która podpowiada, że dziewczyna taka jak Judy nie zniosłaby tych włosów podskakujących i falujących przed jej delikatną buzią, wiedziałem, że to zrobił, bo kłamał tylko o piciu.

Kiedy odjechałem na moim rowerze. Moim Maltbym Spee-dwidzie. Podnosząc się z siodełka i wciskając pedał za pedałem. Czułem się jak szkolny prawiczek.

I całe życie samotnych grzechów zostało za mną. *Descendat super vos et maneat semper.* ⁽³⁾

A teraz! Jadę! Na spotkanie! Z panną Jessicą! Roland!

Jak pułkownik Douglas Bader, beznogi as lotnictwa przypuszczający atak z powietrza na Peenemünde swoim Tayphoonem. Anioł Pięć do Dowódcy Aniołów, Anioł Pięć do Dowódcy Aniołów, Bandy ci na dziewiątej. I wirujący Messerschmitt złapany w mój celownik. Tra-ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta. Iiiiiiiiiiiiiiiiiiaaaaaaaaaaa. Buch-baaaaaamm.

Oto ona. Jessica. Stojąca w delikatnie falującym powietrzu letniego popołudnia, widziana z głębi oceanu moich wspomnień panna Jessica Roland. Ze spiczastym noskiem, wysokim, kształtnym czołem i długimi włosami wóźki, które unosiły się, opadały

i pływały wokół niej jak wodorosty na odległym brzegu nieustannie falujące na wodzie.

I małe, sterczące piersi ukryte pod bawełną w czerwonej kratę.

I wielkie, krótkowzroczne, niebieskie oczy.

I idealne do lizania patykowate nogi w krótkich skarpetkach. Siedemnaście lat. Nie tknęła jej żadna bomba, nie oszpecił ognisty samolot; wznosząc się ponad zamglonymi falami wspomnień, jaśniała poprzez śmierć mojego ojca jak promieniejąca światłem latarnia morska, taka czysta i czysto napełniająca świat ciepłem, nadzieją i najśłodsza miłością. Do mnie. Na moim Maltbym Speedwindzie.

Miała piegi. I marszczyła nos w sposób, który za każdym razem całkowicie pozbawiał mnie tchu.

– Zgrzałeś się – powiedziała.

– Tak, okropny skwar, prawda?

Zsiadłem z roweru i zdjąłem spinacze z nogawek jak mężczyzna idący do kościoła. *In sæcula sæculorum.*⁽⁴⁾ Poproszę o cichą muzykę organową w tle. Preludium G-dur Bacha.

Zostawiłem rower zabezpieczony kłódką i poszliśmy ulicą, trzymałem jej dłoń w spoczonej ręce.

– Podjęłam decyzję – powiedziała. A moje serce oderwało się od formacji i zaczęło spadać do morza.

– Zdecydowałam, że przestanę się z tobą spotykać.

– Och.

I jechałem, i jechałem na moim Maltbym Speedwindzie, aż brakowało mi tchu w piersi, całe kilometry z górki i pod górkę, po zakrętach i krętych drogach, całe kilometry. I zatrzymałem się na wzgórzu, którego nie znałem, cichym, wilgotnym i obcym; ołowiane chmury wyglądały jak brwi nad okrągłym obliczem wzgórz Wiltshire.

Telefon. Wcisnąć przycisk A.

– Jessica. To ja. Mogę się z tobą zobaczyć?
– Powiedziałam ci przecież. Zdecydowałam, że nie będę się już z tobą spotykać.

– Jessica, kocham cię.

– Ale ja nie kocham ciebie. To na nic. Myślę, że głupio to ciągnąć.

– Ale nawet nie spróbowałaś mnie pokochać.

– Wciąż cię lubię jako przyjaciela.

– Co mi z tego? Jessica, nie rozumiesz. Ja cię kocham.

I wtedy skończyły mi się drobne, a jej głos zniknął z słuchawki tej naładowanej rozpaczą i samotnością budki telefonicznej, w której teraz stałem, uwięziony w czerwieni. Taki mały nigdy się jeszcze nie czułem, jakby oglądany z samolotu, z ogromnej odległości, coraz większej, dopóki nie stałbym się niewidoczny gołym okiem i musielibyście się nieźle wysilić, żeby zobaczyć mnie przez teleskop.

Przez jakiś czas rozpaczałem, a potem skończyłem dwadzieścia lat i bank otworzył przede mną swoje podwoje.

Była zima.

Siedziałem za ladą, uwięziony w spizu. Wysoki, dokładny zegar odmierzał moje popołudnie. Po lewej miałem szufladę pełną pieniędzy. I łopatkę do cukru, którą mogłem je zgarniać.

Tysiąc funtów w jednej szufladzie. W różnych nominałach. Duże, białe, pomięte piątki, dość duże, by zawinąć w nie łupacza. Zielone funty. Brązowe dziesięć szylingów. I monety z krawędziami, o które można by odpalać zapałki. Niczego z tego nie ukradłem.

Odkładałem z pensji. Oszczędziłem dziesięć funtów. A potem zabrałem je i moje dziewictwo do West Endu. Napędzany smutkiem, by dać się zdeprawować.

– Przepraszam.

Podjrzliwe spojrzenie młodych oczu suto okraszonych czarną kreską odwróciło się w moją stronę. Jest ponure popołudnie na ulicy Wardour, niebo wygląda jak skorodowana miedź. Kilka

zimnych kropel deszczu i człowiek gna jak Drakula okutany ciemnym płaszczem, ukryty pod czarną parasolką.

– Czego chcesz, skarbie?

– Ogromnie przepraszam, mam nadzieję, że pani mnie źle nie zrozumie, ale czy pani jest...

– Dwa dziesięć za numerek, piąta za noc.

Hmm. Mniej niż myślałem. Zostanie mi pięć funtów na nowe opony, może nawet nowe siodełko.

– Eee. Tak. W porządku.

– To znaczy co? Dwa dziesięć za numerek czy piątek za noc?

– Eee. Myślę, że wystarczy mi numerek.

Jessica prowadziła mnie owocowym sadem. Z drzew spadały jabłka. Położyła się na ziemi jak miód spływający z kromki świeżego chleba, wyciągając ręce, by wziąć mnie w swoje słodkie objęcia, a podmuch wiatru wokół mojej nagiej erekcji i wokół jej lędźwi już nas połączył, chociaż trzeba było pokonać jeszcze słaby opór jej majteczek. I wreszcie jej ciche krzyki, jęki i jej zęby gryzące moje ucho.

– Stebbings widział, jak opuszczasz dom o podejrzanym reputacji.

– Przepraszam?

– Stebbings widział, jak wychodzisz od prostytutki.

– Och.

Mogłem gapić się na dewizkę, która spinała go do kupy, ale nie na jego pokrytą plamami twarz, okrągłą jak słońce, z białymi wąsami i przerażającymi oczami, w które można było wpaść i zniknąć na zawsze.

– Ten bank jest moralnym bankiem. Odpowiadam za ciebie przed twoimi rodzicami, dopóki nie skończysz dwudziestu jeden lat. Nie tylko za twój finansowy dobrobyt, ale też za twoje moralne prowadzenie się. Będę musiał powiadomić twojego ojca.

– Mój ojciec nie żyje, proszę pana.

– Och.

– Byk wziął go na rogi. I ojciec zmarł.

– Przykro mi to słyszeć. W takim razie muszę powiadomić twoją matkę. Rozumiesz chyba, że nie chciałbym jej denerwować, ale musi się o tym dowiedzieć.

– Tak, rozumiem, proszę pana.

– Dobrze. Możesz wracać do pracy.

Tego popołudnia wyjąłem tysiąc funtów z szuflady. Potem wyszedłem z banku na ulicę. A potem wróciłem do banku i odłożyłem pieniądze na miejsce.

Potem dostałem list od matki. Leżał na kłującej wycieraczce przed moim domem z koszmarną tapetą i wiecznie utrzymującym się zapachem smażonych jajek i stęchłym odorem genitaliów.

Bładoniebieskim, pajęczym pismem list ogłaszał ekskomunikę. *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Santi.* ⁽⁵⁾ Ty plugawa kreaturo, co by sobie pomyślał twój kochany ojciec. Ale mój kochany ojciec był zbyt zajęty spoczywaniem na cmentarzu w Bath, z mrożoną polędwicą wołową odciśniętą na ponurym obliczu.

Dalej, dalej podmiejskimi ulicami na moim Maltbym Speedwindzie. Po obu stronach wznosiły się srebrne latarnie uliczne, tysiąc metalowych erekcji, które zwiastują! Nadejście! Mojego erotycznego ja!

I dziwna, pusta sekunda, kiedy uciekło ze mnie życie i leżałem ze zdartymi kolanami, a koła mojego roweru obracały się na boku. tikTik-tik-tik-tik.

– Czy nic ci się nie stało?

– Tak. Myślę, że nie. Podarłem sobie spodnie.

– Może wejdiesz na chwilę. Posmaruję to jodyną.

– Tak, tak, dziękuję, chyba skorzystam. Czy mógłbym napić się herbaty?

– Oczywiście. Usiądź tutaj i zaraz ci podam.

Pułkownik Douglas Bader, ranny as lotnictwa leży w niemieckim obozie niemieckim, krew kapie na podłogę. *Ah, das Englische Schweinhund. Sind Sie krank? Was möchten Sie hier?* ⁽⁶⁾

Co to za pokój. Ciepły pokój. Z dużymi krzesłami całymi przykrytymi złotymi plecionkami. I pękaty, orzechowy barek, wypchany butelkami ginu, szkockiej i brandy. I obraz przedstawiający wiejski krajobraz, błyszczący i popękany. Oryginał.

Potem kobieta wraca z jodyną w brązowej, rżniętej butelce, ręcznikiem i małą, emaliowaną miską z wodą.

– Podwiń nogawkę.

– O tak?

– Tak. O jejku, ale nieładne zadrapania. Dobrze, że cię zobaczyłam. Przeleciałeś nad kierownicą.

Hmm. To niegodne syna mężczyzny wziętego na rogi przez byka.

Kobieta przykuca, przykładając do rany pomarańczowy wacik. Ma młodą twarz, może trzydziestoletnią, i nieco elfią, jakby jej praprababka była halflingiem.

I ukradkiem spuszczam wzrok na jej spódnicę, opinającą uda. I zerkam do środka na smukłe nogi obleczone błyszczącymi brązowymi pończochami i jasne ciało obejmowane mocno przez pasy podtrzymujące. I białe majteczki, jak gaza pełna jeżyn.

– Co to jest? – pyta niespodziewanie.

I szokuje kładąc mi chłodną dłoń na twardym sprzęcie w moich spodniach, zszokowała mnie tak, że aż podskoczyłem, kładąc mi chłodną dłoń na twardym sprzęcie w moich spodniach.

– Skąd się to wzięło?

I gdy tak siedzę, dziwny inwalida, z jedną podwiniętą nogawką jak masoński nowicjusz, ona rozpina mój rozporek. I oto on wznosi się w przestronnym pokoju, nagi kawał ciała i tak dobrze wypolerowany! Moja fujarka! Klękajcie narody! Naturalny olej!

Potem ona zadarłszy wysoko bawełnianą sukienkę, niczym kobieta w kąpieli Lautreca, siada na mnie okrakiem i kopulujemy, na Boga. I tracę moje prawdziwie dziewictwo nie wśród symfonii grzmotów i piorunów, jak wcześniej sobie wyobrażałem, ale przy akompaniamencie cichych, rozbawionych pisków ocierających się o siebie ciał, szeptów i pomruków rozkoszy.

I jadę! Na moim Maltbym Speedwindzie! Moim rydwanie! Dziś nie do banku!

Tylko na stację. Gdzie wsiadam. Do pociągu jadącego na zachód.

Żeby stanąć na skrzypliwym cmentarzu nad grobem ojca.

Którego duch. Który jest mną.

Nareszcie zaliczył.

(3) *Descendat super vos et maneat semper* – (łac.) Niech zstąpi na was i pozostanie na zawsze.

(4) *In sæcula sæculorum* – (łac.) Na wieki wieków.

(5) *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Santi* – (łac.) W imię ojca i syna i ducha świętego.

(6) *Ah, das Englische Schweinhund. Sind Sie krank? Was möchten Sie hier?* – (niem) – Ach, angielska świnia. Jest Pan chory? Czego Pan tu chce?

Jacek M. Rostocki – z zawodu copywriter, autor tekstów, scenariuszy i koncepcji reklamowych. Prywatnie autor opowiadań, wierszy, tekstów piosenek. Jako swój drukowany debiut podaje opowiadanie *Nasz Mateusz*, opublikowane w magazynie *Nowy Detektyw* w 1992 roku. Później związany z internetowymi portalami literackimi *3, Fabrica Librorum* i *Forum Prozatorskie*. Udzielał się w Łomiankowskim Klubie Literackim, czego materialnym dowodem jest zbiór opowiadań *Serio* wydany w 2006 r. W 2009 roku nakładem wydawnictwa *Fabryka Słów* ukazała się napisana wspólnie z Robertem Cichowlasem antologia opowiadań grozy *Sępy*. Pojedyncze opowiadania autora publikowane były również w periodykach takich jak „*Fahrenheit*”, „*SFFiH*” czy „*Grabarz Polski*”, a ostatnio trzy teksty Rostockiego znalazły się w popularnych antologiach horroru: *11 cięć*, *15 blizn* i *Dziedzictwo Manitou*.

Jacek M. Kostochi

Empatron

Kuter

Trudno sobie wyobrazić pogodę lepiej dopasowaną do transportu. Sztorm wydawał się walczyć sam ze sobą. Fale, wpadając jedna na drugą, paradoksalnie nie niwelowały swojego impetu, lecz powodowały, że niewielki kuter więzienny podskakiwał jak korek wrzucony do górskiego strumienia. Panująca ciemność miała fakturę grubo szlifowanego węgla. Spadające z nieba potoki wody łączyły się z pióropuszcami piany wznieczanymi przez wicher, a cała ta kurtyna połyskiwała, łapiąc każdą dostępną poświatę, każde nawet najmniejsze światełko, ognik. Ciemna, chropowata ściana wody połyskiwała różnymi odcieniami czerni i głębokiego granatu.

Co prawda, trzydziestu czterech pasażerów stłoczonych pod pokładem wcześniej odurzono specjalnym koktajlem blokującym działanie błędniaka, ale teraz, po godzinie upiornego pogo na wzburzonych wodach zatoki, pomieszczenie przypominało wnętrze pralki, do której ktoś wrzucił nie tylko ubrania, ale również naczynia z obiadu razem z resztkami jedzenia i włączył na wirowanie.

Kłębowisko bagaży, ludzi i trupów udekorowane wymiocinami i odchodami było czymś, co bez przesady można nazwać piekłem.

Chociaż biorąc pod uwagę, dokąd płynęli, był to dopiero przedsmak piekła.

Ci trzej pasażerowie, którzy zginęli na początku całej karuzeli, rozgnieceni ciałami bezwładnych towarzyszy rzuconych przez żywioł po kątach kajuty, byli już po drugiej stronie. Nie musieli się niczym przejmować. Tyle że ich czas minął definitywnie.

Ci, którzy wciąż walczyli o pozostanie na wierzchu skłębionej masy bez względu na to, co ich czekało i co jeszcze mieli wycierpieć, żyli i mogli mieć nadzieję.

Co ciekawe, chociaż może nie bardzo odkrywczе, potęga przyrody była niezwykle liberalna. Drwiła i doświadczała wszystkich równo bez względu na przewiny czy też ich brak.

Gdyby na statku znajdowała się jakaś załoga, cierpiałyby z pewnością nie mniej niż pasażerowie.

Ale załogi nie było. Jednostka była sterowana zdalnie, a biorąc pod uwagę charakter całego transportu, można było podejrzewać, że pogodę celowo wybrano tak, by sprawić podróżującym jak najwięcej cierpienia. Oczywiście chodziło również o uniemożliwienie ucieczki.

Kiedy zaraz po wyruszeniu z portu więźniowie zorientowali się, że są na pokładzie sami, przez krótką chwilę łudzili się, że może jest to szansa na odzyskanie wolności.

Przez moment napawali się swobodą, poczuciem, że mają wpływ na cokolwiek. Na początku próbowali się zorganizować, ale bez efektu. Próby dyskusowania możliwości ucieczki zakończyły się kłótniami i bójkami, które z kolei przerwał sztorm. Teraz zaś liczyło się już tylko przeżycie.

Laboratorium

Jak za każdym razem odłączenie od urządzenia było szokiem. Co prawda sam moment zdjęcia kasku zawsze stanowił kosmiczną ulgę, czasem przypominającą wręcz orgazm (kilka razy w tym właśnie momencie zdarzyła mu się ejakulacja), ale nagły powrót do rzeczywistości był po prostu bólem. Nie jakimś konkretnym jak

rwanie zęba czy migrena. To był wszechogarniający, gorący cios, na który nie pomagało zgięcie się w pół czy w ogóle jakakolwiek zmiana pozycji. Bolało oddychanie, bolała skóra od nawet najmniejszego ruchu powietrza, a wnętrzności rwały w oszałamiającym unisono.

Normalnie podawano mu natychmiast zastrzyk uśmierzający, który pozwalał stopniowo powrócić do równowagi sensorycznej. Tym razem ukojenie nie nadchodziło.

Szesnastka, pokonując skurcze, instynktownie wciągnął się na krawędź stalowego sarkofagu, w którym spoczywał, i z olbrzymim trudem przeciągnął ciało na drugą stronę. Bezwładnie spadł na twardą podłogę laboratorium, ale ból spowodowany zderzeniem z posadzką i złamaniem lewej ręki w łokciu utonął w oceanie cierpienia, w którym unosiła się jego świadomość.

– Na pewno nie podawać mu...

– Nic mu nie podawać.

Mężczyźni w milczeniu wpatrywali się w rzucanego skurczami Szesnastkę. Jeden z nich, naukowiec ubrany w laboratoryjny kombinezon, był wyraźnie niezadowolony. Nie czuł żadnego współczucia wobec wijącego się na podłodze człowieka, ale irytowało go przerywanie eksperymentu. Bał się, że fizyczne urazy negatywnie wpłyną na mózg obiektu, a mózg był kluczem.

Drugi z nich obserwował pojękującego Szesnastkę z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia. Ubrany był w oficerski uniform – mundur polowy i wysokie, sznurowane buty na grubej bieżnikowanej podeszwie. Czapka z daszkiem, nad którym połyskiwały funkcyjne gogle, dopełniała stroju. Nic nie świadczyło o jego randze, ale na Wyspie to nie miało znaczenia. Jedenastu oficerów było po prostu szefami. Panami, jeśli ktoś woli. Jakie były relacje między nimi, wiedzieli tylko oni. Dla pozostałych – więźniów, strażników i nielicznego personelu – wystarczyło, że są oficerami. Dawało im to status bogów.

– Ten się już nie nada – rzucił żołnierz, nie odrywając wzroku od cierpiącego.

– Kiedy... Rękę mu się złoży, będzie jak nowy, tylko...

– Nie nadaje się – uciął krótko oficer.

Podszedł do nieszczęśnika i postawił ciężki but na jego głowie, na moment ją unieruchamiając. Szesnastka nawet tego nie zauważył. Oficer bez uprzedzenia lekko uniósł nogę i z pełnym impetem świadczącym o olbrzymiej sile rozdeptał czaszkę leżącego. Upiornemu trzaskowi i obrzydliwemu mlaśnięciu towarzyszył krwawy rozbryzg dekorujący podstawę sarkofagu, spodnie i buty oficera brunatnoczerwoną breją. Szara, połyskliwa galareta mózgu rozlała się wokół rozgniecionej głowy, a jedna z gałek ocznych, wypchnięta ciśnieniem wyskoczyła z oczodołu i zatrzymując się na krótkiej smyczy nerwu, wpatrywała się w swojego oprawcę. Mężczyzna prychnął z dezaprobatą i rozgniół oko obcasem, tak jak rozgniata się niedopałek papierosa.

– Posprzątaj tu i bądź gotów na następcę – rzucił rozkazującym tonem do naukowca, który z niedowierzaniem wpatrywał się w trupa Szesnastki.

– On jedyny przeżył...

– Jak widać, nie przeżył. Mówiłem ci już, że nie będzie nam więcej potrzebny. Nowa technika się sprawdziła, ale on sam był do niczego. Odczyty były niejednoznaczne. A wiesz, co to oznacza?

– Że emocje interferowały. – W mężczyźnie odezwał się instynkt naukowca. Już wyobrażał sobie następnego pacjenta. – Ale skąd weźmiemy nowego? Na wyspie przebadaliśmy prawie wszystkich. To, że w pozostałej grupie znajdziemy odpowiedni egzemplarz, jest mało prawdopodobne.

– Płynie nowy transport. Jeden z więźniów odpowiada profilem: życiorys i psychika wydają się w porządku. Pozostaje kwestia wytrzymałości, no i tresury. Ale to załatwimy. Wracaj do testów, a niedługo dostaniesz nowe mięso.

– Siedemnasty.

– Pięćset siedemnasty, o ile dobrze liczę?
Laborant milcząco pokiwał głową.

Kuter

Mimo diabelskiego sztormu, stateczek z mozołem przesuwiał się w kierunku wyspy i kiedy nad rankiem ostatnie podrygi nawałnicy szturchały zrujnowany kadłub, do portu przeznaczenia pozostawała niespełna mila. Ian siedział oparty o ścianę kajuty. W skupieniu, na tyle, na ile pozwalały mu rozkołysane narkotykiem i falami zmysły, obserwował towarzyszy niedoli, czyli kupę ciał. Biorąc pod uwagę, przez co przeszli więźniowie, można się było po nich spodziewać wszystkiego. Czyli nie wiadomo było, czego należy się obawiać. W walce o przetrwanie puszczały wszelkie więzy współniedoli i chociaż grupa pozostałych przy życiu mężczyzn nie sprawiała wrażenia gotowych do jakiegokolwiek walki czy stawiania oporu, Ian wolał zachować czujność. Płatanina korpusów zaczynała się powoli rozluźniać. Ludzie wysuwali się z objęć, stawiali na czworakach, potem na nogi. Niektórymi targały spazmy, kiedy usiłowali wymiotować, nie mając już czym. Stojąc na nogach i kiwając się na boki, przecierając oczy, otrzepując ubrania i wyginając się w mimowolnych skurczach, wyglądali jak stado chorych na polio pingwinów. Komuś innemu przypominaliby pewnie zombie. Porównanie z zombie było zresztą trafione – oni właściwie umarli w czasie sztormu, a teraz wracali do życia, marząc, by piekło nie powróciło. Byli ośpiali i obolali, niektórzy z nich mieli poważne urazy, o których świadczyły jęki i wycie.

Na podłodze pozostały nieruchome trupy. Osiem ciał, w tym jedno w dwóch kawałkach. Z korpusu rozerwanego niewyobrażalnymi siłami wysunęły się wnętrzności, jakby nie chciały dopuścić do całkowitego przepełnienia swojego właściciela. Wiły się w nieposłusznych splotach, plątały się ze sobą w śliskiej imitacji nieudanego spaghetti. Charakterystyczny,

metaliczny, jakby elektryczny zapach krwi mieszał się z koktajlem odorów wymiocin, odchodów, potu i strachu.

Ian siedział oparty o ścianę kajuty, nie wstawał. Obserwował współwięźniów. Skojarzyli mu się z różą jerychońską – rośliną, która w postaci splątanej kuli potrafi przetrwać miesiące suszy, by pod wpływem kilku kropel wody znowu rozwinąć się w zielony żywotnik. Po namyśle jednak skarcił się za brak logiki w tym porównaniu. Więźniowie na pewno nie byli wytrzymali jak ta unikatowa, twarda forma życia. Byli słabi, przestraszeni, a następny atak żywiołu prawdopodobnie by ich zabił. Przeżywali w tej chwili pełen niedowierzania rodzaj transu, ogłupienia i liczenia strat. Strat, jakich doznali.

Tymczasem statek prowadzony niewidzialną uprzążą zdalnego sterowania zbliżał się do wąskiej, sztucznej zatoki, będącej jedynym miejscem na wyspie, do którego można było przybić.

Wyspa

Trudno uznać za futurystyczny twór, który w obecnej formie ma ponad wiek. A jednak rzeczywistość na świecie do tej pory nie dogoniła wizji, dzięki której zaprojektowano Wyspę. Zresztą trudno tu używać terminu „zaprojektowano” – może sformułowanie „zorganizowano przestrzennie” lepiej oddaje rzeczywistość. Wyspa przecież istniała przez tysiąclecia jako wystająca z wody skała, odcinająca się od morza średnio wysokimi klifami, z postrzępionym krenelażem stromych ścian, aż do czasu, kiedy w XIX wieku okazało się, że skrywa pod sobą pokłady węgla niezwyklej jakości. Wtedy przyszedł czas na kolonizację. Rodzina bogatych przemysłowców rozpoczęła eksploatację, wykorzystując tanią siłę roboczą, biedaków i więźniów do pracy w koszmarnych warunkach.

By uczynić prace wydobywcze bardziej ekonomicznymi, na wyspie wybudowano pierwsze baraki, które z czasem ustąpiły miejsca coraz wyższym wieżowcom. Taka forma urbanizacji była

jedynym możliwym rozwiązaniem, jako że wyspa miała tylko sześć hektarów powierzchni zdatnej do zabudowy. W ciągu kilkudziesięciu lat ten nieatrakcyjny wcześniej ląd przekształcił się w miasto z największą liczbą mieszkańców na kilometr kwadratowy na świecie. Były tu sklepy, kina, przedszkola, burdele, kasyna i restauracje. Prawie sześć tysięcy ludzi żyło i umierało, pracując w kopalni albo obsługując górników.

W końcu dotarcie do nowych złóż kopaliny stało się na tyle trudne i kosztowne, że firma zlikwidowała interes, pozostawiając po sobie wymarłe drapacze chmur, ciemne sztolnie, pryzmy śmieci, a także całą infrastrukturę. Ostatnich robotników wywieziono w połowie lat siedemdziesiątych XX wieku, a Wyspa stała się kolonią morskiego ptactwa.

Kiedy Korporacja kupiła to miejsce, uliczki, niegdyś rozbrzmiewające niemilkącym gwarem, były pokryte półmetrową warstwą guano. Pierwsi więźniowie, których osadzono na Wyspie, mieli doprowadzić miasto do dawnego wyglądu. Początkowo Korporacja zatrudniała dziesiątki strażników, którzy zgodnie z kwalifikacjami utrzymywali porządek, czyli pilnowali, by nikt nie uciekł. Bo chociaż ucieczka z wyspy była trudna, nie była niemożliwa. Wyspa leżała nieco ponad piętnaście mil od stałego lądu, a ilość różnego rodzaju złomu, przedmiotów codziennego użytku, plastikowych butelek i innych obiektów potencjalnie nadających się do skonstruowania tratwy była wprost nieprzebrana. Strażnicy pilnowali więc więźniów podobnie jak ostrzy belfrowie pilnują krnąbrnych uczniów w zamkniętej szkole – surowo, ale z pewną dozą wyrozumiałości. Taka sielanka trwała do czasu, kiedy ostatecznie kilku sprytnych więźniów zrealizowało swój plan ucieczki. Wtedy zmieniono zasady. Komputerowa analiza, której poddano rozwiązania penitencjarne od początków cywilizacji do czasów obecnych, ze szczególnym uwzględnieniem więzień i obozów w systemach totalitarnych, pozwoliła odnaleźć wzorzec najskuteczniejszego dozoru więźniów. Wystarczyło dokonać dwóch

zmian – ograniczyć kontrolę światowych organizacji nad przedsięwzięciem, a w charakterze straży zatrudnić ludzi o odpowiednich predyspozycjach.

Strażnicy

Degeneraci, psychopaci, socjopaci. Można ich spotkać na każdym kroku, w każdym społeczeństwie, w każdym ludzkim skupisku. Statystyka jest bezwzględna – w normalnych warunkach na stu obywateli dwóch, trzech to ludzie z osobowością antyspołeczną. Ale okoliczności, takie jak wojny, katastrofy, izolacja potrafią regulować tę liczbę.

Odpowiednio przeprowadzona rekrutacja doprowadziła do skompletowania paskudnej drużyny. Około osiemdziesięciu facetów z przeszłością, od której sam Bóg dostawał torsji. Niespełna setka kreatur pozbawionych sumienia, pragnących udowodnić swoją dominację na każdym kroku, każdym gestem, każdym choćby zmarszczeniem brwi. Bali się tylko oficerów, chociaż „bali się” nie określa precyzyjnie ich relacji. Oficerowie byli zwierzchnikami. Byli jak jedynka i zero. Zero oznaczało eliminację, a nawet psychopata ceni swoje istnienie.

– Ty, chodź tu. – Strażnik wskazał palcem potężnego czarnoskórego mężczyznę, który niechcący upuścił miskę z gęstą papką będącą jedyną pozycją w wyspiarskim menu. Facet, który właśnie pochylał się po resztki posiłku, z przerażeniem uniósł głowę

– Ja nie...

– Chodź tu!

Nieszczęśnik próbował jeszcze niezdarnymi ruchami zebrać zawartość miski, kiedy ponowny wrzask strażnika smagnął go jak harap.

– Kurwa! Natychmiast! Zostaw to gówno i do mnie!

Więzień, wciąż ociągając się, z lękiem zbliżył się do strażnika.

Gwar rozmów, jaki do tej pory panował w kantynie, ścichł jakby ktoś go regulował potencjometrem.

Ludzie zaczęli się odsuwać, tworząc szpaler, którym wezwany szedł w kierunku nadzorcy.

W drzwiach pojawiło się trzech innych strażników, zagradzając wyjście tłumowi, który wyraźnie stracił apetyt i rezygnując z posiłku, usiłował usunąć się z pola rażenia szaleństwem.

– Numer!

– K4016...

– Ka?! Jak kurewska seria. Nie szanujesz jedzenia?

– Ja tylko...

– Milcz, jebana kupo gówna! Nie pytałem „co ty?”! Nie obchodzi mnie „co ty?”! Obchodzi mnie, że wypierdoliłeś michę! Nawet pies wkłada pysk do michy i żre, a nie wypierdala żarcie na podłogę!

W ciemności pomieszczenia ślina tryskająca do wtóru przekleństw z ust strażnika łapała każdy poblask i żyła własnym życiem. To zjawisko wydawało się całkiem asynchroniczne i przypominało film ze źle dopasowaną ścieżką dźwiękową.

– Przepraszam.

– Kogo przepraszasz?

– Pana?

– A co ja mam do tego? Przepróż swoje flaki!

Tłum, który zdążył odsunąć się pod ściany niczym plama tłuszczu uciekająca od detergentu, zastygł, skamieniał. Wydawało się, że zlał się ze ścianą.

– Wiesz, dlaczego masz przeprosić swoje wydymane przez obsranego słonia flaki? Swoje biedne, smutne jak chuj pedała jelita?

– Bo...

– Bo?

– Bo posiłek to ofiara dla Cho Rei... – Mężczyzna patrzył strażnikowi prosto w oczy. Jego ramiona opadły, był ucieleśnieniem rezygnacji. Człowiek, który na co dzień pracując w ekstremalnie ciężkich warunkach, mógł służyć jako model dla

Fidiasza, którego muskulatura nieomal rozrywała skórę, w jednej chwili stał się kupą mięsa. Bezradną bryłą, kupą gówna... Nadzorca miał rację.

– Bo Plączący Jelita Cho Rei nie pozwala marnować posiłku. Tak?

– Tak...

– A jak karze za nieposłusznosc?

– Splātu...

Laska strażnika skoczyła niczym atakująca kobra, trafiając więźnia czysto w podbródek. Mężczyzna runął na plecy jak rażony piorunem.

Strażnik stanął nad nieprzytomnym i spojrzął na niego krytycznie.

– Jak tyś tak urósł, cukiereczku, kiedy tak marnujesz jedzenie?

– Ty, ty, ty i ty, do mnie! – Wskazał czterech więźniów z jednolitej masy przerażenia.

Bardzo niechętnie, noga za nogą, wręcz odmierzając dystans stopkami, mężczyźni zbliżyli się do strażnika i jego ofiary.

– Każdy z was, chłopcy, dostanie jedną kończynę. Każdy powinien opiekować się swoją kończyną bardzo pilnie, bo inaczej zaopiekuje się nim Cho Rei. Ty masz lewą rękę – strażnik wskazał jednego z przestępujących z nogi na nogę współników rytuału. Ty prawą, ty lewą nogę, a ty prawą – rozdzielił funkcje do końca.

K4016 nie odzyskał jeszcze przytomności, lecz gdyby się ocknął, nie mógłby się poruszyć przygwożdżony przez swoich dotychczasowych towarzyszy.

Strażnik wyciągnął z kieszeni składany nóż, jednocześnie wytrenowanym ruchem popychając stalowe kółko zamocowane u nasady ostrza tanto. Nóż otworzył się z budzącym grozę metalicznym kliknięciem. Oprawca pochylił się nad leżącym i rozerwał jego koszulę. Następnie wbił płytko ostrze po lewej stronie pępka. Kiedy okrężnym ruchem wyciął wokół pępka kółko, przecinając skórę i mięśnie, więzień drgnął, otworzył oczy i zaskowytał. Chyba bardziej ze strachu niż bólu.

– Dobrze! – Strażnik schował nóż, składając go jedną ręką, i uśmiechnął się do K4016. – Krzycz, drzyj się, cwelu! A najlepiej wzywaj Cho Rei, bo tylko on cię może wyzwolić.

Z okrągłej rany krew wylewała się na nagi brzuch przerażonego więźnia. Na ciemnej skórze wydawała się czarna jak smoła.

Widzowie przestali nawet oddychać, jedynie strażnicy wciąż stojący przy drzwiach byli wyraźnie rozbawieni i z błyszczącymi oczami obserwowali całą operację.

– Postawcie go! – Suchy rozkaz poderwał całą grupkę z ziemi.

Ranny splótł ręce na brzuchu, ale laska strażnika rozsunęła je i wskazała trzymającym ofiarę współwięźniom, że mają unieruchomić ramiona mężczyzny. Wolnym krokiem, stukając laską w otwartą dłoń, strażnik podszedł do stojącego nieopodal stołu. Obszedł go i stanął po drugiej stronie jak profesor za katedrą. Na blacie położył swoją laskę oraz nóż, który ponownie wyjął, otwierając ostrze. Z kieszeni na udzie wyjął racę świetlną i ułożył ją koło laski i noża.

– No dobrze. Dajcie go tu.

K4016 został doprowadzony. Wciąż przytrzymywany stanął po drugiej stronie stołu, dotykając udami krawędzi blatu.

Strażnik błyskawicznie sięgnął do brzucha swojej ofiary i złapał garścią za otoczony cięciem pępek. Szarpnął, wyrywając kawał ciała i ciągnące się za nim jelita, po czym jednym, jakby wytrenowanym ruchem złapał swój nóż i przybił wyrwany kawałek mięsa do blatu.

Nieszczęsny więzień był tak zaskoczony, że nie zdołał się poruszyć. Nie miał zresztą na to wielkich szans, bo wciąż był unieruchomiony silnymi rękami swoich kolegów. Strażnik tym czasem śmiesznie przekrzywił głowę i krytycznie ocenił swoje dzieło.

– Ka cztery tysiące szesnaście! – rozpoczął oficjalnie i jednocześnie podniósł z blatu racę. – Oddaję cię Cho Rei! Oddaję cię naszemu demonowi! Panu, który płacze jelita! – mówiąc to, odpalił racę i zwrócił się do przytrzymujących ofiarę współwięźniów:

– Wypierdalać!

Kiedy puścili nieszczęśnika i cofnęli się, strażnik gwałtownie machnął rozpaloną racą przed nosem swojej ofiary.

Więzień odruchowo cofnął się, jednocześnie wyszarpując kolejny fragment lśniących trzewi ze swojego brzucha. Zaskoczony spojrzął na flaki, które w świetle czerwonej racy zdawały się żyć i pełzać. Jeszcze jedno pchnięcie racą, jeszcze jeden krok wstecz i kiszki wylały się z brzucha niepowstrzymaną kaskadą. Więzień usiłował je łapać, ale przelewały mu się przez palce, a on nierozumiejącym wzrokiem wpatrywał się w to, co jeszcze przed chwilą stanowiło jego wnętrze.

Strażnik obszedł stół i kopnął ofiarę okutym butem w ścięgno pod kolanem prawej nogi, przewracając mężczyznę na ziemię.

– Przychodzi Płaczący Jelita! Cho Rei!

Poganiając płonąca racą, kopiąc i ciągnąc strażnik oplątał trzewiami nieszczęsnego K4016 niemały fragment kantyny, tworząc abstrakcyjną instalację złożoną z wnętrzości, dwóch krzesel, stołu i wypatroszonego truchła.

Cho Rei musiał być zadowolony!

Płaczący jelita

Chō Rei

Chō Rei (jap. 腸振, „Płaczący Jelita”) – mityczny demon, okrutny duch pozbawiający ludzi życia poprzez wypatroszenie bądź „splątanie jelit” – skręt kiszek (zator brzuszny). Nie ma żadnych materiałów pozwalających powiązać Chō Rei z jakąkolwiek religią czy mitologią.

Wygląd [edytuj]

Pierwsze doniesienia o tak nazywanym demonie (duchu) pochodzą z początków XX w. W ilustracjach powstałych na podstawie opowieści przedstawiany jest jako dwunożna istota z czterema rękami, z których jedna para jest drobna, kobieca, druga zaś potężna, małpia – przypominająca ramiona orangutana i wyposażona w szpony „ostre jak sztylety”. Głowa potwora opisywana jest różnie i również ilustrowana jest w różny sposób – raz jest to głowa psa, innym razem przypomina antyczną maskę z okrutnym uśmiechem. Według opisu, Chō Rei wydzielał z siebie bardzo nieprzyjemną, kloaczną woń, która potrafiła spowodować omdlenie i zawsze zwiastowała zbliżanie się potwora.

Pochodzenie [edytuj]

Jest kilka teorii wyjaśniających pojawienie się Chō Rei w świadomości zbiorowej przed II Wojną Światową i umocnienie jego pozycji w panteonie demonów w trakcie i po wojnie. Jedna z nich zakłada, że wiara w istnienie Płaczącego Jelita związana jest z Wyspą. Tam w 1925 r. zanotowano wyjątkowo dużą ilość zachorowań na porażenną niedrożność jelit (**Ileus paralyticus**). Jak się sądzi, ta mała epidemia miała związek z występującymi na Wyspie złożami ołowiu. Ołów, powodując zatrucie, doprowadzał do porażennej niedrożności układu pokarmowego, która często przekształcając się w niedrożność mechaniczną, skutkowałą śmiercią w okrutnych męczarniach. Ból i zmiany neurologiczne wynikające

z zatrucia i zapalenia otrzewnej doprowadzały chorych do szaleństwa niejednokrotnie kończącego się rozszarpaniem lub rozcięciem powłok brzusznych i swoistym samowypatroszeniem – wyrzuceniem własnych jelit na zewnątrz. Oczywiście taki zabieg kończył się śmiercią, zaś zmiany chorobowe jelit i charakterystyczny odór niedrożnych wnętrzności mogły dać pożywkę do powstania legendy Chō Rei.

Obecnie [\[edytuj\]](#)

Jako stosunkowo nowy duch/demon Chō Rei nie znalazł licznej rzeszy wyznawców, a po zlikwidowaniu przyczyny zatruc i późniejszym opuszczeniu Wyspy w drugiej połowie XX w. pamięć o nim właściwie wygasła (co może potwierdzać wspomnianą teorię jego rodowodu). Ostatnie wzmianki o demonie pochodzą z reportażu „Wyspa – więzienie woli” autorstwa Joanne Bartnik, który ukazał się w miesięczniku „National Geographic”. W reportażu tym autorka opisuje specyfikę życia na Wyspie po zmianie jej przeznaczenia na Międzynarodowe Więzienie Eden 2. W części poświęconej religiom wyznawanym w więzieniu wspomniany jest Chō Rei, który (jak twierdzą rozmówcy) uznawany jest przez wszystkie wyznania, a przez niektórych przyjmowany nawet jako bóstwo jedyne, wszechmocne i posiadające nieograniczoną moc i władzę.

Wyspa

Kiedy statek przybił do nabrzeża, zamiast trapu pojawił się rękaw przypominający te z lotniska. Wszystko było spokojne, delikatne kołysanie pokładu sprawiało wrażenie pieśczoły po niedawnych burzowych turbulencjach.

Mężczyźni, wciąż niepewnie stojący na nogach, niektórzy kiwający się jak dzieci z chorobą sierocą, powoli oswajali się z myślą, że to już koniec podróży. Nagle coś zgrzytnęło, a z uśpionych do tej pory głośników dobył się chropawy, choć raczej przyjemny głos:

– Witamy w międzynarodowym zakładzie penitencjarnym Eden Dwa popularnie nazywanym Wyspą. Od tej pory stanowicie część społeczności Wyspy. Obowiązuje was absolutne posłuszeństwo wobec nadzorców i oficerów. Macie bez dyskusji wypełniać wszystkie ich polecenia i stosować się do zasad. Jesteśmy pewni, że wasz pobyt w Edenie nie przysporzy problemów ani wam, ani personelowi, ponieważ na Wyspie problemy są eliminowane wraz z ich przyczyną. Natychmiast. Ten komunikat należy potraktować jako jednorazowe i ostateczne ostrzeżenie. Więcej ostrzeżeń nie będzie. Przypominamy, że Wyspa jest terenem prywatnym i eksterytorialnym. Obowiązuje tu prawo ustalone przez właściciela, zgodne jedynie z tymi konwencjami, które właściciel zgodził się ratyfikować.

W komunikacie nastąpiła krótka przerwa, po czym głos kontynuował, teraz jednak z akompaniamentem muzycznego tła – uspokajającej, niezobowiązującej melodii przypominającej muzykę, którą słyhać w centrach handlowych, hotelach czy windach.

– Zapraszamy do strefy przejściowej. Bagaże należy zostawić. Zostaną ponownie zrewidowane, zdezynfekowane i dostarczone po zakwaterowaniu.

Ian podniósł się spod ściany i ruszył wraz z pozostałymi więźniami ku wyjściu. Z ulgą przyjmował powiew świeżego powietrza wpadający z przejścia. Jeden z towarzyszy niedoli, jakby nie usłyszawszy komunikatu, trzymał w ręku walizkę, która z całego rozgardiaszu wyszła nawet w nienajgorszym stanie. Ian zbliżył się do mężczyzny i stojąc z nim ramię w ramię, powiedział:

– Zostaw ten majdan, człowieku, wykonuj polecenia, bo będziesz miał przesrane. Albo ty, albo ktoś przez ciebie...

– A ty co? Pracujesz dla nich, szcurze? – wysyczał jego rozmówca.

– Jak chcesz, możesz strażnikom robić laskę, ale ode mnie się odpierdol! Nawet nie próbuj mi mówić, co mam robić, bo cię zajebię!

– Nie zdążysz, jeśli nie będziesz słucał poleceń. Oni nie żartują.

Facet chciał coś jeszcze powiedzieć, ale powolny pochód skazańców popchnął ich w kierunku rękawa i rozdzielił.

Wejście na Wyspę było labiryntem prowadzącym ich przez szereg pomieszczeń, komór i śluz, w których zostali umyjni, odkażeni, prześwietleni, opatrzeni, ostrzyżeni, a na koniec oznaczeni tatuażem oraz poinformowani, iż właśnie otrzymują swoją nową, jedyną i obowiązującą tożsamość.

Seria P.

Wszystko odbyło się bez udziału strażników czy jakiegokolwiek innego personelu. Proces był zautomatyzowany, instrukcje padały z głośników, a na koniec system wypluł dwadzieścia pięć podobnych, otumanionych istot – nagich, pachnących czystością, połatanych i równych jak nigdy wcześniej.

Trafili do jednej sali. Tu czekały na nich uniformy, buty i identyczne pakiety startowe, w skład których wchodziły najpotrzebniejsze przedmioty codziennego użytku, bielizna i broszury informacyjne.

Kiedy każdy z nowych mieszkańców Wyspy był już ubrany i trzymał w ręku torbę ze swoimi rzeczami, jednocześnie nastąpiły dwie rzeczy – jedna ze ścian rozsunęła się, ujawniając ukryty za nią blat, na którym stały szklanki i pełne butelki. Z drugiej zaś strony sali otworzyły się drzwi, przez które wszedł do środka mężczyzna w polowym mundurze, a zaraz za nim dwóch osiłków w znacznie gorszych strojach, za to z niebezpiecznie wyglądającymi ni to laskami, ni to pałkami w dłoniach.

– Witajcie, panowie. – Głos oficera był donośny, ale wyważony i spokojny. – Bez względu na wasze przestępstwa, bez względu na wasze winy, jedno, czego musicie nauczyć się na Wyspie, to posłuszeństwo. Skazały was sądy, zatem jesteście winni. Czy kodeks, według którego byliście sądzeni, przewiduje zesłanie na Wyspę za morderstwo, gwałt, szpiegostwo, kradzież czy niewinność, to nie ma znaczenia. Tu jesteście równi i macie identyczny status.

Nie chcę przez to powiedzieć, że jesteście nikim, ale obawiam się, że strażnicy będą starali się to wam udowodnić...

Jestem przekonany, że szczegółowych zasad nauczycie się bardzo szybko od innych skazanych. Tak... – zawiesił na moment głos, uśmiechnął się do siebie i zapatrzył w przestrzeń, po czym kontynuował, przenosząc skupione, surowe spojrzenie po kolei na każdego z nowo przybyłych:

– Nauczycie się szybko, bo ci, którzy tego nie zrobią szybko, szybko zginą.

Jeden z więźniów uniósł do góry rękę, w geście zgłaszającym chęć zadania pytania.

Nastała cisza przerywana nienaturalnie głośnymi plaśnięciami. Strażnicy stojący pod drzwiami rytmicznie uderzali laskami w otwarte dłonie, nieprzyjemnie wpatrując się w nadgorliwca.

– Nie ma pytań! – Oficer nieruchomym wzrokiem przyszpilił skazańca, który wolno opuścił rękę.

– Nie ma pytań, nie ma rozmów, nie robi się nic, na co nie ma zezwolenia. W każdym razie nie w obecności władzy. Wiecie, co to jest tryb „stand by”? Tak właśnie zachowujecie się, kiedy w pobliżu znajdzie się strażnik lub oficer.

– Co grozi za nieposłuszeństwo? – Mówca rzucił okiem na swoje paznokcie, po czym znowu spojrzął na zbitych w gromadkę więźniów. – Trudno powiedzieć.

Mężczyzna obejrzał się przez ramię na jednego ze strażników. Ten otworzył małą skrzynkę rozdzielczą i nadusił jakiś przycisk. Kolejna ściana zaczęła się rozsuwać. Za nią znajdowało się panoramiczne okno oddzielające ich od surowej, pozbawionej mebli celi. Pomieszczenie rozjaśniono zielonkawym, trupim światłem skupiającym się na nietypowej instalacji. Znajdował się tam ustawiony prawie pionowo stół operacyjny, do którego pasami przymocowany był nagi mężczyzna. Ian natychmiast rozpoznał człowieka, który usiłował ze statku wynieść walizkę. Zresztą chyba wszyscy go rozpoznali, bo w odróżnieniu od nich nie został

zunifikowany – nie obcięto mu włosów, nie ogolono. Patrzył na nich szeroko otwartymi oczami, w których nie było już ani buty, ani wściekłości. Do określenia wyrazu jego spojrzenia najlepiej pasowało słowo „zdumienie”.

Tułów więźnia został otwarty i spreparowany tak, że widać było klatkę pozbawionych mięśni żeber, a za nimi połyskujące śluzem płuca i wyraźnie bijące serce. Jelita zostały wyjęte na zewnątrz i jak festony udrapowane po lewej i prawej stronie na specjalnych wieszakach. Oplątany własnymi kiszkami i rurkami dostarczającymi płyny podtrzymujące życie mężczyzna wciąż żył i był świadomy, lecz myśl śmigająca pomiędzy neuronami w jego mózgu wyrażała tylko jeden pewnik: za późno!

– Wyciągnijcie broszurę informacyjną, każdy z was ma ją w torbie.

Głos oficera wyrwał ich ze stuporu wywołanego abstrakcyjną inscenizacją. Niezgrabnie sięgnęli do toreb i już po chwili wszyscy mieli w rękach informatory.

– Obróćcie na ostatnią stronę.

– Ten potwór, demon czy jak tam chcecie to Cho Rei, Płaczący Jelita. Z pewnością już niedługo dowiecie się o nim bardzo, bardzo dużo. Na pewno znacznie więcej, niż chcielibyście wiedzieć.

I teraz skupcie się. Nieważne, jakiego jesteście wyznania. Nieważne, do kogo się modlicie i dokąd idziecie po śmierci. Zapomnijcie o tym. Na Wyspie bogiem jest Cho Rei. On wyznacza kary i on je egzekwuje...

– To wszystko, panowie. – Ton oficera z mrocznego i twardego stał się nieomal wesoły. – Poczęstunek stoi! – Ręką wskazał stół ze szkłem i butelkami. – Osobiście zachęcam, bowiem niechęć do skorzystania z gościny może być potraktowana jako niesubordynacja. Gdyby ktoś mnie zapytał, powiedziałbym, że widzę to tak: podchodzicie do stołu, rozlewacie sobie drinki, bierzecie je w rękę i wolno sącząc, stajecie pod szybą, podziwiając ostatnie chwile swojego towarzysza, o którego upomniał się

Plączący Jelita. Nawiasem mówiąc, nadmierny indywidualizm i krnąbrny charakter tego więźnia skazywał go na spotkanie Cho Rei prędzej czy później. Że nastąpiło to szybciej, cóż... Bądźcie jego ostatnim widokiem. Lepsze to niż flaki. I jeszcze z takich drobiazgów organizacyjnych: nie rozmawiamy ze sobą, nie robimy głupich gestów... Nie, to by było zbyt wiele do wymieniania. A więc prościej – stoicie tam, chlejecie i gapicie się na zdychającego patrocha. I nic więcej! Albo do niego dołączycie. I jeszcze jedno. Na Wyspie nigdy nie wiecie, czy ktoś was właśnie nie obserwuje. To mogą być strażnicy, wasi kumple albo... Cho Rei. Niektórzy twierdzą, że nawet czytamy tu w myślach. Uwierzycie? – Parsknął śmiechem, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi. Idąc, wykonał gest głową, najwyraźniej przeznaczony dla strażników, którzy wskoczyli w gromadę skazańców, wyciągając z niej Iana. We czterech wyszli z sali, bez specjalnego ociągania, jako że Ian posłusznie szedł między konwojentami, starając się dopasować do ich kroku.

Empatron

Kiedy Ian ze strażnikami opuścili salę, pozostali w niej więźniowie posłusznie rozlali sobie napój. Nikt nie próbował nawiązać rozmowy, mężczyźni spuszczaali wzrok napotkawszy spojrzenia towarzyszy. Starali się nie dotknąć, nie wejść sobie w drogę. Próbowali nie dopuścić do żadnego kontaktu, co było o tyle trudne, że poruszali się w zamkniętej, nie tak znowu wielkiej przestrzeni. Napój przy degustacji okazał się jakimś alkoholem, co wydawało się jedyną pozytywną stroną sytuacji. Napełniwszy swoje szklanki mężczyźni stanęli przed panoramiczną szybą i zapatrzili się na umierającego. Przyglądając się z boku, można było stwierdzić, że każdy z nich przechodzi te same fazy. Pierwszy rzut oka na ofiarę, spuszczenie wzroku, łyk ze szklanki ze spojrzeniem dokładnie omijającym nieszczęśnika, znów rzut oka na

wypatroszonego faceta, potem solidny łyk i porządne, długie oglądanie. Ze szczegółami. Syceń się nieszczęściem nieposłusznego idioty. Radość, że to „Ty, stary, widzisz? Nie trzeba było kozaczyć”, a nie – Ja. Bo dlaczego niby ja? Ja jestem posłuszny. Ja nie sprawiam kłopotów. Co ciekawe, facet, który jeszcze przed chwilą próbował zadawać pytania i szybko został sprowadzony do parteru, zadziornie wysunął podbródek w kierunku męczennika, jakby rzucając mu wyzwanie – no? I co, człowieku?

Po tej sekwencji spojrzeń i łyków mężczyźni podeszli do stołu i nalali sobie repetę. Najzabawniejszy był sposób, w jaki starali się ani nie wyprzedzić kolegów, ani nie zostać w tyle. Po uzupełnieniu szklanek powrócili na miejsce przed szybą.

Człowiek cierpiący na swoim wyjątkowym łożu śmierci widział przyglądających mu się facetów, ale prawdę mówiąc był zbyt oszołomiony, by rozumieć, co tam robią, a przede wszystkim, co on robi w tym miejscu. Dlatego też nie zrobiło na nim żadnego wrażenia, kiedy widzowie jeden po drugim zniknęli zza szyby.

Mężczyźni nie od razu poczuli, że alkohol działa na nich mocniej i inaczej niż normalnie. Zanim zdążyli się zorientować część z nich już leżała na ziemi, inni klęczeli albo słaniali się na czworakach, a ci, którzy mieli najmocniejsze głowy lub być może wypili mniej, kiwali się na nogach, jakby znowu przeżywali sztorm. Po chwili wszyscy leżeli na ziemi. Wtedy w sali zaroilo się od funkcyjnych więźniów pod dowództwem trzech strażników. Załadowali nieprzytomnych na wózki i wywieźli z sali. Ostatni strażnik wychodząc, wcisnął przycisk zasłaniający szybę.

Kiedy Ian wraz z oficerem znaleźli się w pomieszczeniach laboratorium, towarzyszący im strażnicy zostali odprawieni.

Oficer gestem nakazał Ianowi zajęcie miejsca w fotelu. Sam rozlał markową whisky do szklanek i jedną z nich podał więźniowi. Ian przyjął poczęstunek, ale nie ośmielił się pić.

Gospodarz umoczył usta w swojej porcji i kręcąc dłonią, zachęcił gościa do konsumpcji.

– Nie musisz się obawiać, nie ma podstępów. Powiem więcej: możesz zadawać pytania, ale nie przesadzaj. Jesteś dla nas cenny, ale nie niezastąpiony. A propos, gwoli ścisłości, nazywasz się Ian Bowels, jesteś zdegradowanym porucznikiem Armii Unii Europejskiej skazanym na Wyspę za niesubordynację i odmowę wykonania rozkazów w warunkach bojowych. Zgadza się?

– Tak jest! – Wojskowy nawyk Iana do wyraźnych odpowiedzi sprawiał, że nie trzeba go było prosić o powtórzenie.

– Dobrze, pij.

Ian ostrożnie skosztował alkoholu. Whisky była chłodna i ostra w smaku. Typowy japoński single malt. Biorąc pod uwagę okoliczności, trunek podziałał na Iana jak woda życia.

– Zanim zaczniesz zadawać pytania, pozwól, że coś ci opowiem. Daruję sobie rys historyczny. Ale wiedz, że Wyspa to nie tylko więzienie. Kiedyś co prawda była tu wyłącznie kolonia karna. Zatrudniano setki strażników, dbano o humanitaryzm. Na okrągło kręciły się tu jakieś nawiedzone aktywistki, dziennikarze, kontrolerzy – nie wiadomo kto. Finał był taki, że kogoś zgwałcono, kogoś pobito, a na koniec nastąpiła słynna ucieczka, której ekranizacja zdecydowanie przebiła „Ucieczkę z Alcatraz”. Dla twojej wiadomości, uciekinierzy nie nacieszyli się długo wolnością. To znaczy życiem na wolności... W ogóle, powiedzmy, nie nacieszyli się życiem.

Mniejsza z tym. Korporacja nie jest organizacją ani humanitarną, ani przede wszystkim charytatywną.

Po krótkim okresie konfuzji, spowodowanej słynną ucieczką, zapadły decyzje zmieniające zasady działania Wyspy zarówno na poziomie międzynarodowym, jak i tym najniższym – powiedzmy „poziomie celi i pryczy”. Tak na marginesie, na Wyspie nie ma cel, mieszkacie sobie jak paniska w starych kwaterach robotniczych. W tej chwili jest was tu około czterech i pół tysiąca kryminalistów z całej naszej kochanej planety. Imponujące...

Zamyśliwszy się przez moment, oficer pociągnął solidny łyk złocistego trunku, pokiwał głową i kontynuował swoją mowę:

– W każdym razie ktoś na górze zorientował się, że w tym interesie nie można pozwolić nawiedzonym obrońcom praw człowieka gapić się na ręce. No i nie można pozwolić na uciezki. To była słuszna droga. W tej chwili z Wyspy można uciec tylko do bozi. Co do kontrolerów, audytorów – ostatni został zawrócony jeszcze w powietrzu przez naciski tych, którzy wykładają pieniądze i wysyłają tutaj was. Skazańców.

Czy to jest jasne? Nie słyszę, żebyś do tej pory miał jakieś pytania.

– Tak jest! – Ian był czujny i słuchał uważnie, bardzo oszczędnie używając szklanki.

– Znakomicie. Zatem... Samo administrowanie takim smutnym zakładem daje niezłe pieniądze, ale potencjał tkwi gdzie indziej. Nie zagłębiając się w szczegóły, mamy tu wyjątkowe urządzenie. Ten aparat kosztował wiele lat doświadczeń i prawdę mówiąc również wiele ludzkich istnień.

To Empatron. W wielkim skrócie ten niezwykły wynalazek, niemający żadnych odpowiedników na świecie, powstał już jakiś czas temu, nie miał jednak szansy przejścia testów.

Wyspa to umożliwiła. Można powiedzieć, że jesteśmy w olbrzymim zakładzie doświadczalnym i wszyscy uczestniczymy w gigantycznym eksperymencie, którego znaczenie trudno przecenić. Dzięki zorganizowaniu przedsięwzięcia na Wyspie, konieczne ofiary to i tak istoty odrzucone przez społeczeństwa. Osoby dla ludzkości już stracone. W ten sposób odnosimy podwójną korzyść. A kiedy eksperyment przyniesie oczekiwany skutek, korzyść Korporacji będzie praktycznie niepoliczalna.

– Zapewne interesuje cię, czym jest Empatron? – Oficer przekornie spojrział na Iana.

– Tak jest! – Widać było, że Ian słucha uważnie i oczekuje dalszego ciągu.

– W największym uproszczeniu Empatron pozwala odczytywać ludzkie emocje. To może jeszcze nie robi takiego wrażenia – oficer szybko kontynuował, nie widząc na twarzy Iana żadnej reakcji – bo emocje pojedynczych ludzi można było odczytywać już dawno temu. Wariograf służy właśnie do tego, prawda?

Ale Empatron odczytuje emocje wprost z mózgu, a po uśrednieniu daje nam obraz emocji, nazwijmy to, społecznej. W każdym razie dominującej w jakimś ludzkim skupisku. To, czy jest to Wyspa, kraj, czy kontynent, to tylko kwestia skali.

– Jakiś przeciek spowodował, że rozeszła się plotka, jakobyśmy czytali w myślach. To bzdura. Czytanie w myślach nie ma sensu. Po pierwsze z myśli dających się odczytać bardzo niewiele można wykorzystać, a w przypadku działania impulsywnego nie przekłada się to na żaden praktyczny wymiar. Tak więc po pierwotnych próbach odczytania ludzkich myśli zarzucono ten wątpliwy kierunek, za to skupiono się na emocjach. Bingo! Emocje są kluczem i to one dyrygują człowiekiem. Nawet przy klasycznym rozróżnieniu serca i rozumu, które mają wpływ na działania jednostek, w tłumie emocja jest jedynym szefem. Znając emocje tłumu, zyskujemy nad nim władzę. Nadażasz?

– Tak, to jest jasne. – Ian zmienił nieco formułę potwierdzenia, a oficer tylko się uśmiechnął i przeszedł do najważniejszych kwestii.

– Słabością całego systemu jest fakt, że aby uśrednić emocje, potrzebny jest człowiek. Nie wystarczy sama maszyna. Schemat jest następujący: tłum dostarcza emocji, które za pośrednictwem Empatronu trafiają do jednego człowieka. Wstępne uśrednienie następuje już w Empatronie, potem zaś mózg człowieka będącego jądrem systemu (nazywamy go Empatą) przyjmuje je jak swoje. Gdyby szukać analogii, mózg Empaty to jakby ekran systemu – to w nim widać emocje tłumu. Wystarczy je odczytać i wynik gotowy.

Żeby nie było wątpliwości – system działa w jedną stronę. Nie umiemy wywoływać emocji bezpośrednio w mózgu, a przynajmniej w taki sposób, który gwarantowałby oczekiwany

skutek i to nie u jednej osoby, a całej społeczności. Więc ideą jest, by tak sterować czynnikami zewnętrznymi, że emocje będą właściwe. A czy są właściwe? Właśnie to możemy kontrolować. A w przyszłości? Kto wie? Może da się bezpośrednio...

– To wszystko nie jest niczym nowym. Wszystko, co działa na człowieka przez zmysły, prowadzi do powstania określonych emocji, a w efekcie określonych działań. W ten sposób, żeby daleko nie szukać, działa reklama, na tym opiera się socjotechnika. Do tej pory jednak sprawdzić emocje można było tylko na podstawie ankiety konsumenckiej... – Oficer parsknął śmiechem i wzniosł szklankę – Zdrowie Empatronu!

– Tak jest! – Ian przyłączył się do toastu.

– I twoje zdrowie, Ian, bo jesteś naszym nowym Empatą. Będziesz sercem systemu.

Empatron

Oficer nie powiedział Ianowi wszystkiego. Nie powiedział mu, że będzie pięćset siedemnastym Empatą. Że jego poprzednicy nie żyją, a ich śmierć i to, co do niej prowadziło, było trudnym do wyobrażenia cierpieniem. Nie wdawał się również w szczegóły techniczne. Empata nie musiał wiedzieć, że wszyscy więźniowie na Wyspie mają w głowach swoiste anteny – dzięki wprowadzeniu do naczyń krwionośnych w ich mózgach nanosiateczek przekaźnikowych, emocje były wzmacniane do takiego stopnia, że Empatron rozpoznawał nawet najbledsze ich odcienie.

Wyjaśnił za to, że wszystkie te ceregiele z lepszym traktowaniem, z częstowaniem dobrą whisky, opowiadaniem, wyjaśnianiem i tłumaczeniem są związane z koniecznością pozytywnego nastawienia do projektu i roli, jaką będzie w nim odgrywał. I chociaż praktycznie Ian nie miał wyboru, to do wnętrza maszyny musiał wejść sam, z własnej woli. W przeciwnym wypadku system nie działał. Mniej więcej trzydziestu pierwszych więźniów

sprężonych z Empatronem uzyskało tylko poziom „niedoszłego Empaty” właśnie z powodu wybierania ich na ochotnika, czyli brutalnego wciskania do maszyny, bez pytania o zdanie, przemocą. Potrzeba było kolejnych trzystu, aby opracować wzorzec neurologiczno-psychologiczny kandydata, który pozwalał mieć nadzieję na wyraźne, pozbawione błędów odczyty. Ale badania wciąż trwały. Wciąż poszukiwano Emapaty, który po pierwsze bezbłędnie spręgnie się z maszyną, po drugie wytrzyma dłużej niż dziesięć dni – bo tyle wynosił dotychczasowy rekord.

– I ja jestem odpowiedni? To znaczy nadaję się na waszego doświadczalnego królika? – Ian zaczął wyczuwać relacje. Zrozumiał, że jego obecność w tym gabinecie, a może nawet na Wyspie nie jest przypadkowa. Zorientował się, że jest cenny dla eksperymentu, ale to, co widział wcześniej, przekonało go, że nie należy przeceniać dobrej woli strażników.

– Zgodnie z naszą wiedzą dotyczącą właściwych kandydatów, a także według tego, co wiemy o tobie – a wiemy praktycznie wszystko, znamy cię lepiej, niż znała cię matka, twój dowódca, twój lekarz, a nawet ty sam – jesteś najlepszym kandydatem spośród tych, z którymi pracowaliśmy. Być może nawet jesteś wyjątkowy. Kluczowa jest twoja umiejętność panowania nad emocjami, czy raczej umiejętność ich wyeliminowania. Dodatkowym atutem jest znakomita kondycja fizyczna. Zresztą... Uwierz na słowo, jeśli chodzi o życie, jesteś wzorcowym dupkiem, jeśli chodzi o bycie Emapatą... też jesteś wzorem! – Oficer znowu się roześmiał i dolał do szklanek kolejną porcję alkoholu. Kiedy jednak Ian gestem pokazał, że wystarczy, mężczyzna posłusznie wstrzymał butelkę i odstawił ją na stolik.

– Spokojnie, dzisiaj masz jeszcze wolne, możesz się relaksować. Zostaniesz zakwaterowany w pomieszczeniach laboratorium, będziesz korzystał z przywilejów personelu, jednak pozostajesz więźniem. Dobrze by było, żebyś o tym nie zapomniał. Masz jeszcze jakieś pytania?

– Co to... Kto to jest Cho Rei? – Ian trzymał w ręku broszurę informacyjną odwróconą na ostatnią stronę i, aby nie było wątpliwości, pokazywał oficerowi demona palcem.

– Cho Rei to nasz bat. Na początku istnienia Wyspy czy może inaczej – kiedy Wyspa przeżywała swój rozkwit, pojawiły się tu tysiące robotników. Po kilku paskudnych śmierciach spowodowanych skrętem kiszek ktoś rozpuścił plotkę o demonie, którego nazwał Plączący Jelita. Ktoś widział ducha, ktoś o nim słyszał już wcześniej... Od słowa do słowa, od jednej gorącej głowy do drugiej i oto, voila! Mamy demona. Co prawda odszedł jakby nieco w zapomnienie, ale kiedy po ucieczce, o której bardzo nie lubimy tu mówić, zaszła potrzeba zmiany formuły Zakładu Penitencjarnego Eden, Cho Rei reaktywował się, z miejsca zajmując, że tak powiem, naczelne stanowisko.

Oficer pociągnął solidny łyk trunku i popatrzył w sufit, jakby tam szukając zgody na coś, co chciał właśnie powiedzieć.

– OK, to nie jest wiedza, którą normalnie dzielimy się z więźniami, ale ty jesteś inny. Po pierwsze z normalnymi więźniami nie będziesz miał do czynienia, poza ich emocjami, rzecz jasna. Po drugie raczej wątpliwe jest, byś kiedykolwiek z kimkolwiek mógł podzielić się tym, co powiem, zatem...

Szukając najlepszego systemu pozwalającego na idealną kontrolę, powiedzmy, pilnowanie więźniów, prześledzono całą historię więziennictwa. Nasi eksperci zwrócili uwagę na kilka zjawisk. Jedno to obozy zagłady, w szczególności te z nich, które przy olbrzymiej ilości jeńców dawały sobie radę z niewielką załogą. Stwierdzono, że odpowiedni koktajl strachu, fatalizmu, ale i nadziei, wiary w ocalenie pozwala utrzymać całe to bydło w ryzach. My dodatkowo mamy Cho Rei, który trafił na swoje miejsce jak brakujący kawałek w cudownej układance.

Druga rzecz to koncepcja panoptikonu, a przynajmniej ta jej część, która mówi o nieustannym dozorcze. Nie mamy wielu strażników, za

to sprawiamy wrażenie, że są wszędzie. Dodatkowo miłosierdzie nie jest ich mocną stroną.

Trzeci element, który siłą rzeczy wzbogacił naszą niemal idealną Wyspę, to Empatron. Chociaż badania wciąż trwają, mimo że wciąż zmieniamy Empatów, efekty lepsze czy gorsze mamy już od dobrych kilku lat. To oznacza, że potrafimy odnajdywać ogniska złych emocji. Jeszcze zanim zdążą przekształcić się w czyn. Ba, często nawet nim zmieniają się w jakąś brzydka myśl. To pomaga. Bardzo.

Empatron

Wrażenia, jakie daje podłączenie do Empatronu nie da się porównać z niczym. Co prawda zbiorowe uniesienia, emocje można poczuć na przykład w tłumie kibicującym ukochanej drużynie piłkarskiej, a produkcje filmowe od lat specjalizują się w takim przedstawianiu rzeczywistości, by wywołać masowy strach, współczucie czy nienawiść. Niemniej różnica między współodczuwaniem w taki sposób, a tym, jaki zapewnia Empatron, to jak porównywanie kąpieli w wannie z nurkowaniem w oceanie.

Ian czuł, że tonie. Dusił go cudze emocje, wpadał w wiry pomniejszych namiętności, tracił orientację w zimnych, mrocznych głębinach rozpacz, oślepiały go świdrujące promienie cudzego bólu...

Jednak podobnie jak przy nurkowaniu najważniejsze było nie poddać się panice. Oddzielić się od cudzego przeżywania, przyjąć pozycję bezstronnego obserwatora. A to akurat Ianowi przychodziło z łatwością. Więc powoli nauczył się wszystkiego. Był znakomity. Tworzył zupełnie nową jakość, otwierał nowe przejścia, zaskakiwał konstruktorów Empatronu, naukowców, lekarzy – wszystkich, którzy stykali się z projektem i którzy znali słabe punkty systemu.

Sesje z udziałem Iana trwały już od tygodnia, a on poruszał się w labiryncie więziennych emocji z coraz większą płynnością. Stworzył własny styl, rodzaj aktywnego pełzania, wyszukiwania

nowych odczuć. Dużym ułatwieniem był fakt, że w odróżnieniu do swoich poprzedników nie cierpiał po zakończeniu sesji. Nikt nie potrafił wyjaśnić tego fenomenu, ale wyglądało na to, że Ian jest właściwym człowiekiem we właściwej maszynie.

Paradoksalnie, chociaż on znał emocje wszystkich więźniów, nikt nie znał jego doznań. W jego głowie nie zaimplantowano przekaźnika, więc Empatron nie uwzględniał go w budowaniu swoich sum, ważeniu, wyciąganiu średnich i tysiącu innych skomplikowanych procesów. Empatron nie widział Iana. I to było dla Empaty jego nagrodą, jego ucieczką. Wolnością.

Wędrówki wśród emocjonalnych fantomów, rozpoznawanie intencji, przewidywanie skutków przypominało poruszanie się w tłumie z czapką niewidką na głowie. Dodatkowo dawało możliwość odczytania najgłębiej skrywanych odczuć, do których nie tylko nikt by się nie przyznał, ale których obserwowani nawet sobie nie uświadamiali.

A to była już klasa mistrzowska, bo Ian musiał nauczyć się odczytywać Empatron, rozsupływać jego uśrednienia, nauczyć się niuansów. Koniec końców gotów był leżeć w maszynie całymi dniami.

Cho Rei tam był.

Nieważne, że niematerialny.

Wyobrażenia i strach wierzących w niego więźniów dawały mu całkiem realne kształty i nierealne moce. Algorytmy Empatronu działały czasem w sposób niewytłumaczalny. Płaczący Jelita miał sylwetkę będącą wypadkową wyobrażeń, ale jego potęga była sumą wszystkich okrucieństw, jakie mu przypisywano.

Ian nie wypatrzył go od razu. Czuł jego obecność, widział cień obecny przy każdej emocji, jednak nie dostrzegał samego demona.

Aż któregoś dnia Cho Rei stanął przed nim w całej swojej cuchnącej, odrażającej postaci.

Drobne, kobiece ręce zwisały po jego bokach bezużytecznie jak kończyny paralityka, za to wyrastające wyżej potężne małpie

ramiona z dłońmi zakończonymi przerażającymi pazurami zdawały się sięgać po każdego, kto stał przed potworem. Korpus Cho Rei sam przypominał jelita – był sino-żółto-zielony, znaczony bordowymi żyłkami. Sprawiał wrażenie delikatnego, ale chronił go potężny smród stanowiący barierę lepszą niż pancerz. Głowę demona stanowiła maska szczerząca kły wystające z paszczy roześmianej w sardonicznym uśmiechu. Coś nakazywało wierzyć, że maska ta nic nie skrywa, że nadaje kształt pustce i że mimo swojej sztuczności, jest perwersyjnie prawdziwa. Zresztą właśnie ta nieruchoma maska, puste oczy i okrutny, zawsze ten sam grymas robiły największe wrażenie. Cho Rei był bezwzględny, pozbawiony skrupułów i litości – był niewzruszony.

Pod tym względem byli z Ianem bardzo do siebie podobni.

Laboratorium

Coś się działo. Oficer, który wcześniej zajmował się Ianem, został pilnie wezwany do laboratorium.

Obawiał się złego, czyli utraty najlepszego do tej pory Empaty. Właściwie inna przyczyna całego zamieszania nie przychodziła mu do głowy. Ani w więzieniu, ani w laboratorium jeszcze nigdy nie zdarzyło się nic, co by było groźne dla kogoś poza samymi więźniami.

Popędzany niepokojem mężczyzna szybko dotarł do sali, w której znajdował się sarkofag.

– Coś się stało? – zapytał ostro zaniepokojonego naukowca, który jakimś narzędziem usiłował podważyć wieko stalowej kapsuły.

– Poważny wzrost emocji związanych z Cho Rei aż do przekroczenia zabezpieczeń, a potem utrata kontaktu.

– Co to znaczy „utrata kontaktu”?

– Cisza, brak jakichkolwiek funkcji mózgowych. Empatron nie dostaje sygnału zwrotnego. Brakuje również wskazań z systemów monitorujących funkcje życiowe.

– No i co? Prawdopodobnie Ian przeniósł się do lepszego świata. Kurwa! Szkoda... Był najlepszy, ale teraz łatwiej będzie nam znaleźć następcę, bo już wiadomo, co jest ważne i czego... kogo szukamy.

– Jest jeden problem.

– Cóż to za problem? Kuferek się zaciął?

– Tak jakby. Nie mogę otworzyć sarkofagu ani zdalnie, ani mechanicznie. Tak, jakby coś trzymało pokrywę od środka. Poza tym...

– No?

– Poza tym... To głupie, ale...

– Co do kurwy!? – Cierpliwość oficera zdawała się kończyć.

– Sarkofag się rusza. – Naukowiec był wyraźnie zmieszany, nie znajdując wyjaśnienia dziwnych wydarzeń.

W tym momencie aparatura ożyła.

Ekranu zaświeciły się, pokazując przepływ emocji. Rysiki wróciły do rysowania wykresów przebiegu fal. Tylko...

– To idzie w drugą stronę! – Naukowiec, który pół swojego życia poświęcił na tworzenie i udoskonalanie Empatronu, wrzasnął, jakby ktoś oblał go ciekłym azotem.

– Co idzie w którą stronę? – Oficer sprawiał wrażenie zdeorientowanego.

– Emocje płyną do więźniów...

– Przecież to jest niemożliwe. Technicznie...

– To się dzieje!

Nagle wieko odskoczyło, uwalniając falę niewyobrażalnego smrodu. Mężczyźni odskoczyli w stronę drzwi, jednocześnie zatykając nosy. Prawdopodobnie udałoby się im dotrzeć do wyjścia, gdyby nie fetor, który wręcz paraliżował. Przy zatkanych nozdrzach zdawał się przenikać do wnętrza człowieka przez usta, uszy, wszystkie pory... Powodował, że oczy łzawiły, a ruchy stawały się spowolnione jakby powietrze stało się nagle nieznośnie gęste.

Oficer i naukowiec jak na komendę zgięli się w gwałtownym skurczu niepoahamowanych torsji. Kiedy ledwie żywi, wciąż targani

spazmami usiłowali się wyprostować, zobaczyli, że z sarkofagu coś zaczyna się wylewać. Po resztkach uniformu rozpoznali, że z Ianem musiało stać się coś ekstremalnego.

– Musiało go roz... rozsadzić... – wyjąkał z trudem naukowiec.

– Widzę... tylko dlaczego tak cuchnie?

Z tego, co wypływało czy raczej wyslizgiwało się z kapsuły, zaczął się u podstawy urządzenia tworzyć stos.

– Co to jest? To Ian? Nie za dużo go trochę? – Oficer już doszedł do siebie, jednak ciekawość przewyciężyła chęć ucieczki z zasmrodzonego pomieszczenia, tym bardziej, że wraz z upływem czasu odór stawał się bardziej znośny.

Z sarkofagu przy akompaniamencie mokrych dźwięków, plaśnień i cmoknięć wyslizgiwały się trzewia – jelita, żyły, niezidentyfikowane organy wewnętrzne w zalewie krwi, śluzu i obrzydliwych grud tłuszczu. Jednak już w tej chwili było ich znacznie więcej, niż mieści się w jednym człowieku. A zapasy zdawały się nie kończyć.

– Zatrzymaj to! – Rozkaz oficera zabrzmiał groteskowo. Jego towarzysz tylko prychnął, wzruszając ramionami. Zjawisko, którego byli świadkami, było całkowicie niewytłumaczalne. Jednocześnie obrzydliwe i magnetyczne.

Kupa flaków, która powinna rozlewać się coraz szerszą masą, zdawała się rosnąć w górę, powoli przybierając humanoidalne kształty.

Zamiana ról

Strażnicy zorientowali się, że coś się dzieje, kiedy więźniowie unieśli głowy. To taki element więziennej rzeczywistości; opuszczone głowy, uciekanie wzrokiem, skulone plecy to obraz strachu i podległości. Na co dzień niezauważalny, bo normalny. Teraz to się zmieniło. Wzrok ofiar nagle zhardział i już nie uciekał na bok. Mężczyźni odkładali to, co mieli akurat w rękach, zostawiali

robotę, odstawiali jedzenie i ze spuszczonej rękami, wiedzeni niesłyszalnym rozkazem zaczęli otaczać strażników. Jednych w grupkach, innych pojedynczo. Bez słowa zacieśniali krąg, role się odwróciły. Teraz oprawcom pozostała nadzieja i wiara, że ktoś zareaguje. Kiedy zobaczyli, co się dzieje, zaczęli się szykować do obrony, jeszcze zanim więźniowie zaatakowali.

Ludzie, którzy doskonale znali relację kat – ofiara, wiedzieli, co oznacza hardy wzrok i to nie u jednego, ale u wszystkich dozorowanych, u facetów, którzy nie trafili na Wyspę za nierówne zasadzenie kwiatków na rabatce.

Laski, których używali do gnębienia więźniów, błyskawicznie zmieniły się w broń ostrą. To zawsze wystarczało. Zawsze, bo w razie jakichkolwiek zamieszek (które nie zdarzały się do tej pory zbyt często) wystarczały maksymalnie trzy minuty, by pojawiły się posiłki z ciężką bronią i odbezpieczonymi spustami, na których palce nie mogły doczekać się naciśnięcia.

Tym razem było inaczej.

Nikt nie rzucił się gwałtownie do ataku, a kiedy strażnicy zaczęli wymachiwać swoją bronią, tłum więźniów odchyłał się, rozstępował, tak że ciosy trafiały w próżnię, nie zatrzymując zbliżającej się ze wszystkich stron fali. Wszystko odbywałoby się w ciszy, gdyby nie wściekłe wrzaski strażników.

– Co, ścierwa!?! Znudził wam się luksus? Chcecie czegoś naprawdę mocnego?

Machnięcie ostrzem w kierunku podchodzących od frontu, płynny obrót i dwa cięcia w napierających od tyłu. Jeden z więźniów z przeciętą piersią klęknął, zalewając ziemię krwią. Niewidzialne ręce natychmiast wciągnęły go w ludzką masę, a tłum przybliżył się o kolejny krok.

– Zajebię, zasiekam was, skurwysyny... Zap...

Tłum zamknął się wokół tego i innych oprawców. Podobny los spotkał wsparcie, wyposażone w taktyczne broje, pistolety, tasery i ciężkie karabiny. Co ciekawe, powstańcy nie użyli żadnej ze

zdobycznych broni. Pokonali strażników swoją masą, zamknęli się nad nimi jak bagno pochłaniające topielców.

Ten sam los spotkał oficerów i personel. Każdy element represji został spacyfikowany tłumem, który do tej pory dawał kierować sobą – z jednej strony obawiając się Cho Rei i wszystkich okrucieństw, których był świadkiem, z drugiej wierząc, że posłuszeństwo może dać... no właśnie? Co mogło im dać posłuszeństwo? Jaką mogli mieć korzyść z poddaństwa?

Ze wszystkich stron, ze wszystkich miejsc, gdzie pojmano funkcjonariuszy, odnogi ludzkiej powodzi płynęły w kierunku największego budynku na Wyspie, szesnastopiętrowego wieżowca zwanego Wieżą Edenu. Tłum był spokojny, powolny, a jednak pełen skoncentrowanej energii. Ludzie działali niezwykle skoordynowanie, chociaż nie rozmawiali ani nie manifestowali radości z opanowania Wyspy. Mężczyźni szli w skupieniu prowadzeni koniecznością wykonania zadania.

W końcu dotarli pod wieżowiec. Na czele wszystkich grup prowadzono ujętych, byłych już strażników. Mężczyźni chyba zrozumieli swoje nie najlepsze położenie, bo przestali wściekle przeklinać, rzucać się i szarpać. Dostosowali się do skupienia tłumu i wyczekiwali odpowiedniej chwili, by nagłym zrywem wyrwać się, uciec albo chociaż zacząć walczyć. Chwilowo nie wiedzieli nawet, co może ich czekać.

A to, co miało się wypełnić, zbliżało się zdeterminowanym, rytmicznym krokiem tłumu.

Co zaskakujące przy takiej liczbie ludzi, nikt nie zderzał się z nikim, nikt na nikogo nie wpadał, nie było przepychanek – zupełnie, jakby więźniowie tworzyli jeden organizm, jakby cel, który mają zrealizować, był jednocześnie celem tłumu i każdego z osobna.

Trójki – jeden eskortowany, dwóch opiekunów, zaczęły znikać w głównym wejściu do budynku. W sumie było ich ponad sto. Ponad sto plutonów egzekucyjnych, bo nikt z pojmanyh nie miał

już chyba złudzeń i nie liczył na happy end. Kwestią było tylko to, na ile zemsta jest dla byłych ciemionych istotna. Jak bardzo będzie bolało.

Nie było miejsca na improwizację. Każda trójka miała wyznaczone miejsce – kłitkę będącą kiedyś czymś lokum. Dzisiaj ze względów praktycznych Wieża była niezamieszkała powyżej piątego piętra, więc pomieszczenia, do których docierali, były zagracone, a niektóre zrujnowane. To im nie przeszkadzało. Wkrótce wszyscy znaleźli się tam, gdzie mieli się znaleźć – w mieszkaniach na piętnastym i szesnastym piętrze, których okna wychodziły na zewnątrz. Na cztery strony świata.

Tłum wciąż milczał. Więźniowie czekali w skupieniu i cierpliwie obserwowali budynek, unosząc głowy w kierunku jego szczytu. Ludzka masa zajmowała całe centrum Wyspy, wszystkie uliczki, placiki między budynkami i zaułki, dachy budynków, szczyty murów. Ponad cztery tysiące milczących mężczyzn czekało na akt sprawiedliwości, który jeszcze zanim się wydarzył, już pulsował w ich głowach, już wywoływał uczucie satysfakcji i oczekiwania na spełnienie. Jeszcze nigdy w całej historii ludzkości myśli i emocje dużej grupy nie były tak jednolite...

Łaska

Oficer próbował się oszukiwać. Zrzucał winę na odór, który mógł przecież wywołać jakieś neurologiczne efekty... Złudzenia, halucynacje. To, co widział, nie mogło być rzeczywiste.

Z kupy jelit, których sama obecność była niewytłumaczalna, a przynajmniej w takiej ilości, powstał potwór. Z dwiema parami rąk i antyczną maską zamiast głowy. Z korpusem śliskim od śluzu, pokrytym obrzydliwymi gruzłami. Cho Rei, jak z ostatniej strony broszury informacyjnej...

Demon ruszył w kierunku mężczyzny i jednocześnie jakby od niechcienia machnął zakończoną szponami łapą w kierunku

naukowca, który podobnie jak oficer stał oniemiały. Ten jeden błyskawiczny ruch, zupełnie nieoczekiwany, ale niezwykle precyzyjny, otworzył mężczyznę od szyi do pachwiny, w jednej sekundzie uwalniając wszystko, co kryło się w środku. Demon przystanął, a wnętrzności przyciągane niewidoczną mocą wcieliły się w jego postać, która natychmiast powiększyła się odrobinę. Potwór i tak był już o dwie głowy wyższy od przeciętnego człowieka, a zasięg jego małych ramion wydawał się nie mniejszy od jego wzrostu.

Oficer stał jak posąg. To, co widział, smród, jaki wciąż go otaczał, a także pierwotny strach sparaliżowały go do tego stopnia, że wydawał się martwy.

Nagle coś zacharowało, trzasnęło. Z głośników, które były sprzężone z aparaturą, a więc również z Empatronem, dobiegł głos. Gdyby nie zniekształcenia, przypominałby głos Iana.

– Nie musisz się obawiać. Nie zginiesz, przynajmniej nie z moich rąk. I nie teraz. Jesteś potrzebny, bo potrzebne jest świadectwo... Kto wie, może zostaniesz prorokiem? A może pozostaniesz głównym... Taki świat – jednego dnia zjadasz innych, drugiego dnia inni skręcają ci kiszki. Ja jestem Płaczący Jelita, Cho Rei. Wyszedłem z obrazka. Wyszedłem z obrazka. Wyszedłem z obrazka...

Wierzysz we mnie? We mnie? Mnie? Nie?

Głos powtarzając słowa coraz ciszej, jak echo, zagubił się w elektronicznym poszumie. Rozmył się w rzeczywistości, ale odbijał się pod czaszką oficera, który nadal trwał w katatonicznym bezruchu.

Cho Rei zniknął z pola widzenia. Głos w głowie też zamilkł.

Mężczyzna padł na kolana i doznał gwałtownego wewnętrznego skurczu. Przez moment pomyślał, że to jakaś kolejna sztuczka i zaraz jelita wypadną mu przez usta, ale to tylko przeżyty stres usiłował zmusić człowieka do torsji.

Wieża Eden

Więźniowie nie mieli broni. Nie mieli niczego, co mogłoby ułatwić jakąkolwiek formę egzekucji, poza defenestracją. Jednak zwykłe wyrzucenie przez okno oprawców, którzy byli ucieleśnieniem śmiertelnej grozy, katów, którzy bez zastanowienia i skrupułów szykanowali, ranili, zabijali, nie załatwiało sprawy.

Na różnych piętrach i w różnych pomieszczeniach bez możliwości kontaktu, nie próbując się nawet porozumieć, egzekutorzy działali jakby wypełniali niesłyszalne instrukcje. We wszystkich stu dwudziestu dwóch celach śmierci wykonali ten sam rytuał.

Jeden z eskortujących trzymał skazańca, drugi rozbijał szybę, uzyskując tym samym ostre narzędzie. Nie zwracając uwagi na ból i rany, jakie zadawali sobie, chwytając ostre kawałki szyb, nie patrząc na rany, przecięte dłonie, nieomal amputowane palce, wbili rytualne ostrza w ciała strażników i w imię Cho Rei uwolnili ich jelita. Poczuli się jak kapłani, jak wykonawcy woli najwyższego...

Oprawcy – ofiary. Role odwróciły się, po raz kolejny udowadniając, że na tym świecie nie ma nic stałego, że ostatni będą pierwszymi oraz że głodnych należy nakarmić.

Dlatego też, mieszając swoją krew z krwią idących na śmierć, w jedno stapiając krew ofiar i katów, włożyli swoje poharatane dłonie w śliskie trzewia skazańców i pociągnęli, a uwolnione wnętrzności zaplątali na wystających elementach gdzieś w pobliżu okien. Klamki, ramy pozbawione szyb, osłony pod parapetami – wszystko to posłużyło jako prowizoryczne haki.

Reszta nastąpiła błyskawicznie. Bez żadnych ceregieli dwójki egzekutorów wyrzuciły niestawiające oporu ofiary przez okna. W jednym momencie szczyt Wieży Edenu jakby eksplodował. W powietrze na wszystkie strony z ogłuszającym wrzaskiem wytrysnęła ponad setka jeszcze świadomych, ale praktycznie będących już po drugiej stronie. Anatomia nie pozwoliła im odlecieć daleko. Zatrzymani długością swoich kiszek, jak wahadła wykonali półkolistą drogę i zawiśli, dekorując fasadę budynku

makabryczną fryzurą oklapniętych, pustych korpusów i kolorowych frędzli trzewi schlapanych wiadrami szkarłatnej posoki.

Nad tym wszystkim, na dachu budynku nagle pojawiła się olbrzymia sylwetka.

Cho Rei miał dobre sześć metrów wysokości. Wszyscy mogli go podziwiać. Uśmiech na nieruchomej masce wydawał się szerszy niż kiedykolwiek, a para potężnych ramion uniosła się ku górze w pierwotnym geście triumfu.

Kult

Gdyby demony załatwiały ludzkie sprawy, byłyby dobrotliwymi duszkami domowymi. Demony służą sobie i być może jeszcze sprawom tak ciemnym, że to, co ludzie nazywają mrokiem, wydaje się przy tym słonecznym dniem.

Gdzie szukać dobra, kiedy wszystko jest złem? Gdzie odnaleźć sprawiedliwość, kiedy wszystko jest bezprawiem? Kogo prosić o łaskę, gdy wokoło nie ma litości?

Na pewno nie demona, nie Cho Rei, nie Płaczącego Jelita!

Widzieliście kiedyś człowieka, który rozrywa się własnymi rękami? Który chwyta się za brzuch, wbija palce w swój pępek, pcha i ciągnie, aż pod ciepłą powłoką suchej skóry odnajdzie gorącą, śliską wilgoć, a potem wepchnie palce głębiej i rozciągnie. Nie czując bólu, a właściwie wręcz odwrotnie – czując go i pławiąc się w nim. Pociągnie szerzej i szerzej, aż dojdzie do momentu, kiedy będzie mógł włożyć dłonie prosto w płataninę swoich wnętrzności.

Poczuj, że może dotknąć własnego żołądka, a śliskie zwoje będą go dosłownie parzyć w ręce, poczuje, że ruchy palców powodują doznania, jakich nie odczuwał nigdy. Jedno nieostrożne kiwnięcie palcem ku dołowi sprawi, że najgorszy strach przed ciosem poniżej pasa skrytalizuje się w twarde jak skała, tępe cierpienie. Jak w końcu pozbawiony rozeznania, zrozumienia, gdzie jest, kim jest... czym jest, wywali wreszcie z siebie wszystko. I wtedy zrozumie, że

to czyn, którego nie da się cofnąć. Zrozumie, że niczego nie da się cofnąć.

Prawdziwa wiara

Śmigłowiec zwiadu wysłany na Wyspę w celu sprawdzenia sygnałów alarmowych dotarł na miejsce zbyt późno. W każdym razie nikt z załogi nie widział Cho Rei przechadzającego się pomiędzy tysiącami wypatroszonych trupów. Nikt nie widział, jak usatysfakcjonowany, owinięty girlandami ludzkich resztek, drobnymi, dotychczas bezużytecznymi kobiecymi rączkami plotący warkocze z dwunastnic schodzi do starej sztolni, znika, pozostawiając po sobie jedynie ciepły smród i pustkę...

Jedynym żywym świadkiem pozostał oficer, który wyszedłszy jak w transie z laboratorium, patrzył na to, co nastąpiło i z przerażeniem zrozumiał, dlaczego potwór zostawił go przy życiu.

A potem strach i groza odpadły z niego jak skóra, która spada z węża przy wylince. Poczuł moc płynącą od parujących zwłok, fetor stał się jego powietrzem i zrozumiał, że ma do przekazania ważną wiadomość, ważne przesłanie.

Wyciągnął z kieszeni na udzie rękę, odpalił ją i zaczął wymachiwać ręką, starając się zwrócić uwagę szperającego śmigłowca.

Dawid Kain (ur. 1981) – pisarz urodzony w Kolonii (Niemcy), obecnie mieszka w Krakowie. Absolwent prawa na UJ i podyplomowego edytorstwa na UP. Autor m.in. powieści *prawy, lewy, złamany* (2007), *Gęba w niebie* (2010) oraz *Za pięć rewolta* (2011), a także zbioru opowiadań *Makabreski* (2010). Wspólnie z Kazimierzem Kyrczem napisał m.in. zbiór *Chory, chorszy, trup* (2011). W 2012 roku ukazała się jego najnowsza powieść *Punkt wyjścia*.

David Kain

Ciało/Krew

Niewiel brakowało, a wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Ale zanim nadjechał bezszelestny miejski i zanim wsiałem do niego, wtulając buzującą nietrzeźwością głowę w zimne szkło szyby, na przystanku pojawiła się rozwrzeszczana zgraja szukająca ludzkiego mięsa, które dałoby się obić, opluć albo wdeptać w glebę.

– Ej! Weźcie stestujcie tego krawaciarza! – rzucił przedwcześnie wyłuskały agresor. Niebieskie żyły na jego obleczonej cienką skórą czaszce przywodziły mi na myśl kogoś, kto wraca właśnie z wielomiesięcznej, wyniszczającej chemioterapii.

– Oesuuu. Marketing i zarządzanie chyba jest dziś na bani – dodała jakaś dziewczyna, chichocząc maniakalnie.

Uniosłem wzrok, rozglądając się bezradnie po czekającej na mój ruch bandzie młodych marginesów. Naliczyłem sześć osób. Trzech facetów, trzy dziewczyny. Skóry, ćwieki, łańcuchy z pentagramami. I to prawda, tego wieczoru czułem się kompletnie pijany, choć nie pamiętałem, skąd wziął się u mnie ten stan, czemu byłem w garniturze uwalanym błotem i czemu siedziałem na tym przystanku, z dala od domu, z dala od wszystkiego, co kocham i cenię. Dobry Boże, jeśli nawet zaszalałem z alkoholem, miałem dobry powód. Ty sam, o Wszzechmogący, grzmotnąłbyś połóweczkę, może nawet nie jedną, gdyby twoje dziecko, twoje jedyne dziecko...

– Pan z wami – wyszeptałem zawsze gotów do pokojowego zażegnania niesnasek. Byłem w ich rejonie, tutaj nikt nie

przyjdzie mi z pomocą.

Popatrzyli po sobie, a później zaśmiali się dziko.

– Pan z wami – powtórzyłem, z ulgą stwierdzając, że za plecami niedoszłych oprawców zatrzymuje się właśnie autobus. Nie miałem pojęcia, jak trafiłem na ten przystanek, ale wiedziałem przynajmniej, na jakiej ulicy mieszkam i jak tam dojechać.

Wstałem.

Nie zrobiłem nawet kroku. Ktoś pchnął mnie z powrotem na ławkę.

– Chuj z tobą – rzuciła ta sama, która wcześniej nazwała mnie marketingiem i zarządzaniem.

– Zważaj na język, panienko – odparłem spokojnie, choć wewnątrz cały się trząsałem.

Drzwi autobusu zamknęły się z cichym, wężowym sykiem i pojazd odpłynął dalej, z niemal pustym pokładem kilkudziesięciu siedzeń zmrożonym jaskrawym światłem.

– Krawaciarz chyba chce nas wypowiadać – parsknął łysy, stając przede mną tak, aby jego krocze było na wysokości moich oczu. –

Ale my mu damy nasz sakrament zupełnie gratis. Patrzcie. – Rozpiął rozporek i zaczął gmerać łapą w gaciach. – Oto ciało Chry...

Nie miałem wyboru. Uderzyłem mocno i celnie. Nim dokonało się bluźnierstwo. Zwinął się i upadł, nawet nie jęknąwszy. Obiema rękami trzymał się teraz za zmiażdżone jądra; ramiona i nogi podrygiwały mu bezwolnie.

W tamtym momencie uratować mogła mnie już tylko natychmiastowa ucieczka, ale krok miałem chwiejny, ruchy niepewne, żadnej koordynacji. Wstałem, zatoczyłem się i to o wszystkim przesądziło. Ktoś się zamachnął.

Pamiętam, że pomyślałem: tylko nie w skroń.

A potem czarno.

• • •

Od dziecka żyłem w ultrakatolickiej dzielnicy Krakowa – przez bezbożników zwanej Zjebowem, zaś przez nas Chrystpinowem – wiedząc, że moje dzieci też będą tam żyły i że będą szczęśliwe. W świecie, w którym wszystko zawsze i wszędzie wodzi na pokuszenie, miałem nadzieję, że jestem na tyle twardy, by nieprzerwanie iść ścieżką wytyczoną przez Pana.

Udawało mi się. Bóg mi świadkiem. Prawie trzydzieści cztery lata na karku, a nigdy jeszcze nie zoczyłem z wytyczonej przez Najwyższego ścieżki. Przynajmniej do niedawna...

Dla mojego syna zrobiłbym wszystko, wiedział o tym każdy. Mimo że nasza dzielnica zmieniła się znacznie od czasów mojego dzieciństwa, liczyłem, że jego dzieciństwo wcale nie będzie trudniejsze czy też bardziej naznaczone grzechem od mojego.

Drewniane i metalowe krzyże w większości ustąpiły miejsca rażącym oczy krzyżoneonom, część kościołów i sal katechetycznych przeobraziła się w kluby Krytyki Teologicznej, gdzie podczas spotkań towarzyskich modlitwy zastąpiono balansującymi często na krawędzi bluźnierstwa dyskusjami, a hostię przyjmowano czasami z ręki przyjaciela, niekoniecznie kapłana. Młodzi buntownicy zamiast „mój Pan Jezus Chrystus” mówili „mój ziomek Dżizas”. Lecz te wszystkie zmiany były nieodłącznym elementem postępu, któremu nic się nie oprze. A nie jest aż tak istotne, czy klęczysz przed neonem na szklanej podłodze, czy na polnej drodze przed krzyżem skleconym z dwóch gałązek, jeśli tylko serce masz pełne Boga.

Nie było nam łatwo, nie przeczę. Matka Franciszka, Ewa, niespodziewanie zmarła w połogu, sam więc musiałem o wszystko zadbać, nauczyć syna wiary i zasad, które trzeba wyznawać, aby świat cię nie złamał. Szczególnie istotne wydawało mi się, żeby przed osiągnięciem pełnoletności nie opuszczał Chrystpinowa. Za jego granicami czekała człowieka wyłącznie najczarniejsza zatrafa, dobrze o tym wiedziałem.

Pamiętam, jak przed laty sam niejednokrotnie brałem udział w starciach z siłami zła – to było tak koszarne, że śniło mi się

potem całymi tygodniami. Raz niewierni próbowali sforsować wysoki mur, którym odgradziliśmy ulicę Jana Pawła od alei Szandora LaVeya. Nigdy nie zapomnę tego, co wtedy zobaczyłem. Ja i moi przyjaciele dotarliśmy na miejsce za późno. Pod murem po naszej stronie już dochodziło do ekscesów, które pewnie wypaliłyby mi oczy, gdyby nie opieka Wszchemogącego i Jego miłosierdzie. Tamci kopulowali we wszystkich możliwych konfiguracjach, nagie ciała drżały od spazmów, nasienie kapało gęsto z lśniących wilgocią otworów prosto na poświęconą, katolicką ziemię. Obrzydzenie sprawiło, że zjedzona wcześniej kolacja momentalnie podeszła mi do gardła. Zwierzęta! Byli gorsi niż zwierzęta! Z głośników dudnił najgorszy satanistyczny metal, bębny i gitary były niczym smoła i siarka. Jeśli w jakichś ustach nie było akurat członka, zaraz ktoś wlewał w nie alkohol prosto z butelki. Biały proszek wciągano albo zlizywano z nagich piersi i pośladków. Przez parę chwil toczyliśmy z nimi nierówną walkę, ale wywołująca torsje repulsja skutecznie osłabiała siłę naszych pięści, celność naszych kopniaków i sensowność fizycznego ataku. Nikt nie wie, co by się wtedy stało, gdyby w porę nie pojawiły się pancerne wozy Obrońców Wiary, wyposażone w armatki z wodą święconą i oślepiające reflektory monstrancyjne. Ciała grzeszników momentalnie stanęły w płomieniach i zmieniły się w popiół, jeszcze zanim udało mi się rozdeptać radio, z którego głośników wyrzygiwała się na nas pieśń ku chwale Szatana. Tym razem odparliśmy atak, jednak grzech czał się blisko, na wyciągnięcie ręki, i zawsze musieliśmy o tym pamiętać, chroniąc bliźnich, małżonki i dzieci.

Do syna miałem bezgraniczne zaufanie. Bardziej prawdopodobne było dla mnie, że stoczy się kiedyś w zajadły fanatyzm, niż że wpadnie w szpony zła. Modlił się codziennie, uczył się świetnie, szybko został ministrantem i zdobył szacunek wpływowego – w naszej dzielnicy, ale nie tylko – proboszcza Antoniego Smętka. Miał grono zaufanych przyjaciół, a że wszyscy byli dziećmi

sąsiadów albo współparafian, nie było się czego obawiać. Jako dobrze wychowany katolik stronił od używek, a nawet zarzekał się, że i po osiemnastym roku życia nie ma zamiaru zaglądać do kieliszka. Nad łóżkiem zawiesił piękną portretową fotografię Ewy, mojej żony, a jego matki. Cieszyłem się, że poleca się jej wiekuistej opiece, mimo że samo spojrzenie w oczy mojej pierwszej miłości, która odeszła świetlistą ścieżką, dosłownie rozrywało mi duszę w strzępy.

To był dobry dzieciak. Bezcenne wsparcie w dźwiganiu krzyża codziennych trosk i zmartwień. Może i byłem tylko zwykłym dziennikarzem „Głosu Pana”, może i nie miałem wielkiego zaplecza finansowego czy intelektualnego, ale wierzyłem, że zrobię z syna człowieka, który po kres swych dni będzie mógł bez wstydu patrzeć w lustro. Nie miał matki, to prawda, wyznawane zasady nie pozwalały mi szukać kobiety po śmierci tej pierwszej i jedynej, ale, Dobry Boże, byłem gotów być dla syna i ojcem, i matką. Byłem gotów wlać w niego całe światło, jakim napełnił mnie w chwili Chrztu sam Jezus Chrystus.

Jakież więc było moje zdziwienie, gdy ledwie parę dni temu, sprząając pokój mojego czternastoletniego Franka, pod jego materacem znalazłem kopertę pełną podejrzanie wyglądających kapsułek. Może lekarstwa?, myślałem. Może obłożnie zachorzał na coś i wstydzi się przyznać. Wysypałem je wszystkie na dłoń. Siedem sztuk – duże, żółto-czerwone. Żadne znane mi lekarstwa tak nie wyglądają...

Byłem tak zszokowany, że cały zacząłem się trząść. Nie mogłem wprost uwierzyć, że mój jedynak trzyma pod łóżkiem coś, co najpewniej jest narkotykiem, że w ogóle ma z tym bagnem cokolwiek wspólnego. Przez następną godzinę siedziałem otępiały przy kuchennym stole, gapiąc się na znalezisko i mnąc nerwowo pustą już kopertę.

W końcu wrócił ze szkoły. Gdy tylko mnie zobaczył, wiedział, co się stało.

– To nie to, co myślisz! – zawołał.
Jeszcze nigdy nie był równie przerażony.

• • •

Coś uwiera mnie w plecy. Ręce skrępowane. Głowa wisi ciężko, nie mogę jej podnieść.

– Widział nas. Nie możemy ryzykować – mówi ktoś.

– Może wystarczy wybić gościowi oczy – odpowiada ktoś inny, parskając śmiechem. Poznają ten głos, to przecież ta dziewczyna, która na przystanku...

Coś mi cieknie po twarzy, ale nie widzę, bo ciemno.

Ciemno i boli. Nie mogę unieść powiek, nie mogę się poruszyć.

Boże, ratuj...

Próbuję się modlić.

Coś jest nie tak z moją głową. Jakby czaszka była nie na swoim miejscu. Przetrącona. I jakby mózg obrócił się na drugą stronę.

Mdłości.

W ustach sucho.

Źle, źle, źle.

Gardło zaczyna zaciskać się spazmatycznie.

Źle.

Wymioty wyciekają ze mnie żrącą falą.

• • •

– A co mam myśleć?! – krzyczę, ręce mi się trzęsą.

Siada przede mną na krześle. Błady niczym hostia, jak jeszcze nigdy wcześniej.

– To jest warte majątek – tłumaczy.

Wzdycham, zrezygnowany. Mój obraz tego chłopca rozpadł się właśnie na kawałki. Już nic nie będzie takie samo.

– To jest święte, rozumiesz, tato? – mówi nagle, po chwili namysłu. – To jest prawdziwy Przenajświętszy Sakrament.

Podnoszę wzrok i patrzę na niego. Nie pojmuję, co może mieć na myśli. Po prostu bełkocze. Wiem przecież, że w narkotykach nie ma

nic świętego, obojętne, co chcieliby nam wmówić wszyscy bezbożni szamani. To stuprocentowe zło, szatańskie nasienie w najczystszej postaci, szatańska sperma, którą dławia się ateści, sataniści i poganie. Wiem przecież, że czarne jest czarne, a białe – białe. Szarość domeną demonów i diabła. I nic ponad to.

– Bluźnisz! – odparłem, waląc pięścią w stół. – Jak w ogóle śmiesz wspominać teraz o Przenajświętszym Sakramencie?!

Gotowało się we mnie, ale mimo że byłem gotów spruć go do nieprzytomności i wyrzucić na bruk, tym samym łamiąc samemu sobie serce, bo nikogo przecież nie kochałem równie mocno, to jednak chciałem wiedzieć, jak będzie się próbował usprawiedliwić. Chciałem się przekonać, kto jeszcze w tym uczestniczy, skąd wziął to świństwo i czemu pojawiło się w Chrystpinowie.

– Skąd to masz? – spytałem.

Z początku nie chciał wyjaśnić, kręcił tylko głową, powtarzając: „Ty nic nie rozumiesz”

– Ksiądz Antoni powiedział, że to przyszłość całego chrześcijaństwa. Ale na razie produkt jest dostępny tylko dla najbogatszych.

Nie wierzyłem własnym uszom. Czyżby mój syn chciał teraz na domiar złego oczerniać jeszcze księdza Smętka, darzonego w naszej okolicy niemal nabożną czią? Księdza Antoniego Smętka, który mnie i Ewę połączył niegdyś świętym węzłem małżeńskim?

– Śmiesz twierdzić, że nasz proboszcz handluje narkotykami? – spytałem, coraz bardziej zbity z tropu słowami syna. I coraz większa furia targała moją duszą.

– Nie, tato, on jest tylko płotką. Do Polski towar sprowadza sam prymas, a u niego zaopatruje się kilku najbogatszych Polaków, niekoniecznie wierzących. Ksiądz Smętek mówił, że to jest rzecz zupełnie przełomowa, gwarantująca zbawienie każdemu, nawet najbardziej zatwardziałemu ateście.

– I ja mam uwierzyć, że on w takie nieczyste interesy wmieszał czternastoletniego gnoja?

– Nie, on przecież nie mówił tego do mnie. Nawet nie wiedział, że byłem wtedy w zakrystii, bo się schowałem. Rozmawiał z samym Marianem Lewinem o sprzedawaniu tego w Małopolsce. Mówił, że nawet dziesięć tysięcy za jedną kapsułkę to nie jest wygórowana kwota.

Coś mnie tknęło. Marian Lewin był wielką rybą lokalnego biznesu. A przy tym zatwardziałym neodarwinistą uważającym się za kogoś lepszego od tych, których pożerał dzień po dniu, rozwijając własną karierę. Wierzył mocno w łańcuch pokarmowy, gdy tymczasem w niejednym kazaniu Antoni Smętek dobitnie powtarzał, że łańcuch pokarmowy spętał wyłącznie niewiernych niepotrafiących spojrzeć w Chrystusowe światło, które nie takie łańcuchy potrafi rozerwać.

Chwyciłem jedną z leżących na stole kapsułek między kciuk a palec wskazujący. Obejrzałem ją ze wszystkich stron, czując, jak do oczu napływają mi łzy. Nie uwierzyłem, rzecz jasna, w żadne z kłamstw syna. Barwna bajka, nawet bardzo, ale tym mocniej przez to jadowita, sącząca zło w duszę z mocą węzowych ukąszeń. Kłamał, był zwykłym kłamcą. Składał fałszywe świadectwo. Mój syn. Nie wierzyłem w ani jedno słowo. Mimo że był dla mnie wszystkim, krwią z mojej krwi, echem mego ducha, kresem mojej żony, ofiarą jej ciała, z której to ofiary otrzymałem go w darze niczym najokrutniejsze z błogosławieństw. Czternaście lat karmiłem go moją nieskażoną cieniem grzechu moralnością, czternaście lat pompowałem w tego chłopca ideały, dla których zawsze i wszędzie nadstawiłbym karku.

– Idź do swojego pokoju i nie wychodź, dopóki ci nie pozwolę – zaordynowałem mu.

– Ale tato...

– Precz!

Kiedy zamknął za sobą drzwi, odłożyłem na blat kapsułkę i sięgnąłem po telefon. A potem wykręciłem numer proboszcza i zdałem mu bolesną relację ze wszystkich łgarstw syna. Powiedział,

że zaraz do mnie przyjedzie. Powiedział, że jest gotów wybaczyć
mojemu pierworodnemu, ale najpierw musi mu spojrzeć prosto
w oczy i sprawdzić, czy została w nich jeszcze choćby iskierka dobra,
choćby okruszek Bożej łaski.

• • •

Czuję, że coś zimnego uderza mnie w brzuch.

Otwieram oczy. Widzę czyjaś pięść. Całą we krwi. Moje ręce
spętane za plecami.

W tej pięści czarna rękojeść.

Cofa się i uderza raz jeszcze.

Ostrze noża jest czerwone.

Znowu zimno. Wchodzi głęboko w trzewia.

Nie jestem w stanie oddychać.

Gapię się na to, co robi ze mną ten bezbożnik, i wiem, że to już
koniec. Ale się nie boję. Skoro życie straciło dla mnie sens, śmierć
wydaje się najlepszym rozwiązaniem. Dołączę do Ewy, stopię się
w jedno z Wiecznym Ogniem Pana.

Podnoszę ciężką głowę i patrzę jak przez mgłę na twarze
gówniarzy, którzy postanowili mnie zabić. Jak psa przybłądę. Jak
najdzikszego zwierza. Nawet ich nie winię. Skoro żyli w piekle,
skoro skalali się grzechem, nic dziwnego, że każdą ich myślą,
każdym działaniem kieruje demon.

– Niech Bóg wam wybaczy – szepczę, a potem umieram.

• • •

Jeśli miałbym wskazać jedną rzecz, która jest gorsza od śmierci,
powiedziałbym o tym paralizującym ciału i ducha momencie, gdy
wszystko, w co dotąd wierzyłeś, okazuje się kłamstwem. Gorsze od
umierania jest tylko to zionące niemocą wrażenie, że wszystkie
twoje dotychczasowe wartości zmieniają się nagle w swoje
przeciwności, świat się wali, świątynie obracają się w ruiny,
najbliżsi okazują się zdrajcami, a z lustra patrzy na nas bestia
o zdecydowanie zbyt znajomych rysach.

Nie chciałem źle.

Zrobiłem tylko to, co powinienem.

Włożyłem swój najlepszy garnitur, nie bez kłopotów zawiązałem krawat – przed laty to żona mnie w tym wyręczała – i siedząc przy stole, czekałem spokojnie na wizytę proboszcza. Byłem zbyt zdenerwowany, by pogrążyć się w kojącej modlitwie.

Nie wiem, co mnie podkusiło, może Szatan we własnej osobie, a może któryś z pomniejszych, choć równie plugawych, demonów, ale znów sięgnąłem po jedną z kapsułek i po chwili przyglądania się jej ze wszystkich stron, potrząsnąwszy nią kilkakrotnie, w końcu postanowiłem ją otworzyć.

Czego właściwie się spodziewałem? Jakiegoś dziwnego proszku, śmierdzącego płynu, suszonego zielska o specyficznym aromacie? Zamiast tego z kapsułki na stół wypadło coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak mały papierek uwalany czymś bordowym. Dopóki tylko patrzyłem na to, nic się nie działo, ale w chwili gdy podniosłem to coś z blatu, moje ciało momentalnie przeszył dreszcz niezdrowej ekscytacji. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czułem. Chyba tylko podczas pierwszej wspólnej nocy z Ewą, moją pierwszą i jedyłą, kiedy to spłodziliśmy syna, sprowadzając nowe światło na ten ciemny padół. Miałem nieodparte wrażenie, jakby coś większego ode mnie przejęło nade mną władzę. Jakiś obcy, niemożliwy do opanowania żywioł. Zupełnie się nie kontrolowałem, mogłem więc tylko przyglądać się, jak nie moja dłoń wsuwa narkotyk w nie moje usta, i czuć, jak nie mój język przyciska go do nie mojego podniebienia.

Przełknąłem i przez chwilę wszystko znów było takie, jak zawsze.

A potem jedna z nie moich dłoni zmięła kopertę i rzuciła ją pod stół, gdy druga zgarnęła z blatu wszystkie kapsułki i napchała mi nimi usta.

Nie myślałem.

Nie wybiegałem wyobraźnią naprzód.

Nawet nie czułem strachu.

To było po prostu coś, co moje ciało musiało zrobić, po tym, jak już zetknąłem się z tą przedziwną substancją.

I wiem, że gdyby tych kapsułek było tutaj tysiąc, też zeżarłbym wszystkie, do samego końca. Nikt nie zdołałby mnie powstrzymać. A gdyby ich zabrakło, wydałbym ostatnią złotówkę, byle tylko znów móc je sobie wsypać w gardło.

Byłem spokojny, nie miałem wyrzutów sumienia. Zresztą i tak nikt się o tym nie dowie. Synowi powiem, że oddałem narkotyki proboszczowi. Z kolei proboszczowi wcale o nich nie powiem, bo on myśli, że to tylko taka historyjka, którą opowiedział mi kłamliwy gnojek, mój wiarołomny pierworodny...

Rozlega się pukanie do drzwi. Ze spokojem trupa idę przed siebie, wyciągam rękę, przekręcam klamkę i przywołuję na usta uśmiech mówiący, że wszystko będzie dobrze, już jest dobrze, o, patrzcie.

Nagle drewniana krawędź z traskiem wbija mi się w czoło.

Upadam na podłogę.

Ktoś kopie mnie w brzuch, ktoś obraca twarzą ku ziemi, klękając mi na plecach.

– Zajmijcie się tym ścierwem. Wiecie, co robić – odzywa się Antoni Smętek, zamykając za sobą drzwi.

Nic nie mogę zrobić.

Z policzkiem wbitym w zimną podłogę i czyimś kolanem miażdżącym mi kręgosłup patrzę przerażony, jak trzech ubranych w czarne mundury funkcjonariuszy specjalnego oddziału Obrońców Wiary wywleka mojego wrzeszczącego i miotającego się syna z pokoju, a potem dwóch go przytrzymuje, gdy trzeci wiąże mu na szyi pętlę...

– Ponarkotykowy amok. Tylko tak to się da wyjaśnić. Chłopiec powiesił się nagle, bez premedytacji. Dobry Boże, nie zostawił nawet listu! – Smętek unosi ręce w udawanym oburzeniu, a potem czyni znak krzyża i uśmiecha się życzliwie. – Ojciec, widząc to, postradał zmysły i gdzieś przepadł.

Nie jestem w stanie nawet wycharczeć swego oburzenia, bo w tym samym momencie klęczący na mnie funkcjonariusz wbija mi nóż w gardło i szarpie, szarpie, szarpie.

•••

Umieranie to wręcz katorżnicza praca. Wcześniej o tym nie wiedziałem.

Najpierw całymi wiekami spadasz w ciemność, wszystkie kończyny ci drętwieją, a twarz staje się bladym płomieniem.

Chcesz się zatrzymać, ale nie możesz. Nie masz się czego złapać, więc nigdy nie przestaniesz spadać.

Śmierć jest jak koszmar, który się nie kończy.

Znudzony bezbrzeżną czernią umysł zaczyna pracować na zwiększonych obrotach, w czarnych kopalniach wyobraźni trwa forsowny wysiłek wielu bezimiennych ramion, chore obrazy wyłaniają się ze ścian, chore postaci zanurzają kilofy w twardej, połyskującej czerni.

Najgorsze jest jednak to, że umierając, poznałem całą prawdę.

Kapsułki, które połknąłem, zanim poderżnięto mi gardło, zdążyły zadziałać, nim ostatecznie wyzionąłem duszę. Dzięki temu mogłem przekonać się, czym były. I skąd się wzięły.

•••

Postęp może i nie zniszczył mojej wiary, ale przekształcił ją w coś, co wzbudzało mój najgłębszy strach.

Żadne znane mi media nie donosiły o fakcie, że pracującym przy Fundacji Templetona naukowcom udało się wydobyć z włókien Całunu Turyńskiego dobrze zachowane komórki zawierające nieuszkodzone DNA samego Jezusa Chrystusa. Nikt, poza wąskim gronem wtajemniczonych, nie miał pojęcia, że w ogóle podejmowano takie próby.

Watykańscy hierarchowie z początku byli zdecydowanie przeciwni klonowaniu Mesjasza. Nie chodziło wcale o względy etyczne. Bali się, że Drugie Przyjście będzie oznaczać koniec

organizacji, która zapewniała im władzę, dochody i nietykalność. Zbawiciel mógłby być wzburzony, wręcz zszokowany tym, co robili. Mógłby okazać się największym i najgroźniejszym spośród wrogów Kościoła.

To jednak nie zakończyło ryzykownego projektu. Dało się przecież wprowadzić pewne środki bezpieczeństwa, dzięki którym nikt nie musiałby się obawiać, że Jezus kiedykolwiek stanie się nie tylko Bogiem, ale w ogóle pełnowartościowym człowiekiem. W końcu genami można się bawić do woli i praktycznie bez ograniczeń. Można skazać sklonowaną istotę na upośledzenie umysłowe, niedorozwój psychoruchowy, zanik kończyn, zespół Downa, wodogłowie i setki innych przypadłości. Można przerobić Stwórcę Wszechświata na śliniący się i telepiący parkinsonicznie kadłubek, nie tracąc nic z cudownych właściwości jego boskiego ciała.

W końcu aby żyć wiecznie, trzeba jeść ciało, pić krew.

Nie jest ważne, co robimy, jeśli tylko będziemy przestrzegać tej prostej zasady.

Cel uświęca środki, a wszak Zbawienie warte jest każdej ceny, każdego poświęcenia i wyrzeczenia.

Jeść ciało, pić krew.

Żyć wiecznie.

• • •

Nie chciałem widzieć, ale ujrzałem:

Rozległe podziemne farmy, na których hoduje się Boga wcielonego – kości, krew i mięso.

Owalne sale, w których z sufitów zwisają na syntetycznych łożyskach sztuczne łona pulsujące chorobliwie żółtym światłem.

Upośledzone, kalekie niemowlęta karmione jak gęsi: wetknięte w gardła rury sączą szarą papkę prosto do targanych bolesnymi skurczami żołądków.

Chodzi wyłącznie o to, by te biedne istoty jak najszybciej przybrały na wadze. Wstrzykuje im się hormon wzrostu oraz

anaboliki zazwyczaj podawane koniom.

Te, które są już gotowe, zostają żywcem zmielone, a następnie poddane procesowi przyśpieszonego chemicznego suszenia. Strzępy ich zwłok zamykane są w niewielkich kapsułkach.

Dokładnie takich, jak te, których garść pochłonąłem.

• • •

– To kto zakopie krawaciarza? Łapka w górę, pajace!

Przecieli więzy i moje bezwładne ciało padło prosto w lepkie błoto.

Otworzyłem oczy, czując, że rany po nożu już zaczynają się goić, tak, jak wcześniej zagoiło się poderżnięte gardło.

Zmartwychwstaniu towarzysząca narastająca euforia, człowiek czuje się wtedy jak po kilku głębszych, po skórze prześlizgują się wyładowania elektryczne znacznie przyjemniejsze niż dreszcze.

Tak samo musiałem czuć się wtedy, gdy wyrzucono mojego trupa z wozu Obrońców Wiary – specjalnie poza granicami Chryspinowa, by o wyjaśnienie zbrodni musieli się martwić inni: ateści, sataniści, poganie.

Wiem teraz, że po każdej śmierci staję się silniejszy i pamiętam coraz więcej szczegółów tamtej chwili, gdy po raz pierwszy pozbawili mnie życia, wieszając na moich oczach Franciszka, mojego jedyne go syna.

Podzwaniający łańcuchami gnoje w skórzanych kurtkach kłócą się o to, który ma mnie pogrzebać i czy w ogóle jest sens kopania dołu dla kogoś takiego, jak ja. Bezwartościowego śmiecia. Nie zauważają, że wstaję pomału za ich plecami, zimny i milczący. Nie zauważają, jak otwieram oczy, a moja twarz jest czarna od błota jak u dzikich bestii.

Nie zdążą uciec. Nie mają cienia szansy.

Złapię ich za gardła, wysię oczy z oczodołów i rozdepczę czaszki.

Po tym, co Smętek i jego przyboczni zrobili z moim synem, wolałbym umrzeć i nigdy nie wracać na ten przeklęty padół, ale

nieśmiertelność nie jest wyborem, tylko koniecznością, podobnie jak zło i wszelkie inne plugastwa.

Wbijając pięść w łysą głowę i zagłębiając kłykcie w miękki mózg bezmyślnego ateusza, zaczynam wyobrażać sobie, co zrobię z tymi, którzy zabili mi pierworodnego.

Nie zwracam uwagi na wrzaski, czynię, co do mnie należy.
Ciało i krew. Nie ma nic więcej.

• • •

Gdy pod nogami mam już sześć zmasakrowanych ludzkich ścierw, jestem gotowy wrócić do domu, do Chryspinowa, by odnaleźć księdza Antoniego i jego pomagierów.

Mam twarz uwalaną błotem i śmierdzącą metalicznie posokę na rękach, ale serce nadal pełne Boga, może nawet bardziej niż kiedykolwiek.

Cierpię wręcz niewyobrażalnie, bo poza ranami na duszy tłumię też w sobie niehumaniczny krzyk setek upodlonych klonów, które nigdy nie mogły się obronić.

Noc nade mną jest czarna, deptę po czaszkach bezbożników, boskość dudni mi w skroniach, światło rozlewa się po wiązkach żył i tętnic, rozpala korzenie neuronów.

Nie ma gwiazd, nie ma skrupułów, nie będzie litości.

Idę przez błoto, idę przez ciernie, idę po moich wrogów. I śmieję się na myśl, że miłosierdzie jest już tylko przeszłością.

Mort Castle (ur. 1946) – amerykański pisarz horrorów (zdobywca nagrody Brama Stokera), redaktor magazynów i nauczyciel pisania. Jest autorem kilku poczytnych powieści, a także blisko pięciuset opowiadań. Uznawany za mistrza krótkiej formy literackiej. Pod jego redakcją ukazała się między innymi pozycja *Writing Horror*, uznawana za biblię dla początkujących autorów horrorów. Najważniejsze dzieła Castle'a to powieść *Obcy* oraz nominowany do nagrody Pulitzera zbiór opowiadań *Księżyc na wodzie*.

Mort Castle

Porada

Z antologii *The Burning Maiden* przygotowanej przez Grega Kishbaugha

7:15, przed pierwszą lekcją

Poradnia szkolna

Wszyscy są, jest poranna kawa, długie chwile milczenia i wzruszenia ramion, i westchnienia, i nerwy. Doktor Lytell, psycholog, Stacy Navores, dyrektorka, Andrea Evans, szefowa poradni, doradcy, dwaj nowo zatrudnieni, którzy prawdopodobnie nie mieli jeszcze czasu oprawić swoich dyplomów, Bob Biondi, ekspert od wynajdywania funduszy na college, Macy Gaston, która wie, jak zaklasyfikować powalonego dzieciaka i w trymiga wysłać go do szkoły specjalnej i oczywiście weteran Theo DeWalt, sześćdziesięciopięciolatek, nie taki wapniak, ale łysol, którego błyszczącej głowie okolonej wianuszkami włosów nie pomógłby nawet działający cuda środek na porost włosów.

Oczywiście to z DeWaltem chcą się spotkać wszystkie dzieciaki.

Ponieważ to gruba sprawa. I smutna, po prostu koszmarnie smutna. Liceum to nie tylko równania kwadratowe, wyniki egzaminów, szkolne wycieczki, bale maturalne, wybieranie ścieżki przyszłej kariery, palenie w męskiej toalecie i zrywanie się z piątej lekcji. Jest też smutek. Smutek przewyższający przegrany mecz,

zdiagnozowanie białaczki u ulubionego nauczyciela niemieckiego albo cholerna okaleczająca głupota łączenia alkoholu, małolatów i przejazdu kolejowego.

Ta sprawa jest najsmutniejsza ze wszystkich: samobójstwo ucznia.

7:30

Hol główny

Uczniowie wysiedli z autobusów na okrągłym podjeździe przed Liceum Hillman-Forest Lake. W ten słoneczny poranek pierwszego dnia po feriach wielkanocnych duch wszedł do szkoły razem z innymi. Bycie duchem było dla Kelli Wrightmann czymś nowym i czasami zaskakującym, ale nie w złym sensie. Kiedy jeszcze żyła i rozmyślała o przejściu z życia do śmierci, kiedy postanowiła się zabić, rozważała „duchowość” jako jedną z możliwości. Skąd miała tak do końca wiedzieć, no nie? Spodziewała się, że jako duch będzie się czuła, no jakby przeszła wilgocią, coś jak pleśniejący wojskowy koc i może niezręcznie i ospale, jakby snuła się po zalewanym deszczem cmentarzu. Przynajmniej czuła przyjemną nieobecność tego cholernego plecaka, który nigdy nie był wygodny i zawsze ocierał o lewą łopatkę.

Nie zaskoczyło jej, że nie zwracali na nią uwagi ani uczniowie, pędzący we wszystkie strony, jakby spieszyli się w jakieś ważne miejsce, ani nauczyciele, nonszalancko oparci o wejścia do klas, teoretycznie obserwując korytarz albo wymykający się na ostatnią szybką wizytę w toalecie przed rozpoczęciem lekcji, ani dość młody ochroniarz z przedobrzoną fryzurą siedzący za biurkiem ochrony przy Zachodnim i Północnym Korytarzu, który miał w zwyczaju gapić się na jej tyłek dłużej niż wymagały tego kwestie bezpieczeństwa.

Niewidzialność. To jak jakaś supermoc, jak Hit Girl z *Kick-Assa*! Łowczyń! Niewidzialna kobieta! Wystarczy umrzeć i od razu zaczynają się korzyści!

Rodzice nie byli w stanie jej zobaczyć, usłyszeć (ani, skoro już o tym mowa, dotknąć, poczuć albo wyczuć). Sprawdziła. Po powrocie, musiało to być ze dwa dni po jej śmierci (nie wiadomo dlaczego jest jakiś okres oczekiwania!), unosiła się przez jakiś czas w powietrzu salonu tuż nad pięćdziesięciodwucalową Bravią (ściszona do szeptu, szczerza Rachel Maddow szczerze zdenerwowana czymś szczerze denerwującym), a mama i tata siedzieli na sofie, dzieliła ich poduszka, łączyły kieliszki wina w rękach.

Wyglądali staro, mieli zapadłe twarze. Wyglądali źle.

I Kelli powiedziała, mając wrażenie, że mówi w równie rzeczywisty sposób, jak gdy żyła:

– Cześć, chciałam wam tylko powiedzieć, że nie macie powodu, żeby się obwiniać...

Ona się słyszała. Oni jej nie.

– Nie rozumiem – odezwała się mama. – Naprawdę. Nie rozumiem – mówiła pustym głosem, przeciągając słowa i Kelli wyczuła, że oprócz wina działa tu wcale nie taka malutka dawka valium.

– Nie wiem, jak ona mogła... – zaczął tata.

Załatwić proszki? Bez problemu w każdej amerykańskiej szkole. Włożyć proszki do buzi. Połknąć, połknąć, połknąć z pomocą Dr.Peppera. Zniknęły i teraz się kładę, a potem też znikam...

– ...bo to taki ogromny błąd. Była cudowną dziewczyną, ale to największy błąd, jaki mogła zrobić. Największy błąd, jaki kiedykolwiek zrobiła.

Nie, nie, nie błąd. Wykluczone.

Miała wrażenie, że to wykrzyczała, ale ani matka, ani ojciec nie usłyszeli.

To może eksperyment?, pomyślała i pociągnęła mamę za włosy. Ale nic z tego, zero reakcji. Pstryknęła tatę w bulwiasty czubek nosa i nic.

Kelli Wrightmann, jesteś duchem na sto procent i niezaprzeczalnie.

– Nie rozumiem – powiedziała mama.

Zbyteczne.

– ...coś, co zrobiliśmy...

...Pseudopsychologia... Kiedy byłam mała, kazałaś mi jeść szparagi, mimo że nie cierpiałam tego, jak przez nie pachniało moje siusiu... Musiałam całować ciocię Sonyę, której oddech śmierdział jak pekari w upale... Kazałaś mi się uczyć i mieć dobre stopnie, a czasami kazałaś mi przestać się uczyć i wyjść gdzieś z przyjaciółmi, bo martwiłaś się, że biorę na siebie zbyt wiele...

– ...czego nie zrobiliśmy...

... nie pozwoliłaś mi kupić iguany, kiedy byłam w czwartej klasie; nazwałabym ją Puszek... Zamiast pojechać do Disneylandu, myślałaś, że wystarczy mi „Sto Jeden Dalmatyńczyków na Lodzie” i przez te wszystkie cholerne, czarne plamki jeżdżące mi przed oczami przez pół roku kręciło mi się w głowie...

– O Boże – odezwał się tata.

I z mokrymi od łez oczami zakrył usta dłonią. Nikt nigdy nie był bardziej zdezorientowany niż on, gdy powiedział:

– Jaki straszny błąd popełniliśmy?

Nie popełniliście żadnego. Kelli Wrightmann, duch, nie powiedziała tego na głos, ale pomyślała i być może nawet chciała, żeby rodzice mogli ją usłyszeć: To nie wasza wina. Nie ma w tym żadnej winy. To była moja decyzja. Nie żałuję jej.

I Kelli Wrightmann, duch, widziała, jak rozpaczają i garbią się przytłoczeni bólem. Wiedziała, że nigdy nie zrozumieją, że nigdy nie będą w stanie zrozumieć.

7:40, przed pierwszą lekcją

Szkolny korytarz

Nie było specjalnie dziwne, że na korytarzach liceum Hillman-Forest Lake panowała większa niż zazwyczaj cisza, ale Kelli słyszała różne urywki i strzępy.

– Smutne... Modliłam się za nią, gdy się dowiedziałam...

Dzięki.

– Mam nadzieję, że jest z Jezusem...

Może nie modliłaś się wystarczająco mocno... Czekaj, sprawdzę... Nie, żadnego Jezusa. No to... przykro mi. Wiem, że chciałaś dobrze. Możesz wierzyć, w co chcesz, dobra? Dla mnie, w każdym razie teraz, nie ma żadnego Jezusa. Może dla każdego to wygląda inaczej...

– Może powinna wrócić jako zombie?

– To nie jest zabawne. Dupek z ciebie.

Zgadzam się. To nie jest zabawne. Dupek. Będę cię straszyć. Bu!

Tak, do boju łowcy Duchów; dzisiejszy odcinek: Licealny duch straszy dupka!

– Nie wydawała się przygnębiona...

Nie byłam. Nie jestem.

– ... na Facebooku, zupełnie normalnie...

– ...w chórze. Ładnie śpiewała... Żaden Idol albo coś podobnego...

Żaden „Idol”? Ani Norah Jones. Ani Robyn. Ani Bristol Palin. Ani Katie Couric albo Hilary Clinton, albo Lindsay „Jazda bez Trzymanki” Lohan, albo Gruby Tyłek Kardashian. Nie Królowa Maja, Czerwca albo Lipca. Nie Miss Naleśników na stanowym jarmarku. Nie Zdobywczyni Pierwszego miejsca w konkursie ortograficznym hrabstwa Putam. Zwyczajny, całkiem porządny dzieciak. Tym właśnie jestem... byłam. Tym właśnie byłam, mówię wam. I to by było na tyle...

8:40, Koniec lekcji wychowawczej

Ogłoszenie nadawane przez głośniki: ... uczniowie i kadra modlą się za... uczennica z młodszych klas, członkini Key Clubu... szkolna ambasadorka... potrzebuje porozmawiać... doradcy będą dostępni przez cały dzień... pozwolenie od nauczyciela albo...

13:00

Poradnia szkolna

Pan DeWalt ma największe biuro w poradni, co oznacza, że mieści się tam biurko, szafa na dokumenty i dwie osoby poza nim, jeśli tylko cała trójka nie nabiera powietrza lub nie wypuszcza go z płuc w tym samym momencie. Theo DeWalt zaczął karierę jako nauczyciel angielskiego, ale szybko przerzucił się na pracę w poradni. Dawno temu był żonaty, a potem się rozwiódł i tak już zostało. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat mógł przejść na słodziutką wcześniejszą emeryturę, ale stwierdził „Nie, dziękuję”, bo jak sam mówił (i mówił, i mówił – z wiekiem człowiek nabiera tendencji do powtarzania się): „Kocham dzieciaki”. I nie przeszkadzało ci, kiedy mówił to DeWalt, ponieważ nie było w tym ironii albo kretyńskiego zapału świętszego od papieża Neda Flandersa.

Szkolny psycholog, Marty Lytell, zazwyczaj wyglądający młodo czterdziestolatek, dziś tak stary, jak to tylko możliwe dla czterdziestolatka, siedział po drugiej stronie biurka, nie patrzył na DeWalta, tylko zmęczonym i załamionym wzrokiem powoli skanował zdjęcia dzieci na ścianie: dzieciaki od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego do teraz. Od wyblakłych zdjęć z aparatu na kliszę, do wydrukowanych na drukarce atramentowej... Uśmiechnięte dzieciaki.

– Tego nienawidzę najbardziej – powiedział Lytell. – Dajcie mi skalę staninową albo percentyle. To łatwe. Albo mogę sprawdzić wyniki testu, oceny i powiedzieć uczniowi, czy powinien iść do Monmouth, czy zaciągnąć się do piechoty morskiej. Nawet nakłonić lekarza, żeby ograniczył dzieciakowi Ritalin, jeśli stał się zombie, albo nasłać opiekę społeczną na molestującego ojczyma... – Westchnął. – Mogę robić takie rzeczy. Ale coś takiego, kurde. Nikt z nas niczego się nie domyślał.

DeWalt nic nie powiedział.

– Powinny być jakieś znaki ostrzegawcze: brak zainteresowania ulubionymi przedmiotami i zajęciami pozalekcyjnymi. Zamykanie się w sobie przed rodziną i przyjaciółmi. Coś z cholernej listy szkolnego psychologa, ale nic takiego nie było... Widziałeś się z nią w zeszłym tygodniu, zgadza się? Jak się zachowywała?

– Normalnie – odpowiedział DeWalt.

Można było niemal usłyszeć myśli Lytella: *To nie ma sensu, to nie ma sensu...*

– To był dobry dzieciak – stwierdził.

– Tak.

– A teraz nie wiem, co mówić uczniom, którzy będą pytali, dlaczego ich koleżanka się zabiła.

– Może nic nie mów – zaproponował DeWalt. – Może tylko słuchaj.

Lytell pokręcił głową.

– Niedyrektywne bzdury, nie. Chcą usłyszeć coś konkretnego. To dzieci. Muszą usłyszeć coś konkretnego. A ja nie wiem, co im powiedzieć.

Twarz DeWalta nie wyrażała niczego: niedyrektywna twarz.

– Ja ci tego nie powiem – odpowiedział.

– Więc robimy, co możemy – powiedział Lytell, wstając.

– Jak wszyscy – zgodził się DeWalt.

15:45, po lekcjach

Poradnia szkolna

Wszyscy poszli już do domu z wyjątkiem Theo DeWalta. Wydawało się, że na coś czeka, nie niecierpliwie, ale zdecydowanie z nadzieją. Siedział przy biurku, gdy wszedł duch Kelli Wrightmann.

– Panie DeWalt? – zapytała.

– Dobrze cię widzieć, Kelli – odpowiedział.

Poczuła dreszcz emocji, nie w sercu, ponieważ nie miała już aspektu cielesnego, ale jakby cała zafalowała.

– Pan mnie widzi, panie DeWalt?! Słyszysz mnie pan?!

Kiwnął głową.

Zrozumienie spłynęło na nią w jednej chwili olśnienia, która nie miała związku z rozumem, tylko z intuicją.

Duchy nie nawiedzają miejsc.

Duchy nawiedzają ludzi.

Duchy nawiedzają ludzi, którzy są odpowiedzialni za to, że ci stali się duchami.

Duchy nawiedzają ludzi, którzy są odpowiedzialni za ich śmierć.

– Moi rodzice są bardzo smutni – powiedziała Kelli.

– Tak.

– Ciotki, wujkowie i kuzyni, cała rodzina, moi przyjaciele i nauczyciele. Wydaje mi się, że wszyscy są bardzo smutni.

– Tak, tak sądzę – powiedział pan DeWalt.

– Pan nie jest smutny.

Nie, odpowiedział jej, nie jest.

Powiedziała mu, że myśli, że rozumie, naprawdę. Ale chciała, żeby jeszcze raz jej powiedział, żeby znowu jej to powiedział.

Zrobił to.

...i czasami, czasami znajdujesz wspaniałego dzieciaka, cudowne dziecko. Nie uzdolnione matematycznie, nie potrafiące grać na skrzypcach lub w tenisa. Zwyczajnie idealne dziecko, złote dziecko, które sugeruje, czym może stać się rasa ludzka po kolejnym skoku ewolucyjnym i za Boskim przyzwoleniem. Idealny Chłopak ma siedemnaście lat, ani jednego pryszczka, krosty, wyprysku, nie jest niezręczny, zbyt chudy, niezgrabny. Nie przechodzi etapu niezdarności jak inni chłopcy, którzy mają zbyt długie kończyny, cały czas o coś się potykają, mają nosy jeszcze za duże w stosunku do twarzy i odstające uszy. Jeden się garbi, bo czuje, że psychicznie nie dorósł jeszcze do takiego wzrostu, inny spuszcza głowę, bo nie ma podbródka, jeszcze inny gapi się na swoje superwielkie stopy i usiłuje odpowiedzieć na twoje „Cześć”

Idealny Chłopak – taki jak Adam, tam na ścianie, to jego zdjęcie z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego – dzieciak o imieniu Jim albo Dave, Bob, Eric czy Ron (nigdy Marv[in], Kirk[land], Connor? Connie? Connie? Bez jaj!), albo Jeff(ery), Max(well) (millian)(imus), ślicznie. Całkowicie amerykański chłopak, który cieszy się z podania Paytona Manninga, który uśmiecha się szeroko ze świeżo wywoskowanego mustanga z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego, który rozkoszuje się zapachem świeżego chleba w piekarni, który szeroko się uśmiecha w słoneczny dzień...

Ten idealny w swojej młodości człowiek jest teraz tak wspaniały, jak wspaniały może być, i nigdy nie będzie wspanialszy.

A raz na bardzo długi czas zdarza się Idealna Dziewczyna, dwunożny splendor, oszałamiająca osobliwość. Idealna Dziewczyno, nie musisz nic robić z włosami, wystarczy, że potrząśniesz prześliczną głową. Twój uśmiech jest piorunujący, a starsi panowie wpadają w tęskny, melancholijny nastrój, gdy słyszą twój śmiech, ten niewinny i pełen spontanicznej radości dźwięk. Biegasz ogromnie szybko bez wahania, potykania się czy upadków, każda nuta, którą zaśpiewasz, jest czysta, a sama twoja obecność sprawia, że wszyscy w pokoju skupiają się na tobie.

Cudowne dzieci. Nieskazitelne i doskonałe, młodzi wybrani przez Kosmiczną Loterię albo DNA, albo Kto Wie? Wydają się przeznaczeni do życia pełnego darów i błogosławieństw.

Ale nie, wcale nie.

Ponieważ tylko TERAZ, w tym, och, tak krótkim okresie trwającym kilka lat, nazywamy taką młodzię Złotą, tak podobną do Bogów.

I niektórzy z nich – nie wszyscy, ale garstka, hiperspostrzegawczych wśród tych bystrych, wrażliwych, inteligentnych, dobrych młodych ludzi – mają przecucie, co przyniosą kolejne lata. Obawiają się, że wbrew temu, co twierdził Szekspir, z wiekiem zwiędną, a ich powab nie jest nieskończony... Teraz osiągnęli szczyt, ale od tego momentu będą spadać, spadać,

spadać, nieważne, czy będzie to powolne ześlizgiwanie się w dół, czy nagły lot w otchłań!

Być może spadną w życie pełne cichej desperacji, pół-życie, jeśli tak wolisz to nazwać, gdy marzenia zmieniają się w proch i zostają porzucone, ale wciąż sprawiają ból, bo nie dają o sobie zapomnieć, i ma się wrażenie, że nic się nie osiągnęło. Życie pełne frustracji i rozczarowań. Przychodzi czas bez rozczarowań – ponieważ nie ma już żadnego czarownika.

A jeśli interesujesz się teatrem, zaczynasz się aż za dobrze identyfikować z Willym i Biffem ze „Śmierci Komiwojżera”

I każda pomniejsza katastrofa, trzy kroki w tył na każde pół kroku do przodu, za każdym razem, kiedy pomoże kanapka/cola/whisky/kaftan bezpieczeństwa, każda oczekiwana strata albo „kto mógł to przewidzieć?” zostaje odznaczona w kalendarzu twojego ciała słabnącym wzrokiem, ślinieniem się w poduszkę, obwisłymi pośladkami, haluksami, grzybicą paznokci i marszczącą się skórą...

I jeśli zaczynasz się tego domyślać, kiedy masz szesnaście, siedemnaście, osiemnaście – a może kilka lat więcej – jeśli zaczynasz rozumieć, że „Lepiej być nie może!”, wtedy zaczynasz też pojmować wybory, jakich dokonali James Dean, Jimi Hendrix, Kurt Cobain i Marilyn Monroe...

A jeśli interesujesz się literaturą, myślisz o tym atlecie, który umarł młodo z wiersza pana A.E. Housmana. I no cóż, to nie takie złe rozwiązanie, ponieważ alternatywą jest najprawdopodobniej mierność albo zostaniemy przy literaturze: „*powieść idioty, głośna, wrzaskliwa, a nic nie znacząca*”⁽⁷⁾ – tyle, że znacznie bardziej nudna.

Życie to wybór.

Nie musisz go wybierać.

Ale nikt tego nie rozumie.

Nikt, poza panem Theo DeWaltem.

Pan Theo DeWalt, który kocha dzieciaki, rozumie i pomaga ci zrozumieć. I kiedy nadchodzi odpowiedni czas, oferuje swoją akceptację.

To właśnie jeszcze raz mówi Theo DeWalt Kelli Wrightmann, teraz duchowi, w to słoneczne poniedziałkowe popołudnie.

Potem są z nimi inne duchy. Theo DeWalt był doradcą przez wiele lat i jego biuro byłoby mocno zatłoczone, gdyby nie to, że duchy są tak niematerialne.

Kelli Wrightmann mówi do pana Theo DeWalta:

– Dziękuję.

Pan DeWalt kochającym wzrokiem obejmuje wszystkich, którzy do niego przyszli.

– Nie ma za co – mówi.

(7) Tłum. Józef Paszkowski

Paweł Waśkiewicz (ur. 1990) - redaktor serwisu Horror Online, z literacką grozą związany od wczesnej młodości (konkretnie od opowiadania w klimatach *monster movies* napisanego około 7 roku życia). Student filologii angielskiej, a także laureat kilku konkursów literackich poświęconych horrorowi, fantastyce i bizarro. Publikował w antologiach *Dziedzictwo Manitou*, *Bizarro Bazar*, *Gorefikacje*, *Zombiefilia*. Zwolennik skondensowanej, pełnej napięcia prozy i wyznawca złotych reguł Alfreda Hitchcocka. Uwielbia westerny i gry wideo, nie umie grać na gitarze (ale za to lubi). W chwili obecnej poszukuje wydawcy dla swojej debiutanckiej powieści i pracuje nad kolejnymi opowiadaniem.

Paweł Ważkiewicz

18+

Wiosna dużych ryb

Facet pomachał i wyszczerzył brudne zęby w uśmiechu, odsłaniając przerwę między górnymi siekaczami. Dobrze, że nie było czuć jego oddechu. Potem poprawił czapkę, pomachał jeszcze raz – co za parcie na szkło! – i włożył rękę do wiadra z krwawą masą. Przynęta? Chlapnął tym paskudztwem do wody pod pomostem. Unosiły się już w niej kawałki mięsa, więc cokolwiek robił, trwało to dłuższy czas. Znowu sięgnął do wiadra. Zacerpnął krwi i odpadków. Rzucił do wody i pochylił się, żeby żartobliwie zamieszać palcem.

Rany boskie, skąd biorą się tacy idioci.

Z brunatnoczerwonej toni wynurzył się nieduży rekin z trójkątnym pyskiem. Facet wciąż uśmiechał się do kamery, nieświadomy, że właśnie stracił kawał dłoni. Dopiero po chwili obrócił się, popatrzył na dwa ocalałe palce – najmniejszy i serdeczny – i wrzasnął na widok tryskającej krwi. Zatoczył się na pomost. Kamera zaczęła się trząść, ktoś odłożył ją na deski. Rozległy się przekleństwa w nieznanym mi języku.

Wyłączyłem otwarty w WMP filmik, przeskoczyłem na widok komunikatora i napisałem wiadomość.

Ja

01:52

Co ja kurwa ogladam

Nie czekałem długo na odpowiedź, ale kiedy z głośników dobiegł sygnalizujący jej nadejście pisk, przez parę minut celowo przeglądałem śmieszne obrazki na różnych serwisach. Potem westchnąłem i sprawdziłem w końcu, co odpisał mój rozmówca.

Bartosz

01:54

niezły ten rekin :D
facet nawet nie zdążył wyjąć palca z wody he he
no przyznaj dobre było

Nie zamierzałem nic przyznawać. Ciekawiła mnie jedna rzecz, więc unikałem odpowiedzi, zadając pytanie.

Ja

02:02

Człowieku, jesteś chory
A tak w ogóle to skąd to wytrzasnąłeś?

Bartosz

02:02

w sieci znalazłem
nawet nie trzeba było daleko szukać. jakiś facet udostępniał
i się jarał to stwierdziłem, że sprawdzę
ciekawe skąd on to miał :P

Ja

02:04

Faktycznie dobre pytanie.
Ale no, to było mocniejsze
*mocniejsze
od tych ostatnich rzeczy

Bartosz

02:05

bo ty gówno widziałe jeszcze x)
najlepsze takie to ja mam na dysku

Ja

02:05

Gorsze? co, rozbierane zdjęcia twojej siostry?

Bartosz

02:06

kurwa moja siostra ma 12 lat

Ja

02:06

Na tym polegał dowcip.

Bartosz

02:07

jaki dowcip, jak będzie pełnoletnia to wyśle ci całą sesję
zdjęciową :D

Pokręciłem głową. Robiło się późno, nawet jak na moje zwyczaje, a przecież noce częściej spędzałem przy grach wideo niż z głową na poduszce. Lepiej nie zachęcać Bartosza do dalszej rozmowy, bo znowu się rozkręci. Ostatnimi czasy robił się nie do zniesienia.

Gadanie o trupach to jego ulubione zajęcie. Doskonale pamiętam, jak poznaliśmy się na imprezie integracyjnej na pierwszym roku studiów. Przez dwie godziny zamulał o black metalu, wlewając w siebie drinka za drinkiem i nie chcąc odstąpić mnie na krok. Potem płynnie przeszedł do tego, jak jego młodsza siostra włożyła rękę pod kosiarkę i straciła wszystkie palce. Na koniec opowiedział mi o traumie związanej ze śmiercią ojca. Sekundę później pobiegł do toalety. Nie miałem siły spełznąć ze stopnia schodów, na którym siedziałem, więc musiałem wysłuchiwać odgłosów rzygania.

Tak, to właśnie Bartosz Oliński. Typ, który od początku naszej znajomości akceptował tylko rozmowy o ekstremalnych horrorach, ciężkiej muzyce i śmierci. Czasem prosił o notatki z wykładu albo o inne drobiazgi, ale robił to mimochodem i od niechcenia.

Bartosz

02:21

spisz
?

Ja

02:21

Nie, masturbuje się do tego rekina.
Strasznie mnie nakrecił, człowieku

Bartosz

02:22

ha to jest nas dwóch

Miałem nadzieję, że żartuje. Problem z Bartoszem był taki, że rzadko zdradzał przejawy poczucia humoru. Trudno było wyczuć, kiedy ironizuje, a kiedy mówi serio. A ponieważ był zdrowo pieprznięty, wątpliwości tylko narastały.

Postanowiłem się pożegnać i iść spać.

Bartosz

02:24

dobra

to do usłyszenia

Oczywiście nie przeszkodziło mu to w dalszym pisaniu. Przysłał mi parę linków i coś tam skrobał bez przerwy. Nie położyłem się spać, tylko włączyłem status "niewidoczny" i bez odpowiadania czytałem jego wiadomości.

Najpierw pokierował mnie na kilka nowych stron, które niedawno odkrył. To jeszcze echa niedawnej rozmowy na temat słabości współczesnego społeczeństwa, która skończyła się na gorączkowym wymienianiu się fotami z wypadków samochodowych i zdjęciami rozmaitych okaleczeń.

Przez bodaj dwa wieczory pożeraliśmy programy szkoleniowe o udzielaniu pierwszej pomocy, ale kilka ujęć złamanych kości i przerwanych tętnic nie zakończyło naszej rywalizacji. Chcieliśmy udowodnić sobie, że mamy mocne nerwy i odporne żołądki. Oglądaliśmy nagrania z egzekucji, bójek ulicznych oraz wypadków na budowie. Bójki i wypadki niestety rzadko kończyły się śmiercią, a egzekucje filmowano niestarannie, więc nie zaspokoili naszej żądzdy poznania. A na pewno nie usatysfakcjonowały Bartosza.

Potem było mi głupio. Udawaliśmy, że próbujemy wyciągnąć jakieś wnioski, ale tak naprawdę gapiliśmy się tylko jak sępy.

Jeszcze raz zajrzałem do naszej rozmowy i zobaczyłem całą serię wiadomości.

Bartosz

02:51

duzo tego stuffu

masz jeszcze to: <http://sellyourmind.co.uk/ff74g>

w skrocie, seria ujec na rozkladajace sie genitalia

faceci pewnie zyli, ale choroby weneryczne to tez ciekawa sprawa

jak bys sie czul, gdyby na twojej fujarze wyroslo cos takiego? a jakby ci ktoregos dnia odpadla?

ostrzy szit. 18+

seks i smierc

ciekawe, co moze sie stac takiemu typowi, co rucha trupy niewazne

w kazdym razie kiedy to ogladasz, to czujesz, ze cos sie dzieje. zaczynasz dostrzegac sens w tym wszystkim. powrót do natury, takie tam. albo i cos wiecej, ja tak mam chcialbym dorwac film snuff

taki porzadny, na ktorym widac jak goscie umieraja widac ich twarze

wtedy bysmy sie dowiedzieli wszystkiego

nie sadzisz? te zdjecia nie oddaja rozmiarow tego, czego szukam. tam sa tylko jakies urywki, a my polujemy na smierc. i dorwiemy suke

dorwac smierc, kurwa

taki utwor zaraz napisze, a co

Bartosz pisał teksty black metalowe. Trzeba mu przyznać, że nie był zły w tej materii – chociaż nie grał na żadnym instrumencie i śpiewał gorzej od zarzynanego prosięcia, to zwrócił na siebie uwagę w branży. Dwa pomniejszych zespoły grały muzykę do jego słów. Nazywali się Dusza Bestii i Plaga Pomiotu. Albo Pomiot Bestii i Plaga Dusz, kto ich tam wie.

Bartosz był do mnie przerażająco podobny. Bezrobotny student, spędzający czas zamknięty w domu z dysfunkcyjną rodziną, używający Internetu jako wypełniacza pustego życia wewnętrznego i totalnego braku życia społecznego. Zamiast porównywać odporność swoich żołądków na krwawe zdjęcia, moglibyśmy ścigać się na osiągnięcia w dążeniu do Ostatecznego Marazmu. Nieważne, na jaki aspekt naszych osobowości spojrzycie, ten gość zawsze był bardziej stukniętą wersją mnie.

Na dowód tego, że nie ma już dla mnie nadziei, włączyłem stronę z pornosami i zacząłem przebierać wśród takich dzieł, jak "Blondyna idzie do doktora", "Ruchanko na basenie" oraz jakże oryginalne "Kajko i Kutas". Jeśli ten świat rzeczywiście zdechnie pod butem nuklearnej zagłady i – zgodnie z przepowiednią Einsteina – skończymy, okładając się maczugami w jaskiniach, to będzie to wina śmiesznych kotów, ogólnodostępnych zdjęć z wypadków samochodowych i afabularnych pornoli.

Zacząłem oglądać pierwszy filmik z brzegu, dokładając tym samym trybik do maszyny zniszczenia.

Z tym Bartoszem to było tak...

Najpierw zasypywał mnie krwawym spamem. Kilka zdjęć dziennie, czasami nawet całe strony internetowe pełne treści nekrofilskich. Nie wiem, jak on to znajdował, i wolałem nie wiedzieć. Potem podesłał mi filmik. Nazwane toto było "animalsnuff". W WMP otworzyć się nie dało, więc zmieniłem dwa razy program, zanim wreszcie znalazły się odpowiednie kodeki.

W końcu moim oczom ukazał się dwuminutowy filmik, na którym ktoś ciężko dyszał, zarzynając psa. Zwierzak miał kaganiec

i związane łapy, ale jego piski nawet mnie wydawały się przejmujące. Wyłączyłem nagranie na kilka sekund przed końcem, jakby doczekanie momentu, w którym zwierzę wreszcie wyzionie ducha, stanowiło niewybaczalny grzech.

Napisałem do Bartosza.

Ja

21:44

Typu, życie byś se znalazł.

A nie tylko takie gówno oglądasz

Jak cie namierzy FBI za ściąganie tego syfu, to doniose na ciebie i jeszcze powiem, że jesteś kompletnie posrany :P

Bartosz

21:45

a dziękuje, dziękuje :D

a FBI ma gdzieś takich jak ja

oglądanie nikomu nie szkodzi. chyba żeby pomysleli, że to ja zrobiłem te filmy, he he. a tak to może wszystko

Ja

21:47

Spać byś się położył, już dawno po dobranocce. A nie tylko ciągle spamujesz

Bartosz

21:50

cos nie pasuje?

to mnie nie słuchaj! ;)

tymczasem pozwol, ze napisze do jednego goscia. podobno ma film snuff, ale wysyla go tylko jak napiszesz na privie post ma pol roku, ciekawe czy odpisze

Ja

21:52

Pewnie nie.
Poza tym pewnie kaze ci zapłacić.

Bartosz

21:53

no i swietnie, bo ja po wyplacie hehe
Nie przeszkadza mi
byle to byl dobry towar, a nie oszustwo zwykle

Nie chciałem wchodzić w dyskusję, ale czytałem już gdzieś, że filmy snuff w gruncie rzeczy stanowią zwykłą pogłoskę, internetowy mit, nic więcej. Nikt nie produkuje takich makabresek specjalnie, bo rozpowszechnianie ich jest ryzykowne, a popyt minimalny. Jeśli już czyjaś śmierć faktycznie zostanie zarejestrowana na taśmie, to prawdopodobnie tylko dlatego, że jakiś idiota zdecydował się zamordować ofiarę w niewłaściwym miejscu. Podejrzewam, że 99 procent filmów snuff to nagrania z kamerek przy bankomatach, które pokazują, jak ktoś zarzyna niewinnego człowieka dla paru świeżo wypłaconych setek.

Dla przeciętnego zjadacza chleba szok, a dla Bartosza nudy. Z drugiej strony być może doczekałby się wtedy wreszcie swojego wymarzonego spojrzenia w oczy umierającej ofierze.

Czasami gadał jak seryjny morderca, przysięgam.

Lato Eweliny

Minęło trochę czasu. Bartosz raz na jakiś czas podzuchał filmiki z zabijanymi zwierzętami, ale to wszystko. Nagrania w większości były do siebie łądząco podobne. Mógłbym przysiąc, że robiła je ta sama osoba.

Niepokoila mnie ta myśl. Z jednej strony Bartosz przyznawał, że też odnosi takie wrażenie, z drugiej twierdził, że nie ma żadnego stałego źródła, u którego się zaopatruje.

Nie wierzyłem mu, ale nie miało to większego znaczenia.

Bartosz żył w swoim świecie, a ja coraz bardziej się od niego oddalałem. Wraz ze zmianą pory roku nadeszły też pewne rewelacje w moim życiu prywatnym. Nie, żeby od razu wyrócił wszystko do góry nogami, ale niewątpliwie dużo się zmieniło.

Po pierwsze trafiła mi się dziewczyna – i to nie na imprezie, więc jakimś cudem zapamiętałem jej twarz. Była dość ładna, a jak na moje standardy wręcz zjawiskowa. Cycki niczego sobie. O dziwo, dało się też z nią rozmawiać.

Miała na imię Ewelina. Wytatuowana, z kolczykiem w nosie i cerą tak bladą, że prawie przezroczystą. Grała w gry wideo, na imprezach nie tańczyła, tylko chłała do nieprzytomności, a każdą randkę najchętniej kończyłaby w łóżku. No i umiała działać cuda językiem.

Czemu o tym piszę, poza oczywistym faktem, że uwielbiam wypruwać sobie flaki przed obcymi ludźmi?

Cóż, Ewelina nieźle namieszała. Miałem kilka powodów więcej, żeby opuszczać swój pokój i znosić kłótnie z rodzicami. Trochę mniej siedziałem przed monitorem. A kiedy już do niego podchodziłem, to raczej nie po to, by oglądać zdjęcia z wypadków i pornosy. Zazwyczaj chciałem po prostu porozmawiać z Eweliną. Sprawdzić, czy wszystko gra i czy dalej jest mną zainteresowana.

Utrzymywanie tej relacji sporo zmieniło. Staralem się. Żyłem wreszcie dla siebie. Nie dla niej, tylko dla siebie. Miałem powód.

Bartosz znosił to kiepsko.

Na studiach gadaliśmy jak zawsze. Wciąż pokazywał mi klipy zespołów metalowych, gdy siedzieliśmy w tylnym rzędzie na wykładach. Wciąż snuł swoje rozważania nad życiem i śmiercią.

Ale po powrocie do domu coraz częściej się na mnie wkurzał. Odpisywałem mu rzadko i często od niechcienia. Nic nie mogłem na to poradzić. Możecie mówić, że olewałem jedynego kumpla, ale niestety – para cycków przedstawia w moim świecie większą wartość niż prowadzenie pseudofilozoficznych rozważań nad naturą śmierci.

Odnosiłem wrażenie, że obsesja Bartka się pogłębia. Coraz częściej mówił o tej swojej okaleczonej siostrzyczce – której, notabene, nigdy nie widziałem na oczy – i martwym tatusiu. Odnosiłem wrażenie, że powinienem go wysłać prosto do psychiatry.

Podrzucał mi coraz więcej filmików ze zwierzętami. Wrażenie, że robi je ta sama osoba, tylko się nasilało. Kiedyś nie wytrzymałem i zadałem mu pytanie, które od dawna miałem ochotę z siebie wydusić.

Ja

00:14

Stary, ale to nie ty robisz te filmy, prawda?

Bartosz

00:14

...

Ja

00:14

Śmieję się, śmieję.

Wszyscy wiemy, że jesteś pojebany.

A tak serio – powiedz, że to nie ty.

Bartosz

00:15

to nie ja

Ja

00:15

Nie starasz się być przekonujący.

Bartosz

00:16

a co mam zrobić, przysięgać na boga i ojczyznę? gdybym robił te filmy, to i tak bym ci nie powiedział

Ja

00:16

Martwi mnie to

Bartosz

00:16

i zamierzasz coś z tym zrobić?

Ja

00:16

Nie bardzo mam pomysł, co

Bartosz

00:17

ja ci podpowiem
pierdol sie
jeszcze nie zwariowalem, okej?
moze faktycznie troche za duzo rozmawiam i mysle
o smierci. w porzadku, rozumiem twoje watpliwosci. ale nie
podoba mi sie, o co mnie podejrzewasz

Ja

00:18

Mnie tez się nie podoba

Bartosz

00:18

no i twoj kurwa problem
ja ci tylko mowie, ze to nieprawda
jesli chcesz, to moge przestac ci je wysylac

Ja

00:19

Stary, nie chcę cie urazic, ale tak chyba będzie najlepiej.
Serio
Wiesz, lubię cię, ale te filmiki mnie trochę przerażają
Jesteś pewien, że nie ściągasz ich wszystkich od tego
samego typu? Boje sie, że za takie cos można naprawdę
trafić do pierdla.

Bartosz

00:21

moze mozna

ale nie ja nagrywałem, to i nie mnie posadza
tylko tego gościa

Ja

00:22

Czyli jest jakiś gość
?

Bartosz

00:24

nie ciągnij mnie za słówka
nie ma żadnego gościa
a co byś zrobił gdyby był?
to tylko jakiś losowy frajer z internetu
zaczyna zwierzyne i ma z tego frajdy, pojebany skurwysyn
jego problem
zwłaszcza jak go w końcu złapia

Ja

00:24

Ty też

Bartosz

00:25

co ja też

Ja

00:25

Ty też masz z tego frajdy

Bartosz

00:26

nie mam
widze ze nic nie zrozumiales
wiesz co
bywaj

Po tych słowach Bartosz długo się do mnie nie odzywał. Podejrzewam, że był wściekły. Miałem nadzieję, że przy okazji zastanowił się trochę nad sobą.

Równocześnie zachodziłem w głowę, od kiedy czuję się od kogokolwiek lepszy. Jeszcze niedawno uważałem, że ja i on jesteśmy nierozzerwalni. Jak orzeł i reszka. Inni, a jednak stanowiący część tej samej monety.

A jednak udało nam się rozdzielić. Zupełnie straciłem zdolność rozmawiania z nim jak z kumplem.

Przez kilka dni omijał mnie na korytarzu uniwerku. Martwiłem się. Powiedziałem o tym Ewelinie, a ona kazała mi do niego zagadać. W końcu posłuchałem. I chyba dobrze, że się przemogłem, bo znowu przez jakiś czas było jak dawniej.

Bartosz rzadziej mówił o śmierci. Nie wysyłał żadnych krwawych zdjęć ani filmów. Pisał trochę więcej tekstów, ale nie uznałem tego wtedy za formę wyrażania własnego bólu. Pisanie black metalu było w świecie tego koleśka najnormalniejszą rzeczą pod słońcem.

Miesiąc wystarczył, żebym przestał się martwić.

Jesień gada

Kolejny miesiąc wystarczył, żebym zaczął się martwić z powrotem.

Zaczął się od tego, że Bartosz znowu się na mnie wściekł. Wszystko przez film snuff. Nie wiem, skąd to gównu wygrzebał, ale solidnie przeorało mi beret. Cztery minuty czystego cierpienia.

Najpierw laska z różowymi włosami leży na stole, całkiem naga, a potem wchodzi koleś z kosą i rżnie ją na kawałki. Straszny widok. Uwierzcie, nie chcielibyście tego oglądać. Jakby tego było mało, facet ma na twarzy maskę świni.

Nie żartuję.

Poczęstowany takim ładunkiem makabry ochrzaniłem Bartosza z góry na dół. Wypłakałem się Ewelinie w rękaw, a ona mnie poparła. Tak, zły kolega, niegrzeczny. Postąpiłeś słusznie, może teraz odnajdzie swoją drogę w ciemności. Może jesteś jego światełkiem. Tak, ciebie jednego słucha.

Niestety, Bartosz nie przejmował się nikim i niczym.

Lub jeszcze gorzej, słuchał – ale nie mnie, tylko zdegenerowanego drania z forów internetowych, lubującego się w zabijaniu zwierząt.

Kumpel nie odzywał się do mnie przez tydzień. Myślałem już, że to koniec między nami. Że nigdy więcej nie otworzymy do siebie gąb. Właściwie to zdążyłem się z tym niemal pogodzić.

A potem Bartosz zaczął sypać filmami jak z rękawa. Nie odzywał się ani słowem, tylko spamował moją skrzynkę mailową. Wkurzył mnie niemożliwie, przynajmniej z początku. Byłem pewien, że chce mnie rozeźlić.

Przysłał mi mnóstwo potworności. Nie będę się rozpisywał. Starczy powiedzieć, że żadnego z tych nagrań nie obejrzałem do końca. Wiecie, to w sumie nie był snuff. Większość wyglądała albo na kolejne warianty znęcania się nad zwierzętami z dyszącym zbokiem za kamerą, albo na hardcorowe pornosy z biczowaniem do krwi i cięciem skóry. Nie oglądałem do końca, ale czasem sprawdzałem ostatnią minutę – żeby się dowiedzieć, czy panienka przeżyła.

Zawsze przeżywała.

Potem jednak zacząłem zauważać, że dziewczyny na filmach się powtarzają. Możliwe, że nigdy bym się nie zorientował, gdyby nie ta z różowymi włosami. Powróciła w kolejnej przebojowej roli – tym razem jako worek treningowy, który zarabia serię ciosów pałką w brzuch i paskudzi podłogę wymiocinami.

Makabra, mówię wam.

Nie udało mi się odnaleźć tego snuffu, w którym umarła, ale jestem pewien, że to ta sama laska. Drugie nagranie, które dostałem, musiało zostać nakręcone przed jej śmiercią, a zatem najwyraźniej jej morderstwo nie było jednorazowym ekscesem. Ktokolwiek kręcił te chore filmy, trzymał ją w piwnicy – albo na strychu – przez dłuższy czas.

Upewniłem się. Przejrzałem wszystkie ohydztwa, których nie skasowałem ze skrzynki mailowej, po czym nabrałem przekonania, że nie tylko ta z różowymi włosami wystąpiła w więcej niż jednej produkcji. A skoro ona jednego z owych filmów nie przeżyła, to jaka była gwarancja, że pozostałe miały więcej szczęścia...?

Nie wszystkie nagrania pokazywały napastnika. Większość z nich zrobiona była tak, żeby widz mógł dostrzec tylko narzędzie tortur, ewentualnie dłoń w rękawiczce czy odziane w skórzaną kurtkę ramię. Jednak na późniejszych nagraniach zaczął się pojawiać ten sam facet.

Przynajmniej ja uważałem, że to ten sam. Trudno stwierdzić, bo nosił zwierzęce maski.

Maskę świni.

Maskę koguta.

Maskę byka.

To chyba wtedy się przestraszyłem. Wkrótce dostałem plik z wieloma nagraniami, a na nich wciąż pojawiał się ten przerażający typ. Za każdym razem, gdy na to patrzyłem, ciarki chodziły mi po plecach.

Moje jelita nie wytrzymały napięcia i dorobiłem się ciągu naprzemiennych zaparć i sracek. Ucierpiała na tym regularność

mojego życia seksualnego, więc Ewelina w końcu zaczęła pytać, co się dzieje. Prawdę mówiąc, to zaniepokoiła się już po pierwszej odmowie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc wyznałem prawdę.

– Poważnie? – odezwała się ze zgrozą w oczach. – Zwariowałeś, dopiero teraz mi o tym wszystkim...?

– Co miałem zrobić? Lubię tego gościa. Jest szurnięty, ale to niemożliwe, żeby...

– Musisz iść z tym na policję.

– I go pogrążyć?

– Pogrążyć? Przejrzyj na oczy. On sam się pogrążył. To już nie jest twój kumpel. Cokolwiek się z nim stało, nie możesz tego cofnąć. Nie możesz go egzorcyzmować. Umierają ludzie, do cholery!

– Tak, ale to tylko filmy z Internetu... Ja...

– Skąd wiesz?

– Ha...?

– Skąd wiesz, że to tylko filmy z Internetu?

Zamilkłem. Oczywiście, miała rację. Nie wiedziałem. Zresztą od samego początku bałem się o tym myśleć i próbowałem się oszukiwać. Nie było trudno – nigdy nie jest, jeśli człowiek ma dobrą motywację.

Ale teraz dotarło do mnie, że nie powinienem od tego uciekać. Może Bartosz wszystkiemu zaprzeczył, ale co to tak naprawdę oznaczało?

– Porozmawiam z nim – powiedziałem.

– Z tym wariatem? Przecież nie odpisuje ci na wiadomości. Jak chcesz z nim porozmawiać?

Popatrzyłem na Ewelinę i dotarło do mnie, że nie mogę jej powiedzieć ani słowa o tym, co zamierzam zrobić. Nigdy by mi na to nie pozwoliła. I może miałaby rację, ale byłem zbyt głupi, żeby postarać się spojrzeć na to wszystko z jej perspektywy.

– Napiszę do niego ostatni raz – oznajmiłem. – Dziś wieczorem. Jeżeli nic nie odpowie, wezwę policję.

– Będziesz miał kłopot, żeby wytłumaczyć się z tych wszystkich chorych filmów na twoim mailu.

Powiedziała tak, a nie miała nawet pojęcia, ile dokładnie ich było. Na samą myśl o tym, co pomyślą sobie gliny na widok tego składowiska makabry, przeszedł mnie zimny dreszcz. Ale to nie był czas na wątpliwości. Musiałem działać.

Zostawiłem Ewelinę w jej domu, po czym poszedłem na skos przez park, zupełnie jakbym kierował się z powrotem do siebie. Ale mimo że oficjalnie miałem udać się do własnego pokoju i napisać ostatnią wiadomość, po wyjściu na ulicę skręciłem w prawo i skierowałem się na przystanek autobusowy. Pojechałem do domu Bartosza Olińskiego.

Nie wiem, co się wtedy działo w mojej głowie. Chyba po prostu zwariowałem. Straciłem kontrolę.

Waliłem do drzwi przez pół godziny, ale nikt nie otwierał. Ani Bartosz, ani jego matka-alkoholiczka, ani legendarna siostra bez palców u jednej dłoni. Cały dom był ciemny i na pierwszy rzut oka wyglądał na kompletnie opustoszały.

Wróciłem na przystanek. Kiedy znalazłem się już w swoim pokoju i włączyłem komputer, czekała na mnie wiadomość od Eweliny.

Ewelina

19:37

I co, odpisał?

Ja

20:50

Nie.

Ewelina

20:51
Czemu tak długo się nie odzywałeś?

Ja

20:52
Zwiesił mi się komp

Ewelina

20:52
Komórka też ci się zwiesiła?

Ja

20:54
Okej, nie męcz już
Pojechałem do niego
w porządku?

Ewelina

20:54
Co w porządku!!!
CO W PORZĄDKU, IDIOTO.
Nic nie jest w porządku, mógł cię zabić. Mogłeś umrzeć.
Nie dotarło jeszcze do ciebie?
Nie znasz go.
Ten typ może być seryjnym mordercą.

Nie mogłem się nie zgodzić. Zbierało mi się na płacz i czułem, że nikt nie wytrze mi łez. Nawet Ewelina. Czułem się winny

i jednocześnie coraz lepiej zdawałem sobie sprawę, jak bardzo to wszystko spieprzyłem.

Zignorowałem wszystkie oznaki. Wszystkie, co do jednej.

– Bartosz, przepraszam – powiedziałem do pustego pokoju. – Chłopie, przepraszam.

Popatrzyłem na ekran i wystukałem tylko cztery słowa, prawie tak nieskładne i niestaranne, jakby pisał to Bartosz.

Ja

21:01

dzwoine po gliny
czkeaj

Trzęsły mi się palce, kiedy wybierałem numer. Potem drżałem na całym ciele, kiedy niezdarnie usiłowałem wytłumaczyć osobie po drugiej stronie słuchawki, co właściwie się stało. Chyba nic do niej nie dotarło, ale zgodziła się wysłać radiowóz.

Odłożyłem komórkę na stół i popatrzyłem na ekran. Była na nim wiadomość od Eweliny.

Ewelina

21:03

Jesteś pieprznięty.
Dzwonić dopiero teraz...
Nie wiem, czy mamy jakąś szansę.

Najpierw myślałem, że mówi o Bartoszu. Szansę go złapać? Szansę przywrócić mu rozum? Dopiero po chwili zrozumiałem, że

miała na myśli nas. Mnie i siebie. I to wtedy coś we mnie pękło. Rozpłakałem się przed komputerem.

Napisałem do Bartosza wiadomość. Brzmiała:

Ja

21:10

Sorry, stary. Nie chciałem, ale nie dałeś mi wyboru.

Za oknem wyły już syreny nadjeżdżającej suki, kiedy postanowiłem ostatni raz sprawdzić maila.

Teraz dowiecie się, dlaczego powitałem wjeżdżający na podjazd radiowóz, wybiegając przez drzwi frontowe z rozpaczliwym wrzaskiem, przewracając się na śliskim od deszczu bruku i podczas upadku wybijając sobie ząb. Czemu tarzałem się po ziemi jak opętany dzieciak ze starego horroru, zamiast po prostu powiedzieć, co się stało.

Ostatnia wiadomość mailowa z adresu Bartosza zawierała takie nagranie:

Bartosz Oliński siedzi na kanapie. Jest związany jak baleron, w ustach ma jakąś szmatę. Obok siedzą jego matka, rozczochrane babsko o nalanej, czerwonej od alkoholu twarzy oraz jego siostra. Obie są dokładnie związane i zakneblowane. Nie widzę nawet, czy dziewczynka rzeczywiście nie ma palców u ręki.

Widzę za to, że ktoś obchodzi kamerę z boku. Poprawia wizję. Potem kręci się gdzieś na krawędzi widoczności, by dopiero po chwili wyjść przed obiektyw.

Ma na sobie maskę węża. A może jaszczurki. W każdym razie jakiegoś gada. W dłoni trzyma zwykły nóż kuchenny.

Nożem tym podrzyna gardła całej trójce. Robi to szybko, prawie bezboleśnie. Zwleka tylko z Bartoszem, którego zostawia na koniec. Jeśli wytrzymacie aż do tego momentu, zobaczycie, że twarz mojego

kumpla rozciąga się w grymasie najwyższego przerażenia. Właściwie nie przypomina już ludzkiego oblicza – staje się zwierzęcą maską, taką samą jak te noszone przez oprawcę.

Bartek umarł tak samo jak pozostali. A mimo to kiedy patrzyłem w jego oczy, oglądając to za pierwszym razem, miałem wrażenie, że coś dojrzałem. Być może to, o czym mi wielokrotnie pisał. Może zrozumiałem prawdziwą naturę śmierci – i właśnie to odkrycie sprawiło, że parę chwil później czołgałem się po podjeździe z wybitym zębem i krwią na podbródku.

Sparzyłem się na czymś o wiele potężniejszym, niż mój umysł był w stanie przyswoić. Wydawało mi się, że jestem gotowy, że mam odporny żołądek i nerwy ze stali.

Błąd.

A tamten facet? Ten pojeb lubujący się w zwierzęcych maskach i zabijaniu? Przepadł. Zaraz po odebraniu ostatniej wiadomości (Sorry, stary. Nie chciałem, ale nie dałeś mi wyboru.) skasował wszystkie dane z maila Bartosza, wyrwał dysk z komputera i zabrał ze sobą. Nie pozostawił żadnych wyraźnych tropów.

Przez kilka ostatnich dni to on, a nie mój kumpel, wysyłał na moją skrzynkę mailową makabryczne filmy. Spędził w domu Olińskich prawie cały tydzień. Zabił ich dopiero piątego dnia.

Nie chcę wiedzieć, jakie jeszcze nagrania zdążył zrobić w tym czasie. Ile różnych poniżeń i okrucieństw przeniknie do sieci, do kolejnych wariatów takich jak Bartosz. Na samą myśl o tym zbiera mi się na mdłości.

Jest w tym jednocześnie jakaś sprawiedliwość. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej dostrzegam delikatny rys mrocznego architekta, który doprowadził do tego wszystkiego tylko po to, by zachowana została równowaga.

Policja wciąż nie wie, skąd Bartosz ściągał filmy. Wszystkie zachowały się tylko na mojej skrzynce. Bez dostępu do skasowanej zawartości maila i do dysku twardego mojego martwego kolegi, gliniarze nie są w stanie stwierdzić, z kim się kontaktował. Podążają

nieświeżym tropem przez fora internetowe dla nekrofilów, strony z brutalnymi zdjęciami i inne upiorne miejsca. Nic nie znajdują.

Kiedy o tym myślę, znowu chce mi się płakać. Już nie po utracie Eweliny ani z powodu śmierci Bartosza. Tylko ze strachu.

Michał Gacek (ur. 1982) – doktor psychologii, specjalizujący się w psychologii klinicznej. Autor powieści *Endemia*, zbioru opowiadań *Kronika koszmarów* oraz tekstów naukowych. W opowiadanych przez niego historiach bohaterowie często ocierają się o szaleństwo, kwestionując realność świata, który ich otacza. W podobnej sytuacji znajduje się bohater opowiadania *Przejścia* zamieszczonego w tej antologii.

Michał Gacek

Przejścia

Chłopak chwiejnym krokiem wyszedł z Sukiennic na płytę rynku. Oślonił oczy dłonią, gdy jeden z gołębi, które odlatywały spod pomnika Mickiewicza, prawie zderzył się z jego twarzą. Stary kramarz stojący kilka metrów dalej uśmiechnął się i głośno dmuchnął w gliniany gwizdek, wydobywając z niego stłumiony dźwięk. Jakby w odpowiedzi na umówiony sygnał, z wieży Kościoła Mariackiego rozległ się hejnał. Grupa azjatyckich turystów wycelowała aparaty w kierunku niewidocznego trębacza. Nieco dalej, u wylotu Siennej młoda dziewczyna wykrzykiwała przekleństwa do telefonu komórkowego. Obok niej zgrzebnie ubrana kobieta wioząca w wózku niepełnosprawne dziecko zaczepiała przechodniów, wyciągając prosząco dłoń.

W ludzkiej ciżbie kłębiącej się wokół trudno było zebrać myśli. Chłopak wcisnął się pod wystawowe okno. Przyglądał się zjawie ledwo widocznej na tle modnie wystrojonych manekinów. Znajome odbicie prezentowało się żałośnie w znoszonej bluzie i spodniach od dresu, w których zwykle chodził po mieszkaniu. Jeśli jeszcze dodać do tego niezdrowo bladą cerę i podkrążone oczy, całość układała się w obraz uciekiniera z oddziału psychiatrycznego.

Nie wiedział, jak znalazł się na rynku, i nie miał pojęcia, czym zajmował się wcześniej tego dnia. Rozejrzał się z obawą, ale przechodnie ignorowali go, zajęci swoimi sprawami. Ruszył w kierunku Kazimierza, z opuszczoną głową, blisko ścian

budynków. W drodze sprawdził kieszenie. Nie miał przy sobie nawet kluczy od mieszkania, nie wspominając o komórce czy dokumentach.

Tylko jedna osoba mogła w tym momencie pomóc mu wypełnić lukę w pamięci. Skręcił w stronę zapuszczonej kamienicy, której odrapany z tynku bok zdobiły dwa billboardy. Na słupie w pobliżu drzwi przyklejona była kartka z niewyraźną podobizną zaginionego mężczyzny. Z lakonicznego opisu wynikało, że poszukiwany po raz ostatni widziany był na Podgórzu późnym wieczorem.

Zepsuty domofon buczał jednostajnie, jakby pod metalowym przykryciem znajdowała się elektroniczna pszczoła. Chłopak wszedł po skrzypiących schodach na najwyższe piętro. Z drzwi zniknęła wywieszka z nazwiskiem. Kilka razy wdusił przycisk dzwonka. Nasłuchiwał, ale z wnętrza nie dobiegał żaden dźwięk. Zapukał głośno, a po chwili znowu, jeszcze mocniej. Na hałas odpowiedział sąsiad z mieszkania po drugiej stronie, który wyszedł za próg i bez zażenowania przyglądał się intruzowi parą kaprawych ślepi. Sprany podkoszulek ledwo przykrywał napęczniały brzuch. Kiedy chłopak zbiegał z powrotem do wyjścia, był pewien, że mężczyzna śledzi go wzrokiem, wychylony przez poręcz na klatce schodowej.

Niedługo potem on sam oparty o barierkę patrzył na przypominającą ściek wodę w Wiśle. Poszarzały łabędź wpłynął w cień rzucany przez most, by zaraz potem zniknąć między filarami, jakby nigdy nie istniał. Na rogu sklepu monopolowego kawałek dalej ktoś wywiesił kolejne ogłoszenie. Tym razem poszukiwany mężczyzna był turystą z Finlandii. Większą część kartki zajmowało czarno-białe zdjęcie, poniżej umieszczono rysopis i numer telefonu. Żadnych szczegółów dotyczących ostatniego miejsca pobytu albo okoliczności zaginięcia.

Przesunął stopą stertę kserówek zalegających na podłodze w pobliżu biurka. Nic nie wskazywało na to, by w czasie jego nieobecności ktokolwiek skorzystał z faktu, że drzwi wejściowe były otwarte. Znalazł brelok z kluczami koło monitora, na podręczniku

w twardej oprawie. Niebieskie litery na białym tle straszyły hasłem „Psychologia emocji”, a dolną część okładki zdobiła plama po rozlanej kawie. Książka leżała w tym samym miejscu od dwóch tygodni, przypominając o zaprzepaszczonym terminie egzaminu.

Przeniósł patelnię z zaschłymi resztkami jedzenia z podłogi na szafkę pod ścianą. Sprawdził strony, które ostatnio przeglądał w sieci: portale informacyjne, teledyski, recenzje filmów. Mgliście pamiętał, że poprzedniego wieczoru siedział przy komputerze do momentu, gdy litery na ekranie straciły ostrość. Nie miał pojęcia, co wydarzyło się później.

Komórkę znalazł obok łóżka. Zamierzał wybrać numer Marty, ale kontakt dziewczyny zniknął z książki adresowej. Chłopak kilkakrotnie wybijał na klawiszach telefonu znajomy ciąg dziewięciu cyfr. Za każdym razem beznamiętny głos informował, że połączenie nie może zostać zrealizowane.

Tknięty złym przecuciem ponownie usiadł przy komputerze. Zawartość folderu ze zdjęciami była pusta. Rozrzucił kolumnę książek przy biurku, poszukując tej, którą zaczął czytać ostatnio. Jako zakładki zawsze używał starej fotografii przedstawiającego jego i Martę przed budynkiem liceum.

Spomiędzy stron wypadł kawałek czystej kartki.

Wypuścił dym nosem, a niedopałek skręta zdusił w popielniczce. Zesłej wiosny na wiadukcie koło dworca minął mężczyznę w białej koszuli, wpatzonego w niebo jak prorok szukający natchnienia przed wygłoszeniem kazania do przejeżdżających poniżej samochodów. Ktoś na przystanku autobusowym krzyknął. Odgłos uderzenia wkomponował się w pisk hamulców. Krwawy nimb wokół połamanego ciała był widoczny nawet po tym, jak kierowca przykrył ofiarę marynarką.

Opowiedział Marcie o samobójcy tego samego dnia, w łóżku, przy zgaszonym świetle. Kiedy skończył, dziewczyna wspomniała o oddziale psychiatrycznym na Kopernika, wystarczyło przejść jakieś

sto albo dwieście metrów. Powiedział wtedy, że boi się, że kiedyś sam zwariuje i skończy gorzej niż asfaltowa dekoracja.

Odpowiedziała, że aby zwariować, najpierw trzeba być choć trochę normalnym.

Do dzisiaj nie był pewien, czy żartowała wtedy, czy mówiła serio. Były dwa sny, które nie dawały mu spokoju. W pierwszym z nich stał nago przed lustrem. Smarował czerwoną farbą całe ciało, łącznie z ogoloną głową. Wychodził na ulicę bez konkretnego celu. Im dłużej szedł, tym bardziej tłum wokół gęstniał. Ludzie ocierali się o niego, drapali paznokciami skórę, zabierali przestrzeń. Mógł uciekać tylko w górę, wspinając się po ich ramionach, ale niebo przykrywały budynki nachylające się nad nim coraz bardziej, aż do momentu, w którym całkiem przysłoniły światło. Później w ciemności słyszał trzask kości i jęki zgniatających się nawzajem postaci.

W drugim śnie siedział w sali kinowej, wpatrzony w statyczne ujęcie wnętrza własnego pokoju. Kątem oka dostrzegał postacie wokół, pomlaskujące i chrupiące, bardziej jak goście w restauracji niż widzowie w czasie seansu. On sam także jadł coś, co początkowo wziął za prażoną kukurydzę. Kiedy spojrział w dół, okazało się, że na jego kolanach leżą zwłoki mężczyzny, którego nogi opadały z jednej strony, a głowa i ramiona z drugiej. Jama brzuszna trupa była rozplątana. W czerwonym wnętrzu wiły się tłuste larwy. Chciał wstać i biec do wyjścia, lecz ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Bał się, że jego czaszka jest otwarta i ktoś siedzący w rzędzie za nim wyjada z niej mózg, stopniowo niszcząc funkcje życiowe. Nie mógł sięgnąć dłonią na tyle wysoko, by sprawdzić.

Po wyjściu z domu ponownie skierował się w stronę rzeki. Zwrócił uwagę, że żaden samochód nie minął go, gdy przechodził przez most. Wieczorną ciszę zakłócił jedynie stary, rozklekotany tramwaj. Latarnia przy skrzyżowaniu zgasła nagle, jak znak ostrzegawczy, a cienie krzewów po drugiej stronie ulicy upodobniły się kształtem do stworów o wielu kończynach.

Wreszcie stanął przed drzwiami mieszkania Marty. Na przemian pukał i naciskał przycisk dzwonka. Hałas przyciągnął otyłego sąsiada szybciej niż ostatnio. Zapach taniego wina rozniósł się po klatce schodowej.

– Czego tak się tłucze, jak tam nikogo nie ma?

Chłopak wyjaśnił, że umówił się ze znajomą. Odwrócił głowę, dając do zrozumienia rozmówcy, że najchętniej zostałby sam.

– Mieszka tutaj?

– Wynajmuje. Od paru lat.

– To musiał pomylić adresy.

– Niemożliwe.

– Przecież bym chyba wiedział, jakby obok mnie ktoś mieszkał?

Retoryczne pytanie zawisło w alkoholowym oparze. Mężczyzna oparł się o poręcz, a następnie otworzył i zamknął usta. Przypominał dziwną, brzuchatą rybę wyciągniętą nagle z wody. Nawet gdyby zależało od tego jego życie, nie byłby w stanie dogonić oddalającego się szybkim krokiem chłopaka.

Uliczki na Kazimierzu wydawały się węższe niż zazwyczaj. Ludzie omijali szerokim łukiem postać opartą o metalowy szkielet straganu. Chłopakowi odpowiadał taki stan rzeczy. Palił papierosy i obserwował pustoszejącą powoli okolicę. Kiedy zrobiło się chłodno, spod samochodu zaparkowanego koło Alchemii wychynął czarny kot. Zwierzę minęło szpaler knajp, po czym zniknęło w ciemności.

Chłopak ruszył w przeciwną stronę. Nim dotarł do ulicy Bożego Ciała, z nieba lunął deszcz. Strumienie wody splukiwały brudne pozostałości dnia, wybijając na asfalcie i karoseriach samochodów szeleszczący rytm. Przyspieszył kroku i już po chwili znalazł się w suchym obszarze na placu Wolnica. Po prawej, między drzewami widział sylwetki smętnych muzykantów wygrywających nieme melodie z wysokości masywnego cokołu. Poniżej ustawiono rzędy drewnianych bud przygotowanych na jakiś targ lub festiwal. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że ściana wody rozdziela przestrzeń kilka

metrów za nim. Spojrzał w górę. Deszczowa chmura przysłaniała obszar nad Kazimierzem, podczas gdy na niebie nad okolicą Wisły i Podgórzem wyraźnie widać było gwiazdy.

W drodze do domu zwracał uwagę na kolejne punkty graniczne – kładkę między obszarami po obu stronach rzeki, drzwi do kamienicy oddzielające przestrzeń budynku od świata na zewnątrz, a zaraz potem drzwi do jego mieszkania. Rozwiesił na sznurze w łazience podkoszulek i spodnie. W świetle rzucanym przez lampę nad umywalką skóra postaci odbitej w lustrze wyglądała sztucznie. Wyobraził sobie, że gdyby ją z siebie zdjął tak jak ubranie, kości upadłyby na podłogę w przypadkowej konfiguracji, unurzane w krwawej zupie.

Minęły dwa lata od czasu, kiedy Marta w ostatniej chwili ściągnęła go z jezdni sprzed wyłaniającego się zza zakrętu samochodu. Stracił równowagę i oboje upadli na chodnik. Przez chwilę leżeli obok siebie, po czym wspólnie wrócili do bloku, w którym odbywała się impreza.

Muzykę słyhać było już na klatce schodowej. W przedpokoju przywitał ich widok opartej o kredens pary, która całowała się namiętnie, nic sobie nie robiąc z krążących w pobliżu osób. Z pomieszczenia obok dobiegał głośny śmiech. Marta wprowadziła go do łazienki, wepchnęła do wanny i odkręciła zimną wodę.

Kilka dni później przysłała do niego, żeby oddać portfel, który wypadł mu z kieszeni spodni. Wyjaśniła, że adres znalazła w dowodzie. Bez przekonania zaprosił ją do środka.

– Mieszkasz sam – bardziej stwierdziła niż zapytała. Przez chwilę wodziła wzrokiem po rozrzuconych wokół książkach, ubraniach i plastikowych butelkach. – Pracujesz?

– Ojczym płaci rachunki – odpowiedział, zirytowany jej dociekliwością. – Nie boisz się odwiedzać kogoś, o kim nic nie wiesz?

– Muszę się czymś zająć w wolnych chwilach – wzruszyła ramionami. – Pozwolić licealistom mieszkać samotnie, to jak

zostawić przedszkolaka w domu z paczką zapalek w jednej ręce i kanistrem z benzyną w drugiej.

W tamtym momencie nie wiedział jeszcze, że rzucona mimochodem uwaga odnosi się do nich obojga. Rozmawiali do późna, a około północy wyszli do parku. Po drodze kupili butelkę wina. Marta mówiła o kłamstwach, w które wierzą wszyscy dookoła.

– Mówi się, że ludzie są wolni i wyjątkowi – zaczęła – a tak naprawdę od początku jesteśmy wciśnięci w normy i schematy. Podporządkowani. Nie ma niczego poza mechanicznym ruchem elementów. Nawet jeśli wydaje się, że mamy jakiś twórczy potencjał, wszyscy rzemieślnicy, artyści i naukowcy poruszają się wyłącznie po wyznaczonych wcześniej ścieżkach. Indywidualność nie ma znaczenia. To, co jest możliwe, jest jednocześnie konieczne, a my tylko w przypadkowy sposób uczestniczymy w wydarzeniach, narcystycznie zapatrzeni w samych siebie.

– Skoro tak, to może nie trzeba było ściągać mnie wtedy z ulicy?

– Teraz już za późno, żeby żałować. – Uśmiechnęła się. – Poza tym dzięki temu możemy wspólnie sprawdzić, czy mam rację. Coś może przecież istnieć poza granicami, w których jesteśmy zamknięci. Nie wiemy tylko, jak do tego dotrzeć.

Wstał z łóżka koło południa, wciąż mając przed oczami wyłaniające się zza zakrętu światła samochodu. Jeśli Marta nie istniała, powinien nie żyć.

Sięgnął po komórkę. Po raz kolejny sprawdził książkę adresową, a następnie przejrzał zdjęcia zapisane w pamięci aparatu. Po chwili wahania wybrał numer matki. Zapytał, czy ta przypomina sobie dziewczynę, którą przyprowadził na obiad, kiedy ojczym wyjechał w podróż służbową.

– Bardzo bym chciała sobie przypomnieć. Tyle że od czasu podstawówki nie przedstawiłeś mi ani jednej swojej koleżanki. Jeśli miałbyś ochotę...

Rozłączył się. Matka próbowała oddzwonić, ale nie odbierał połączeń. Przed wyjściem z domu wziął zimny prysznic, jakby miał nadzieję, że w ten sposób uda mu się obudzić z trwającego już zbyt długo koszmaru. Ulicą Kalwaryjską dotarł do placu Niepodległości. Przystanął koło zaniedbanych rabatek, w których kępy pokrzyw wrastały w pasy żółto-pomarańczowych nagietków. Obok kwiatów zauważył kartkę z podobizną gimnazjalisty widzianego po raz ostatni w okolicach Podgórza kilka tygodni temu. Pod zdjęciem widniała prośba o pomoc w odnalezieniu zaginionego nastolatka i numer telefonu. Przypomniał sobie czytany niedawno artykuł, z którego wynikało, że każdego roku w Krakowie znika bez śladu około dwustu osób. W tekście nie podano, ile z nich udaje się odnaleźć.

U szczytu schodów prowadzących do parku Bednarskiego znajdowała się wywieszona na słupie tabliczka z regulaminem, której większą część ktoś zamalował różowym sprayem. Korzenie drzew porastających wzniesienie naprzeciwko wejścia wystawały spod ziemi jak napięte żyły na zmuszonym do nadmiernego wysiłku ciele. Przeszedł alejką w stronę rzędu kasztanowców sąsiadujących z otoczoną niskim ogrodzeniem piaskownicą. To na ławce obok po raz pierwszy pocałował Martę. Później weszli wyżej, chcąc ukryć się przed wzrokiem przechodniów. Miał ze sobą flamaster, którym napisał ich inicjały na kamieniu położonym u podstawy starego modrzewia. Marta w skupieniu dorysowała pod inicjałami penisa, po czym uśmiechnęła się szeroko, wyraźnie zadowolona z uzyskanego efektu.

Bez trudu odnalazł właściwe miejsce. Ślady inicjałów były zatarte, lecz wciąż jeszcze dobrze widoczne. Obsceniczny rysunek zniknął.

Przed rozpoczęciem sesji Marta przyniosła dwa znaczki z kwasem, na których nadrukowano symbol oka wpisanego w trójkąt.

– Bierzemy razem, czy jedno z nas zostaje, żeby pilnować? – zapytał.

– Razem. Na pewno to bardziej ryzykowne niż piguła czy kreska, ale chodzi o to... – zawahała się.

– O to, żeby jedno z nas nie zostało samo, kiedy drugie przekroczy granicę – dokończył.

– Właśnie tak – przytaknęła. – Jeśli będziemy zastanawiać się za długo, będziemy mieć tylko więcej wątpliwości.

Usiadł naprzeciwko niej. Nim położyli znaczki na językach, pocałowali się długo i mocno, jakby bali się, że mogą się więcej nie zobaczyć. W chwilę potem świat przed jego oczami zmienił się w jednowymiarową barwną plamę.

Odzyskał świadomość w kuchni. Przez uchylone rolety wpadały pierwsze promienie słońca. Ostrożnie wrócił do pokoju. Powiedział Marcie, że nie pamięta w ogóle tego, co działo się przez ostatnie dziesięć godzin. Dziewczyna siedziała na krześle z lekko rozchylonymi ustami. Powoli uniosła głowę. Skoncentrowanie wzroku na rozmówcy sprawiało jej wyraźną trudność.

– Po tym, jak wyszedłeś z pokoju, nie mogłam się poruszyć – powiedziała, po czym na dłuższą chwilę zastygła na krześle. Kiedy zaczęła mówić, składała zdania powoli, uważnie dobierając słowa. –

Zostałam sama, a rzeczy dookoła rozmywały się, jakby były zrobione z wosku albo plasteliny. Miałam wrażenie, że moje ręce wnikają we wszystko, czego próbuję dotknąć. Zamierzałam cię znaleźć, bo przyszło mi do głowy, że wreszcie będziemy mogli się naprawdę połączyć, ale drzwi i okna zniknęły. Widziałam tylko pęknięcie w ścianie, przez które przebijało światło. Pomyślałam, że musisz być po drugiej stronie, więc zdarłam tapetę i zaczęłam rozgrzebywać tynk, spod którego wyjmowałam cegły, połamane i kruche. Wreszcie udało mi się przebić na drugą stronę i poszerzyć otwór na tyle, by zajrzeć do środka. W tamtym momencie byłam pewna, że tam jesteś, więc przystawiłam oko do dziury w ścianie.

– I zobaczyłaś mnie w kuchni?

– Nie pamiętam. Ale wiem, że bardzo tego chciałam.

Po wyjściu z parku ruszył w górę ulicy, kierując się w stronę kopca Kraka. Punkt graniczny wyznaczała kładka dla pieszych przerzucona ponad ruchliwą drogą. Zatrzymał się, żeby obejrzeć zawieszony na drzewie ogłoszenie. Tym razem na kartce widniał tylko wypisany dużą czcionką nagłówek: „zaginiony” i czarno-białe zdjęcie jego ojca. Lub kogoś bardzo podobnego.

Ze złością zerwał kartkę z pnia. Musiał się pomylić i przypadkiem skojarzyć zaginięcie Marty ze sprawami z przeszłości. Kiedy był dzieckiem, ojciec często znikał bez śladu na kilka dni lub miesięcy. Zawsze wracał niespodziewanie. Wchodził do mieszkania i siadał w fotelu, jak gdyby nic się nie wydarzyło, a matka najpierw przytulała się do niego i płakała, a później krzyczała, że nie odpowiada szczerze na jej pytania.

Chłopak zawrócił w kierunku Rynku Podgórskiego. Zmiętą kartkę wyrzucił do kosza. Przypomniawszy sobie, jak dawno temu w czasie wakacji bawił się w sadzie dziadków, przy wejściu do którego rosły dwie jabłonie stykające się ze sobą gałęziami. Słońce padało na drogę w taki sposób, że zobaczył ojca dopiero, kiedy ten wszedł między drzewa. Było tak, jakby postać na drodze przekroczyła nagle granicę między znajomym i bezpiecznym terenem a jakimś obcym światem.

Kilka tygodni później ojciec zniknął na zawsze – zabłądził w nieznanym miejscu i nie odnalazł drogi powrotnej. Matka tłumaczyła, że zdecydował się ich opuścić bez pożegnania. On nie wierzył w jej wyjaśnienia.

Siedzieli na kanapie w mieszkaniu Marty. Zapach trawy przyjemnie drażnił nos. Dziewczyna roześmiała się, kiedy powiedział, że będzie studiował psychologię. Uznała, że potwierdził się stereotyp kierunku przyciągającego osoby z problemami.

– Podręcznikowy przypadek. Wycofany, skonfliktowany z rodziną. Ryzykowne zachowania. – Podała mu skręta, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu. – Narkotyki.

– Zapominasz tylko, że gdyby nie te problemy, w ogóle byśmy się nie poznali.

– Pamiętasz, jak przyszedłam do ciebie pierwszy raz? Powiedziałam, że portfel wypadł ci z kieszeni – przerwała na moment. Odsunęła się na brzeg kanapy, jakby bała się reakcji na swoje wyznanie. – Tak naprawdę sama go wyciągnęłam, żeby mieć pretekst do odwiedzin.

– Powiniennem się domyślić. – Wzruszył ramionami. – Powiedziałaś mi kiedyś, że chciałaś mnie poznać na długo przed tamtym spotkaniem.

– Chciałam. Nie wiem tylko, czy mi się udało. – Spojrzała mu w oczy. – Nie wiem nawet, czy to w ogóle możliwe, skoro ty sam dopiero będziesz analizować swój przypadek na studiach, zamiast zająć się tym, co dzieje się tu i teraz. Liczenie na to, że lepiej zrozumiemy się w przyszłości nie ma sensu, bo wtedy będziemy już kimś zupełnie innym.

– A myślisz, że jest aż tak źle z tym moim samopoznaniem?

– Nawet gdyby nagle pojawiła się tutaj złota rybka i chciała spełnić jedno twoje życzenie, nie potrafiłbyś powiedzieć, czego tak naprawdę chcesz. – Chwila wahania. – Potrafiłbyś?

– Głupie pytanie – powiedział, zbliżając twarz do policzka Marty. Odgarnął jej włosy i pocałował w ucho, a następnie przejechał językiem po szyi. Kiedy się kochali, echo zadanego wcześniej pytania wciąż wybrzmiewało w zawieszynie słodkiego dymu nad kanapą.

Na placu Bohaterów Getta zdarł z słupa kolejną ulotkę ze zdjęciem mężczyzny podobnego do ojca. Kartka była przyklejona na ogłoszeniu o starszej kobiecie zaginionej w okolicy Kazimierza. Chciał kupić coś do picia w sklepie monopolowym po drugiej stronie ulicy, ale drzwi były zamknięte, mimo informacji o całodobowej obsłudze. Dopiero teraz zwrócił uwagę, że z frontu kamienicy naprzeciwko przystanku odpadł kawał tynku, pozostawiając na ścianie ślad przypominający otwartą ranę. Chodnik poniżej ogrodzony był biało-czerwoną taśmą. Siatki

pęknięć pojawiły się też na innych budynkach wokół placu, a w uliczce obok sklepu ktoś wybił szyby w oknach na poziomie parteru i pierwszego piętra. Kilku przypadkowych przechodniów kręcących się po okolicy zdawało się w ogóle nie przejmować zniszczeniami.

Następne ogłoszenie ze znajomym zdjęciem zobaczył na ścianie bloku, a zaraz potem kolejne przy tunelu prowadzącym w stronę fabryki Schindlera. Przejazd kolejowy wyznaczał punkt graniczny oddzielający tereny mieszkalne od przemysłowego krajobrazu straszącego szkieletami niszczących budynków i pordzewiałymi konstrukcjami. Szedł w kierunku Wisły, przyglądając się popękanyom ścianom i chodnikom. Jedna z wron siedzących na powyginanym ogrodzeniu poderwała się nagle do lotu i porwała z ziemi mysz, która nie zdążyła schronić się w kępie pobliskich krzaków. Pozostałe ptaki wpatrywały się w ciszy w samotnego przechodnia, jakby czekały tylko na odpowiedni moment do ataku.

W oddali widział bloki nowego osiedla, zaniedbane i brudne. Przy drodze ustawiona była duża tablica ogłoszeń, a na niej jedne na drugich naklejone były dziesiątki ulotek z podobiznami zaginionych osób. Kiedy się zbliżył, był w stanie rozpoznać niektóre z twarzy – brzuchatego sąsiada Marty, znajomych ze studiów i szkoły średniej, właścicielkę sklepu monopolowego, w którym zwykle robił zakupy. Nieco dalej zobaczył ogłoszenie, na którym widniało wspólne zdjęcie matki i ojczyma.

Dopiero teraz zwrócił uwagę na ciszę panującą wokół – żadnego szumu rozmów, odgłosu kroków, warkotu silników. Przeszedł przez ogrodzenie na teren starej fabryki na Zabłociu. Wyliczał kolejne punkty graniczne: bramę, ulicę, strome zejście na Bulwary Wiślane. Pomyślał, że już dawno znalazł się w miejscu, w którym wszystkie znane mu osoby zaginęły. Nie potrafił się zatrzymać.

Noc zastała go na ławce, niedaleko mostu. Siedział tak co najmniej przez kilka godzin. Nie minęła go ani jedna osoba. Drogą

powyżej nie przejechał żaden samochód. Gdzieś w oddali słyszał tylko huk kruszących się budynków.

Wszedł po schodach na most oddzielający Podgórze od Kazimierza. Na ulicy Starowiślnej zalegał gruz, a kolejne płyty tynku i elementy zabudowań spadały, wzbijając chmury kurzu. Dwa urwane balkony zalegały na jezdni pod pocztą. Wszystkie szyby w oknach były brudne albo wybite, a napisy na szyldach ledwo czytelne. Kiczowate kolumny Baru pod Filarkami upadły, zasłaniając wejście. Przewrócony tramwaj na skrzyżowaniu przypominał pustą owadzią skorupę.

Przypomniał sobie, jak Marta zarzuciła mu, że nie potrafił powiedzieć, czego tak naprawdę chce. Przyspieszył kroku, mijając Planty. Przedarł się przez nasyp z kamieni na Rynek Główny, gdzie powitał go widok zburzonych Sukiennic. Wszedł na szczyt bezładnej kupy kamieni, siadając obok fragmentu z wykrzywionym w dziwacznym uśmiechu maszkaronem. Pozostałości pomnika Mickiewicza leżały przed nim, a kamienice wokół tworzyły abstrakcyjne i nikomu niepotrzebne dzieło sztuki.

Spod powierzchni rynku wyrastało kilka niewielkich krzewów, które pokrywały miejsce będące niegdyś wylotem ulicy Floriańskiej, i ruiny Kościoła Mariackiego. Na kamiennych płytach wylegiwały się psy, mieszańce różnych ras, duże i dzikie. Jedno ze zwierząt, wyglądające na przywódcę grupy, przeszło po pozostałościach rozbitego krzyża, uniosło łeb i głośno zawyło. Wkrótce do koncertu dołączyła się reszta stada.

Kiedy chłopak spojrział w górę, zdał sobie sprawę, że miejsce księżycy zajęła świetlista wyrwa w niebie, w której widać było zarys pomieszczenia. Po chwili zobaczył znajomą twarz, która przybliżyła się tak bardzo, że jasną przestrzeń w całości przysłoniło jej oko, wpatrzone prosto w niego z nieskrywanym zainteresowaniem.

Joseph Nassise – amerykański pisarz fantastyki, autor bestsellerowego *Heretyka*, który ukazał się nakładem Wydawnictwa Replika i zdobył uznanie również wśród polskich czytelników, a także niedawno wydanej powieści *Krzyk aniołów*. Opowiadania Nassise'a można znaleźć w takich antologiach jak: *Masques V*, *Chthulian singularity* czy *Lost on the darkside*. Pisarz pełnił ponadto funkcję przewodniczącego Horror Writers Association, największej na świecie organizacji skupiającej pisarzy zajmujących się grozą, dwukrotnie był nominowany do Bram Stoker Award i International Horror Guild Award.

Joseph Nassise

Syreni śpiew

„Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagl fhtagn.”

H. P. Lovecraft

– Papierosa?

Odwróciłem się od iluminatora i rozciągającego się za nim widoku wielkiej, niebieskiej kuli ziemskiej, by spojrzeć na mojego najnowszego gościa.

Był ubrany jak lekarz, w biały fartuch założony na zwykłą koszulę i spodnie. Miał nawet symbol medyczny na prawym rękawie, tam, gdzie powinien się znajdować, ale coś w tym gościu aż krzyczało „wywiad”. Może jego zbyt swobodne zachowanie albo zbyt idealny uśmiech. Nieważne, co to było, wiedziałem, że nie jest kolejnym zwykłym psychiatrą, który przyszedł mnie zbadać. Wyglądało na to, że wreszcie przysłali ciężką artylerię.

Najwyższy czas, pomyślałem.

– Dzięki – rzuciłem. Położył paczkę papierosów na stole, siadając po drugiej stronie. To były Dantaros, moja ulubiona marka, i mój szacunek i nieufność wobec śledczego skoczyły o oczko w górę. Gość się przygotował, zanim się ze mną spotkał. To stawiało go o klasę wyżej od tych wszystkich nieudaczników, z którymi miałem do czynienia, od kiedy wyciągnęli mnie ze szczątków „Zemsty”.

– Powiedziano mi, że jest pan gotów rozmawiać.

Wzruszyłem ramionami. Dla mnie to nie miało znaczenia. To i tak na nic się nie zda na końcu, kiedy On tu dotrze. Do tego czasu byłem skłonny zgodzić się na wszystko, co sprawiało, że utrzymam się przy życiu choć odrobinę dłużej. Może jakimś cudem uda mi się znaleźć sposób na ucieczkę z tej pułapki na szczury.

Oczywiście to, że byłem zamknięty w jedynej celi na tej stacji kosmicznej, nieco zmniejszyło moje szanse, ale człowiek nie może tracić nadziei, zgadza się?

– No to może zaczniemy?

– Od czego chce pan zacząć?

Uśmiechnął się tym perfekcyjnym uśmiechem i powiedział:

– Może od początku? Proszę mi opowiedzieć o misji.

Wykonałem rękami obojętny gest.

– Jak pan chce. Zaczęło się od sygnałów ELF, które zaczęliśmy odbierać w dwa tysiące ósmym...

SETI i tysiąc innych podobnych grup przeszukiwały galaktykę w poszukiwaniu oznak obcych form życia przez ponad pięćdziesiąt lat, a znaleźliśmy ufoki właściwie na własnym podwórku. To mi się wydało cholernie ironiczne. Sygnały ELF zostały odkryte przez zespół pracujący w Parkes Obserwatory w Australii. Tworzyły regularny wzór i rozgorzała dyskusja, czy jest to zjawisko naturalne, czy też są nadawane. Kiedy wreszcie jako źródło ich pochodzenia wskazano przestrzeń wokół Jowisza i międzynarodowa społeczność zdała sobie sprawę, że dochodzą z tak bliska, poparcie dla zorganizowania załogowej wyprawy pojawiło się niemal w ciągu jednej nocy. Oczywiście MCSC, Dywizja Kosmiczna Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, była jedynym oddziałem zdolnym odbyć tak długą podróż.

I właśnie w taki sposób mówiący te słowa złapał się na lot na Europę.

Pamiętam, jak pierwszy raz zobaczyłem nasz statek, MCSC Zemstę. Wyglądała jak gigantyczna dziecięca zabawka skręcona

z patyczków i kółek; od bulwiastego zbiornika z wodą umiejscowionego na dziobie, do niezgrabnej sekcji inżynierskiej na rufie. W środku znajdowały się dwa ogromne wybrzuszenia, które wyglądały zupełnie jak dwie ciężarne kobiety stojące do siebie plecami. Były to moduły mieszkalne, które w czasie lotu kręciły się wokół własnej osi: na początku podróży wytwarzały grawitację zbliżoną do ziemskiej, a potem redukowały ją, by dorównać znacznie niższej grawitacji Europy.

Krótko mówiąc, Zemsta była odwrotnością tego, co sugerowała jej nazwa.

Ale mogła spełnić swoje zadanie, bez dwóch zdań.

Zemsta używała nowego silnika anihilacyjnego, łączącego antymaterię i materię, czego rezultatem była ogromnie wydajna fala plazmy, która pozwalała statkom latać na bardzo duże odległości w dotychczas nieosiągalnym czasie. Statek z silnikiem anihilacyjnym przyspieszający przy stałym przeciążeniu 1G przez połowę drogi, a przez drugą obracający się i zwalniający, mógł dotrzeć do przestrzeni Jupitera w ciągu tygodnia. Jednak wygenerowanie antymaterii jest ekstremalnie drogie i gdybyśmy tak zrobili, zużylibyśmy całą rezerwę Dywizji Kosmicznej, rezerwę, która była budowana latami. Alternatywą było przyspieszenie przy 1G tylko przez pierwsze dwanaście godzin, czyli aż do wyjścia z orbity ziemskiej. Dawało to stałą prędkość, która pozwoli dotrzeć do Jowisza w około trzydzieści dni. Dziewięćset milionów kilometrów w mniej niż miesiąc. To wciąż robi cholernie duże wrażenie, jeśli chcecie znać moje zdanie.

Oczywiście jako żołnierze piechoty psioczyliśmy przez całą podróż, ale i tak byśmy to robili, nawet gdyby trwała tylko tydzień.

Kiedy już znaleźliśmy się na orbicie, rozpoczęliśmy systematyczny skan powierzchni księżyca. Mniej niż trzy godziny zajęło ustalenie położenia Nadajnika. Tak właśnie zaczęliśmy go nazywać – Nadajnik. Praktycznie można było usłyszeć wielką literę za każdym razem, gdy ktoś o nim wspomniał. Pokonaliśmy niemal miliard

kilometrów, żeby go zobaczyć, i zaczął stawać się dla nas czymś w rodzaju mitu. Był zlokalizowany jakieś osiem kilometrów pod lodem, głęboko w niezbadanym oceanie Europy. Co oznaczało, że musieliśmy pobrudzić sobie ręce, sprawdzając to. I był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Sposób, którego oficjalne oznaczenie to RNF876495. My nazywaliśmy go inaczej, nazwą bardziej pasującą do jego przeznaczenia – Lodołamacz. W przeciwieństwie do Zemsty, Lodołamacz miał aerodynamiczny kształt, tak że był w stanie wytrzymać przeciążenia towarzyszące lotom przez atmosferę. Dodatkowo jego dolna część została specjalnie wzmocniona, by wytrzymać zderzenie z twardą powierzchnią. Zadanie pilota polegało na wejściu nim w atmosferę i wykonaniu kontrolowanego zderzenia z powierzchnią księżyca dostatecznie silnego, by przebić się przez zewnętrzną warstwę skorupy lodowej. Gdy kadłub będzie już osadzony w lodzie, zostaną wysunięte specjalne cewki grzewcze, by stworzyć piętnastokilometrowy tunel, przez który będą mogły wypłynąć Manty.

Tak przynajmniej brzmiała teoria.

Ani Manty, ani Lodołamacz nie zostały nigdy przetestowane w terenie. Zostały zaprojektowane na potrzeby tej misji, kiedy dowiedzieliśmy się, skąd dochodzą fale ELF. Naszym zadaniem było sprawdzenie, co potrafią te cudeńka.

Niektórzy po prostu mają farta, wiecie?

Na orbicie, na pokładzie Zemsty został tylko podstawowy personel, a reszta wsiadła do Lodołamacza. Pilot wleciał nim w rzadką atmosferę bez żadnych niespodzianek i niemal zupełnie miękko posadził ją na pokrywie lodowej w pobliżu Nadajnika.

To wtedy działanie Nadajnika zaczęło dawać się nam we znaki.

Już wcześniej wiedzieliśmy, że pewne fale ELF mogą źle wpływać na ludzki system nerwowy, powodować ataki, zakłócać działanie mózgu i tym podobne. Zemsta została wyposażona w specjalne osłony, by uchronić nas przed tym szkodliwym działaniem, ale ten,

kto dokonywał obliczeń, nie wpadł na to, że fale staną się silniejsze, gdy opuścimy orbitę.

Lodołamacz był nimi nieustannie bombardowany, gdy znaleźliśmy się na powierzchni księżyca. Mimo że był chroniony w podobny sposób, co Zemsta, tak blisko źródła podjęte środki ostrożności nie były już skuteczne. Czuliśmy uderzenia fal w kadłub; ciągłe tępe drganie, które pulsowało nam w głowach i rozstrajało żołądki. W kilka godzin od wylądowania na pokrywie lodowej przeważająca część załogi leżała na pryczach, usiłując zwalczyć nudności lub cierpiąc z powodu paskudnej migreny. Ja należałem do grupy szczęśliwców. Miałem krótką, gwałtowną reakcję na uderzenie fali, a potem wróciłem do normy.

Minęły cztery dni, zanim większość ludzi stanęła na nogi. Niektórzy mówili, że przyzwyczailiśmy się do bliskości fal, że jak marynarz, który uczy się poruszać na kołyszącym statku kilka dni po wypłynięciu z portu, zaaklimatyzowaliśmy się do nieustannego pulsowania ELF. Nie jestem tego taki pewien. Po tym wszystkim, co się stało, sądzę, że On po prostu trochę wyciszył sygnał, żebyśmy bardziej się zbliżyli. Wejść do środka, powiedział pająk do muchy i takie tam.

W każdym razie kiedy ja i pilot Manty Dwa doszliśmy do siebie, podjęto decyzję o wysłaniu oddziału w celu zbadania źródła sygnału. Byłem tym pechowym draniem, któremu trafiło się to zadanie.

Bezzałogowe sondy badały zimne morza Europy wokół nas, od kiedy przewierciliśmy się przez lód. Nie wykryto żadnych oznak życia, co moim zdaniem było dobrym znakiem. Oznaczało, że mogłem się odrobinę zrelaksować i tak bardzo nie martwić, iż jakiś gigantyczny obcy stwór zdecyduje, że ja i wszyscy pozostali na pokładzie Manty będziemy wspaniałą przekąską.

Incydent z Wilkinsonem nastąpił krótko po tym, jak misja dostała zielone światło od dowództwa.

– Porozmawiajmy o Wilkinsonie. Rozumiem, że był pan z nim, kiedy nastąpił koniec?

– Tak, byłem tam...

Rany, co można było powiedzieć o Wilkinsonie? Totalnie popieprzona sprawa. Największe szaleństwo, jakie w życiu widziałem. Trwała trzecia warta, gdzieś w okolicach trzeciej zero zero. Manty miały wpłynąć do tunelu za mniej więcej czterdzieści osiem godzin, a mnie się trafiła ostatnia straż. Typowe dla piechoty morskiej bzdury. Kazać facetowi pełnić wartę przy sprzęcie znajdującym się na statku pełnym uzbrojonych żołnierzy, tkwiącym samotnie na totalnym zadupiu Układu Słonecznego. Jakby ktoś miał się tu zjawić, odpalić na krótko i wybrać się na przejażdżkę, na litość boską. Jasne.

W każdym razie Wilkinson był ze mną na dole, przygotowywaliśmy HADS-y. HADS-y – Hardsuit Atmospheric Diving System, czyli ciężkie skafandry zapewniające ciśnienie atmosferyczne – udowodniły, że są w stanie wytrzymać wszystko – od całkowitej próżni, do miażdżących ciśnień, jakich spodziewaliśmy się pod powierzchnią Europy. Miały wbudowany własny napęd oraz standardowy zapas powietrza na osiem godzin i dodatkową dwugodzinną rezerwę. Dowódca wydał polecenie, by wszyscy nosili HADS-y, kiedy po raz pierwszy zostały uruchomione Manty. W ten sposób, gdyby statek z jakiegoś powodu zawiódł, oddział miałby przynajmniej szansę wrócić pojedynczo na Lodołamacza.

No więc stoję obok włazu i Wilkinson majstruje w kontrolkach napędu jednego ze skafandrów. Nie widzę go z miejsca, w którym stoję, ale słyszę jak klnie jak szewc, walcząc z wadliwym panelem czujników. Potem wszystko ucichło. Najpierw nie zwróciłem na to uwagi. Pomyślałem, że udało mu się naprawić uszkodzoną część i po prostu się uciszył, no wiecie? Ale po kilku minutach, kiedy dalej się nie odzywał, zacząłem mieć wrażenie, że coś jest nie tak. Poszedłem to sprawdzić. Poruszanie się przy ciężeniu 0,13 g było

łatwe; jeden mały krok przenosił człowieka na drugą stronę pokoju. Cała sztuka polegała na tym, żeby wiedzieć, jak się potem zatrzymać.

Miałem dostatecznie dużo wprawy, by pokonać pomieszczenie dwoma krótkimi skokami, akurat na czas, by zobaczyć, jak za Wilkinsonem zamykają się drzwi komory dekompresyjnej.

Przez szybę widziałem, jak stoi obok wypalonego przez nas tunelu, wpatrując się przez przezroczyste drzwi w tę dziwną fioletowozieloną wodę. Miał na sobie ubranie robocze, co naruszało z dziesięć różnych punktów regulaminu. Nikomu nie wolno było wchodzić do komory dekompresyjnej bez skafandra. Ale drzwi do tunelu były cały czas zamknięte, komora nie była zdekompresowana, więc myślałem, że wszystko jest OK, po prostu zrobił sobie przerwę. Dopóki nie odkryłem, że zablokował drzwi.

Wtedy się zdenerwowałem.

Zacząłem walić w drzwi i go wołać.

Nie odwrócił się. Prawdopodobnie nawet mnie nie słyszał przez grube, piętnastocentymetrowe drzwi śluzy.

Wrócił mi rozsądek i nacisnąłem przycisk interkomu.

– Wilkinson? Co ty do cholery robisz, człowieku? Zabieraj stamtąd swój tyłek, zanim zgłoszę to dowódcy!

Wiem, że interkom działał. Widziałem, jak zapalało się światło za każdym razem, gdy naciskałem przycisk. Ale on w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że mnie słyszy.

Panel sterujący zewnętrznymi drzwiami śluzy był po jego lewej stronie. Przycisnął kilka przycisków. Patrzyłem w zdumieniu, jak wewnątrz drzwi śluzy zaczynają powoli się otwierać. Światła w komorze zgasły i czerwone lampy ostrzegawcze wypełniły pomieszczenie krwawym blaskiem.

Wtedy spanikowałem.

Myśl o uratowaniu Wilkinsona przed przesłuchaniem dyscyplinarnym wyleciała mi z głowy. W kilka sekund później już rozmawiałem ze sztabem.

– Sztab, Daniels z kontroli śluzy. Mam tu nieautoryzowany dostęp do komory dekompresyjnej. Natychmiast przyślijcie ochronę i oddział ratunkowy!

Rozłączyłem się, ignorując zalewający mnie nawał pytań i wróciłem do okienka. Wilkinson wciąż stał obok panelu kontrolnego. Wewnątrz drzwi śluzy były już teraz całkowicie otwarte i zaczęło się odliczanie do otwarcia zewnętrznych. Za dwadzieścia sześć sekund niechronione ciało Wilkinsona zostanie wystawione na działanie trującej atmosfery i miażdżącego ciśnienia księżycowego morza.

Dwadzieścia sześć sekund.

Co do diabła mogłem zrobić w dwadzieścia sześć sekund?

Ale i tak spróbowałem.

– Posłuchaj mnie, Wilkinson! Musisz przerwać odliczanie. Użyj procedury awaryjnej i przerwij odliczanie. Już! Zaraz skończy ci się czas!

Dwadzieścia sekund.

Tym razem mnie usłyszał. Odwrócił się i popatrzył na mnie przez szybę. Wyciągnął prawą rękę i stuknął w panel sterujący, nawiązując łączność.

Piętnaście sekund.

– On mnie woła, Daniels. Nie słyszysz? Takie piękne...

Błądził wzrokiem po wszystkim dookoła, ani razu nie skupiając się na jednym punkcie zbyt długo i pamiętam, że pomyślałem, iż jest totalnie naćpany. Potem włączyła się syrena ostrzegawcza, sygnalizując, że nie da się już przerwać odliczania. Teraz już nic, co zrobię ja albo ktokolwiek inny, nie mogło zatrzymać otwarcia zewnętrznych drzwi.

Ten dźwięk wyrwał go z otępienia. Kilka razy potrząsnął głową, jakby chciał zebrać myśli. Rozejrzał się, widocznie zmieszany, a potem zobaczył mnie patrzącego na niego przez szybę.

– Ej! Otwórz drzwi, Daniels. Wypuść mnie!

Pięć sekund.

– Daniels! Otwórz te cholerne drzwi!

Złapał panel kontrolny i zaczął rozpaczliwie walić w przyciski, przez cały czas krzyżąc na mnie, żebym go wypuścił.

Nie mogłem nic zrobić.

Odwrociłem się na ostatnie kilka sekund. Miałem całkiem dobre wyobrażenie na temat tego, co dzieje się z ludzkim ciałem narażonym na takie ciśnienie.

To nie było coś, co chciałem zobaczyć.

Ochrona i medyczny oddział ratunkowy pojawiły się chwilę później.

Akurat na czas, żeby posprzątać.

Śledczy od niechcienia zerknął na jeden z leżących przed nim dokumentów.

– Zdaje pan sobie sprawę, że monitoring w pokoju kontrolnym komory dekompresyjnej został włączony w czasie poprzedzającym śmierć Wilkinsona, zgadza się?

Kiwnąłem głową. Nagranie zawierające ostatnie słowa Wilkinsona było powodem, dla którego zostałem oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia. Z ich punktu widzenia wyglądało, że winił mnie za to, że był zamknięty w komorze.

– Dlaczego pana zdaniem w ogóle znalazł się w tym pomieszczeniu?

Odwrociłem wzrok, nagle znudzony tą rozmową. Wyjaśniałem to już setki razy.

– Myślę, że fale ELF mieszały mi w głowie. To samo, co spotkało pozostałych. Myślę, że Wilkinson był po prostu bardziej podatny niż reszta. Wcześniej go to dopadło.

Kiwnąłem głową, chociaż nie wiem, czy przyznawał mi rację, czy zwyczajnie przyjmował do wiadomości to, co powiedziałem.

– Jasne. ELF. – Kolejne zerknięcie w akta. – Utrzymuje pan, że nadawany sygnał się zmienił. Zamiast wywoływać złe samopoczucie, teraz niszczył zdolność kontrolowania własnych

działań, zmuszając do robienia rzeczy, których ludzie nie chcieli robić. Zgadza się?

Kiwnąłem głową.

– Biorąc pod uwagę to, co stało się z grupą rozpoznawczą, która wypłynęła Mantą Jeden, nie wiem, jak można dojść do jakiegokolwiek innego wniosku.

– Może pan rozwinąć ten temat?

Była dziewiąta zero zero. Reszta oddziału siedziała już z tyłu Manty Jeden, kiedy dotarłem do pokoju kontrolnego. Szybko założyłem skafander ciśnieniowy, przeszedłem przez właz i zjechałem w dół przez lód do statku. Kiedy znalazłem się w środku, przeszedłem obok ubranych w HADS-y żołnierzy do kokpitu.

Robili mi przejście nawet w niewielkiej przestrzeni Manty i przez moment zastanawiałem się, czy to ze strachu po incydencie z Wilkinsonem, czy też szacunku, że odbędę podróż bez HADS-a, który zakłócałby moją neurologiczną więź ze statkiem.

Nawet teraz wolę myśleć, że chodziło o to drugie.

Kiedy dotarłem już do kokpitu, usiadłem na fotelu pilota i czekałem chwilę, gdy automatyczna uprząż zamykała się wokół mnie. Uprząż była zaprojektowana tak, by przytrzymać mnie w miejscu nawet w trakcie poważnego ostrzału. Straciliśmy zbyt wiele pierwszych statków z neurologicznym interfejsem z powodu tego, że pilot został przypadkowo odłączony od panelu sterującego, więc nie zamierzałem lekceważyć względów bezpieczeństwa. Kiedy już uprząż była zapięta, wyjąłem kabel do interfejsu z jego gniazda, zamknąłem oczy i włożyłem go do portu, który dzięki uprzejmości Korpusy Piechoty Morskiej został umieszczony w mojej czaszce.

Nastąpiła krótka chwila pełna chłodu i nudności, gdy mój system nerwowy łączył się z systemem statku. Kiedy nudności minęły, otworzyłem oczy. „Widziałem” ocean przed sobą tak daleko, jak daleko sięgały czujniki Manty. „Czułem”, jak lodowata woda

opływa moją skórę, czułem ciągłe bębnienie sygnału z Nadajnika gdzieś w oddali. W gruncie rzeczy stałem się Manta.

Szybko sprawdziłem listę kontrolną, upewniając się, że wszystko jest gotowe, a potem przez interkom poinformowałem grupę rozpoznawczą, że za trzydzieści sekund startujemy.

Nawiązałem łączność z Lodołamaczem i powiedziałem:

– Manta Jeden gotowa do startu. Odliczanie do startu zatrzymane na piętnastu sekundach.

– Manta Jeden, tu Lodołamacz. Macie pozwolenie na start, powtarzam, macie pozwolenie na start.

– Przyjąłem, Lodołamacz. Manta Jeden wznowia odliczanie. Dziesięć, dziewięć...

Odpaliłem silniki myślą i poczułem, jak statek zaczyna drżeć w przytrzymujących go zaczepach niczym tygrys przygotowujący się do skoku. Uruchomiłem system namierzania, ustaliłem lokalizację Nadajnika i wprowadziłem kurs na to miejsce. Potem usiadłem wygodniej i czekałem.

– Cztery, trzy, dwa, start!

Zaczepty, które nas przytrzymywały, zostały zwolnione i Manta oderwała się od Lodołamacza.

– Manta Jeden opuściła dok. Wszystko pod kontrolą.

– Przyjąłem, Manta Jeden. Owocnych łowów. Bez odbioru.

Statek sprawnie reagował na polecenia, a miesiące ćwiczeń w symulatorze na Ziemi całkiem dobrze przygotowały mnie na czekające zadanie. Wyczuwałem jakiś nurt, którego się nie spodziewałem, ale szybko dokonałem poprawek niwelujących jego wpływ. Neurologiczna więź z systemami statku pozwoliła mi odbierać morze przed nami na wiele różnych sposobów – akustycznie, termicznie, co tylko chcecie. Włączyłem zewnątrz światła, chcąc dobrze się przyjrzeć w tradycyjny sposób, swoimi oczami, ale lodowaty muł, który tu, na Europie uchodził za wodę, ograniczał widoczność niemal do zera i szybko wyłączyłem światła. Wszystko, co potrzebowałem zobaczyć, widziałem „elektronicznie”

i to wystarczało. Niech chłopaki siedząc z tyłu, pooglądają sobie otoczenie przez iluminatory w ładowni, jeśli mają ochotę; ja widziałem już dość. Na zewnątrz było ciemno i pusto. Nie potrzebowałem wizualnego przypomnienia, jak daleko od domu jesteśmy.

Po dwudziestu minutach niczym niezakłóconej podróży dotarliśmy do punktu oddalonego o pięćset metrów od Nadajnika. Przed nami z dna oceanu wznosił się dwudziestometrowy grzbiet górski. Po jego drugiej stronie znajdował się cel naszej wyprawy.

Nawiązałem łączność radiową z Lodołamaczem.

– Manta Jeden do Lodołamacza. Jesteśmy przy ostatnim znaczniku. Zbliżamy się do celu.

– Przyjąłem, Manta Jeden.

Poinformowałem chłopaków na statku, co się dzieje, potem odpaliłem silniki i gładko przepłynąłem nad wzniesieniem.

Za nim tak daleko, jak tylko sięgały moje instrumenty, rozciągało się miasto.

Odczyty, jakie otrzymywałem, były tak niespodziewane, że im nie wierzyłem. Włączyłem zewnętrzne światła i spojrzałem przez szybę na niezwykle widok przede mną.

Tam, skąpane w świetle reflektorów umieszczonych na dziobie Manty, rozciągało się ogromne i pogrążone w ciszy miasto.

Oświetlała je blada poświata przeświecająca spomiędzy kolosalnych budowli. A naprawdę były kolosalne, wielkie, kołyszające się wieże z kryształu i kamienia, wybudowane dla istot, których rozmiary zawstydzają rodzaj ludzki. Budowle skręcały się, wybrzuszały, pochylały pod dziwnymi kątami i miały niezliczone ilości ścian, dlatego oczy bolały, jeśli patrzyłem na nie zbyt długo; jakby była to wielka iluzja optyczna zaprojektowana, by igrać z moim umysłem.

Jedno spojrzenie na odczyty potwierdziło moje obawy.

Nadajnik był gdzieś w środku tego labiryntu.

Włączyłem przycisk interkomu.

– Um, kapitanie Marshall? Chyba chciałby pan to zobaczyć.

Kapitan i dwaj dowódcy oddziałów weszli do kokpitu kilka chwil później.

– Jasna cholera! – powiedział, gdy zobaczył, co jest za oknem.

No właśnie.

Nastąpiło kilka minut gorącej dyskusji z majorem na Lodołamaczu, po czym otrzymaliśmy rozkazy. Przeszukać budynki. Zlokalizować Nadajnik. Szukać oznak życia i zebrać próbki, jeśli coś znajdziemy. Wrócić do Lodołamacza przed szesnastą zero zero.

– W porządku, chłopcy. Słyszeliście majora. Chodźmy to obejrzeć – powiedział Marshall. Rozkazał mi zostać na posterunku i utrzymywać łączność z Lodołamaczem, na wypadek gdyby dokonali jakichś ważnych odkryć.

Z radością wykonałem rozkaz.

– *Więc nie wszedł pan z nimi do miasta?*

Wyciągnąłem z paczki kolejnego papierosa, włożyłem go do ust i zapaliłem.

– *Nie, wtedy nie. Tak jak mówiłem, zostałem na posterunku i monitorowałem ich postępy przez komunikatory oraz kamery wmontowane w skafandry. Wszystko było w porządku, dopóki nie znaleźli świątyni.*

Mimo że proporcje były nie takie, jak trzeba, gdy tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, że to świątynia. Wyróżniała się spośród otaczających ją budynków, połyskiwała i błyszczała jaśniej niż one – to musiało coś znaczyć. Oddział Marshalla podszedł bliżej i przez kamery widziałem wyraźnie dziwne kwieciste wzory wyrzeźbione na drzwiach.

Coś w nich wywoływało mój niepokój.

Zanim mogłem cokolwiek powiedzieć, Marshall rozkazał dwóm ludziom sprawdzić drzwi. Do tej pory nie znaleźli niczego istotnego, tylko liczne puste korytarze i opuszczone budynki; żadnych mebli,

żadnych dzieł sztuki, nic, co mogłoby wskazywać na to, kto lub co wzniosło te budowle. Po trzech godzinach poszukiwań wydawało się, że to najlepsza okazja, żeby się czegoś dowiedzieć.

Trzymałem głowę na kłódkę, nie chciałem, żeby reszta myślała, że się boję.

Drzwi otworzyły się z łatwością, niemal jakby były na przegubach, i Marshall rozkazał oddziałowi wejść do środka.

Jak tylko ostatni z jego ludzi wykonał rozkaz, drzwi płynnie zamknęły się za nimi.

Czekałem, aż któryś z nich ponownie się pojawi.

Ale żaden nie wyszedł.

Co gorsza, kiedy tylko weszli do tego dziwnego monolitu, straciłem z nimi kontakt. Cała łączność została nagle zerwana. W radiu słychać było tylko szum. Na monitorze przede mną zgasły kontrolki funkcji życiowych. Nie działał nawet kanał awaryjny. Wiem, próbowałem.

Pomyślałem, że ma to jakiś związek z materiałem, z którego zbudowano miasto i postanowiłem czekać.

Minęło pół godziny bez żadnego kontaktu.

Godzina.

Potem dwie.

Wtedy zacząłem się już trochę denerwować.

Jednak wciąż czekałem.

Nikt nie wyszedł.

Próbowałem skontaktować się z nimi przez radio.

Bez rezultatu.

Nagle moje czujniki odebrały nowy sygnał. To była kolejna fala ELF, mieszająca się i zlewająca z pierwszą, by stworzyć zupełnie nowy sygnał.

Sprawił, że włosy na rękach i karku stanęły mi dęba.

Minęły cztery godziny i teraz oficjalnie się martwiłem.

Nie, było gorzej. Byłem przerażony.

Próbowałem połączyć się z Lodołamaczem, ale odkryłem, że wszelka łączność z bazą została odcięta. Nieważne, jakiego kanału używałem, słyszałem jedynie szum.

Dziwny nowy sygnał zaczął pulsować z większą częstotliwością. Odłączyłem się od czujników dźwiękowych statku, ale to niewiele zmieniło. Wciąż czułem nacisk fali na moje ciało, czułem jej natarczywy szept w głowie. Zastanawiałem się, nie po raz pierwszy, dlaczego byłem bardziej odporny na ten dźwięk niż moi bracia.

Nerwowym krokiem przemierzałem kokpit przez kolejne piętnaście, dwadzieścia minut, próbując zdecydować, co dalej robić. W końcu zwyczajnie nie mogłem ich tam zostawić. Z tyłu znajdował się zapasowy HADS oraz kilka dodatkowych kanistrów z tlenem. Niższa grawitacja pozwoli mi zabrać przynajmniej dwa dodatkowe kanistry, przyłączone z tyłu do skafandra. Jeśli zostanę tam uwięziony, będę miał czym oddychać co najmniej przez dwadzieścia cztery godziny, może więcej. Jeśli do tego czasu nie wrócę, to prawdopodobnie nie wrócę w ogóle.

– To znaczy, że poszedł pan ich szukać?

Zgasilem papierosa, wstałem od stołu i zacząłem krążyć po pokoju. Sama myśl o tym, co widziałem, sprawiła, że zlał mnie zimny pot, i wiedziałem, że nie ma mowy, bym spokojnie siedział i jeszcze raz przez to wszystko przechodził.

– Tak, poszedłem ich szukać.

Całe godziny błądziłem po tym dziwnym mieście. Ulice się przemieściły. Budynki zmieniły. Jakby miasto rozumiało, co robię, i próbowało ze wszystkich sił mi przeszkodzić. Całe godziny błąkałem się po tym miejscu, z każdym krokiem wiedząc, że reszcie oddziały kończy się czas.

W końcu byłem zmuszony przełączyć się na jeden z zapasowych zbiorników z tlenem i robiąc to, wiedziałem, że poniosłem porażkę. Reszcie już dawno skończyło się powietrze, co oznaczało, że misja zmieniła się z ratunkowej w poszukiwanie ciał.

Kolejną godzinę zajęło mi znalezienie świątyni. Drzwi od razu ustąpiły pod moim dotykiem. Zablokowałem je pustym kanistrem po tlenie, upewniając się, że nie zamkną się, odcinając mi drogę wyjścia jak pozostałym, a potem wszedłem do środka.

Błąkałem się, pokonując poskręcane korytarze, dopóki nie wszedłem do gigantycznego amfiteatru.

Tam znalazłem resztę oddziału.

Stali u stóp ogromnego podium z tronem na szczycie, na którym siedziała jakaś istota, której nie byłem w stanie dokładnie zobaczyć. Do dziś nie mogę przywołać jej wyraźnego obrazu, chociaż w koszmarach prześladują mnie wizje czegoś dużego i mającego macki, z bladym, błyszczącym okiem, które zdaje się obserwować wszystko równocześnie.

Pozycje członków oddziału nie sugerowały, że przeżyli agonię duszenia, więc na chwilę zapłonął we mnie niewielki promyczek nadziei. Podskoczyłem do miejsca, gdzie na czele grupy stał Marshall, i zbliżyłem głowę do jego głowy, żebyśmy mogli zobaczyć swoje twarze przez chroniące je osłony.

Patrzył na mnie z pustą twarzą umarłego, jego oczy były pozbawione wyrazu i wszelkiej nadziei.

A mimo to nie był martwy, to było jasne. Stał tam z ramionami wyciągniętymi w niemym błaganiu w stronę tego drzemiącego na tronie czegoś, w jakiś sposób uwięziony między tym światem a następnym.

Nie oddychał, ale był świadomy.

Potykając się, podszedłem do Greasona.

A potem do Jamesa.

Sullivana.

Masamoriego.

Little'a.

Wszyscy, każdy po kolei. To samo puste spojrzenie. Ten sam osowiały wyraz twarzy. To samo nieżycie, które objęło ich swoim namiętym uściskiem.

Nic nie mogłem zrobić.

Myślę, że uratował mnie strach. Czułem fale napierające na mój umysł, gdy koszmar na tronie nade mną usiłował złapać mnie w swoje sidła tak, jak moich towarzyszy. Jednak czysta groza i ohyda tego, co zostało im uczynione, pomogło mi się skupić, pomogło odegnać narastające w mojej głowie wycie.

Odwrociłem się i chwiejnie wybiegłem.

Nie pamiętam zbyt wiele z ucieczki ze świątyni ani drogi przez miasto. Nie pamiętam wycofania się na Mantę Jeden ani gorączkowego powrotu przez oceaniczne głębiny.

Pamiętam za to, jak wróciłem na Lodołamacza i przekonałem się, że jest opuszczony. Dok Manty Dwa był pusty.

Niepewnym krokiem przeszedłem przez statek, aż dotarłem do stanowiska dowodzenia. Było puste, podobnie jak pozostałe pomieszczenia, ale kamery pokazały mi to, czego się obawiałem. Załoga Manty Dwa właśnie wchodziła do miasta, światła ich HADS-ów oświetlały ogromne budowle przed nimi. Próbowałem nawiązać z nimi łączność, ale nie udało się. Mogłem tylko siedzieć i patrzeć, jak to wszystko dzieje się jeszcze raz.

Potem chyba straciłem przytomność. Minęło kilka godzin, zanim się ocknąłem i ponownie spojrzałem na monitory. Sylwetki ludzi zniknęły; widać było tylko brzeg skrzydła Manty Dwa i zapraszająco otwarte wrota gigantycznego miasta.

Wzywana przez radio Zemsta również zachowała milczenie.

Start zajął znacznie więcej czasu, skoro tylko jedna osoba wykonywała wszystkie zadania, ale dałem radę. Tuż przed świtem podpiąłem się do panelu sterującego Lodołamacza, poderwałem go z lodu i wróciłem na Zemstę.

– Czyli porzucił pan swoich towarzyszy?

Po raz pierwszy, od kiedy zaczęło się przesłuchanie, poczułem gniew.

– Nikogo nie porzuciłem! Byli martwi!

„Lekarz” przechylił głowę.

– Jak pan wytłumaczy to, że sam przeżył?

Westchnąłem, gniew zniknął równie szybko, jak się pojawił. Słyszałem te wszystkie oskarżenia; denerwowanie się nie miało już sensu.

– Nie wiem. Myślę, że to miało coś wspólnego z portami do interfejsu w mojej głowie. W jakiś sposób zakłóciły odbiór rozkazów tej istoty, pozwoliły mi myśleć i działać racjonalnie, podczas gdy pozostali ulegli jej wpływowi.

– A personel z Zemsty?

Wiedziałem, do czego zmierzał. Wiedziałem, że nagranie tej „rozmowy” zostanie wykorzystane na moim procesie, ale mimo to czułem potrzebę, by odpowiedzieć ze wszystkimi szczegółami, udokumentować tę historię, nawet jeśli tylko po to, by pomóc tym, którzy zostaną, poradzić sobie z Jego przybyciem.

– Wszyscy nie żyli, kiedy zadokowałem Lodołamaczem. Nie jestem wyszkolonym śledczym, ale wyglądało na to, że fale ELF emitowane przez Nadajnik spowodowały, że stali się agresywni. Ich ciała leżały porozrzucane po całym statku, wszyscy wyglądali na ofiary przemocy.

Patrzył na mnie przez długą chwilę, po czym powiedział:

– Więc takiej wersji się pan trzyma?

Nie zadałem sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

Wstał od stołu, na moment wyszedł, a potem wrócił, trzymając jakiś przedmiot. Gdy podszedł bliżej, dostrzegłem, że to książka. Rzucił ją na stół.

Spojrzałem na nią, wiedząc już, co zobaczę. To był stary, zniszczony egzemplarz opowieści grozy, która była popularna niemal wiek temu. Ściągnąłem elektroniczną wersję tekstu z biblioteki Zemsty podczas mojej długiej powrotnej podróży, szukałem jakichś wskazówek, co robić teraz, kiedy śpiący został zbudzony. Okazała się bezużyteczna. Pan Lovecraft, kimkolwiek był, nie wiedział wiele więcej niż ja.

Śledczy się uśmiechnął. To nie był miły uśmiech, raczej prymitywny grymas, jaki pojawia się na twarzy myśliwego, gdy stwierdzi, że jego ofiara jest w pułapce i nie może uciec.

– Zapis z komputera pokładowego Zemsty pokazuje, że otwierał pan to opowiadanie czterdzieści siedem razy w trakcie powrotu z Europy. Jeśli ktoś jest taki podejrzliwy jak ja, może mu nawet przyjść do głowy, że próbował pan zapamiętać wszystkie szczegóły, żeby podkoloryzować własną absurdalną historię, żeby mieć jakąś linię obrony, kiedy wróci pan bez pozostałych trzydziestu dziewięciu członków załogi. – Przerwał i popatrzył na mnie z pogardą. – No jak? Co pan o tym myśli?

Wzruszyłem ramionami i sięgnąłem po kolejnego papierosa. Nie śpieszyłem się, zapalając go i dopiero potem odpowiedziałem na pytanie.

– Co myślę? Myślę, że pan Lovecraft dobrze to wszystko wykombinował. Myślę, że dokładnie wiedział, co drzemie pod powierzchnią lodu, w głębi oceanu. Pomylił tylko miejsca.

Śledczy roześmiał mi się w twarz. Po raz pierwszy od wejścia do pokoju ujawnił swoje prawdziwe uczucia.

– Jest pan wariatem, Daniels. Nie ma co do tego wątpliwości. I z przyjemnością będę patrzył, jak pana wieszają.

Podszedł do drzwi, otworzył je i odwrócił się, żeby wygłosić ostatnią uwagę.

To wtedy druga, silniejsza fala ELF dotarła do stacji. Ta, która rozchodziła się po przestrzeni kosmicznej, od kiedy opuściłem Zemstą orbitę Europy.

Poczułem, jak uderzyła w mój umysł i patrzyłem, jak śledczy zatrzymał się w pół słowa, jego twarz zaczęła wiotczeć, a oczy się zaszklily.

Za jego plecami kusiły otwarte drzwi.

Siedziałem przy stole i sięgnąłem po kolejnego papierosa.

Nie było sensu uciekać.

Nie było gdzie.

Robert Cichowlas (ur. 1982) – pisarz i redaktor. Autor i współautor 10 książek oraz kilkudziesięciu opowiadań. Najnowsze pozycje w jego dorobku to powieść *Szósta era* (Replika, 2011) oraz zbiór opowiadań *Wylęgarnia* (Forma, 2013). Wkrótce ukaze się *Pradawne zło*, zbiór trzech nowel, napisanych z Łukaszem Radeckim.

Robert Cichowlas

Dziś

Dominik od rana myślał tylko o jednym: by jak najszybciej wrócić do domu i otworzyć pudełko z tabliczką. Kiedy więc koło południa starosta oświadczył, że ostatnie dwie godziny zajęć z historii kultury zostały odwołane, chłopak natychmiast chwycił plecak i wybiegł z budynku uniwersytetu.

Kwadrans później wysiadł z tramwaju pod tonącym we mgle budynkiem akademika. Pokój dzielił z Karolem i Mateuszem, których w tej chwili nie było; studiowali na innym kierunku i mieli wrócić dopiero po piętnastej. Dominik spojżał na zegarek i uśmiechnął się. Miał ponad dwie godziny dla siebie!

Pośpiesznie zdjął buty, wsunął stopy w kapcie z plecionej skóry, a następnie sięgnął po pudełko z tabliczką, leżące na półce nad jego łóżkiem. Kiedy je otworzył, poczuł znajomy zapach starego drewna i lakieru. Cudownie, pomyślał podekscytowany.

Nabył to cacko za niecałą stówę od podstarzałego faceta handlującego starociami na Rynku Łazarskim. Gość początkowo zaśpiewał trzysta złotych, ale Dominik doskonale wiedział, że gdzie jak gdzie, ale na Rynku Łazarskim należy się targować. Sięgnął do portfela i powiedział, że ma tylko pięć dych. Handlarz starociami nie miał zamiaru godzić się na tak niską kwotę, więc Dominik przeliczył bilon. Było tego trochę ponad trzydzieści złotych. A więc w sumie ponad osiemdziesiąt.

– Więcej naprawdę nie mam. To jak będzie?

Poorana zmarszczkami twarz sprzedawcy przez dłuższą chwilę była nieruchoma, ale w końcu facet skinął głową i wyciągnął łapę po forszę.

Ouija należała do Dominika. Wyglądała na starą, choć nie było wygrawerowanej daty produkcji. Mogła mieć dziesięć lat albo sto dziesięć, kto to wie.

Od dawna zamierzał pobawić się w wywoływanie duchów, ale jakoś nie miał odwagi. Matka powtarzała mu, że to niebezpieczne i żeby najlepiej od razu zapomnieć o tego typu rzeczach. Potem przeczytał kilka artykułów, w których było więcej ostrzeżeń niż na paczce papierosów.

Ale kiedy ujrzał tabliczkę na straganie u handlarza...

Trochę adrenalinki nie zaszkodzi, pomyślał. Kiedy pokazał drewniane pudełko wraz z zawartością Karolowi i Mateuszowi, jednogłośnie postanowili, że czas rozpocząć wywoływanie duchów.

Dominik i Karol z artykułów i filmów wiedzieli, jak to się robi, Mateusz nie był obeznany, ale błyskawicznie poczuł klimat.

Przez blisko tydzień z rzędu siadali wieczorami przy małym okrągłym stoliku i nawoływali. Najpierw chcieli nawiązać kontakt z duchem babki Karola, ale bezskutecznie. Następnie podjęli próbę wezwania wujka Dominika, ale to również nie przyniosło zamierzonego efektu. Pradziadek Karola też nie dał o sobie znać, nie odezwała się także matka chrzestna Mateusza.

Mateusz dał sobie spokój z wywoływaniem duchów, uznając, że to głównie warte. Karol i Dominik nie poddali się jednak i nadal siadali wieczorami przy stoliku, koncentrując myśli na nieżyjących bliskich, o których wcześniej sobie opowiadali i których fotografie przeglądali. Ale zarówno żółta, prostokątna tabliczka z namalowanymi czarną farbą literami alfabetu, cyframi oraz dwoma prostymi słowami TAK i NIE, jak również elementy w postaci talerzyka z przyklejoną do niego strzałką pozostawały nieruchome.

Duchów nie ma, w pewnej chwili przemknęło przez myśl Dominikowi. Sprawdził. Trudno. Nie ma, to nie ma. Czas wracać do szarej codzienności, do tego, co bez wątpienia istnieje. W dodatku również Karol stwierdził, że to nie ma sensu i oznajmił, że dłużej się w to nie bawi.

Dominik został zatem sam... na sam z tabliczką. Wahał się długo, ale potem zdecydował się przywołać od dawna nieżyjącą ciotkę Brunię. W końcu się uda, powtarzał uparcie. Przecież duchy muszą gdzieś tam istnieć, w miejscu, do którego żywi nie mają dostępu. No już, trzeba porozmawiać z cicią Brunią. Cholera, nie pamiętał nawet dokładnie, jak ona wyglądała. Miała kręcone włosy, tylko tyle wiedział. Jasne, bardzo jasne, kręcone... Zaraz, zaraz. Był też pieprzyk na prawym policzku i lekko wykrzywiony nos. Wujek Kacper złamał jej go przy okazji jednej z ich słynnych awantur, w trakcie których po całym domu latały talerze, popielniczki, a nawet wazony – i to nie za sprawą duchów!

Chłopak westchnął, pokręcił głową, by rozluźnić mięśnie, a potem położył dłoń na talerzyku. Ciciu, pomyślał. Przywitaj się ze mną ładnie, dobrze?

• • •

Talerzyk z przymocowaną doń strzałką drgnął. Dominik nie był pewien, czy on sam w jakiś sposób sprawił, że to się stało, czy to efekt obecności ducha.

– Ciciu Bruniu, czy to ty? – spytał.

Tym razem talerzyk ani drgnął.

– Ciciu? Mogłabyś dać mi jakiś znak?

Wtedy talerzyk lekko poruszył się. Dominik na długo wstrzymał oddech z wrażenia. W pewnej chwili również się wystraszył, ale w końcu to podekscytowanie zwyciężyło i zadał pytanie po raz kolejny:

– Ciciu Bruniu, to ty?

Talerzyk pod jego dłonią wskazał słowo:

NIE.

A jednak to działa, pomyślał chłopak. Nie do wiary, można wywołać duchy za pomocą tabliczki. One istnieją. Tylko że wzywał ciocię Brunię, kto zatem pojawił się zamiast niej? Kto mu odpowiedział? Był tak przejęty, że kolejnych kilka minut obmyślał następne pytanie. Wreszcie wypowiedział je na głos:

– Skoro nie jesteś ciocią Brunią, podaj swoje imię.

Talerzyk drgnął, a następnie strzałka wskazała następujące literki:

A. D. O. L. F.

Dominika sparaliżowało. W niejednej książce czytał, że zdarza się, iż zamiast przywołanej osoby, uaktywnia się ktoś zupełnie inny. Ktoś o niekoniecznie dobrych zamiarach. Słyszał, że dość często zdarzało się Adolfowi Hitlerowi dawać w ten sposób o sobie znać. Za życia był wielkim fanem okultyzmu i podobno nieraz miał do czynienia z tabliczką Ouija.

Co, jeśli to on? Hitler? Dominikowi nie chciało się w to wierzyć, ale musiał się upewnić.

– Adolf? Adolf Hitler? – spytał. – Jesteś tym Adolfem Hitlerem?

NIE.

Poczuł się nieco uspokojony, choć nie sposób było mówić o pełnym komforcie. W końcu po raz pierwszy zetknął się z duchem. Z prawdziwym duchem!

– W takim razie podaj swoje nazwisko.

Talerzyk drgnął.

A potem nic.

– Masz na imię Adolf, a jak się nazywasz? – nie ustępował Dominik. Może to jakaś zbłąkana dusza, która przypadkiem usłyszała jego nawoływania?

E. I. C. H.

Przerwa.

– Eich? – zapytał Dominik.

M. A. N. N.

– Eichmann?

TAK.

Adolf Eichmann. Zmroziło go nie na żarty. Znał to nazwisko. Wiedział, czym w trakcie drugiej wojny światowej zajmował się ten człowiek. Był nazistą, zbrodniarzem wojennym. Odpowiadał za eksterminację wielu Żydów, za ich śmierć. Był prawdziwym potworem, skazanym dopiero w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim. A teraz był po drugiej stronie, niemal namacalny. Rozmawiał z Dominikiem...

– Eichmann, to naprawdę ty?

TAK.

– Dlaczego się odzywasz? Wzywałem kogoś innego.

P. O. W. I. N. I. E. N. E. Ś. W. I. E. D. Z. I. E. Ć.

Dominik zadrżał. Do czego ten duch zmierzał? Chłopak wahał się, zanim zadał kolejne pytanie.

– Czego chcesz?

Długo nic, a potem:

T. E. G. O. C. O. Z. W. Y K. L. E.

Dominik odrzucił talerzyk, a potem natychmiast złożył tabliczkę na pół. Wiedział, że tak nie przerywa się seansów, zwłaszcza takich, podczas których rozmawia się z duchem sam na sam, ale nie mógł się powstrzymać. Zagrały emocje. Tryliardy myśli w jednej chwili storpedowały jego umysł i nie był w stanie zapanować nad sobą. Talerzyk odbił się od ściany, spadł na podłogę i znieruchomiał. Zrobiło się tak cicho, że Dominik mógł wsłuchać się w odgłos bicia własnego serca. Trudno to było w ogóle nazwać biciem. Serce waliło mu jak młotem.

•••

Gdy wrócił Mateusz, a następnie Karol, Dominik leżał na łóżku, dumając nad tym, co się wydarzyło.

– Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył – rzucił Karol pod jego adresem.

– Coś w tym rodzaju – odparł Dominik.

Mateusz zmarszczył brwi.

– Nie gadaj, że ci się udało.

– Chyba jednak tak.

Karol parsknął.

– Weź nie ściemniaj. Duchów nie ma.

Dominik skinął głową.

– Zdziwiłbyś się.

Mateusz usiadł obok niego i wyszczerzył zęby.

– No to opowiadaj. Naprawdę kogoś przywołałeś? Jakim chujem?

Dominik pociągnął nosem.

– Zachciało mi się porozmawiać z ciocią Brunią – powiedział w końcu. – Zamiast tego uciałem sobie pogawędkę z Adolfem Eichmannem, nazistą i ludobójcą.

Mateusz zrobił wielkie oczy.

– Tym od Żydów?

– Tak.

– Sądzisz, że... – Mateusz celowo nie dokończył. W końcu jednak nie wytrzymał. – Myślisz, że on wiedział?

– O tym, że wywodzę się z żydowskiej rodziny? – prychnął Dominik. – A czy to twoim zdaniem śmierdzi zbiegiem okoliczności?

• • •

Dwa dni później Mateusz wrócił do akademika pierwszy, jak sądził. Dopiero kwadrans później zorientował się, że pierwszy jednak wrócił Dominik – tylko że jego poćwiartowane ciało spoczywało pod kanapą. W pewnym momencie Mat zobaczył krew, a potem sprawy szybko się potoczyły. Policja, prokurator, przesłuchanie, szok, zmęczenie, nowy pokój w akademiku.

I jeszcze tabliczka Dominika, którą zabrał ze sobą tamtego feralnego dnia. Leżała w kącie pokoju, więc mechanicznie po nią sięgnął, sam nie wiedział, dlaczego. Teraz była jego własnością.

Wyglądało na to, że tego biedaka ktoś zamordował. No bo samobójstwo to raczej nie było. Gościu został pokrojony... Mateusz

był wstrząśnięty. Karol zresztą też, ale on nie musiał oglądać tego wszystkiego. Odrąbanych rąk, nóg, głowy.

Minął tydzień, potem drugi i kolejne. Mateusz od czasu do czasu spoglądał tylko w stronę tabliczki, aż wreszcie przyszedł moment, gdy po nią sięgnął i otworzył. Karol nie wrócił jeszcze i nie zapowiadało się, że nastąpi to rychło – umówił się z jakąś laską...

Mateusz tak bardzo chciał wiedzieć, co przytrafiło się Dominikowi. Policja nie miała nic. Żadnego tropu. Błądzili po omacku.

Więc pomyślał, że zapyta samego Dominika. Jakby to nie brzmiało dziwacznie, spróbować przecież mógł, prawda? Nikt się nie dowie, a może a nuż się powiedzie...

Wiedział, jak zacząć, więc to zrobił. Pochwycił talerzyk ze wskaźnikiem i rzekł:

– Wzywam Dominika Robakowskiego. Wzywam Dominika Robakowskiego, aby zamienić z nim kilka słów. Dominiku, to ja, Mateusz. Chciałbym z tobą porozmawiać. Wzywam Dominika Robakowskiego. Jeśli jest w pobliżu, niech da jakiś znak.

Nic.

Cisza.

Żadnego znaku.

– Wzywam Dominika Robakowskiego...

Firany w oknach poruszyły się, choć okno było szczelnie zamknięte. Zrobiło się chłodniej. Talerzyk pozostawał nieruchomy.

– Dominik, czy to ty? Jesteś tutaj?

Cisza.

Nieznaczne poruszenie firany.

Chłód taki, że Mat poczuł gęsią skórkę.

– Dominik, daj mi jakiś znak.

Lekkie drgnięcie talerzyka. I dalej nic.

– Dominik, chcę z tobą porozmawiać. Chcę cię zapytać o to, co wydarzyło się tamtego dnia, kiedy...

Tym razem talerzyk zdecydowanie się poruszył. Strzałka obróciła się i wskazała słowo:

NIE.

Mateusz przez moment namyślał się. Do tej pory nie wierzył w duchy, nie wierzył w zjawiska paranormalne ani nawet w Boga. Był przerażony, ale wiedział, że musi kontynuować seans. Musiał dowiedzieć się, co tam się stało.

– Nie chcesz o tym rozmawiać?

I znowu: NIE.

– Pomógłbyś w złapaniu zabójcy...

NIE.

– Dominik?

NIE.

– Nie jesteś Dominik? Hej, czy rozmawiam z Dominikiem Robakowskim?

NIE.

Mat przełknął ślinę.

– W takim razie z kim?

Nic.

– W takim razie z kim rozmawiam? – naciskał Mat. – Przedstaw się. Chcę wiedzieć, kim jesteś.

Talerzyk zaczął szaleć po tablicy, wskazując kolejno litery:

C. T. H. U. L. H. U.

Mat zamarł. Co to wszystko miało znaczyć? Ktoś robił sobie z niego jaja?

Cthulhu? Ten Cthulhu? Uwielbiał Lovecrafta, przeczytał wszystkie utwory tego autora, niektóre znał nawet na pamięć. Wiedział więc, co to Cthulhu. Wiedział też, że całą mitologię Cthulhu samotnik z Providence opracował z myślą o kolejnych utworach prozatorskich.

Nie było czegoś takiego jak Cthulhu. Nie istniał nawet w mitach i legendach. Stanowił wymysł autora.

A więc jak to możliwe, że...

– Możesz to zrobić jeszcze raz? Przedstaw się – polecił duchowi, który bez wahania odpowiedział:

C. T. H. U. L. H. U.

• • •

Było grubo po północy, gdy Karol wrócił do akademika. Niezłe się nasłuchał od portiera. Pan jest pijany. Pan wraca coraz później. Nie mam obowiązku wpuszczać tu kogokolwiek po godzinie dwudziestej drugiej. Następnym razem...

Pierdolenie o Szopenie, pomyślał Karol.

Kiedy wszedł do pokoju, doznał dziwnego uczucia. Jakby coś wisiało w powietrzu. Coś, co go zaniepokoiło i jednocześnie sprawiło, że część promili w jego krwi ulotniła się.

– Mat? – burknął i zapalił światło.

A potem wydarł się na całe gardło, stawiając na nogi cały akademik.

• • •

Z ciała Mateusza Witoldczaka wypruto wszystkie wnętrzności, a potem porzuczono je po całym pokoju. W jego ciele znaleziono zielonkawą substancję, której żaden ekspert nie potrafił zidentyfikować, więc posłano ją na jakiś renomowany uniwersytet, by supermózgi mogły się wypowiedzieć. Policja nie miała nic. Karol za to miał zjechaną psychikę i przez długie miesiące nie mógł dojść do siebie. Przerwał zajęcia na uczelni, wrócił do rodzinnego miasteczka. Wstawał codziennie o szóstej i przez blisko godzinę gapił się w tabliczkę. Zastanawiał się, skąd wzięła się w jego plecaku. Gdy przed wyjazdem się pakował, mógł przysiąc, że widział tabliczkę leżącą na podłodze w kącie pokoju. Nie zabierał jej ze sobą, z całą pewnością!

Jakimś sposobem znalazła się w jego plecaku. Gapił się na nią i próbował dociec, jak to się stało.

Pewnego dnia dotknął jej. Była ciepła, jakby właśnie ktoś skończył się nią posługiwać. Odłożył ją.

Po paru dniach znów po nią sięgnął.

Nie wierzył w duchy. Duchy nie istnieją, myślał. Więc co zabiło Dominika i Mateusza?

Otworzył tabliczkę.

– Kto odpowiada za śmierć moich przyjaciół? – wychrypiał.

Ale talerzyk ani drgnął.

Chłopak położył tabliczkę na łóżku i wyszedł z pokoju. Udał się do kuchni po browar. Ojciec zaopatrywał się w najlepsze piwo. Jasne, ciemne, pasteryzowane, niepasteryzowane, owocowe, miodowe. Jakie tylko chciałeś.

Karol nie mógł widzieć talerzyka ze strzałką, sunącego po tablicy i układającego odpowiedź:

A. D. O. L. F

C. T. H. U. L. H. U.

A potem:

A. D. L. A. C. I. E. B. I. E. L. E. D. I. A. B. L. E. P. R. Z. Y. J. A. C. I.
E. L. U.

Nie mógł też usłyszeć stłumionego, jakby dochodzącego z innego wymiaru, chichotu.

Od autora...

Drogi Czytelniku,

Mam dla Ciebie prezent. Domyślasz się, jaki? Oczywiście, ręcznie rzeźbioną tabliczkę Ouija. Jest piękna. I zapewne bardzo kosztowna. Postanowiłem Ci ją podarować. Ot tak, z czystej sympatii. Być może Ci się przyda. Może posłuży Ci jako ozdoba albo sprezentujesz ją komuś i ta osoba bardzo się ucieszy. Albo po prostu ją wypróbujesz, tak, jak ja to zrobiłem.

Niegdyś sprzedałem ją na targu, ale wróciła. Ona przywiązuje się do ludzi, którzy o nią dbają. A ten, komu ją sprzedałem,

najwyraźniej nie potrafił się nią posługiwać. Być może ty będziesz umiał. I dobrze wykorzystasz jej umiejętności...

Proszę, ona jest już Twoja.

Baw się dobrze i, jakby to powiedział James Dean, zostaw po sobie dobrze wyglądające zwłoki.

Washington Irving (ur. 1783 – zm. 1859) – amerykański pisarz, historyk i dyplomata, prekursor amerykańskiej prozy romantycznej. *Legenda o Sleepy Hollow* należy do najpopularniejszych jego opowiadań, które w niniejszym zbiorze pojawia się po raz pierwszy w nowym tłumaczeniu! Na podstawie Legendy... Tim Burton nakręcił film w 1999 roku, zatytułowany *Jeździec bez głowy*. Główną rolę zagrał Johnny Depp.

Washington Irving

Legenda o Sleepy Hollow

Odnaleziono wśród dokumentów świętej pamięci Diedrecha Knickerbockera.

*Ujmujący kraj snem uderzający do głowy,
Mar zjawionych przed wół przymkniętym okiem;
I beztroskich zamków wśród chmur,
Zawsze wędrujących po letnim niebie.
Twierdza Ospałości.*

James Thomson

Na łonie jednej z tych przestronnych zatok, które wrzynają się we wschodni brzeg Hudson, przy poszerzeniu rzeki zwanym przez dawnych holenderskich żeglarzy Tappan Zee, którzy przepływając się przez nie, przezornie refowali żagle i polecali się opiece świętego Mikołaja Cudotwórcy, położone jest miasteczko targowe, czy też port wiejski, przez niektórych zwane Greensburgh. Jednak bardziej powszechnie znane jest pod swoją prawdziwą nazwą Tarry Town, czyli Miasteczko Zwłoka. Powiadają, że tę nazwę nadały mu w dawnych czasach gospodynie z sąsiedniej wsi z powodu niepoprawnej skłonności ich mężów do przeciągania wizyt w tamtejszej tawernie w dni targowe. Nie wiem, czy to prawda i nie potwierdzam tej wersji, a jedynie relacjonuję ją, by być

dokładnym. Niedaleko tego miasteczka, może ze trzy kilometry, znajduje się mała dolina, czy raczej skrawek ziemi otoczony wysokimi wzgórzami, będąca jednym z najcichszych miejsc na świecie. Przepływa przez nią niewielki potok, który szumi akurat na tyle głośno, by ukołysać do snu, a jedynymi dźwiękami, jakie kiedykolwiek zakłócają to zacisze, są sporadyczne pogwizdywania przepiórki lub stukanie dzięcioła.

Przypominam sobie, że pierwszy raz polowałem na wiewiórki w gaju wysokich orzechów, które ocieniają jedną stronę tej doliny. Byłem wtedy jeszcze wyrostkiem. Zawędrowałem tam w południe, gdy cała natura jest osobliwie spokojna, i zaskoczył mnie huk mojej własnej broni, który przerwał niedzielny bezruch i który wiele razy powtórzyło rozgniewane echo. Gdybym kiedykolwiek zapragnął ustronia, gdzie mógłbym zaszyć się z dala od świata i jego rozrywek i błogo przedumać resztę burzliwego życia, nie znalazłbym chyba lepszego miejsca niż ta niewielka dolina.

Z powodu panującego tu apatycznego spokoju oraz szczególnego charakteru jego mieszkańców, potomków holenderskich osadników, ten odosobniony wąwóz od dawna znany jest jako Sleepy Hollow, Senna Dolina, a tutejsi chłopcy znani są w całej okolicy jako chłopcy ze Sleepy Hollow. Ospała, marzycielska aura unosi się tutaj nad ziemią i przenika powietrze. Niektórzy powiadają, że kotlina został zaklęta przez niemieckiego doktora w początkach osadnictwa. Inni, że stary indiański wódz, szaman albo czarownik swojego plemienia organizował tam pow-wow, zanim kraj został odkryty przez pana Hendricka Hudsona. Pewnym jest, że miejsce to nadal pozostaje pod wpływem jakiejś czarodziejskiej mocy i z tego powodu zaci ni jego mieszkańcy nieustannie pogrążeni są w sennej zadumie. Są poza tym skłonni wierzyć we wszelkie nadprzyrodzone zjawiska; doświadczają transów i wizji, często widują osobliwe znaki, słyszą muzykę lub głosy dobiegające nie wiadomo skąd. Cała okolica obfituje w legendy, nawiedzone miejsca i przesady. Nad doliną częściej spadają gwiazdy i częściej rozbłyskują meteory,

a zmora senna z orszakiem sióstr uczyniła ją ulubioną sceną swoich harców.

Jednak najważniejszy upiór nawiedzający ten zaklęty obszar i głównodowodzący wszystkich sił powietrza jest zjawą mężczyzny bez głowy dosiadającego konia. Niektórzy utrzymują, że to duch najemnika heskiego, którego kula armatnia pozbawiła głowy podczas jakiejś nienazwanej bitwy w trakcie wojny o niepodległość. Jest on od czasu do czasu widywany przez mieszkańców, jak pędzi przez mroki nocy jakby na skrzydłach wiatru. Nawiedza nie tylko dolinę, zapuszcza się również na sąsiednie drogi, zwłaszcza w sąsiedztwo kościoła położonego w niedalekiej okolicy. Niektórzy z najbardziej wiernych faktom historyków spisujących dzieje tego miejsca, którzy skrupulatnie gromadzili i badali ulotne fakty dotyczące widma, twierdzą, że żołnierz został pochowany na przykościelnym cmentarzu, a jego duch wyprawia się nocami na pole bitwy w poszukiwaniu swojej głowy i że zawrotna prędkość równa podmuchowi wiatru, z jaką czasem przejeżdża przez wąwóz, jest spowodowana spóźnieniem – upiór śpieszy się, by zdążyć wrócić na cmentarz przed świtem.

Takie jest ogólne brzmienie tej legendy, która posłużyła jako materiał dla wielu szalonych opowieści tej krainy cieni; a widmo to we wszystkich domach w miasteczku znane jest jako Bezgłowy Jeździec ze Sleepy Hollow.

To niezwykle, że marzycielskie skłonności, o których wspomniałem, nie ograniczają się do rodzimych mieszkańców doliny, ale każdy, kto tam zamieszka, nieświadomie je nabywa. Nieważne, jak mocno człowiek stąpał po ziemi, zanim się tu sprowadził, w niedługim czasie i tak odczuje skutki oddychania pełnym czaru powietrzem i zacznie rozwijać wyobraźnię, śnić sny i widzieć duchy.

Wspominam o tym cichym miejscu, wychwalając je na wszelkie możliwe sposoby, ponieważ w takich niewielkich, odosobnionych, holenderskich dolinach, które można znaleźć na terenach

wspaniałego stanu Nowy Jork, ludność, manieri i zwyczaje pozostają niezmiennie, a rwący potok migracji i postępu nieprzerwanie płynący przez inne części tego rozgorączkowanego kraju, przepływa obok, nie niepokojąc ich. Są jak malutkie zakątki spokojnej wody, która graniczy z rwącym nurtem, gdzie możemy zobaczyć patyczki i bąbelki nie niepokojone pędem mijającego je strumienia, jakby stojące spokojnie na kotwicy albo powoli krążące po swoim miniaturowym porcie. Chociaż upłynęło wiele lat, od kiedy spacerowałem w ospałym cieniu Sleepy Hollow, zastanawiam się, czy nie zobaczyłbym w zaciszu doliny tych samych drzew i tych samych rodzin.

W tym to spokojnym miejscu, w zamierzchłej przeszłości tego kraju, czyli jakieś trzydzieści lat temu, pewien zacny człowiek o nazwisku Ichabod Crane, mieszkał albo, jak sam to ujmował, „bawił” w Sleepy Hollow, by uczyć mieszkające w tej okolicy dzieci. Pochodził z Connecticut, stanu, który obdarza Unię pionierami torującymi nowe drogi zarówno w świecie nauki, jak i niedostępnej puszczy, i co roku wysyła do pracy zastępy przygranicznych drwali i wiejskich nauczycieli. Nazwisko Crane, Żuraw, pasowało do niego. Był wysoki, niezmiernie chudy, miał wąskie ramiona, długie ręce i nogi, wielkie dłonie, które zwisały z rękawa niemal do ziemi, stopy, które mogłyby służyć za łopaty; cała jego postać sprawiała wrażenie zbudowanej z luźno połączonych elementów. Jego głowa była mała i płaska na czubku, z wielkimi uszami, dużymi, zielonymi, szklistymi oczami i długim, strzelistym nosem – wyglądała jak kurek na dachu zatknięty na cienkiej szyi, wskazujący, z której strony wieje wiatr. Gdy widziało się nauczyciela, jak kroczy wzdłuż wzgórza w wietrzny dzień, a jego ubranie wydyma się i trzepocze, można go było wziąć za demona głodu, który nawiedził ziemię lub stracha na wróble, który uciekł z pola.

Jego szkoła mieściła się w niskim budynku, w którym znajdowało się tylko jedno duże pomieszczenie; jego ściany

tworzyły niezbyt starannie zbite bale, okna były częściowo przeszklone, częściowo załatanie stronami starych zeszytów. W godzinach wolnych od zajęć budynek był niezwykle pomysłowo zabezpieczany witką okręconą wokół klamki oraz palami podpierającymi okiennice; w ten sposób złodziej mógłby dostać się do środka z łatwością, jednak miałby pewien problem z wydostaniem się na zewnątrz – pomysł najprawdopodobniej oparty przez architekta Yosta Van Houtena na sekrecie pułapki na węgorze. Szkoła znajdowała się w dość odosobnionej, acz przyjemnej okolicy, u stóp zalesionego wzgórza, z przepływającym niedaleko strumykiem oraz ogromną brzozą rosnącą przy jednym z końców budynku. Stąd w senny, słoneczny dzień daje się słyszeć przypominający brzęczenie ula cichy pomruk głosów pochylonych nad lekcjami uczniów, od czasu do czasu przerywany autorytatywnym głosem nauczyciela, który upomina lub wydaje polecenie, a czasem też zatrważającym odgłosem jego różgi, którą nakłania jakiegoś opieszalego próżniaka do podążania kwiecistą drogą wiedzy. Pedagog był człowiekiem sumiennym i zawsze pamiętał o złotej maksymie: „Mietła wygania dzieci z piekła”. Ichabod Crane trzymał swoich uczniów bardzo daleko od piekielnych bram.

Nie wyobrażam sobie jednak, że ktoś mógłby uznać go za jednego z tych okrutnych, szkolnych możnowładców, których radowało cierpienie podwładnych. Wręcz przeciwnie, wymierzał sprawiedliwość rozumnie, a nie surowo; zdejmował brzemień kary z ramion słabych i obciążał nim silnych. Cherlawe wyrostki, które krzywiły się przy najlżejszym machnięciu różgą, były traktowane pobłaźliwie, jednak sprawiedliwości stawało się zadość, gdy podwójną porcję razów otrzymywał jakiś twardy, krnąbrny urwis, który dąsał się, zacinał i zbierał baty uparty i ponury. Wszystko to nauczyciel nazywał „spełnianiem obowiązku względem ich rodziców” i nigdy nie wymierzał chłosty bez wygłoszenia po

wszystkim zapewnienia, tak kojącego dla obolałego łobuziaka, że: „zapamięta to i jeszcze mu za to podziękuje”.

Kiedy lekcje się kończyły, Ichabod stawał się często towarzyszem zabaw starszych chłopców; a w wolne popołudnia odprowadzał do domu tych spośród młodszych uczniów, którzy mieli ładne siostry albo dobre gospodynie domowe za matki, znane z pysznej zawartości spiżarni. W jego interesie leżało pozostawanie w dobrych stosunkach z podopiecznymi. Dochód, jaki przynosiło mu prowadzenie szkoły, był niewielki i ledwie wystarczał, by zapewnić mu chleb powszedni, a to dlatego, że miał ogromny apetyt i choć wyglądał mizernie, potrafił rozciągnąć się jak anakonda. Jednak zgodnie ze zwyczajem panującym w tych stronach pedagog korzystał z wikt i noclegu udzielanego mu przez farmerów, których dzieci uczył. Mieszkał w jednym miejscu przez tydzień, a potem przenosił się do następnego domu, wędrując w ten sposób po okolicy z całym swoim ziemskim dobytkiem zapakowanym w bawełnianą chusteczkę.

Aby to wszystko nie było specjalnie uciążliwe dla kieszeni wiejskich mecenasów, którzy są skłonni traktować koszty kształcenia jako przykre brzemię, a nauczycieli jako zwykłych trutni, miał liczne sposoby uczynienia swojej obecności użyteczną i przyjemną. Od czasu do czasu wspierał farmerów w lżejszych pracach gospodarczych, pomagał przy sianokosach, naprawiał płoty, prowadził konie do wodopoju, spędzał krowy z pastwisk i rąbał drewno na zimowe ognisko. Wyzbywał się też królewskiej powagi i władczości, z jakimi panował w swoim szkolnym imperium, i stawał się cudownie łagodny i przymilny. Zaskarbiał sobie przychyłność matek, zajmując się dziećmi, zwłaszcza najmłodszymi; i jak mężny lew, który tak wielkodusznie leżał onegdaj obok jagnięcia, całymi godzinami siedział z maluchem na kolanie, kołyszając stopą kołyskę.

Oprócz innych zajęć był również nauczycielem śpiewu i wiele błyszczących szylingów trafiło do jego kieszeni jako zapłata za

nauczanie młodzieży psalmów. Pysznił się wielce, gdy w niedzielę stawał na chórze kościelnym z grupą wybranych śpiewaków; kiedy to, we własnym przekonaniu, bezsprzecznie odbierał pastorowi palmę pierwszeństwa. Jedno jest pewne, jego głos zdecydowanie górował nad resztą wiernych. W tym kościele – i jeszcze z kilometr dalej, po drugiej stronie stawu przy młynie – w spokojny niedzielny poranek do tej pory słyhać osobliwe tremolo, które, jak powiadają, jest prawowitym potomkiem metod nauczania Ichaboda Crane’a. I tak pomysłowo chwytając się dorywczych zajęć w sposób, jaki powszechnie określa się jako „nie przebierając w środkach”, zacny pedagog dawał sobie jakoś radę, a wszyscy ci, którzy nie mieli pojęcia o trudach pracy umysłowej, myśleli, że żyje mu się niezwykle łatwo.

Nauczyciel jest zazwyczaj dość ważną personą dla kręgów kobiecych w wiejskich społecznościach, ponieważ uważany jest za dżentelmena o guście i dokonaniach znacznie przewyższających nieobytych wieśniaków, a pod względem wykształcenia ustępującego jedynie pastorowi. Jego wizyta na podwieczorku wywołuje zatem pewne poruszenie oraz podanie dodatkowej porcji ciasta lub łakoci, albo też paradne wystąpienie srebrnego imbryka. Dlatego też nasz człowiek nauki czuł się szczególnie dobrze wśród uśmiechów przychylnych mu wiejskich panien. Z jaką dumą paradował wśród nich przed kościołem w przerwie między niedzielnymi nabożeństwami, zrywając dla nich winogrona z dzikich winorośli, jakie obrastały okoliczne drzewa, odcytując dla ich rozrywki wszystkie nagrobne epitafia albo przechadzając się z całym ich stadkiem nad pobliskim stawem. Prowincjusze, bardziej wstydliwi i onieśmieleni, trzymali się z tyłu, zazdroszcząc nauczycielowi elegancji i umiejętności wystąpienia się.

Z powodu wędrownego trybu życia stanowił również rodzaj podróżującej gazety; prznosił z domu do domu cały zbiór lokalnych plotek, dlatego też jego pojawienie się było zawsze witane z zadowoleniem. Cieszył się ponadto szacunkiem kobiet jako

mężczyzna wysoce wyedukowany, ponieważ przeczytał kilka książek od deski do deski i był absolutnym znawcą *Historii Czarostwa Nowej Anglii* autorstwa Cottona Mathera, w którą swoją drogą ogromnie mocno wierzył.

Stanowił dziwne połączenie drobnej przebiegłości i prostodusznej łatwowierności. Jego apetyt na nadprzyrodzone zjawiska oraz zdolność ich przetrwania były równie zadziwiające i zostały wzmożone przez pobyt w tym zaczarowanym regionie. Żadna opowieść nie była tak odpychająca lub przerażająca, by nie zdołał jej łyknąć. Często dla przyjemności, po tym jak odesłał już uczniów do domu, kładł się na koniczynie bujnie porastającej brzeg niewielkiego strumyka, który cicho szemrał w pobliżu szkoły, i zagłębiał się w straszliwych opowieściach starego Mathera, dopóki zapadający zmrok nie sprawiał, że strony rozmazywały mu się przed oczami. Potem, gdy w godzinie duchów przez moczary, strumień i przerażające leśne knieje udawał się do gospodarstwa, w którym akurat rezydował, każdy odgłos natury podniecał jego rozbudzoną wyobraźnię – od dobiegającego ze wzgórza jękliwego gruchania lelkowca krzykliwego przez złowróźbny skrzek żaby drzewnej, zwiastuna burzy oraz ponure pohukiwanie sowy do niespodziewanego szelestu wśród zarośli, gdy przestraszone ptaki zrywały się z gałęzi. Również robaczki świętojańskie, które rozbłyskiwały mocnym światłem w ciemności, od czasu do czasu napędzały mu stracha, gdy niezwykła jasność pojawiła się na jego drodze. A jeśli przypadkiem chrząszcz bezmyślnie wpadł na niego w locie, biedny pedagog był gotów wyzionąć ducha przekonany, że trafiło go zaklęcie czarownicy. W takich chwilach jego jedynym sposobem na zagłuszenie własnych myśli lub odstraszenie złych duchów było śpiewanie psalmów, więc dobrych ludzi ze Sleepy Hollow siedzących wieczorem na ganku przed domem często przechodziła trwoga, gdy słyszeli jego nosowe śpiewy o wyczekanych rozkoszach, unoszące się znad odległego wzgórza lub mrocznej drogi.

Kolejnym źródłem rozrywki podszytej dreszczykiem przerażenia były zimowe wieczory spędzane ze starymi gospodyniami, podczas których siedziały, przędąc przy kominku, a nad ogniskiem piekły się skwierczące jabłka. Ichabod słuchał wtedy ich cudownych opowieści o duchach, goblinach, nawiedzonych polach, strumykach i domostwach, a zwłaszcza o bezgłowym jeźdźcu czy, jak go czasami nazywały, Galopującym Hesie z Hallow. Nauczyciel odwdzięczał się opowieściami o czarach, ponurych omenach oraz złowieszczych znakach i odgłosach, które dominowały we wcześniejszych czasach Connecticut. Straszyl je przygnębiającymi rozważaniami o kometach, spadających gwiazdach oraz niepokojącym faktem, że świat ponad wszelką wątpliwość się obraca i przez połowę czasu znajdują się do góry nogami!

Jeśli jednak znajdował w tym wszystkim przyjemność, gdy bezpieczny grzał się przy kominku w przytulnym pokoju otulonym czerwoną poświatą ogniska, gdzie oczywiście żaden duch nie ważył się pokazać, była ona drogo okupiona grozą późniejszego powrotu do domu. Jakież straszliwe kształty i cienie osaczały go wśród mroków i upiornych błysków śnieżnych nocy! Jakimż tęsknym spojrzeniem obdarzał każdy drżący promyk światła sączący się przez leżące odłogiem pola z jakiegoś odległego okna! Jakże często strachem napełniał go przykryty śniegiem krzak, który jak oblodzona zmora zastępował mu drogę! Jakże często kulił się z mrożącej krew w żyłach trwogi na dźwięk własnych kroków na zmrożonej ziemi i obawiał się obejrzeć przez ramię, żeby nie zobaczyć jakiejś nieznamym istoty skradającej się tuż za nim! I jakże często jego absolutne przerażenie budził nagły podmuch czy zawrodozenie wiatru przywołujące na myśl, że to Galopujący Hes pędzi podczas jednej ze swoich nocnych wypraw poszukiwawczych!

Wszystko to były jedynie koszmary nocy, złudzenia umysłu, który kroczy w ciemności. I choć w swoim czasie nauczyciel widział wiele upiorów i więcej niż raz podczas samotnych przechadzek nękał go Szatan pod przeróżnymi postaciami, to świt kładł kres

wszelkiemu złu. I Ichabod wiódłby przyjemne życie, mimo diabła i jego starań, gdyby na jego drodze nie stanęła istota, która przysparza śmiertelnemu mężczyźnie więcej rozterek niż duchy, gobliny i cały ród wiedźm razem wzięte, a mianowicie – kobieta.

Wśród jego muzycznych adeptów, którzy zbierali się raz w tygodniu, by pobierać nauki w sztuce psalmodii, znajdowała się Katrina Van Tassel, jedyne dziecko dostatniego holenderskiego farmera. Była to dorodna osiemnastoletnia panna; pulchna jak przepiórka; dojrzała, delikatna i rumiana jak brzoskwinie jej ojca i powszechnie znana nie tylko z powodu urody, lecz również ogromnych oczekiwań. Poza tym była trochę kokietką, co można było dostrzec nawet po jej sukniach, które łączyły stare i nowe mody, tak by jak najlepiej podkreślić wdzięki. Nosiała ozdoby ze szczerego złota, które jej praprababka przywiozła z Saardamu, ponętny bawet z dawnych czasów, a do tego prowokująco krótką spódnicę odsłaniającą najładniejsze kostki w okolicy.

Ichabod Crane miał serce miękkie i wrażliwie na wdzięk płci przeciwnej, dlatego nic dziwnego, że tak kuszący kąsek znalazł w jego oczach uznanie, zwłaszcza po tym, gdy nauczyciel odwiedził posiadłości rodziców uczennicy. Stary Baltus Van Tassel był ucieleśnieniem doskonale prosperującego, zadowolonego z życia i dobrodusznego farmera. Rzadko, co prawda, wybiegał wzrokiem lub myślą poza granice własnego gospodarstwa, ale w jego obrębie wszystko było wygodne, pełne szczęścia i dobrze utrzymane. Cieszył się z bogactwa, ale nie pysznił się; dumą napełniała go raczej radość dostatku niż wykwintność. Jego twierdza była położona na brzegu Hudson, w jednym z tych zielonych, osłoniętych, żyznych zakątków, w których tak chętnie osadzają się holenderscy farmerzy. Rósł tam ogromny wiąz z rozłożystą koroną, u jego stóp biło źródło najdelikatniejszej i najśodszej wody, zbierającej się w małej studni zrobionej z beczki, które potem wymykało się poprzez trawy do sąsiedniego strumyka, który chlupotał wesoło pośród olch i wierzb. Niedaleko farmy znajdowała się także

przestronna stodoła, która mogłaby służyć za kościół. Aż pękała w szwach od rolniczych skarbów: pracowite odgłosy młocki rozbrzmiewały od rana do nocy. Jaskółki przelatowały, ćwierkając pod okapem, a rzędy gołębi – niektóre z oczami zwróconymi do nieba, jakby obserwowały pogodę, niektóre z główkami schowanymi pod skrzydłami, a inne puszące piórka, gruchające i zabiegające o względy swoich dam – wygrzewały się w słońcu na dachu. Ociężałe tuczniki o lśniącej sierści pochrząkiwały, ciesząc się spokojem i obfitością swojej zagrody, skąd niekiedy wyruszał szwadron warchlaków, jakby na misję obwąchania powietrza. Imponujące brygady śnieżnobiałych gęsi pływały w pobliskiej sadzawce, konwojując całą flotę kaczek, regimenty indyków gulgotały na podwórku, a perlice miotały się, utyskując z niezadowoleniem jak rozdrażnione gospodynie. Przed drzwiami stodoły przechadzał się wytworny kogut, ten wzór męża, wojownika i doskonałego dżentelmena, trzepocząc błyszczącymi skrzydłami i piejąc z dumą i radością w sercu – od czasu do czasu grzebnął ziemię pazurem, a potem wspaniałomyślnie przywoływał wiecznie głodne żony i dzieci, by uraczyły się smakowitym kąskiem, jaki dla nich wynalazł.

Pedagogowi ślinka ciekła, gdy patrzył na tę obietnicę luksusowego, zimowego menu. Jego łapczywe oczy podsuwały mu obrazy pieczonych świń biegających z kaszanką w brzuchu i jabłkiem w pysku; gołębie kładły się spać w wygodne ciasta, otulone pierzyną z chrupkiej posypki; gęsi pływały w sosie własnym, a kaczki dobierały się w pary na półmiskach jak tulący się do siebie małżonkowie skromnie przykryci sosem cebulowym. W tucznikach widział już przyszłe kawałki bekonu i soczystą rozkoszną szyneczkę. Dostrzegał nie indyka, lecz pieczeń z żołądkiem schowanym pod skrzydło oraz może naszyjnikiem z aromatycznych kiełbasek i nawet kolorowy kogut leżał na plecach na talerzu z pazurami uniesionymi do góry, jakby błagając o litość, o którą jego rycerski duch ze wzgardą odmawiał prosić za życia.

Gdy oczarowany Ichabod fantazjował o tym wszystkim i spojrzeniem swoich dużych, zielonych oczu obejmował żyzne łąki, pola pełne pszenicy, żyta, gryki i kukurydzy oraz otaczający pełną życia posiadłość Van Tessela owocowy sad, gdzie gałęzie uginały się pod rumianymi owocami, jego serce aż wyrывało się do młodej damy, która miała odziedziczyć to królestwo. W jego marzeniach powstawał już obraz tego, jak łatwo można by te wspaniałości spieniężyć, a gotówkę zainwestować w bezkresne połacie dzikich terenów i pałace z drewnianymi dachami budowane w głuszy. Mało tego, jego twórcza wyobraźnia od razu ziszczala nadzieje i ukazywała mu śliczną Katrinę z całą gromadką dzieci siedzących na wozie wyładowanym błyszczącymi gratami, z garnkami i kociołkami wiszącymi ze wszystkich stron. Siebie zaś widział jadącego obok na klaczy, stępa, z coltem przy pasie – wyruszali do Kentucky w Tennessee albo jeden Pan wie gdzie!

Kiedy przekroczył próg domu, jego serce zostało zdobyte bez reszty. Było to jedno z tych przestronnych farmerskich domostw ze spadzistymi dachami, wybudowane w stylu przekazywanym z pokolenia na pokolenie od pierwszych holenderskich osadników. Z przodu domu nisko opadające okapy tworzyły werandę, którą zimą można było zamknąć. Pod nimi wisiały cepy, uprząże, przeróżne narzędzia gospodarcze i sieci do łowienia ryb w pobliskiej rzece. Po bokach stały ławki, by w lato można było tu usiąść, na jednym końcu stał też kołowrotek, a na drugim maselnica, co ukazywało, do jak wielu celów dawało się wykorzystać tę przybudówkę. Z werandy pełen zadziwienia Ichabod wszedł do holu, który stanowił centrum rezydencji i miejsce, gdzie zazwyczaj spędzali czas domownicy. Tu rząd olśniewających naczyń z pewteru ustawionych na długim kredensie oczarował jego oczy. W jednym z kątów stał worek wełny gotowej do przędzenia; w kolejnym samodiał świeżo zdjęty z krosna. Kolby kukurydzy oraz sznury suszonych jabłek i brzoskwiń tworzyły na ścianach kolorowe girlandy, które mieszały się z czerwonymi papryczkami

błyszczącymi jak klejnoty, a uchylone drzwi pozwoliły mu zerknąć do najlepszego salonu, gdzie krzesła z nogami zakończonymi szponami i ciemne, mahoniowe stoły lśniły jak lustra. Był tam też kominowy ruszt z dopasowanymi łopatkami i szczypcami połyskującymi spod liści asparagusa, półka nad kominkiem ozdobiona sztucznymi pomarańczami i muszlami i powieszonymi nad nimi szurami z różnokolorowymi ptasimi jajami. Wielkie strusie jajo zwisało spod sufitu na środku pokoju, a narożna serwantka, którą z premedytacją zostawiono otwartą, ukazywała niezmierzone skarby starego srebra i starannie posklejanej porcelany.

Od chwili, gdy oczom Ichaboda ukazała się ta kraina rozkoszy, jego umysł nie zaznał spokoju i jedynym przedmiotem jego dociekań było to, jak zdobyć przychylność niemającej sobie równych córki Van Tassela. Jednak w tym przedsięwzięciu napotykał więcej prawdziwych przeciwności, niż na ogół spadało na błędnego rycerza z dawnych czasów, który rzadko musiał walczyć z czymkolwiek poza gigantami, czarodziejami, ognistymi smokami i tym podobnymi łatwymi do pokonania przeciwnikami, a przedzierał się jedynie przez bramy z żelaza i mosiądzu oraz kamienne ściany niedostępnej twierdzy, gdzie uwięziona była dama jego serca – wszystkiego tego dokonywał równie łatwo, jak kroi się świąteczne ciasto, a potem ma się rozumieć lady oddawała mu swoją rękę. Natomiast Ichabod musiał zdobyć serce miejskiej kokietki otoczonej labiryntem zachcianek i kaprysów, w którym nieustannie napotykało się nowe trudności i przeszkody. Musiał także stawić czoła hordzie przerażających rywali z krwi i kości, rozlicznych wiejskich amantów, którzy oblegali każdą bramę do jej serca, obserwujących się nawzajem uważnie i z gniewnym błyskiem w oku, lecz gotowych zjednoczyć się przeciwko każdemu nowemu konkurentowi.

Wśród nich największą grozę budził zwałisty, krzepki szelma i chwat o imieniu Abraham lub zgodnie z holenderskim zdrobnieniem Brom Van Brunt, bohater okolicy, która aż huczała od

opowieści o jego pełnych odwagi dokonaniach. Miał szerokie ramiona, grube palce, krótkie, kręcone, czarne włosy oraz rubaszne, ale nie nieprzyjemne oblicze. Otaczała go aura wesołości przyprawiona pychą i butą. Z powodu herkulesowej postury i ogromnej siły otrzymał przezwisko Chudzielec Brom, pod którym był powszechnie znany. Słynął z ogromnej wiedzy i umiejętności jeździeckich, na końskim grzbiecie wykazywał się równą zręcznością co Tatar. Wygrywał we wszystkich wyścigach i zawodach, z powodu przewagi, jaką w wiejskich społecznościach zawsze zyskuje siła fizyczna, był sędzią we wszystkich sporach – przechylał kapelusz na bok i wygłaszał swój wyrok z miną i tonem wykluczającymi sprzeciw lub prośby. Zawsze był gotowy do bójki lub swawoli; jednak było w tym więcej chęci do psot niż złej woli i mimo całej despotycznej grubiańskości, w gruncie rzeczy miał w sobie wiele sowizdrzalskiego dobrego humoru. Miał trzech czy czterech wesołych kompanów, którzy uważali go za wzór. Na ich czele grasował po okolicy, pojawiając się na miejscu każdej kłótni czy zabawy w promieniu wielu kilometrów. W chłodne dni przywdziewał futrzaną czapkę zwieńczoną paradnym lisim ogonem i gdy ludzie zebrani z powodu jakiegoś wydarzenia dostrzegali w oddali tę powszechnie rozpoznawaną kitę podskakującą nad jego ramieniem, zamierali w oczekiwaniu na awanturę. Czasami w środku nocy jego drużyna galopowała obok domów farmerów, wrzeszcząc i hałasując jak oddział Kozaków. Stare damy, wytrącone ze snu, nasłuchiwały przez chwilę, dopóki zamęt nie minął, a potem wykrzykiwały: „No tak, to Chudzielec Brom i jego banda!” Sąsiedzi patrzyli na niego z mieszaniną przerażenia, podziwu i dobrej woli i kiedy w pobliżu zdarzał się jakiś zwariowany figiel czy awantura, zawsze kręcili głowami i przysięgali, że Chudzielec Brom musiał w tym maczać palce.

Tenże zawadiacki bohater od pewnego czasu upatrzył sobie śliczną Katrinę na obiekt swoich nieokrzęsanych umizgów i chociaż jego amory przypominały pieszczoty i чулостки niedźwiedzia, po cichu

szeptano, że Katrina nie do końca odbierała mu nadzieję. Pewne za to było, że jego awanse stanowiły sygnał do odwrotu dla reszty konkurentów, którzy nie czuli specjalnego zapału do przeszkadzania lwu w zalotach – do tego stopnia, że gdy widzieli jego konia przywiązanego do płotu przed posiadłością Van Tasselów w sobotni wieczór, co było pewnym znakiem, że jego pan zabiega o względy wybranki czy, jak to nazywano, „smali do niej cholewki”, pozostali pretendenci do ręki Katriny odchodzili zrozpaczeni, przenosząc się na inne pola walki.

Właśnie z tym groźnym rywalem musiał się zmierzyć Ichabod Crane i trzeba przyznać, że ktoś męźniejszy niż on wycofałby się z zawodów, a mądrzejszy zwątpił w powodzenie. On jednak dysponował szczęśliwym połączeniem elastyczności i wytrwałości, przypominał wiklinę – ustępliwy, lecz twardy; mógł się ugiąć, ale nigdy złamać i chociaż pochylał się przy najmniejszej presji, gdy tylko zniknęła – trach!– prostował się i unosił wysoko głowę jak gdyby nigdy nic.

Wystąpić otwarcie przeciwko konkurentowi byłoby szaleństwem. Podobnie jak porywczy kochanek Achilles, Chudzielec Brom nie był mężczyzną, któremu można by przeszkodzić w zalotach. Dlatego też Ichabod zalecał się po cichu i w delikatnie dwuznaczny sposób. Składał wybrance regularne wizyty pod pretekstem nauki śpiewu, chociaż nie musiał obawiać się niczego ze strony rodziców, których wścibskie wtrącanie się tak często jest przeszkodą na drodze zakochanych. Balt Van Tessel był spokojnym i pobłażliwym człowiekiem; kochał córkę nawet bardziej niż swoją fajkę, a jako mężczyzna rozważny i wspaniały ojciec pozwalał jej na wszystko. Również jego szacowna żona miała na głowie dostatecznie dużo obowiązków pani domu oraz przy zajmowaniu się drobiem, ponieważ jak mądrze zauważyła, kaczki i gęsi to głupiutkie istoty i trzeba ich pilnować, natomiast córki mogą same się o siebie zatroszczyć. W ten sposób zapracowana dama krzątała się po domu lub usiadłszy na werandzie, uprawiała w ruch kołowrotek, a zacny

Balt rozparty na ławeczce palił fajkę, obserwując dokonania małego, drewnianego wojownika, który uzbrojony w dwa miecze mężnie walczył z wiatrem na szczycie stodoły. W międzyczasie Ichabod zabiegał o względy ich córki na brzegu źródła pod wielkim wiązem lub podczas przechadzki o zmierzchu, porze tak sprzyjającej elokwencji zakochanych.

Wyznaję, że nie wiem, jak zalecać się do kobiet i zdobywać ich serca. Dla mnie zawsze stanowiły zagadkę i przedmiot podziwu. Niektóre zdają się mieć tylko jeden wrażliwy punkt, podczas gdy do serc innych prowadzą tysiące ścieżek i można nimi zawładnąć na tysiące różnych sposobów. Ogromnych zdolności wymaga odkrycie tego pierwszego, jednak jeszcze większym dowodem umiejętności przywódczych jest utrzymanie drugiego, ponieważ mężczyzna musi bronić każdego okna i drzwi swojej fortecy. Ten, kto zdobył tysiąc zwykłych serc, ma zatem prawo do pewnej sławy, lecz ten, kto niepodzielnie rządzi sercem kokietki, jest prawdziwym bohaterem. Z pewnością nie tak miały się sprawy w przypadku straszliwego Chudzielca Broma i od kiedy Ichabod Crane zaczął zaloty, szanse zawadiaki zdecydowanie spadły: jego konia nie widywano już przywiązanego do płotu w sobotnie wieczory, a między nim i nauczycielem Sleepy Hollow narosła dozgonna nienawiść.

Brom, który prezentował pewien stopień prymitywnej rycerskości, bardzo chętnie ustaliłby, kto ma prawo do interesującej ich damy, w bezpośrednim starciu – stylu, który odpowiada ludziom posługującym się zwięzłym i prostym rozumowaniem, błędnym rycerzom z dawnych czasów. Jednak Ichabod był zbyt świadomy przewagi fizycznej rywala, by się na to ważyć; słyszał, jak Chudzielec przechwalał się, że „zegnie nauczyciela w pół i położy na jednej z półek w jego szkole”, i nie zamierzał dać mu po temu okazji. Było coś ogromnie prowokującego w tym zawzięcie pacyfistycznym zachowaniu; Brom nie miał wyboru i musiał uciec się do arsenału wiejskich psikusów – zacząć płatać rywalowi grubiańskie figle. Ichabod stał się obiektem cudacznych

prześladowań Chudzielca i jego bandy. Napadali na dotychczas spokojne posiadłości nauczyciela, wykurzali uczniów z lekcji śpiewu, zatykając komin, włamywali się w nocy do szkoły, mimo jej straszliwych zabezpieczeń w postaci witki i podpierających okna patyków, i wywracali wszystko do góry nogami, przez co biedny pedagog zaczął podejrzewać, że wszystkie okoliczne czarownice urządzają tam sabaty. Jednak jeszcze bardziej irytujące było, gdy Brom korzystał z każdej okazji, by ośmieszyć przeciwnika w oczach ukochanej. Miał też łajdackiego psa, którego nauczył wyć w niezwykle nedorzeczny sposób, i przedstawił go Katrinie jako konkurenta Ichaboda w nauce psalmów.

Przez jakiś czas żadna z wrogich sił nie zdołała zdobyć przewagi. Pewnego ładnego, jesiennego dnia zadumany Ichabod siedział jak na tronie na stołku na podwyższeniu, skąd zazwyczaj obserwował wszelkie sprawy swojego małego, literackiego królestwa. Wymachiwał różgą, znakiem swojej despotycznej władzy, która zazwyczaj spoczywała na trzech gwoździach za królewskim siedziskiem jako nieustana groźba dla psotników. Za to na biurku przed nim można było zobaczyć zakazaną broń odebraną uczniom i rozmaite przemycone przedmioty, takie jak w połowie zjedzone jabłko, korkowce, bąki, pułapki na muchy i całe legiony szerzących się niepowstrzymanie papierowych kogutów. Najwyraźniej niedawno wymiar sprawiedliwości wymierzył karę, ponieważ uczniowie studiowali w skupieniu podręczniki lub cicho szeptały z nich, nie spuszczać oka z nauczyciela i w klasie panował rodzaj pracowitego bezruchu. Został on nagle zakłócony przez pojawienie się Murzyna w kaftanie i spodniach z grubego płótna, kapeluszu z okrągłym rondem jak nakrycie głowy Merkurego, dosiadającego niezgrabnej, półdzikiej, młodej klaczy, którą kierował, używając liny jako uzdy. Zapukał do drzwi szkoły z zaproszeniem dla Ichaboda na zabawę taneczną, która tego wieczora odbędzie się w posiadłości pana Van Tassela i dostarczywszy wiadomość w aurze doniosłości i ze staraniem o wytworność mowy, jakie Murzyni skłonni są

okazywać przy okazji tego typu błahych zadań, pośpiesznie pokonał strumień i widziano go, jak napuszony truchtał doliną, by wypełnić swoją misję.

W spokojnej szkole zapanowały teraz zgiełk i wrzawa. Uczniowie przyswajali wiedzę w pośpiechu, bez zwalniania z powodu błahostek; zwinni bezkarnie przeskakiwali przez połowę lekcji, a powolni od czasu do czasu otrzymywali zachętę w tyłek do szybszego biegu albo przeskoczenia co wyższego słowa. Książki bezładnie odrzucono na bok, a nie, jak zwykle, starannie poukładano na półkach, odwrócono kałamarze, opuszczono blaty ławek i dzieci wypuszczone do domu godzinę wcześniej niż zwykle wybiegły ze szkoły jak horda chochlików, krzyżąc i podskakując radośnie z powodu tak wczesnego wyzwolenia.

Szarmancki Ichabod spędził co najmniej pół godziny więcej niż zwykle na szykowaniu się, czyszczeniu i odświeżaniu najlepszego, a zarazem jedyne, podniszczonego, czarnego garnituru i układaniu loków nad kawałkiem stłuczonego szkła, które wisiało w szkole. By móc pojawić się przed ukochaną jak przystało na kawalera, pożyczył konia od farmera, u którego aktualnie mieszkał, cholerycznego starego Holendra Hansa Van Rippera, i tak elegancko, na konnym grzbiecie ruszył naprzeciw przygodzie. W duchu prawdziwej romantycznej historii wypada mi zrelacjonować wygląd i ekwipunek naszego bohatera i jego wierzchowca. Zwierzę, którego dosiadał, było schorowanym koniem pociągowym, który przeżył chyba wszystko, poza własną złośliwością. Był wychudzony i sterany, miał jelenią szyję i łeb jak młot; jego zaniedbane grzywa i ogon były splątane i pełne rzepów; jedno oko straciło źrenicę i wyglądało upornie, a w drugim migotał diabelski błysk. W dniach świetności musiał mieć w sobie ogień i zapał, jeśli można sądzić po tym, że nosił imię Proch. Był ulubionym koniem swojego pana, cholerycznego Van Rippera, który był szalonym jeźdźcem i najprawdopodobniej przekazał część swojego ducha zwierzęciu,

ponieważ mimo że koń wyglądał na starego i schorowanego, czaiło się w nim więcej diabła niż w jakimkolwiek źrebaku w sąsiedztwie.

Ichabod był odpowiednim jeźdźcem dla tego rumaka. Jeździł z krótkimi strzemionami, co sprawiało, że jego kolana znajdowały się niemal na wysokości łęku; wystające na boki kościste łokcie nadawały mu wygląd pasikonika. Bacik trzymał pionowo jak berło i gdy koń kłusował, ruchy ramion nauczyciela przywodziły na myśl ptasie skrzydła. Mały, wełniany kapelusz opierał się o nasadę nosa, bo tak można by nazwać wąskie czoło mężczyzny, a poły surduta trzepotały tuż przy końskim ogonie. Tak właśnie wyglądali Ichabod i jego wierzchowiec, gdy wyczłapali za bramę posiadłości Hansa Van Rippera – stanowili obrazek, jaki nieczęsto się widuje w biały dzień.

Był to, jak już wspomniałem, ładny, jesienny dzień, niebo było czyste i pogodne, a przyroda nosiła soczysto złotą liberię, jaką zawsze kojarzymy z dostatkiem. Las przywdział stateczne brązy i żółcie, a niektóre drzewa o delikatniejszej naturze mróz pomalował na olśniewające odcienie pomarańczy, purpury i szkarłatu. Wysoko w powietrzu zaczęły pojawiać się klucze dzikich kaczek; z bukowych i orzesznikowych gajów dochodziły piski wiewiórek, a z pobliskiego ścierniska co pewien czas odzywała się przepiórka.

Małe ptaki urządzały pożegnalny bankiet. Ptasie bachanalia trwały w najlepsze, biesiadnicy trzepotali skrzydłami, ćwierkając i przeskakując z krzaka na krzak i z drzewa na drzewo, gdyż otaczająca je obfitość i różnorodność pozwalała na kaprysy i wybrzydzenie. Przybył tu prawy drozd z głośnym, swarliwym śpiewem, ulubiona zwierzyna łowna małych myśliwych, świergoczące kosy latające wśród ciemnych chmur, złotoskrzydły dzięcioł w czerwonej czapie, szerokim, czarnym krawacie i paradnym upierzeniu, jemiołuszka ze szkarłatnymi końcówkami lotek, żółtym koniuszkiem ogona i czapczką z piór oraz modrosójka, ten hałaśliwy pyszałek w barwnym, błękitnym płaszczu i białej koszuli. Krzyczały i trajkotały, kiwały główkami,

dygały, kłaniały się i udawały, że są w dobrych stosunkach z każdym śpiewakiem z gaju.

Ichabod jechał wolnym kłusem i, zawsze gotowy chłonąć każdą oznakę kulinarnego dostatku, cieszył oczy skarbami radosnej jesieni. Wszędzie widział ogromne zapasy jabłek, od których aż uginały się gałęzie jabłoni; część owoców została zebrana do koszy i beczek i przygotowana na targ, a część leżała w wysokich stosach gotowa do przerobienia na jabłecznik. Nieco dalej dostrzegał rozległe pola kukurydzy, gdzie złote kolby wyglądały z liściastych płaszczy i obiecywały ciastka i puddingi, a także żółte dynie leżące u ich stóp, wystawiające swoje okrągłe brzuchy do słońca i dające nadzieję na najbardziej rozkoszne z ciast. Niebawem mijał wonne pole gryki, wdychając zapach ula i gdy to wszystko oglądał, jego umysłem zawładnęło czułe oczekiwanie na mięciutkie placuszki hojnie posmarowane masłem i polane miodem albo syropem przez delikatną, pulchną rączkę Katriny Van Tassel.

I tak karmiąc wyobraźnię wieloma słodkimi myślami i osłodzonymi domniemaniami, jechał brzegiem pasma wzgórz, z których rozciągał się widok na przepiękną i potężną rzekę Hudson. Na zachodzie okrągła tarcza słońca powoli turlała się w dół. Szerokie łono Tappan Zee pogrążone było w bezruchu i skąpane w zieleni, jedynie tu i tam w łagodnie falujących wodach odbijał się niebieski cień odległej góry. Kilka bursztynowych chmur tkwiło na niebie, nie poruszał ich nawet najmniejszy podmuch wiatru. Linia horyzontu miała szlachetny złoty odcień, który stopniowo przechodził w czystą, jasną zielen, a potem w połowie nieba w indygo. Padający ukośnie promień słońca zamarudził jeszcze na drzewiastym pióropuszu urwisk, jakie wisiały nad niektórymi częściami rzeki, nadając większą głębię ciemnej szarości i purpurze jej skalistych brzegów. W oddali unoszony na fali wałęsał się slup, bezużyteczny żagiel wisiał wzdłuż masztu; a gdy odbicie nieba pobłyskiwało w spokojnej wodzie, wydawało się, że statek wisi w powietrzu.

Zbliżał się wieczór, gdy Ichabod przybył do zamku szacownego Van Tassela, którego zastał w otoczeniu dumy i kwiatu okolicznych wsi. Zebrali się tu starzy farmerzy, ród o ogorzałych twarzach, w samodziałowych surdutach i bryczesach, błękitnych pończochach, ogromnych butach z okazałymi klamrami z pewteru. Były tu też ich energiczne, pomarszczone żony w marszczonych czepkach, w krótkich sukniach z przedłużonym stanem, płóciennych spódnicach, z przyczepionymi do pasa nożyczkami, igielnikami i kolorowymi sakiewkami. Przybyły i dziewczęta o dorodnych kształtach, ubrane niemal równie staromodnie jak ich matki, oznakami postępu były tylko słomkowe kapelusze, ozdobne wstążki czy też biały kolor sukni. Byli i synowie we frakach z prostokątnymi połami i rzędami bajecznych mosiężnych guzików, z włosami związanymi zgodnie z obecną modą w koński ogon, zwłaszcza jeśli udało im się zdobyć skórę węgorza, cenioną na wsiach przez wzgląd na wiarę w jej doskonałe odżywcze i wzmacniające właściwości.

Jednak najwięcej uwagi skupiał na sobie Chudzielec Brom, który przybył na swoim ulubionym wierzchowcu Śmiałku, stworzeniu jak on sam zuchwałym i złośliwym, którego nie był w stanie okiełznać nikt poza jego panem. Brom był znany z zamiłowania do narowistych koni, lubiących wszelkiego rodzaju sztuczki nieustannie grożące jeźdźcowi skruceniem karku, ponieważ uważał, że posłuszny i uległy koń nie jest godny młodzieńca z fantazją.

Z przyjemnością zatrzymam się, by opisać świat niezwykle uroków, jaki rozkwitł przed zachwyconymi oczami mojego bohatera, gdy wszedł on do pełnego przepychu salonu rezydencji Van Tassela. Uroków nie dziewcząt o ślicznych krągłościach przyobleczonej w zmysłowe czerwienie i biele, lecz sutego, tradycyjnego, holenderskiego podwieczorku serwowanego w królewskim okresie jesieni. Cóż to były za stosy ciastek przeróżnych i niemal nieopisanych rodzajów, znanych jedynie doświadczonym, holenderskim gospodyniom! Były tam pączki męzne, czule

lukrowane oraz chrupiące i kruche w kształcie obwarzanka; słodkie i kruche ciastka, ciasta imbirowe, na miodzie wraz z całą jeszcze rodziną innych ciast i ciasteczek. Były też placki z jabłkami, z brzoskwiniami i z dynią obok plastrów szynki, wędzonej wołowiny i innych pyszności: marynowanych śliwek, brzoskwiń, gruszek i pigw, nie wspominając już o pieczonych alosach i kurczakach, miskach pełnych mleka i śmietanki, a wszystko to wymieszane ze sobą mniej więcej tak, jak to wymieniłem, na środku zaś rozparł się matczy ny imbryk buchający obłoczkami pary – na niebios! Chciałbym odetchnąć i mieć czas, by omówić ten bankiet, tak jak na to zasługuje, ale zbyt mocno pragnę kontynuować opowieść. Szczęśliwie Ichabodowi Crane’owi nie śpieszyło się tak, jak jego biografowi, i oddał sprawiedliwość każdemu szczegółowi tej uczy.

Był miłym i wdzięcznym człowiekiem, którego serce rosło, gdy żołądek wypełniał się jadłem, nabierał też wigoru, podobnie jak to się dzieje u niektórych mężczyzn po dobrym trunku. Nie mógł się powstrzymać, by jedząc, nie wodzić oczyma dookoła i cieszyć się cicho na myśl o tym, że pewnego dnia mógłby być władcą tych wszystkich prawie niewyobrażalnych luksusów i splendorów. Potem pomyślał, jak szybko porzuciłby szkołę, oddalił z pogardą Hansa Van Rippera i wszystkich innych skąpych mecenasów i wykopał za drzwi każdego wędrownego nauczyciela, który ważyłby się nazwać go swoim druhem!

Stary Baltus Van Tassel chodził między gośćmi z twarzą rozjaśnioną zadowoleniem i dobrym humorem, okrągłą i wesołą jak księżyc w pełni. Serdecznym tonem wymieniał uprzejmości z gośćmi, krótko acz ekspresyjnie, ograniczając się do uścisku dłoni, klepięcia w ramię, zanieśienia się głośnym śmiechem i zaproszenia „nie krępujcie się i częstujcie”

A teraz odgłosy muzyki z sali balowej albo holu zawezwały do tańca. Grał stary, siwowłosy Murzyn, który był objazdowym muzykiem w tej okolicy od pół wieku. Jego instrument był równie

stary i sterany jak on. Przez większość czasu muzyk szarpał za dwie czy trzy struny, każdy ruch podkreślając kiwnięciem głowy, pochylał się przy tym niemal do ziemi i tupał nogą za każdym razem, gdy nowa para wchodziła na parkiet.

Ichabod szczyił się swoimi umiejętnościami tanecznymi równie mocno, co uzdolnieniami wokalnymi. W tańcu żadna kończyna, żaden mięsień nie pozostawał bezczynny; widząc, jak to wysokie, chude ciało zostaje wprowadzone w ruch i rzuca się po sali, pomyślelibyście, że sam święty Wit, ten błogosławiony patron tańca, zjawił się przed waszymi oczami. Był przedmiotem podziwu wszystkich Murzynów bez względu na wiek i rozmiar, którzy zebrali się tu z całej farmy oraz jej sąsiedztwa i tworząc piramidę lśniących czarnych twarzy, stali przy każdym drzwiach i każdym oknie i z rozkoszą obserwowali to zjawisko, przewracając białymi gałkami i w szerokim od ucha do ucha uśmiechu ukazując garnitur śnieżnobiałych zębów. Jakże mógł nasz oprawca urwisów nie być ożywiony i radosny? Dama jego serca była jego partnerką w tańcu i uśmiechała się z wdziękiem w odpowiedzi na pożądlive spojrzenia, podczas gdy Chudzielec Brom boleśnie powalony miłością i zazdrością siedział w kącie ponury i samotny jak palec.

Kiedy taniec dobiegł końca, Ichabod dołączył do grupki życiowo doświadczonych obywateli, którzy w towarzystwie starego Van Tassela siedzieli na werandzie, pykając fajki, gawędzili o przeszłości i snuli długie historie o wojnie. Ta okolica w czasach, o których opowiadam, była jednym z tych wysoce zaszczytnych miejsc, jakie obfitowały w kronikarzy i wielkich ludzi. W trakcie wojny brytyjsko-amerykańskiej nieopodal przebiegała linia frontu, dlatego na tutejszych terenach grasowali maruderzy, włączyli się uciekinierzy, kowboje i inni przedstawiciele przygranicznego rodzaju rycerskiego. Upłynęło akurat dostatecznie dużo czasu, by każdy gawędziarz mógł ubarwić swoją opowieść odrobiną stosownej fikcji i dzięki mglistości wspomnień, uczynić się bohaterem.

Była więc historia o Duffuem Martlingu, dużym sinobrodym Holendrze, który prawie zatopił brytyjską fregatę ze starej, żelaznej, dziewięciofuntowej armaty wspartej na przedpiersiu z błota, tyle że jego działo wybuchło przy szóstym wystrzale. Był też pewien leciwy dżentelmen – powinien on pozostać anonimowy, ponieważ jest zbyt bogatym człowiekiem, by bez dobrego powodu wspominać jego imię – który podczas Bitwy pod White Plains jako wybitny mistrz obrony sparował kulę z muszkietu rapierem, tak że poczuł jak zaświstała wokół ostrza i odbiła się od rękojeści; na dowód mógł w każdej chwili pokazać broń z lekko wygiętą rękojeścią. Było jeszcze kilka historii i bohaterowie każdej z nich równie wspaniale spisali się na placu boju, każdy był też przekonany, że znacznie przyczynił się do szczęśliwego zakończenia wojny.

Jednak wszystko to było niczym w porównaniu z opowieściami o duchach i widziadłach, jakie rozpoczęły się później. W tej okolicy roi się od legendarnych skarbów. Lokalne historie i przesady najlepiej rozwijają się w tych zacisznych, od dawna zasiedlonych ustroniach, a przepadają w społeczności tworzonej przez często przenoszących się ludzi, jacy zamieszkują większość naszego kraju. Poza tym w naszych wsiach zazwyczaj nie zachęca się duchów do istnienia, ponieważ ledwo udaje im się skończyć pierwszą drzemkę i przewrócić w grobie, kiedy ich pozostali przy życiu przyjaciele wynoszą się z sąsiedztwa i w ten sposób gdy zjawy pojawią się w nocy, by rozpocząć przechadzkę, nie mają żadnych znajomych, którym mogą złożyć wizytę. Być może dlatego tak rzadko słyszymy o duchach poza dawno ufundowanymi holenderskimi miasteczkami.

Jednak bezpośredni powód dominacji nadprzyrodzonych opowieści w tych stronach bez wątpienia leżał w bliskości Sleepy Hollow. Atmosfera tego nawiedzonego miejsca roznosiła się po jego sąsiedztwie jak zaraza; sprowadzała aurę marzeń sennych i niezwykłych wizji, jakie przenikały tutejszą ziemię. Kilkoro

z mieszkańców doliny było obecnych u Van Tassela i jak zwykle dzieliło się swoimi fantastycznymi i cudownymi legendami. Opowiedziano wiele posępnych historii o pociągach pogrzebowych oraz żałobnych zawodzeniach słyszanych przy wielkim drzewie rosnącym w okolicy, przy którym pojmano nieszczęsnego majora André. Wspomniano również o kobiecie w bieli nawiedzającej wawóz w Raven Rock; jej krzyki często dawały się słyszeć w zimowe noce przed śnieżycą, ponieważ zginęła tam wśród śniegu. Jednak większość opowieści obracała się wokół ulubionego upiora Sleepy Hollow, Bezgłowego Jeźdźca, którego ostatnio kilka razy widziano, jak patrolował wieś, i powiadano, że co noc przywiązywał konia wśród grobów na przykościelnym cmentarzu.

Wzniesiony w odosobnionym miejscu kościół wydawał się być od zawsze ulubionym miejscem niespokojnych duchów. Stoi na pagórku otoczony przez świerszcze i wzniosłe wiązy, zza których błyszczą skromnie jego obyczajne, bielone ściany niczym chrześcijańska cnota promieniejąca wśród cieni zacisza. Łagodne wzniesienie opada w stronę srebrnej tafli wody otoczonej wysokimi drzewami, pomiędzy których widać niebieskie wzgórza Hudson. Patrząc na porośniętą trawą cmentarz, gdzie jak się zdaje promienie słońca drzemią w ciszy, można by pomyśleć, że przynajmniej martwi spoczywają tu w pokoju. Po jeden stronie kościoła rozciąga się szeroka, zadrzewiona dolina, gdzie wśród kamieni i pni powalonych drzew dokazuje spory potok. Nad głęboką, ciemną częścią niedaleko kościoła wybudowano dawniej drewniany most. Prowadząca do niego droga i sam most były ocienione przez gęsto rosnące drzewa, które nawet w ciągu dnia rzucały głęboki cień, a nocą powodowały straszliwą ciemność. Tak wyglądało ulubione miejsce nawiedzane przez Bezgłowego Jeźdźca i jednocześnie miejsce, gdzie najczęściej go spotykano. Opowiedziano historię starego Brouwera, najbardziej heretyckiego niedowiarka w sprawach duchów; to, jak spotkał Jeźdźca wracającego z wypadu do Sleepy Hollow i został zmuszony usiąść za nim na koniu; to, jak

galopowali przez krzaki, wzgórza i bagna, aż dotarli do mostu, a tam Jeździec nagle zamienił się w szkielet, zrzucił starego Brouwera do strumienia i przeskoczył nad czubkami drzew przy akompaniamencie trzasku pioruna.

Natychmiastową odpowiedzią na tę historię była trzy razy bardziej niesamowita przygoda Chudzielca Broma, który naśmiewał się z upiora i jego jeździeckich umiejętności. Potwierdził, że pewnej nocy podczas powrotu do domu z sąsiedniej wioski Sing Sing został zaskoczony przez tego północnego żołnierza i że zaoferował mu wyścig o miskę ponczu. Wygrałby, ponieważ Śmiałek utrzymywał zdecydowaną przewagę nad widmowym koniem przez całą kotlinę, ale gdy dojechali do mostku przy kościele, Hes uciekł, znikając w błysku ognia.

Wszystkie te opowieści snute tym ospałym tonem, jakim w mroku rozmawiają mężczyźni, okraszane spojrzeciami jedynie od czasu do czasu rzucanymi na twarze słuchaczy znad blasku fajki, zapadały głęboko w umysł Ichaboda. Odpłacił za nie, przytaczając spore fragmenty dzieła nieocenionego Cottona Mathera i dodał wiele niezwykłych wydarzeń, które miały miejsce w jego rodzinnym Connecticut oraz opowiadając o przerażających omenach, jakie widział podczas nocnych spacerów po Sleepy Hollow.

Zabawa miała się z wolna ku końcowi. Starzy farmerzy zbierali swoje rodziny do wozów i przez jakiś czas słychać było, jak jadą doliną i przez odległe wzgórza. Niektóre młode panny usiadły za swoimi wiejskimi wybrankami i ich beztroski śmiech mieszający się ze stukotem podków odbijał się echem po cichym lesie, coraz słabiej i słabiej, dopóki stopniowo zupełnie nie ucichł – a miejsce niedawnych hałasów i swawoli stało się ciche i opuszczone. Ichabod zwlekał z odjazdem zgodnie ze zwyczajem wiejskich kochanków, by odbyć tête-à-tête z dziedziczką w pełni przekonany, że jest teraz na prostej drodze do sukcesu. Co zaszło podczas tej rozmowy, nie opowiem, ponieważ tego nie wiem. Jednak coś,

obawiam się, musiało pójść źle, gdyż pedagog wyszedł po niezbyt długim czasie, wyglądając na załamane i niepokieszone. Ach, te kobiety! Te kobiety! Czyżby ta kokietka wykorzystała którąś ze swoich sztuczek? Czy zachęcała biednego nauczyciela jedynie po to, by zdobyć jego rywala? Jeden Bóg wie, ja nie! Dość powiedzieć, że Ichabod wyruszył z miną kogoś, kto próbował ukraść kury z kurnika, a nie serce damy. Nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, by podziwiać wiejskie bogactwa, których widokiem tak często się rozkoszował, poszedł prosto do stajni i kilkoma solidnymi szturchnięciami i kopniakami wyciągnął swojego rumaka z wygodnej kwatery, gdzie ten spał głęboko, śniąc o górach kukurydzy, owsa i całych dolinach tymotki i koniczyny.

Nastała godzina duchów, gdy Ichabod z ciężkim sercem i mocno przybity ruszył do domu wzdłuż wysokich wzgórz wznoszących się ponad Tarry Town, drogą, którą tak radośnie przemierzał popołudniu. Pora była równie ponura jak on. Daleko w dole rozciągały się ciemne, zamglone wody Tappan Zee, gdzieś widać było maszt stojącego na kotwicy słuca. W martwej ciszy północy nauczyciel słyszał nawet szczekanie psa łańcuchowego na drugim brzegu Hudson, jednak było tak niewyraźne i słabe, że na myśl przychodziło jedynie to, jak daleko znajduje się ten wierny towarzysz człowieka. Od czasu do czasu przeciągłe pianie przypadkowo obudzonego koguta dochodziło z bardzo, bardzo daleka, z jakiejś farmy wśród wzgórz – ale dla Ichaboda brzmiało jak sen. Nie pojawiały się żadne oznaki życia z wyjątkiem rozlegającego się sporadycznie melancholijnego cykania świerszcza lub gardłowego rechotu żaby ryczącej w pobliskim bagnie, jakby w trakcie niespokojnego snu nagle przewróciły się w łóżku.

Wszystkie historie o duchach i goblinach, jakie słyszał tego popołudnia, zaczęły teraz tłoczyć się w jego wyobraźni. Noc stawała się coraz ciemniejsza; gwiazdy jakby oddaliły się na niebie, a przepływające chmury ukrywały je przed jego wzrokiem. Nigdy jeszcze nie czuł się taki samotny i przygnębiony. W dodatku zbliżał

się do miejsca, gdzie rozgrywała się większość upiornych opowieści. Na środku drogi rósł ogromny tulipanowiec, który górował nad pozostałymi drzewami i stanowił pewnego rodzaju punkt orientacyjny. Jego konary były powykręcane i dziwaczne, równie duże, co pnie zwykłego drzewa i nachylały się niemal do ziemi, a potem z powrotem wyciągały się w górę. Wiązał się z historią nieszczęsnego André, który tuż obok został wzięty do niewoli, i był powszechnie znany jako drzewo majora André. Zwykli ludzie patrzyli na niego z mieszaniną szacunku i zabobonnego strachu, częściowo z powodu współczucia na myśl o nieszczęsnym majorze, częściowo z powodu opowieści o dziwnych znakach oraz żałobnych lamentach, jakie się tu zdarzały.

Gdy Ichabod zbliżył się do tego przerażającego drzewa, zaczął gwizdać; sądził, że ktoś mu na to odpowiedział, ale to tylko podmuch wiatru poruszył suchymi gałęziami. Gdy podjechał nieco bliżej, wydawało mu się, że widzi coś białego wiszącego wśród gałęzi; zatrzymał się i przestał gwizdać, ale gdy się przyjrzał, dostrzegł, że drzewo zostało trafione piorunem, który zdarł korę, odsłaniając białe drewno. Nagle usłyszał jęk – zaszczekał zębami, zacisnął kolana na siodle, ale to jedynie wielka gałąź pocierała o drugą, kołysząc się na wietrze. Ichabod bezpiecznie minął drzewo, ale nowe zagrożenia czekały przed nim.

Jakieś sto osiemdziesiąt metrów od drzewa drogę przecinał niewielki strumień i wpływał do podmokłego i gęsto zalesionego wąwozu, znanego jako Bagno Wileya. Kilka surowych kłoców ułożonych jeden obok drugiego służyło jako most. Po tej stronie drogi, gdzie potoczek wpływał w las, kilka dębów i kasztanowców porośniętych gęstą dziką winoroślą rzucało na kładkę wielki cień. Przekroczenie tego mostu było najcięższą z prób. W tym właśnie miejscu został pojmany nieszczęsny André, a kasztanowce i winorośle posłużyły za kryjówkę krzepkim żołnierzom, którzy go zaskoczyli. Od tamtego czasu uważano ten strumień za nawiedzony

i przerażenie ogarniało każdego chłopca, który musiał się przezeń przeprowadzić po zapadnięciu zmroku.

Gdy Ichabod zbliżył się do strumienia, poczuł, jak serce zaczyna szybciej bić mu w piersi, lecz zebrał się w sobie, zaserwował swojemu rumakowi serię kopniaków i spróbował przegalopować przez most. Jednak zamiast naprzód, przewrotne zwierzę odwróciło się w bok i wpadło na ogrodzenie. Nauczyciel, którego lęk wzrósł z powodu zwłoki, szarpnął za wodze w przeciwną stronę i mocno kopnął konia w bok przeciwległą stopą. Wszystko na próżno: wierzchowiec wprawdzie ruszył, ale tylko po to, by skoczyć na drugą stronę drogi w gąszcz jeżyn i olch. Ichabod obdarował teraz zagłodzone żebra Procha i smagnięciem biczem, i szturchnięciem piętą, a ten skoczył naprzód, sapał, prychał, ale zatrzymał się tuż przed kładką tak gwałtownie, że jeździec omal nie wyleciał z siodła. W tym właśnie momencie wrażliwe ucho nauczyciela wyłowiło odgłos chlupotliwego kroku. W mrocznym cieniu gaju na brzegu strumyka zobaczył coś wielkiego, zdeformowanego i wysokiego. Nie ruszało się, ale czyhało w ciemności jak jakiś gigantyczny potwór gotowy rzucić się na podróżnego.

Włosy na głowie przerażonego nauczyciela stanęły dęba. Co mógł zrobić? Na ucieczkę było już za późno; poza tym jakie miał szanse, by uciec przed widmem lub upiorem, który pędził na skrzydłach wiatru, jeśli to właśnie czekało w mroku? Zdobył się więc na odwagę i zapytał stanowczo, podkreślając kwestię jękaniami:

– Kim jesteś?

Nie uzyskał odpowiedzi. Powtórzył pytanie jeszcze bardziej wzburzonym głosem. Wciąż nie było odpowiedzi. Jeszcze raz spiął boki bezlitosnego Procha i zamykając oczy, ruszył naprzód z żarliwym śpiewem na ustach. Skryty w ciemności potwór również się poruszył i w jednej chwili znalazł się na środku drogi. Mimo że noc była ciemna i ponura, do pewnego stopnia można było teraz rozpoznać kształt nieznanego. Wyglądał jak jeździec o dużych rozmiarach siedzący na potężnym, czarnym koniu. Nie napastował

ani nie nawiązywał kontaktu, ale jechał obok, od strony ślepego oka Procha, który w końcu pokonał strach i skończył z samowolą.

Ichabod, któremu to dziwne, nocne towarzystwo nie sprawiało żadnej radości, przypomniał sobie spotkanie Chudzielca Broma z Galopującym Hesem i ponaglił teraz swojego rumaka, licząc, że zostawi niepożądanego kompana z tyłu. Jednak nieznajomy również pośpieszył swojego konia. Nauczyciel zwolnił do stępa, spodziewając się, że zostanie wyprzedzony – tamten zrobił to samo. Ichabod czuł, jak opuszcza go nadzieja; usiłował ponownie zaśpiewać psalm, ale zaschło mu w ustach, a język przywarł do podniebienia i nauczyciel nie mógł wydusić z siebie ani jednej śpiewnej nuty. W markotnym i zawziętym milczeniu tego nieustępliwego jeźdźca było coś tajemniczego i zatrważającego. Szybko okazało się, że nie bezpodstawnie. Gdy wjechali na wzniesienie, postać towarzysza podróży odmalowała się na tle nieba: gigantycznie wysoka, zakutana w pelerynę i, jak ze zgrozą zobaczył Ichabod, bez głowy! Jego przerażenie jeszcze wzrosło, gdy dostrzegł, że głowę, która powinna spoczywać na ramionach, nieznajomy wioził przed sobą na łąku! Groza przerodziła się w desperację; zalał Procha gradem kopniaków i uderzeń bata, mając nadzieję, że dzięki nagłemu zrywowi umknie przed niechcianym towarzystwem, ale upiór ruszył za nim galopem. Razem pędzili na złamanie karku, a spod końskich kopyt przy każdym uderzeniu leciały kamienie i iskry. Liche szaty Ichaboda furkotały na wietrze, gdy pochylił swoje długie, chude ciało nad końską szyją w gorliwej ucieczce.

Dotarli teraz do drogi, która zakręca w Sleepy Hollow, a Proch, który wydawał się opętany przez demona, zamiast w nią wjechać, skręcił w przeciwną stronę i na łeb, na szyję popędził w dół wzgórza na lewo. Ta droga prowadziła przez piaszczystą kotlinę otoczoną drzewami jakieś czterysta metrów dalej, gdzie przecinała most znany z opowieści o upiorach, a potem biegła tuż obok skąpanego w zieleni pagórka, na którym stał bielony kościół.

Na chwilę paniczny zryw wierzchowca zapewnił niewprawnemu jeźdźcowi przewagę w wyścigu, jednak w połowie kotliny puścił popręg i nauczyciel poczuł, jak siodło wyslizguje się spod niego. Złapał je za łęk i usiłował przytrzymać, lecz na próżno; miał jedynie czas uratować się, łapiąc starego Procha za szyję, gdy siodło spadło na ziemię i usłyszał, jak zostaje stratowane kopytami konia prześladowcy. Na moment w jego umyśle pojawił się strach przed gniewem Hansa Van Rippera – to było jego niedzielne siodło – ale miał czasu na strach o drobiazgi; potwór niemal już sięgał jego biodra i pedagog (jako niewprawy jeździec!) miał sporo kłopotów z utrzymaniem się na końskim grzbiecie. Raz zsuwał się na jeden bok, raz na drugi, raz lądował na wystającym kręgosłupie z siłą, która, jak się obawiał, mogła rozłupać go na pół.

Polana pośród drzew rozradowała go nadzieją, że most do kościoła jest już na wyciągnięcie ręki. Migoczące odbicie gwiazdy w strumyku pokazało mu, że się nie mylił. Widział ściany kościoła niewyraźnie połyskujące za drzewami. Przypomniał sobie miejsce, gdzie zniknął upiorny przeciwnik Chudzielca Broma. Jeśli zdołam dotrzeć do tego mostu, będę bezpieczny, pomyślał Ichabod. W tej samej sekundzie usłyszał tuż obok ciężki oddech czarnego wierzchowca; wydawało mu się nawet, że go poczuł. Kolejny spazmatyczny kopniak w żebra i stary Proch wpadł na mostek; załomotał kopytami na deskach, dotarł na drugą stronę – i teraz nauczyciel obejrzał się za siebie, by zobaczyć, czy jego prześladowca zniknął zgodnie z zasadami w błysku piekielnego ognia, roztaczając zapach siarki. Akurat wtedy upiór stanął w strzemionach i zamierzył się na niego swoją głową. Ichabod usiłował uchylić się przed tym koszmarnym pociskiem, ale było za późno. Trafił go w głowę z przejmującym trzaskiem i pedagog upadł głową w dół na ziemię, a Proch, czarny wierzchowiec i widmowy jeździec minęli go jak trąba powietrzna.

Następnego ranka znaleziono starą szkapę bez siodła, z wodzami pod nogami, gdy z powagą skubała trawę przed bramą do

posiadłości swojego pana. Ichabod nie pojawił się na śniadaniu; nadeszła pora obiadu i wciąż ani śladu Ichaboda. Uczniowie, którzy przyszedli do szkoły, plątali się beczynn timer nad potokiem, ale nauczyciel nie przyszedł. Hans Van Ripper zaczął czuć pewien niepokój o los pedagoga i swojego siodła. Wysłano pieszą grupę poszukiwawczą i po starannym śledztwie odkryto ślady Ichaboda. Na drodze prowadzącej do kościoła znaleziono siodło wdeptane w ziemię. Głębokie ślady końskich podków wskazujące, że zwierzę pędziło jak szalone, prowadziły na most, za którym przy brzegu, w miejscu, gdzie strumień się rozszerzał i gdzie woda była głęboka i mętna, znaleziono kapelusz nieszczęśnika Ichaboda i, tuż obok, rozbitą dynię.

Przeszukano potok, ale nie wyłowiono ciała nauczyciela. Hans Van Ripper, wykonawca woli zmarłego, przestudiował zawartość tobołka, który zawierał wszystkie ziemskie dobra nauczyciela. Składały się na nie: dwie i pół koszuli, dwa kołnierzyki, jedna czy dwie pary wełnianych pończoch, stare aksamitne bryczesy, zardzewiała brzytwa, śpiewnik psalmów z wieloma zagiętymi rogami i połamany kamerton. Książki i wyposażenie szkoły należało do wsi, z wyjątkiem *Historii Czarostwa Nowej Anglii* Cottona Mathera, almanachu Nowej Anglii oraz książki o snach i przepowiadaniu przyszłości. W tej ostatniej schowany był arkusz papieru pełen bazgrołów i kleksów powstałych w trakcie kilku bezowocnych prób sklecenia wiersza ku czci dziedziczki bogactw Van Tasselów. Książki o magii i poetycka bazgranina zostały spalone przez Hansa Van Rippera, który postanowił od tego czasu nie posyłać dzieci do szkoły, wyraziwszy przekonanie, że nigdy jeszcze nie widział, by umiejętność czytania i pisanie przyniosła komuś coś dobrego. Pieniądze, jeśli nauczyciel je posiadał – a kilka dni wcześniej otrzymał kwartalne pobory – musiał mieć przy sobie w chwili zaginięcia.

Te tajemnicze wydarzenia wywołały najbliższej niedzieli liczne dysputy na kościelnym podwórzu. Grupy gapiów i plotkarzy

zbierały się na cmentarzu, przy moście i w miejscu, gdzie odnaleziono kapelusz i dynię. Przytaczano opowieści o Brouwerze, Chudzielcu i wielu innych i po skrupulatnym ich przeanalizowaniu oraz porównaniu z ostatnimi wydarzeniami, kiwano głowami i dochodzono do wniosku, że Ichabod został porwany przez Galopującego Hesa. A ponieważ był kawalerem i nie był nikomu winien pieniędzy, ludzie dłużej nie zawracali sobie nim głowy. Szkoła została przeniesiona w inną część Hollow i inny pedagog objął w niej rządy.

Stary farmer, który kilka lat później odwiedził Nowy Jork i który opowiedział tę upiorną historię, przywiózł do domu wiadomość, że Ichabod Crane żyje, że opuścił te strony częściowo ze strachu przed duchami i Hansem Van Ripperem, a częściowo z powodu upokorzenia, jakiego doznał, gdy śliczna Katrina nagle odrzuciła jego awanse; że przeniósł się w odległe strony kraju, że prowadził szkołę i równocześnie studiował prawo, że został przyjęty do palestry, został politykiem, brał aktywny udział w kampanii propagandowej, pisał do gazet, a wreszcie otrzymał nominację na sędziego sądu do spraw drobnych roszczeń. Chudzielec Brom, który krótko po zniknięciu rywala triumfalnie poprowadził do ołtarza śliczną Katrinę, miał niezmiernie przenikliwy błysk w oku, zawsze gdy opowiadano o Ichabodzie, i wybuchał głośnym śmiechem na wspomnienie dyni – co prowadziło do podejrzenia, że wiedział w tej sprawie więcej, niż był skłonny powiedzieć.

Jednak stare gospodynie, które najlepiej potrafią osądzić takie kwestie, do dziś utrzymują, że Ichabod został porwany przez siły nadprzyrodzone i w tej okolicy jest to ulubiona opowieść snuta w zimowe wieczory przy ognisku. Most stał się przedmiotem jeszcze większego, podszytego zabobonem strachu i być może właśnie dlatego ostatnimi czasy zmieniono bieg drogi i teraz do kościoła idzie się wzdłuż stawu. Opuszczony gmach szkoły wkrótce zaczął podupadać i mówiło się, że nawiedza go duch nieszczęsnego pedagoga, a w spokojne, letnie wieczory parobek nieśpiesznie

wracający do domu często był przekonany, że słyszy w oddali, jak Ichabod melancholijnym głosem śpiewa psalmy rozchodzące się echem po cichym, odludnym Sleepy Hollow.

Spis treści

Kompleks Kсандny

Rezonuacz

A czemuć był piękny tego roku

Z perspektywy czasu

KAROLINA

Skorodowany

Czerwony świat

Biel łabędzia, biel łabędzia

W obronie Rogera Heringosa

Empatron

Ciało/Krew

Porada

18+

Przejsca

Syreni śpiew

Ouija

Legenda o Sleepy Hollow